

Kochać chcemy wszyscy, ale to nienawiść bywa prostsza.

IWONA SŁABUSZEWSKA-KRAUZE

Portugalka



Prószyński i S-ka

IWONA SŁABUSZEWSKA-KRAUZE

Portugalka

Prószyński i S-ka

Moim Najbliższym

Każdy z nas ma dwie rzeczy do wyboru:

jesteśmy albo pełni miłości... albo pełni lęku.

Albert Einstein

Bezkres winnic, Douro, jesień 1982

Leonardo i Gabriela nigdy nie budzili się wcześniej rano, ale dzisiaj ledwie zaczęło świtać, kiedy wyszli z domu. Ruszyli wąską ścieżką w górę zbocza, nie zamieniając ze sobą nawet słowa, każde myślało o czymś innym. Leonardo przeczuwał, że to będzie ciężki dzień. Nie wierzył, że wzniesienie kamiennej granicy cokolwiek zmieni, przyniesie ulgę na przykład albo zapomnienie. Po tym, co się wydarzyło, nie można było już normalnie żyć. Przystał jednak na plan Gabrieli, pragnął tak jak ona oddzielić to, co było kiedyś, niedawno, od tego, co miało rozpocząć się teraz.

Gabriela próbowała przypomnieć sobie moment, w którym utraciła czujność. Bo przecież przez cały czas wiedziała, że niebezpieczeństwo jest blisko. A jednak osoba, którą zawsze podejrzewała o wszystko, co najgorsze, okazała się jeszcze bardziej przebiegła i okrutna. Odebrała jej spokój i zniszczyła sumienie. Gabriela życzyła jej śmierci.

– Bierzmy się do roboty – z zamyślenia wyrwał ją głos Leonarda. – Sznurek... – mężczyzna rzucił Gabrieli kłębek. – Ty idź w dół, ja w górę, rozciągniemy go od jednego palika do drugiego. Mur musi być równy.

Gabriela posłusznie chwyciła jeden koniec sznurka i przywiązała go do drewnianej tyczki. Wróciła pod kopiec kamieni, przywiezionych wczoraj przez pracowników quinty, i zaczęła pracę. Jeden kamień za drugim, większy, mniejszy, jeden obły, drugi kanciasty. Mur pęczniał. Wydłużał się i rósł.

Leonardo rozpoczął nieco wyżej, tam gdzie mur miał się skończyć. Pod wieczór powinni spotkać się z Gabrielą w połowie drogi.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, został im jeszcze metr, może dwa wolnej przestrzeni. Nowa kamienna przegroda stanowiła przeszkodę dla oka przywykłego do zielonych horyzontów. Wzrok zahaczał o ten wystający element, potykał się o niego, jakby stanowił on barierę wyższą niż w rzeczywistości.

– Każdy głupi by się domyślił – odezwała się Gabriela, kiedy Leonardo znalazł się dostatecznie blisko. – Każdy by zrozumiał, że ona do tego doprowadziła. I to ona jest winna.

Leonardo przerwał pracę, wyprostował się, rozmawiali o tym wczoraj i przedwczoraj, nic innego nie robią od kilkunastu dni.

– Przesłuchali ją i wypuścili, nie znaleźli dowodów, przecież wiesz.

– Wiem i nie mogę w to uwierzyć. Policja... – Gabriela prychnęła – ...to stado baranów. Niczego by nie stwierdzili, nawet gdyby im wepchnąć dowody do ust.

– Nic na to nie poradzisz.

– Ale ona nie poniesie kary! Przecież go zamordowała! – zadrżała, wykrzykując te słowa. Łzy napłynęły jej do oczu. Czy tak będzie już zawsze? Zmrużyła oczy, żeby powstrzymać wzruszenie.

Leonardo milczał. Zasób słów się wyczerpał, zużył wszystkie, nie miał ich więcej w zanadrzu. Jego życie było skomplikowane już wcześniej, a teraz skomplikowało się jeszcze bardziej. Złapał największy kamień, z wściekłością wcisnął go w szparę pomiędzy dwoma innymi, ziemia wbiła mu się w paznokcie, już i tak całe czarne.

Pękate winogrona zakołysały się na gałęziach i Leonardo poczuł na policzku ostre smagnięcie wiatru. Patrzenie na winorośl nie sprawiało mu już przyjemności. Miał ochotę owoce zerwać i zniszczyć, a krzewy spalić. Poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Musi przestać myśleć o tym, co matka tak uparcie wałkuje od tygodni, uwolnić się choć na chwilę, złapać oddech.

Odwrócił się do Gabrieli plecami i usiadł na gołej ziemi. Wyciągnął z torby butelkę *port wine*. Najlepszy rocznik, jaki znalazł w winiarni. Odkorkował ją i wlał w siebie trunek. Przymknął oczy, przez moment zdawało mu się, że jest ciepły, wiosenny dzień, a on zaraz weźmie Camilę za rękę i pójdą razem na spacer. Ich dzieci będą podskakiwać obok, wesoly chłopczyk i ciemnowłosa dziewczynka. Będzie szczęśliwy. On i Camila. Razem. Teraz i na zawsze.

Nadmiar wina zaczął palić go w przetyku. W całym swoim życiu nie wypił tyle alkoholu, ile wlał w siebie w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Otworzył oczy. Tak, to tylko majaki, nadal był tutaj, na zboczu spalonej słońcem góry, a matka wlepiła w niego spojrzenie pełne potępienia.

– Nie spocznę, póki tego nie dokończymy. – Gabriela cierpliwie poczekała, aż Leonardo odstawi butelkę.

– Przecież prawie skończyliśmy – źrenice Leonarda rozszerzyły się ze zdumienia. Ani przez chwilę się nie ociągał, można raczej powiedzieć, że poruszał się w jakimś dziwnym zapamiętaniu, jakby to jemu, a nie Gabrieli, zależało bardziej. Rzadko bywali tak zgodni, teraz jednak pragnęli tego samego. Niech granica z kamieni przerodzi się w granicę w naszych głowach, myśleli oboje, przeszłość nigdy już nie wtargnie w nasze życie, nie położy się na nim cieniem.

– Chodzi mi o coś innego. To nie wystarczy, sterta kamieni nie rozwiąże sprawy, wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

– Wolałbym być na jego miejscu. Leży sobie w ziemi i nic już go nie obchodzi. Nic! A my... – Leonardo powiódł wzrokiem po zalanych zielenią i czerwienią winnicach. Zawsze uważał ten widok za niezwykły, przez trzydzieści lat mu się nie znudził. – Aż mnie mdli, tak tu pięknie – beknął i rzucił opróżnioną butelkę za siebie.

– Jesteś gorszy niż minutę wcześniej. – Gabriela podeszła bliżej i nachyliła się. – Synu – powiedziała stanowczo. – Musimy się zabezpieczyć. W przeciwnym

razie nigdy nie zaznamy spokoju. Twój brat życzyłby sobie tego samego, połowiczne rozwiązanie by go nie zadowoliło.

– O czym ty mówisz? Przecież wszystko już ustaliliśmy. To koniec, ostatnie zadanie, jakie należy wykonać, a potem nasze przymierze się rozpadnie, każdy zajmie się sobą.

– Dziecko nie może tam zostać. Musimy je zabrać. Hernandez... ona je zniszczy – mówiła Gabriela zdławionym głosem. Nadal pochylona nad Leonardem, oddychała ciężko. Ubrała się w żałobną czerń, zupełnie nie bacząc na słońce. Przez cały dzień kropelki potu ściekały z jej pleców i wsiąkały w bawełną sukienki, można teraz było ją wyzymać.

Leonardo zrozumiał, że matka uparła się, nie ustąpi łatwo.

– A poza tym – Gabriela sapnęła – jeśli inni nie potrafią wymierzyć sprawiedliwości, to ja ją wymierzę.

Wymierzę sprawiedliwość, wymierzę... Leonardo powtórzył w myślach jej słowa. A jeśli sprawiedliwość dla mnie jest czymś zupełnie innym niż dla ciebie? Jeśli punkty zbieżne naszych motywacji rozchodzą się jak szwy w schodzonych gaciach? Czy wtedy nadal powinienem układać te kamienie?

– Czego ty jeszcze chcesz, do diabła?! – jego zdumienie przeszło w złość.

– Leonardo... ja tego nie zaplanowałam – w głosie Gabrieli znać było zmęczenie, ona też pracowała, zgięta wpół, od wielu godzin. I nagle Leonardo dostrzegł coś więcej, z niedowierzania przetarł oczy: jego matka postarzała się o całe dziesięciolecia, jej włosy posiwiały w jedną noc. – Myślisz, że mi jest łatwo... Ale ona musi zrozumieć, to nie może ujść jej płazem. Zobaczysz, za jakiś czas zapomni, wyrzuci z pamięci to, co zrobiła. My jednak będziemy z tym żyć dalej. A co powie tym, którzy nie znają prawdy? Stworzy nieprawdopodobną historię, że on ją opuścił, zginął w wypadku, albo inną bzdurę, i wszyscy w to uwierzą. Dalej będzie knuć. A jeśli znów zabije? Tylko my możemy temu zapobiec, tylko my możemy zmienić bieg rzeczy. Nie mogę postąpić inaczej. Nie darowałabym sobie, nie mogłabym żyć z myślą, że dziecko jest tam, że ona...

Synu, pozwolisz, żeby mała wychowywała się w domu takiej kobiety? Żeby ktoś z nieczystym sumieniem był jej matką? Żeby mówił jej, co jest dobre, a co złe? Chcesz rozmnożyć tę krzywdę, która nas spotkała, by rozpełzła się na wszystkich, by dotknęła każdego w naszym otoczeniu? Dość już złego się wydarzyło, dość. Rozumiesz?

Camila otworzyła drzwi na oścież, ale niewiele to dało. We wnętrzu willi nadal panował półmrok, zamknięte okiennice nie przepuszczały światła dziennego, w powietrzu unosił się nieco przytęchły zapach niewietrzonych pomieszczeń i przejrzałych owoców, z którymi już dawno powinna coś zrobić.

Przeszła przez korytarz, klnąc i potykając się o porzucone na podłodze przedmioty, jakieś ubrania, buty nie do pary, papiery, torby. Dom wyglądał na opuszczony, choć nie było jej tu zaledwie kilka dni.

Miała nadzieję, że kiedy dojdzie do końca korytarza i stanie na progu pokoju, wszystko będzie jak dawniej, w łóżeczku będzie leżała jej córka, obok równo ułożone pieluchy, kocyki, grzechotki.

Przystanąła, szukając po omacku włącznika światła. Nasłuchiwała. Dziecko nie kwiliło, nie posapywało, nie uderzało nóżkami o szczebelki. Może spało. Weszła do środka. W pokoju panował taki sam, a może nawet większy bałagan niż w korytarzu, a łóżeczko było puste. Opróżnione. Ktoś, kto zabierał dziecko, zabrał też pościel, poduszkę, zabawki i wszystkie drobiazgi, które stały na półce obok.

Popełniła błąd. Powinna przeczekać, zaryglować się w domu i nikogo nie wpuścić. Idiotka! Kopnęła z wściekłości w komodę i syknęła z bólu. Wszystko skończone!

Przez trzy dni łudziła się, że kiedy tutaj wejdzie, życie powróci na swoje tory. Nie zastanie już Gabrieli ani żadnego z przeklętych Winefordów, ale dziecko nadal będzie. Przez trzy dni krążyła po okolicy, nie pamięta, czy coś jadła, czy spała, jak mogła pamiętać tak nieistotne czynności, skoro zapomniała nawet, że jest sobą, Camilą Hernandez. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie była i co robiła, czy z kimś rozmawiała, czy ktoś ją widział, czy kogoś nie przeraziła.

Próbowała ułożyć sobie wszystko w głowie, przypomnieć, nawlec na nitkę zdarzenia, by ułożyły się w kolejności, co było przedtem, a co potem i gdzie jest ten łącznik, który je spaja w ciąg przyczynowo-skutkowy. Chciała też sobie przypomnieć, czy był tu Leonardo. Czy maczał w tym palce.

Nie umie jednak wydobyć żadnego sensownego obrazu, wszystko jest takie niewyraźne, odrealnione, zagubione. To zresztą nieistotne, to nie ma znaczenia, myśli w końcu. Nie ma dziecka, zabrali je, odeszli.

Północny Londyn, jesień 2005

Być bezwarunkowo kochaną – tęskniłam do tego -stanu. Jeszcze pamiętałam to kojące poczucie bezpieczeństwa, akceptacji i pewności. Towarzyszyło mi od dzieciństwa przez wiele kolejnych, najlepszych w moim życiu lat.

Zawsze uważałam swoich rodziców za najcudowniejszych ludzi na ziemi. Matka co rano z uśmiechem rozczesywała moje nieznośnie kręcone włosy i z anielską cierpliwością wysłuchiwała mych dziecięcych uzalań. Była piękną kobietą, mądrą, serdeczną. I rozumiała mnie.

Ojciec, skory do żartowania optymista, podrzucał mnie tak wysoko pod sufit, że omal nie rozbijałam sobie przy tym głowy. Nauczył mnie posługiwać się młotkiem, zmieniać koło w samochodzie i grać na harmonijce. Cieszył się każdym moim sukcesem, każdym osiągnięciem. Czasem zabierał mnie, kilkulatkę, na spotkania biznesowe, żebym wiedziała, jak należy się zachować, a potem szliśmy na czekoladę albo lody dla zwieńczenia sukcesu. Kto miał takiego ojca? Uwielbiałam go za to i szczerze podziwiałam.

Wtedy jeszcze sądziłam, że tak już jest – rodzice zawsze kochają swoje dzieci, nigdy się nie rozwodzą i przenigdy nie krzywdzą. Szybko przekonałam się, że moje założenia są błędne – domy moich rówieśników rzadko emanowały spokojem i ciepłem, a jeszcze rzadziej miłością.

Ja byłam wyjątkiem, bo mój ojciec i moja matka stanowili połówki tego samego jabłka. Tego byłam pewna. Dlatego zawsze będą blisko siebie, a ja... no cóż, ja zawsze będę ich małą księżniczką, dziewczynką noszoną na rękach, którą kocha się za to, że jest.

Ale potem nastąpiło pęknięcie i wszystko zaczęło się zmieniać.

W naszym domu pojawiła się cisza. Zagarniała coraz większe obszary naszego wspólnego życia. Gdyby tylko ojciec i matka zauważyli spustoszenie, które cisza robiła, może jeszcze dałoby się wszystko naprawić. Ale oni coraz rzadziej patrzyli na siebie. Pierwotne pęknięcie, ta ledwie zauważalna rysa, każdego dnia przemieniało się w coraz bardziej niebezpieczną rozpadlinę. Nie było złych emocji, złości, żalu, ale nastąpiło coś znacznie groźniejszego: obcość. Niespodziewany, bolesny dystans.

Nie mogłam ich rozpoznać, tak bardzo się zmienili. Nadal wszyscy razem siadaliśmy do uświęconych zwyczajem wspólnych kolacji, śmialiśmy się z gagów w filmach i rozmawialiśmy na wiele różnych tematów, nie były to już jednak tak bez troskie chwile jak dotąd. Moi rodzice przestali się lubić. Drobne, w innej sytuacji nic nieznaczące nieporozumienia urastały do rangi tragedii. A ojciec i matka pozwalali, by piętrzyły się jak kurz w starej szafie, aż było za późno na

generalne porządki.

Ojciec coraz więcej czasu poświęcał pracy, rozwijając firmę i zyskując uznanie w gronie partnerów, ale tracąc je w oczach żony. Matka stała się przygnębiona i mało-mówna. Tęskniła pewnie za zainteresowaniem męża, za tym, by znowu poczuć się uwielbianą kobietą. Może chciała, by było tak jak dawniej, gdy dźwięk klucza w zam-ku, kiedy ojciec wracał do domu, wywoływał w niej cichą euforię.

Bywało, że nie odzywali się do siebie bez wyraźnej konieczności całymi tygodniami. Jeśli już to robili, to tylko po to, by poinformować drugą osobę o jakimś uchybieniu. To ja byłam ich łącznikiem. Może jeszcze szli obok siebie, ale na pewno już nie razem. Cokolwiek ich kiedyś łączyło – umarło. Limit czasowy, w trakcie którego powinni zawrócić z tej coraz bardziej wyboistej drogi, został przekroczony, nie było odwrotu.

Cienka jest granica pomiędzy sprzeczką z roztargnienia a kłótnią z nieodwracalnymi konsekwencjami, krucha i łatwa do przejścia. Czasem wystarczy po prostu tkwić przy tej granicy zbyt długo, zbyt długo pozostawać obojętnym, a efekt będzie taki, jakby się ją już przekroczyło.

Tak właśnie stało się z moimi rodzicami: zbyt długo byli obojętni wobec siebie.

Oczywiście nie chcieli, żeby ich porażka determinowała moje zachowanie, żeby wpływała na mój stosunek do świata, ale przecież wpływała, tak czy inaczej.

Przez długi czas uciekałam w cichy bunt przeciwko temu, co dzieje się w domu. Aż pewnego dnia padły słowa, które wryły się w moją pamięć.

– Gdyby nie ty, już dawno nie byłibyśmy razem – powiedziała mi z wyrzutem matka.

Ojciec nie zaprzeczył, nie wykonał żadnego gestu, który podważałby prawdziwość jej oskarżycielskich słów. Najwyraźniej w tej jednej kwestii byli zgodni.

Chyba właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że od jakiegoś już czasu nasze życie jest mistyfikacją. Rodzice trwali w związku dla zachowania pozorów, wyłącznie z powodu wspólnego dziecka – czyli mnie. To ja byłam przeszkodą. Zawadą.

Niemal z dnia na dzień moja rodzina przestała istnieć w takiej formie, do jakiej przywykłam. A odpowiedzialność za przywrócenie jej równowagi spoczywała właśnie na mnie, tak jak na mnie spoczywała odpowiedzialność za jej rozpad.

Zaraz potem zaczęli wprowadzać kolejne zmiany – osobne łóżka i pokoje, osobne samochody, różni, już niewspólni, znajomi.

Dalej mieszkali razem, ale nie było dnia bez awantury, nocy bez trzaskania drzwiami. Czasem miałam wrażenie, że celowo wchodzą sobie na odcisk

i poruszają drażliwe tematy, jakby wzajemne robienie sobie złości sprawiało im sadystyczną przyjemność. Nie mogłam tego znieść – upokorzenia, strachu, bezsilności.

Ojciec pojechał do Kanady sam, matka została ze mną w Londynie. Ich małżeństwo było czystą fikcją.

Miłość bez oczekiwań, miłość, którą otrzymuje się za darmo – wcześniej czułam, że jestem takim uczuciem obdarzana, po prostu je mam, i tyle. Ale tamtej wiosny to przekonanie zniknęło. To, co powinno trwać wiecznie, uleciało. Pamiętam, że wszystko wokół kwitło, budziło się do życia jak oszalałe, a ja marniałam. Każdego dnia coraz bardziej. Patrzyłam na rodziców i zastanawiałam się, jak doszli do punktu, w którym oboje nie mogą już na siebie bez odrazy patrzeć. Bałam się, że moje życie może być takie samo. Bałam się tego punktu krytycznego.

Szybko przestałam być dzieckiem. Coś we mnie się ukruszyło. Może ufność?

Marzyłam, żeby ktoś zalepił we mnie dziurę, przez którą wycieka entuzjizm, zachwyty, niewinność. A radość życia, co się z nią stało? Przestałam umieć się cieszyć. Potrzebowałam cudownego eliksiru, który uzdrowiłby moją duszę. Ponownie ją uskrzydlił.

Nie patrzyłam z ufnością w przyszłość, wręcz przeciwnie. Obawiałam się, że zrobię coś nie tak, że spotka mnie zasłużone odtrącenie – znowu. A przecież nie można wszystkiego zawsze robić dobrze, prawda?

A potem poznałam P.

To był wieczór na proszonej kolacji u znajomych. Krzesło obok mnie długo pozostawało puste. Wznosiliśmy toast za zdrowie uroczej jubilatki, kiedy ktoś stanął koło mnie. Ledwie omiotłam go wzrokiem, a już poczułam nagłą chęć, by wtulić się w jego ramiona. Zdarza się, a trwa to zwykle ułamki sekund, że czas zatrzymuje swój bieg. Po prostu stop-klatka. Odczuwasz to w swojej piersi, miłe, rozlewające się po sercu ciepło. Lecz nie chodzi tylko o serce, także o umysł. Bo umysł próbuje tę chwilę zrozumieć, znaleźć przyczynę nagłej błogości, powód, dla którego czas zatrzymał się tak nagle. Zanim jednak umysł zrozumie, a serce zaakceptuje, uczucie odchodzi. Oczywiście chcesz je zatrzymać, schwytać, utrwalić. Nic z tego, trudzisz się na darmo.

To zdarza się często w snach. Śnimy o czymś pięknym i gdy już, już wyciągamy rękę, by to piękno zatrzymać – ono się ulatnia, a my budzimy się z jakiegoś banalnego powodu, bo budzik zadzwonił albo sąsiad na górze przestawia

meble.

Dlaczego tak jest? Nie wiem. W ten sposób piękno nigdy się nie realizuje, choć zawsze jest w pobliżu, by nas uwodzić, mieć i obiecywać.

Tak właśnie poczułam się, gdy po raz pierwszy zobaczyłam P. Był ubrany w miękki, szary pulower, miał ciemne oczy i głodne spojrzenie. Mój Boże, chciałam się rozpląnąć, po prostu stać się jedną z nitek w jego miękkim swetrze, wtulić się i zapomnieć.

Oczywiście nie zrobiłam tego. Marzę o wielu rzeczach, ale rzadko jest okazja, by je uzyskać. To głupie, można marzyć o czymś całe życie i nic z tego nie mieć. To prawda, ale bywa i tak, że w końcu nadchodzi moment, kiedy wszystkie te nabrzmiałe od czekania marzenia zaczynają realizować się jedno po drugim, szybko i bez namysłu, jakby chciały nadrobić stracony czas. I stajemy się szczęśliwi. Dogłębnie i nieodwołalnie.

Usiedliśmy wreszcie za stołem. Dobrze było mieć P. tak blisko siebie, bez obawy, że zaraz zniknie – proszony obiad nie trwa trzech minut, można do woli ponapawać się czyjąc obecnością.

Podczas tej pierwszej rozmowy dowiedziałam się, że mój nowy znajomy studiuje medycynę, uwielbia krewetki (brał dokładki trzy razy), jeździ na rolnach i ma przemiły uśmiech, od którego ja osobiście dostaję gęsiej skórki. Nie wiem, jakie on wyciągnął wnioski z obserwacji, nigdy nie przyznał się, jakie zrobiłam na nim pierwsze wrażenie i o czym wtedy myślał. Zresztą to nie było istotne, najważniejsze, że chcieliśmy ponownie się spotkać.

Umówiliśmy się na spacer. Szliśmy brzegiem Tamizy, skręciliśmy w wąską uliczkę, a wiatr zaczął dmuchać nam w plecy. Kałuże na chodniku odbijały światło zapalających się latarni. P. miał na sobie ten sam miękki, szary sweter, a mnie dopadło dokładnie to uczucie, które odnotowałam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Nie mogłam się powstrzymać i wzięłam go za rękę.

– Tak jest łatwiej iść – usprawiedliwiłam się.

Uśmiechnął się tylko i nie przerywając rozmowy, przycisnął swoją dłoń do mojej, jakby chciał dać wyraz pełnej akceptacji.

Mijały kolejne tygodnie, a ja nawet nie przedstawiłam go swoim rodzicom. Nie chciałam wprowadzać go na to zachwaszczone pole wzajemnej niechęci, pielęgnowane od lat przez ojca i matkę. Wolałam uwić gniazdko z daleka od nich, tam gdzie miłość jest tylko i aż miłością, czystą i nieskażoną.

Chcieliśmy razem zamieszkać. To była konieczność. P. mieszkał ponad czterysta kilometrów od Londynu, odbywał staż, będący zwieńczeniem jego medycznych studiów. Jeszcze przez jakiś czas nie mógł stamtąd wyjechać. Ja tkwiłam w Londynie, zaczęłam pracować, ale moje zarobki były skromne. Nie stać mnie było na wzięcie kredytu, który starczyłby na zakup takiego lokum, jakie sobie wymarzyłam.

Nie spotykaliśmy się więc często, nie mogliśmy. Wiele razy miałam ochotę chwycić za telefon i poprosić P., by przyjechał teraz, natychmiast, by znalazł się przy mnie za ćwierć minuty. Nie dzwoniłam jednak, nie mogłam mu tego robić.

Czas mijał, a ja im więcej myślałam o naszej sytuacji, tym większy czułam lęk. Bo czy miłość może tak długo czekać?

Aż miesiąc temu spotkałam się z ojcem. Przyleciał specjalnie z Kanady na moje urodziny. Prezent, który od niego otrzymałam, był dość niecodzienny, ale mogę powiedzieć, że spadł mi z nieba.

Ojciec przekazał mi darowiznę – kawałek ziemi obsadzony starą winoroślą w portugalskim Douro¹. Nie sądziłam, że będzie tak szczodry, wcześniej nie zaproponował mi pomocy finansowej, choć było go na to stać. Zawsze taki był, wymagający. Chciał, żebym umiała sobie radzić w życiu sama, nie oglądała się na jego portfel. A ja od dawna pragnęłam się usamodzielnić, wyprowadzić, zacząć życie na własny rachunek. Odkąd byłam z P., ta potrzeba stała się nagląca.

Nieoczekiwany prezent mógł spełnić moje marzenie. Wystarczyło sprzedać ziemię, kupić mieszkanie i zamieszkać z P. Zniknęłabym wtedy z zasięgu wzroku rodziców, uwolniła ich od swojej obecności. Może wówczas przestałabym czuć się winna i moje kruche szczęście zdołałoby ponownie rozkwitnąć.

Ojciec postawił jeden warunek: W zamian za prezent miałam położyć świeże kwiaty na grobie Horacia.

Horacio?

Znałam to imię. Widniało na dedykacji w albumie z reprodukcjami dziewiętnastowiecznych fotografii, który znalazłam podczas jednego z moich nielicznych pobytów w Douro. Mój ojciec urodził się w tamtych stronach. Mieszkał w Porto, ale w Douro jego rodzina miała quintę i winnice. Spędziłam tutaj swoje wczesne dzieciństwo – do czasu, kiedy nagle wyjechaliśmy do Londynu. Miałam wtedy kilka lat.

Album zawierał z setkę starych zdjęć. Były tam fotografie ludzi o zniszczonych twarzach, ubranych w schodzone ubrania, z koszami wiklinowymi na głowach, z kubłami w spracowanych dłoniach, obok wołów ciągnących dwukołowy wóz, zdjęcia bezkresnych, winnicowych krajobrazów, wreszcie wystudiowane portrety miejscowej arystokracji zaaranżowane w miejskim atelier. Oglądając je, próbowałam wyobrazić sobie, jak żyli moi portugalscy przodkowie. Jak wyglądali, jakie przedmioty towarzyszyły ich codziennemu życiu, jakie widoki

za oknem. Miałam skąpe wyobrażenie o tym, jakie prowadzono tam niegdyś życie. Rodzice niechętnie opowiadali mi o przeszłości, nie chcieli przekazywać opowieści zasłyszanych w dzieciństwie, nie zachęcali do zgłębiania rodzinnych mitów i legend, a przecież takie musiały istnieć, jak w każdej rodzinie.

Dedykacja widniała na pierwszej stronie:

Nie ma przypadków, istnieje tylko cel, którego jeszcze nie rozumiemy. Dla Antóna – Horacio, A.D. 1979.

Antón to mój ojciec. W roku 1979 miał trzydzieści lat i mieszkał w Portugalii. Kim był Horacio, nie wiedziałam. Ktoś z rodziny? Nauczyciel? Przyjaciel z młodości? Ojciec nie raczył mi tego wyjaśnić.

– Dowiesz się na miejscu – oświadczył na koniec naszej rozmowy. Już wtedy założył, że spełnię jego prośbę.

Trzy tygodnie później spakowałam się w niewielką walizkę i poleciałam obejrzeć swoją własność.

1 Douro – najstarszy na świecie region winiarski objęty apelacją. Rozciąga się nad rzeką Douro. Ustanowił go markiz de Pombal w 1756 roku, ale wino produkowane jest tutaj od dwóch tysięcy lat. Z racji niezwykłego pejzażu, tradycyjnego charakteru winnic i bogatej historii w 2001 roku wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO (wszystkie przypisy autorki).

Quinta de São Francisco, Douro, późna jesień 2005

Ten krajobraz zdawał się nie mieć końca, wzgórza były ciasno oplecione łańcuchami krzewów winnych, przykryte nimi jak płaszczem, tarasy ciągnęły się kilometrami. Wiedziałam, że wystarczy przejść kilka kroków, aby kolejny zakręt albo pochyłość terenu odsłoniły dziesiątki nowych tarasów. Wyprostowałam nogi i oparłam je o kamienny murek oddzielający dom od najbliższych winorośli. Patrząc teraz na rozległe winnice, miałam wrażenie, jakby przez lata nic się nie zmieniło, jakbym nadal żyła z rodzicami w harmonii pośród portugalskich wzgórz.

Rzadko przyjeżdżałam do Douro, w innych regionach Portugalii też prawie nie bywałam. Może to dziwne, przecież tutaj się urodziłam i spędziłam pierwsze lata dzieciństwa. Moi rodzice jednak nie podtrzymywali rodzinnych więzi, nigdy też nie próbowali rozbudzać we mnie portugalskiego patriotyzmu. Był czas, że bardzo tego żałowałam.

Dom Winefordów wydawał mi się ogromny. Z niezliczoną ilością pokoi, korytarzy i schodów był jak labirynt Minotaura, do którego można, co prawda, łatwo wejść, ale wyjść już trudniej. Idealnie wtapiał się w zbocze góry, jakby stał tu od zarania dziejów, od czasu, w którym to wzgórze się wypiętrzyło. Wielość zakamarków w Quinta de São Francisco zawsze była dla mnie przytłaczająca. Kiedyś bałam się płataniny korytarzy obwieszonych starymi obrazami, tak łatwo było się pomylić, otworzyć drzwi do szafy zamiast do pokoju, trafić na schody prowadzące w dół zamiast w górę. Byłam dzieckiem telewizji i wielkiego ekranu, dziecięca wyobraźnia podsuwała mi koszmary, przed którymi nie umiałam się obronić.

Teraz w Quinta de São Francisco mieszkali już tylko Leonardo i babka Gabriela. Od mojej ostatniej wizyty bardzo posunęli się w latach. Wuj jakby się skurczył, a twarz babki pokryło tak wiele zmarszczek i starczych przebarwień, że można było jej się przestraszyć. Podobno kiedyś szczyciła się śnieżnobiałą, słowiańską cerą. Tutejsze słońce było jednak bezlitosne – po ponad pół wieku spędzonym pod portugalskim niebem moja babka była dość osobliwie upstrzona różnego rodzaju znamionami.

– Chyba nie sądzisz, że pozwolimy ci tkwić tak przez cały dzień? – usłyszałam głos Leonarda stojącego za mną. Narzucił mi na ramiona gruby pled z wełny alpaki i dodał: – Jest zimno, nie czujesz?

Zatopiona w myślach nie słyszałam nawoływań wuja. Jego głos uświadomił mi nagle, że jedynym przemijalnym elementem w tym winnicowym krajobrazie są ludzie.

– Leonardo... – zaczęłam i zaraz wypuściłam nabrane powietrze. Musiałam

pomyśleć, przypomnieć sobie, po co tu przyjechałam. Sprawa była delikatna jak porcelanowa filiżanka, dlatego odkąd przyjechałam, już od trzech dni, wyczekiwałam odpowiedniego momentu. Spodziewałam się oporu. W domu ułożyłam sobie strategię działania, ale teraz przeczuwałam, że będzie nieskuteczna – quinta rządziła się swoimi prawami, o których niewiele wiedziałam. Nie chciałam sprawiać wujowi przykrości swoją nowiną, ale bałam się, że babka znowu rozkręci się przy stole i przegada cały wieczór, nie dopuszczając mnie do głosu. Musiałam zacząć działać teraz, jakkolwiek trudne mi się to wydawało. – ...przyjechałam tutaj, żeby sprzedać swoją winnicę – wypaliłam.

Leonardo obrzucił mnie karcącym spojrzeniem.

– Och, Sophie, tak dawno cię tutaj nie widzieliśmy, porozmawiamy w środku, chodź.

– Słyszałaś, co powiedziałam? Chcę sprzedać winnicę, którą dostałam od ojca, po to tu przyjechałam. Potrzebuję pieniędzy.

– Tak, wiem. A teraz ty posłuchaj mnie. Twoi rodzice odwiedzili nas ostatni raz siedem lat temu. Nie sądzisz, że to dawno? Zapewne nie rozmawialiście o quincie od tego czasu, chociaż to tak samo ziemia rodowa twego ojca jak i moja. Uważacie, że to daleko, prawda? Choć wystarczą nieco ponad dwie godziny lotu z Londynu, żeby być na miejscu, ale nie, to nadal zbyt duża odległość, ciekawe, co powiedzieliby ci, którzy jak twój dziadek Thomas pokonywali tę trasę statkiem i bryczką, Sophie, nie wiesz tak wielu rzeczy, że aż się boję zapytać, czy wiesz, że...

– Leo, ty mówisz cały czas, podobnie jak babcia. Wy tak macie zawsze?

– Co ty pleciesz, kto tu najwięcej gada, zobacz, gdzie mieszkamy. Nie możesz zapukać do drzwi sąsiada naprzeciwko, do następnej quinty maszeruje się dwadzieścia pięć minut, a żeby pójść do sklepu, trzeba być zmotoryzowanym. Kiedy jest się w moim wieku...

– Dobrze, chodźmy już lepiej do środka – podniosłam się zrezygnowana.

Stół w salonie był już zastawiony. Mimo swego starokawalerstwa Leonardo potrafił dobrze gotować. Powiedziałabym, że był w tym mistrzem. Kiedy w dawnych czasach przyjeżdżaliśmy do Douro z rodzicami, Leo zawsze ugaszczał nas własnoręcznie przygotowanym obiadem. To było miłe. Kiedy on przyjeżdżał do Londynu, szliśmy po prostu do restauracji. Za każdym razem do innej. Moja matka nie miała cierpliwości do gotowania, o ojcu nie mówiąc.

Teraz na stole stała waza z zawieszistą *sopa de legumes*, tym bardziej aromatyczną, że składniki – ziemniaki, cebula, czosnek, pomidory i zielona fasola – pochodziły z uprawianego w quincie warzywnika, oliwa zaś z własnych drzew oliwnych. Z kuchni dochodził zapach drugiego dania, duszonej kaczki w sosie pomarańczowym. To były zapachy mojego dzieciństwa.

Widać było, że Leonardo włożył dużo pracy w przygotowanie wystawnej

kolacji. Przygotował ją specjalnie dla mnie. To prawda, dawno się nie widzieliśmy. Nie poznał mnie, kiedy wysiadłam z taksówki pod bramą posiadłości. Podobno myślał, że to *Tripeira*², jak nazywano mieszkańców Porto, albo kolejna zbłąkana turystka, która chce zaopatrzyć się w jego wino. A przecież wiedział, że przyjeżdżam.

– Ładnie tu mieszkanie – pochwaliłam, chcąc odwdziżyć się za gościnność.

– Tak, pięknie – mruknął Leonardo, popychając mnie lekko w stronę stołu.

Sądziłam, że wuj wyręczy mnie i powie babce, jaki jest cel mojej wizyty. Nie miał chyba jednak takiego zamiaru. Może chciał, żeby babka najpierw oswoiła się z moją obecnością. Wiedziłam, że oboje są bardzo przywiązani do ziemi i pomysł sprzedaży nawet skrawka posiadłości będzie dla nich trudny do zaakceptowania. Leonardo był jednak w pełni sił, a babka miała swoje lata. Wiadomość o planach sprzedaży mogła bardzo odbić się na jej zdrowiu.

Zgodnie z tradycją Gabriela siedziała u szczytu stołu, w fotelu równie wiekowym jak ona sama. Chociaż dom już dawno przestał tętnić życiem, babka nadal trzymała się twardych zasad regulujących poczynania domowników. Jedna z nich głosiła, że spóźnianie się na posiłki jest karygodnym występkiem.

– Siadaj, dziecko – ponagliła mnie. – Dawno nie byliśmy w komplecie. Będziesz w tym jeść? – Wskazała na pled, który ciągle okrywał moje ramiona.

– Ależ nie – odłożyłam go niechętnie. – Chociaż jest chłodno. Nie można ogrzać tego domu?

– Można. Ale łatwiej wieprzka przez rurę przepuścić – oświadczył Leonardo i zanurzył łyżkę w wazie z zupą na znak, że czas wreszcie zacząć posiłek.

Próbowałam zlokalizować na mapie teren zaznaczony jako mój. Było to trudne, ponieważ poza rzeką, która wiała się w dole, brakowało innych punktów orientacyjnych, a winnice nie były w żaden sposób ogrodzone ani oddzielone jedna od drugiej. Jadąc samochodem, można było dostrzec co jakiś czas tablice z nazwami poszczególnych producentów porto, ustawione dawno temu dla łatwiejszej orientacji w terenie, ale tutaj nawet te znaki były niewidoczne. Krajobraz w jakiś dziwny sposób się rozciągał, a jedno wzgórze zakrywało drugie i bez żadnego ostrzeżenia przechodziło w kolejne. Krążyłam bezowocnie po ścieżkach, próbując ustalić swoje położenie, ale w końcu straciłam cierpliwość, schowałam zmiętą mapę do kieszeni i postanowiłam po prostu iść w górę, licząc, że może tym sposobem odnajdę parcelę.

Kiedyś moi rodzice musieli często przemierzać te same ścieżki aż do dnia, w którym spakowali swoje rzeczy i wyjechali z kraju. Zrobili dokładnie to samo, co wcześniej babka, tyle że ona wybrała się na skraj Europy, a oni zaledwie, chociaż

może to nieodpowiednie słowo, do Londynu.

Ojciec przyjeżdżał do rodzinnego domu wiele razy, ale nigdy na dłużej. Nie byłam pewna, co rodziców tak zdecydowanie wyгнаło z Portugalii i dlaczego zrezygnowali z kontynuowania winiarskich tradycji rodziny. Nigdy mi tego nie wytłumaczyli.

Minęłam ostatnie drzewa migdałowe rosnące wzdłuż ścieżki. Dalej nie dało się iść. Ścieżka była zarośnięta ostrą trawą i chwastami, urywała się gdzieś po kilkunastu metrach, a krzewy winorośli wyglądały na zaniedbane i opuszczone. Wydawało się, że nikt nie przycinał ich od lat, gałęzie były rozrośnięte i powykręcane, jakby cierpiały na artretyzm. Próbowałam zrobić jeszcze kilka kroków, ale płatanina drutów i poprzewracanych palików oplecionych zielskiem skutecznie uniemożliwiała dalszy spacer. Zresztą dalej był już tylko kamienny mur, niewysoki, trochę wyszczerbiony, ale nadal solidny. Nieco rozczarowana niespodziewanym końcem wędrówki, zawróciłam w stronę domu.

Miałam trochę żalu do ojca o to, że nie przygotował Leonarda ani babki na wiadomość o nadchodzących zmianach. Dlaczego zrzucił to na moje barki? Nie miał odwagi sam im o nich powiedzieć? Mógł chociaż wspomnieć, co zamierzam zrobić z ziemią i jakie z jej sprzedażą wiąże nadzieje. Mieliby czas oswoić się z myślą, że posiadłość zostanie okrojona i że w ich bliskim sąsiedztwie pojawi się nowy właściciel. Ojciec i matka nie przywiązywali wagi do zmian, przywykli do nich. Od lat przenosili się z miejsca na miejsce, zmieniali otoczenie, mieszkania, znajomych. Najpierw mieszkaliśmy w Salamance, bo tam firma ojca otwierała nowy oddział, potem w Murcii, Kadyksie i kilku innych, mniejszych miastach Hiszpanii, Francji, a nawet Kanady, dokąd ojciec wyjechał teraz po raz drugi. Po wszystkich wyprawach zawsze wracaliśmy w końcu do Londynu. Ja też czułam się tam najlepiej, choć gdyby ktoś zapytał mnie, gdzie jest mój dom, nie umiałabym wskazać konkretnego miejsca. Wszędzie było mi w miarę dobrze, ale nigdzie wyjątkowo. Wszystkie te miasta, w których mieszkaliśmy, zlały się w jedno i pozostawiły w mojej pamięci ciężkostrawną papkę, z której wydobywałam trudne do umiejscowienia w czasie i przestrzeni szczegóły i która niestety nigdy nie dawała całościowego obrazu.

Zbyt często zmieniałam też szkoły i zbyt dużo poznawałam ludzi, żeby nawiązać stałe przyjaźnie. Innym dzieciom imponowałam wiedzą o świecie, ale to rzadko wystarczało, żeby kogoś na dłużej sobą zainteresować, a tym bardziej żeby utrzymać to zainteresowanie na odległość kilkuset, a czasami kilku tysięcy kilometrów. Zresztą po pewnym czasie celowo zaczęłam unikać bliższych kontaktów, żeby nie rozczarować się przy kolejnej przeprowadzce. Miałam w życiu tylko jedną prawdziwą przyjaciółkę, czarnowłosą Anę, z którą usiadłam w ławce w pierwszy dzień nauki w międzynarodowej szkole w Lyonie. Nie rozstawałyśmy się przez cały rok, powierzałyśmy sobie sekrety i dzieliłyśmy się każdym

pomysłem. Kiedy nadszedł czas wyjazdu z Francji, przywiązałam się do dębowej nogi stołu stojącego w salonie. Zostaję z Aną albo nie odwiążę się do skończenia świata!, oświadczyłam wtedy i trwałam na swoim stanowisku przez kilka godzin. Moja desperacja była tak silna, że rodzicom zabrakło kontrargumentów i cierpliwości. Wyszli z domu, usiedli na ławce w pobliskim parku i czekali, aż do nich dołączę, co oczywiście w końcu zrobiłam.

Kiedy dorosłam, przestałam towarzyszyć rodzicom w przeprowadzkach i muszę przyznać, że było mi z tym dobrze. Już wtedy się nie znosili, a kolejne zmiany miejsca zamieszkania pogarszały ich relacje. Wiele razy myślałam, że lepiej byłoby, gdyby zostawili mnie tutaj, w Portugalii, gdzie mogłabym spokojnie chodzić do jednej szkoły i gdzie nie wisiałaby nade mną groźba ciągłych pożegnań. Teraz jednak było za późno na podobne dywagacje. Choć może nawet chciałabym wyobrazić sobie, że to miejsce jest moim domem, niczego takiego nie mogłam poczuć. Winnice stanowiły dla mnie wartość wyłącznie finansową.

Wiedziałam, że babka i Leonardo będą oburzeni, kiedy zdadzą sobie sprawę z mojego stosunku do ziemi. Wydawali mi się tacy nierealni z tymi swoimi żelaznymi zasadami. Mój wewnętrzny głos mówił mi: oni niczego nie rozumieją. Kiedy przyjeżdżałam tu jako dziecko, obsypywali mnie prezentami i czytali portugalskie książki. Wszystko było wtedy bardziej naturalne i oczywiste. To się bardzo zmieniło.

Gdy zasapana dotarłam na podwórko, Leonardo zajęty był wyławianiem liści z małego, kamiennego basenu. W letnie dni, kiedy upał stawał się nieznośny, a słońce potrafiło wypalić dziurę w mózgu, schłodzenie ciała w wodzie musiało być prawdziwym dobrodziejstwem.

– Czy ja się w nim kąpałam? – próbowałam sobie przypomnieć.

– Oczywiście. Niejeden raz. Prawie skończyłem – powiedział, kiedy nachyliłam się nad wodą. – Gdzie byłaś?

– Krążyłam po winnicach. Doszłam do końca ścieżki wysadzonej migdałowcami, ale ona urwała się nagle w zaroślach. Potem był już tylko wyszczerbiony mur z kamieni.

Leonardo odwrócił się wyraźnie zaniepokojony.

– Mur? Masz na myśli szczyt zbocza, o tam? – zatoczył ręką koło w powietrzu.

– Chyba tak. Szłam pod górę, a potem skręcałam w stronę rzeki i jeszcze przeszłam trochę wyżej.

Spojrzał na mnie badawczo.

– To nieuprawiana ziemia. Nie chodź tam. Jeśli szukasz granicy swojej działki, pokażę ci z wysokości drogi, gdzie dokładnie leży. Nie ma potrzeby, abyś zapuszczała się w stare tarasy. Ścieżki są tam zarośnięte, paliki poprzewracane, to niebezpieczne.

– Co może być niebezpiecznego w chodzeniu po tych bezdrożach – zaśmiałam się. – Nie ma tu żywej duszy.

– Nie ma, ale można zajść dalej, niżby się chciało. Zaczekaj tam – wskazał na werandę, a sam ruszył w stronę domu.

W zadaszeniu chroniącym w lato przed słońcem, a w zimę pewnie przed wiatrem, stała długa, mosiężna ławka, której siedzisko wysłane było teraz grubym kocem. W kącie leżała kupka zgrabionych liści, niepostrzeżenie przetaczana dalej przez pojedyncze podmuchy wiatru. Można było siedzieć tutaj, nie będąc widzianym ani z okien domu, ani ze żwirowej drogi do niego prowadzącej. Szkoda, że nie odkryłam tego miejsca wcześniej.

Chwilę potem Leonardo wrócił z dwoma kubkami herbaty z suszonego, dzikiego rumianku, który żył z winoroślą w tak doskonałej symbiozie.

– Więc chcesz sprzedać winnicę – zaczął, wkładając mi w dłoń kubek.

– Tak – potwierdziłam. – Muszę to zrobić.

– Dlaczego teraz?

– Chcę kupić mieszkanie. To jest przemyślana decyzja i bardzo odpowiedni moment. Ceny mieszkań wciąż rosną, a ja nie mam wielkich oszczędności. Potrzebuję pieniędzy. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

– Chcesz sprzedać ziemię, żeby kupić mieszkanie. – Leonardo się zaśmiał. – Gdyby to było takie proste, jedną operacją załatwić drugą, zyskać coś, jednocześnie czegoś się pozbywając. – Zamilkł i wlepił wzrok w czubki swoich zapiaszczonych butów. – Powiem ci szczerze, to przygnębiające. Musisz zdawać sobie sprawę, że to, czego się teraz pozbędziesz, już nigdy nie wróci do rodziny. A przecież ziemia Winefordów jest już i tak okrojona. Może nie wiesz, ale matka po śmierci mojego ojca sprzedała najslabsze grunty, a pozostałą ziemię podzieliła. Winnic od tamtej pory mamy mniej, ale porto naszej produkcji z powodzeniem utrzymuje wypracowaną przez dwieście lat renomę.

– Ależ Leo, nie będę produkować porto. Zapomnij o tym.

– Wiem. Kiedy mnie już nie będzie, ty, ze swoim biz-nesowym podejściem i brakiem sentymentu do winnic, sprzedasz dom i resztę posiadłości, a wtedy Quinta de São Francisco przestanie istnieć. Kupi ją jakiś duży producent wina albo, co gorsza, międzynarodowa korporacja. Nie zostanie nawet śladu po naszej rodzinie. I po mnie samym też nie... tak będzie, wiesz? – przybrał zboląły wyraz twarzy. – Spędziłem tu prawie całe swoje dorosłe życie, znam każdy krzak winorośli, wiem, co mu szkodzi, a co go uzdrawia, co sprawia, że chce rodzić, a co go zabija. Potrafiłbym obejść winnicę z zawiązanymi oczami, opiekuję się nimi od niemal czterdziestu lat. Każdego ranka budzę się w tym samym łóżku i wyglądam przez to samo okno, a jednak każdy dzień niesie w sobie jakąś małą radość. Jak tego wszystkiego się pozbyć? Do niewielu rzeczy przywiązałem się w swym życiu, ale...

– I tak nie uprawiacie całej ziemi, winnice na końcu ścieżki są bezużyteczne – przerwałam ten smętny wywód. Leonardo zamierzał mnie chyba szantażować. Albo brać na litość. Już teraz czułam na sobie potępiające spojrzenia pokoleń przodków, a na barkach ciężar dwustuletniej historii. Ale to nie moja wina, że nie należałam już do tego miejsca.

– Są bezużyteczne celowo, takie właśnie mają być – oświadczył Leonardo i zaraz dodał: – Co innego pozostawić ziemię odłogiem, a co innego oddać ją w obce ręce. Ktoś będzie panoszył się pod naszym nosem... to naprawdę irytujący pomysł. W przeszłości trafiały nam się oferty kupna posiadłości. Niejeden chciał położyć łapę na tej ziemi, ale odsyłaliśmy wszystkich z kwitkiem. Matka nie zgadzała się na sprzedaż, kiedyś namolnego kupca potraktowała, wylewając kubek zimnej wody na jego garnitur.

– Leo, musisz wczuć się w moją sytuację.

– Najpierw ty posłuchaj mnie. Miałem kiedyś taki głupi moment w życiu, że chciałem pozbyć się winnic. Dałbym się pokroić, aby to było możliwe! Pragnąłem... czegoś innego. Ale byłem najstarszy, matka wyznaczyła mnie na opiekuna quinty. Wiele czasu zajęło mi zrozumienie, że powinienem być lojalny wobec tej ziemi. Nawet jeśli ta lojalność koliduje z moimi osobistymi celami.

– O czym ty mówisz?

– Eh... nie zrozumiesz tego. Chcę cię tylko poprosić, żebyś wszystko przemyślała. To twoja spuścizna, twoja przyszłość, to nie jest pierwszy lepszy kawałek ziemi.

– Ja już przemyślałam, nie mogę czekać.

– Może za jakiś czas mógłbym tę ziemię od ciebie odkupić.

– Leo, ale ja potrzebuję pieniędzy teraz.

– Chyba przeceniasz wartość tych winnic. Nie nabędziesz za nie apartamentu w londyńskim Chelsea.

– Ani w Kensington, wiem. Wystarczy mi zwykłe mieszkanie. Nawet jeśli z winnic pokryję tylko część kwoty, to i tak bardzo ułatwi mi sprawę.

– Tobie ułatwi, ale mnie utrudni – burknął i zmienił ton: – Kiedy zadzwoniłaś, że chcesz przyjechać, bardzo się ucieszyłem. Twoi rodzice żyją w innym świecie, zbyt rzadko tu przyjeżdżają. Pomyślałem, że może ty zechcesz to zmienić, że może tobie się tutaj spodoba i będziemy widywać cię częściej. Nie mamy wielkiej rodziny, a im człowiek starszy, tym bardziej tej rodziny łaknie. Kiedy byłaś taka mała – zatrzymał dłoń na wysokości pasa – brałem cię na kolana i opowiadałem bajki, tak bardzo lubiłaś słuchać. Chodziliśmy na długie spacery po ubitych drogach, jeździliśmy do Porto, abyś mogła się pobawić z innymi dziećmi. A potem widywałem cię coraz rzadziej. Teraz przyjechałaś, ale wcale ci się tu nie podoba. To, że spędziłaś tu wiele pięknych dni, nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. Myślisz tylko o sprzedaży. To smutne, Sophie.

– Leonardo, to nie tak... podoba mi się, nawet bardzo. Ale mam swoje życie i ono jest gdzie indziej. Potrzebuję domu i miejsca, które będzie tylko moje. Na stałe. Odkąd pamiętam, ciągle się przeprowadzałam, nawet nie wiesz, jakie to przygnębiające targać całe swoje życie w kilku kartonowych pudłach. Nigdzie nie udało mi się zadomowić, nigdzie nie czułam się dostatecznie u siebie, zawsze byłam „tą nową” w szkole, na osiedlu, w grupie. To minęło, ale ja nadal tak się czuję, trochę tak jak ślimak, któremu przyczepiono kiedyś raketę do nogi, ona dawno się wypaliła, ale on nadal leci. Dlatego chcę to zmienić, chcę się zatrzymać. A was będę odwiedzać, nawet kiedy sprzedam winnice, to nie ma związku. Widzisz, Leo, może są w życiu ważniejsze rzeczy niż posiadanie ziemi.

– Jakie?

Nie odpowiedziałam.

– Pomożesz mi? Znajdziemy razem agenta nieruchomości, który zajmie się sprzedażą?

– Agent? W Douro żadna sensowna transakcja nie przechodzi przez agenta.

– To jak mam sprzedać ziemię?

– Przez właściwych ludzi, za właściwą cenę i we właściwym czasie. –

Leonardo zapatrzył się w przestrzeń. – Naprawdę przypominasz mi mnie samego sprzed lat. Tylko że ty masz tę irracjonalną determinację. Spodziewaj się, że babka będzie bardzo nieszczęśliwa. Jej marzeniem jest, żeby kiedyś quinta znowu rozkwitła, żeby była pełna życia, śmiechu dzieci i ruchu w winiarni. Żeby znowu wszyscy mówili: Quinta de São Francisco to najlepsza z quint! Usłyszysz całą litanię wyrzutów.

– Wiem, jestem na to gotowa – potwierdziłam.

Jestem na to gotowa od tak dawna, pomyślałam, gdy wróciłam już do swojego pokoju. Chcę tego dla siebie, dla P., dla rodziców. Z ulgą padłam na łóżko i wtuliłam twarz w poduszkę.

Następnego ranka niebo rozjaśniło się i oblało Quinta de São Francisco ostrym słońcem. Wzgórza złagodniały pod naporem światła, a dziwne kształty, które w zapadającym wczoraj mroku wyglądały jak złowrogie postacie, teraz okazały się zwykłymi drzewami oliwnymi rosnącymi na zboczu góry.

Leonardo krzątał się od rana przy domu, wykonując czynności, które wydawały mi się niezrozumiałe. Ten człowiek nie potrafi usiedzieć w miejscu, myślałam, widząc, jak pomiędzy jedną a drugą rozmową telefoniczną przenosi skrzynkę z warzywami z patia do domu, potem wędruje z jakimś kubłem do winiarni, wraca z niej z wielkim kluczem francuskim i zaczyna majstrować przy zamku drzwi wejściowych. W międzyczasie dyskutuje z dwoma pracownikami i ustala grafik swojej winiarskiej wizyty w Setúbal.

Babka siedziała w tym czasie w rozjaśnionym porannym światłem salonie. Kiedy weszłam, właśnie podnosiła się z fotela.

– Dobrze cię widzieć – opadła z powrotem na siedzisko. – Jesteś już po śniadaniu, kochana?

– Jeszcze nie, niedawno wstałam.

– Długo sypiasz, czyste powietrze widać ci służy. Wszyscy u nas długo sypiają, wiesz? To dzięki ciszy i z braku miejskich świateł. Ach, cieszę się, że nie muszę już mieszkać w Oporto – westchnęła.

Przemilczałam tę uwagę. Tak naprawdę noc miałam fatalną. Nie mogłam zasnąć z powodu przejmującego chłodu, któremu nie zaradziły nawet dodatkowe warstwy koców zarzucone na kołdrę. A kiedy sen zaczął wreszcie przychodzić, usłyszałam skrzypienie drzwi i czyjeś kroki na korytarzu. Przysnęłam, ale obudziło mnie szarpnięcie klamki od drzwi mojego pokoju. Byłam zbyt zmęczona, żeby się ruszyć. Kiedy otworzyłam ponownie oczy, w drzwiach stała Gabriela. Patrzyła gdzieś przed siebie, lecz gdy się odezwałam, babka mruknęła coś w rodzaju „śpij, dziecko”, i pokuśtykała w głąb ciemnego korytarza.

– Babciu, byłaś u mnie w nocy w pokoju?

– Ja? A co ja miałabym u ciebie robić w pokoju? – wyglądała na zdziwioną.

– Ktoś otworzył drzwi i wydawało mi się, że to byłaś ty.

– Dziecko, ja w nocy śpię, a nie lunatykuję.

– W tym domu straszy, nie przejmuj się – wtrącił Leonardo, który właśnie pojawił się na progu. Spojrzałam na niego zdziwiona, ale tylko łypnął okiem i kierując się w stronę kuchni, oświadczył:

– Robię przerwę na *pingo*³ – mam nadzieję, że będą chętni.

Babka wróciła do wątku.

– Twój świętej pamięci dziadek był nocnym markiem. Godzinami słuchał radia i czytał gazety, dopóki całkiem nie oślepił. Nigdy nie pozbył się nawyku późnego chodzenia spać, to było bardzo niezdrowe. Jest jakiś przeciąg – pociągnęła nosem i rozejrzała się. – Leonardo zostawił otwarte okno, proszę cię, zamknij je.

– Gotowe. – Leonardo postawił na stole trzy małe filiżanki. – Sophie, na drugi raz odwróć się na drugi bok i śpij. Duchy cię nie zjedzą.

– Przestań żartować, synu – zganiała go Gabriela. – Umęczone dusze nigdy nie zaznają spokoju, jeśli będziemy je ignorować, to prawda stara jak świat.

– O czym wy mówicie? – Poczulałam się nieswojo.

– Babka ma na myśli dusze żeglarzy, którzy pływali łodziami *rabelos*⁴ i utonęli w nurcie Douro. Uparcie twierdzi, że nadal gdzieś tutaj krążą.

– To oczywiste – potwierdziła babka. – Ja widzę więcej. Jak myślisz, Sophie, dlaczego w pobliżu rzeki stoi tyle kapliczek? A wcześniej było ich jeszcze więcej. Postawiono je, żeby Najświętsza Panienka strzegła żeglujących przed niebezpieczeństwami rzeki. Dokładnie na wysokości naszej quinty jest taka *chapel*,

jedna z piękniejszych, w której ja sama stawiałam świece, żeby ogień nigdy nie zgasł. Ale i tak wiele *rabelos* się rozbiło. Chociażby takiego Cosmy, młodziana, który założył się, że dowiezie do Vila Nova de Gaia swoją małą łodzią pięćdziesiąt beczek wina.

– Cosme to nazywała się jego łódź, mamó, on nazywał się Oliveira, Manoel de Oliveira.

– Mniejsza z tym. W każdym razie to było istne szaleństwo brać tyle beczek. Oczywiście ginęli też rozsądni i doświadczeni żeglarze, bo rzeka nie liczyła się z nikim.

– Na pewno słyszałaś o Forresterze – wtrącił Leonardo. – Szkockim kartografie, który jako pierwszy wyrysował mapy tutejszego regionu. Baron Forrester też utonął. Płynął z kilkoma damami, ale łódź się wywróciła. Mówi się, że Forrestera pociągnął na dno złoty pas, a dokładniej sakwy z pieniędzmi, które miał przytwierdzone do pasa. To akurat wcale nie musi być prawda, bo Douro jest wystarczająco zdradliwa, żeby zabrać nieszczęśnika i bez dodatkowego obciążenia. Zresztą zatonął też drugi mężczyzna – kucharz Antónii Ferreiry⁵. Ona sama i jej towarzyszką uratowały się dzięki swoim szykownym krynolinom, które wyparły je na powierzchnię.

– Forrester i Dona Antónia to zupełnie inna historia – zniecierpliwiła się babka. – Mam na myśli prostych ludzi, o których nikt już nie pamięta. Jak pobędziesz tutaj dłużej, to zobaczysz, o czym mówię – zwróciła się do mnie.

– Ja jestem tu dość długo i niczego nie zauważyłem – stwierdził kąśliwie Leonardo.

– Tobie słoń nadepnął na ucho i oczy masz nie najlepsze. Dusze tych chłopców, tak jak i anioły, żyją wśród nas. Czasem widzę tych biedaków, nie odejdą, bo nie dopełnili swoich obowiązków na ziemi. A ty, synu, mógłbyś wreszcie zacząć traktować poważnie to, co mówię. Sądzisz, że umieramy, gdy umiera nasze ciało, ale przekonasz się niedługo, że tkwisz w błędzie.

– Mam nadzieję, że to nie będzie takie znowu niedługo – bąknął Leonardo. – No to już wiesz, Sophie, kogo widziałaś w nocy: ducha. – Dopił ostatni łyk kawy i uważając rozmowę za zakończoną, zatarł ręce. – Czas wrócić do pracy.

Zostałam z babką sama. Zastanawiałam się, czy ona naprawdę wierzy w to, co mówi. Zawsze była kobietą silną i mądrą, choć niepozbawioną fantazji. O ile wiem, wcześniej opuściła rodzinny dom, przepłynęła dwa razy Atlantyk, pochowała dwóch mężów i zarządzała jedną z najbardziej prężnych quint w całym regionie. Bez względu na to, jak wiele przeszkód napotykała w swoim marszu ku doskonałości, nie pozwalała sobie na chwile zwątpienia. Podejrzewam, że miała duże ambicje. Może czuła, że musi udowodnić swoją wartość podwójnie – nie tylko jako żona angielskiego plantatora, ale też jako jedyna w całym regionie Słowianka. Pewnie opuszczając Polskę, nie sądziła, że właśnie tak potoczy się jej

życie. Że jej wymarzona Ameryka nie będzie miejscem, w którym osiadzie na stałe, że tak szybko pozna mężczyznę, za którego zapragnie wyjść za mąż, i że spędzi całe życie w Douro, doglądając hektarów winnic.

Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, że zawsze była zasadnicza. Nie podkarmiła mnie cukierkami, jak to zwykły robić inne babcie, nie nosiła na rękach, nie rozpieszczała. Dbała raczej o to, bym chodziła wyprostowana, nos wycierała tylko w chusteczkę i ubierała się stosownie do swojego wieku, to znaczy w infantylne sukienki z koronkami, podczas gdy ja dawno już byłam na etapie spranych dżinsów i wyblakłych podkoszulków. Jej sposób bycia onieśmiał mnie i zniechęcał do nawiązania bliższych kontaktów. Była zbyt dystygowana, by się do niej zbliżyć, ale jednocześnie zbyt fascynująca, by ją zignorować.

Spojrzałam na nią badawczo. Piła kawę ostrożnie, powoli podnosząc filiżankę, jakby bała się, że porcelana wyslizgnie się jej z rąk. W ruchach mojej babki było nadal wiele elegancji, ale niekoniecznie delikatności. Była zdecydowana, zawsze świadoma tego, czego chce. Nie miała jednak w sobie nic z grubiaństwa. Tak naprawdę było w niej tyle sprzeczności, że nie wiedziałam, czy powinnam o niej myśleć jako o kobiecie twardo stąpającej po ziemi, której zdarza się wierzyć w duchy, czy też jako o kobiecie kierującej się zabobonami, którą życie zmusiło do tego, by twardo stąpała po ziemi.

W każdym razie zdałam sobie sprawę, że przekonanie Gabrieli do czegokolwiek będzie bardzo trudnym zadaniem. Były to jednak moje winnice i miałam prawo je sprzedać, bez względu na to, co myśli o tym moja babka.

Gabriela nie sądziła, że nastąpi to właśnie wtedy, kiedy nad Douro będą się przetaczały pierwsze tej jesieni złowrogie cumulusy. A może to właśnie pogoda zmusiła ją, by powróciła pamięcią do przeszłości i stanęła z nią twarzą w twarz? W każdym razie kiedy obudziła się w swoim godnym króla łożu i kiedy z uwagą wsuwała zziębnięte stopy w ustawione przy łóżku kapcie, poczuła nagłą chęć, by spotkać się z Horaciem. Nie robiła tego od tak dawna. Powrót do tamtej ponurej przeszłości był dla niej zbyt trudnym przeżyciem. Chociaż szczerze mówiąc, im bardziej od przeszłości uciekała, tym natrętniej ona do niej chciała powrócić. Starła się więc o niej nie myśleć wcale.

Przez lata Gabriela bała się, że jeśli spotka się z Horaciem, to wydarzy się coś bardzo złego. Miała złe przeczucia. Miewała koszmary. Horacio rozmawiał z nią o swojej pracy albo oczekujących go podróżach, patrzył jej w oczy, a potem wychodził z quinty i znikał w kurzu spalonej słońcem drogi. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Za każdym jednak razem, gdy myślała o spotkaniu z Horaciem, odczuwała lęk. A lęk był złym doradcą – paraliżował.

Dopiła ostatni łyk kawy. Wiedziała, że nadszedł moment, by wydobyć

z pudierka ukrytego w toalecie żeliwny klucz i otworzyć zamek w niebieskich drzwiach. A potem niech się dzieje, co ma się dziać.

Leonardo zakwaterował mnie w pokoju należącym kiedyś do mojego ojca. Z okien sypialni widać było winnice leżące po drugiej stronie doliny. Teraz stało się dla mnie jasne, dlaczego wuj uważał, że nie są dobre do produkcji porto – podczas gdy południowe tarasy Quinta de São Francisco jeszcze złociły się w słońcu, tamte już dawno okryły głęboki cień.

Zarzuciłam na siebie polar i wyszłam na patio. Wciągnęłam w płuca wilgotne powietrze i ruszyłam udeptaną ścieżką w górę tarasów. Otaczała mnie porażająca cisza, tak głęboka, że przystanęłam, by upewnić się, że największy hałas robią moje kroki. Korciło mnie, żeby pójść jeszcze raz tą samą ścieżką co ostatnio, prowadzącą do starych winnic, tam gdzie Leo tak kategorycznie zabronił mi chodzić. Byłam prawie pewna, że to właśnie moje winnice są tak zaniedbane.

Niestety, w połowie drogi szczęk żelaznego narzędzia rozproszył ciszę. Kilkadziesiąt metrów wyżej wuj ścinał resztki czerwonych o tej porze roku liści winorośli, pochylony nad rzędem krzaków pracował bez wytchnienia. Trzymał w dłoniach okazałych rozmiarów sekator.

– Wygląda jak dziób drapieżnego ptaka – zagadnęłam go, gdy wspierałam się na jego wysokość.

– Masz na myśli to ustrojstwo? Zawsze miałaś bujną wyobraźnię, Sophie. Zupełnie jak twój ojciec. Dogadujecie się chyba, co?

– Dogadujemy, zwłaszcza odkąd ojciec wyjechał. – Uśmiechnęłam się z przekąsem.

– Prawda, zapomniałem. Ciągle nie mogę przywyknąć do tych waszych przeprowadzek. Jak on może tak żyć?

– Ojciec jest nomadą, wiesz o tym. Poza tym taką ma pracę, ciągle gdzieś się przenosi. Ale nie martw się, w Kanadzie dostał kontrakt tylko na rok.

– To dobrze, nie powinniście żyć tak daleko od siebie.

– Mnie to pasuje. Jestem dorosła.

– Jesteś. – Otarł pot z czoła i wyprostował plecy. – Muszę chwilę odpocząć. Mam coraz mniej sił.

– Czemu więc tak ciężko pracujesz? Nie musisz tego robić, masz przecież od tego robotników.

– Poprawiam po ludziach, nie każdy jest dokładny, poza tym lubię to robić. Wiesz, człowiek musi pracować, żeby śmierć nie zastała go siedzącym.

– Naprawdę tak uważasz?

– Jasne. Poza tym winorośl jest jak ludzie, potrzebuje słońca, wody i opieki. Od dziecka interesowały mnie winogrona, kiedy tylko mogłem, biegłem do

winiarni, by patrzeć, jak oddzielają dobre owoce od zepsutych. To taka mrówcza robota, po godzinie dostajesz oczopląsu, ale mnie się podobało, że byłem dopuszczony do zajęć dorosłych, że robiłem coś ważnego. Matka złościła się, bo zamiast jeździć konno, znikalem gdzieś na długie godziny... ale tak naprawdę wszystko, co robiłem w życiu, miało związek z winnicami, z pracą w winiarni, z porto, z dbaniem o interesy quinty, więc gdyby ktoś mi to odebrał...

– Leonardo, ile ty właściwie masz lat? – Objęłam go wzrokiem. Był starszy od mojego ojca. Trochę od niego niższy i tęższy. Dzięki pracy w quincie pewnie też silniejszy. Jego dłonie były szerokie, a uścisk niedźwiedzi, o czym przekonałam się przy powitaniu kilka dni temu, kiedy omal nie zgruchotał mi żeber. Chociaż narzekał na zmęczenie, jego spojrzenie było jasne, a z oczu były zdrowie i witalność.

– Niech policzę, osiemnaście, dziewiętnaście... – zaśmiał się. – Dokładnie pięćdziesiąt siedem i pół. Choć tak naprawdę jestem o trzy tygodnie starszy niż w akcie urodzenia. Rodzice mieli trzydzieści dni na zarejestrowanie mnie w urzędzie, ale nie zdążyli tego zrobić. Kiedyś czas biegł inaczej – dodał. – Żeby uniknąć płacenia grzywny, opóźnili więc moje przyjście na świat.

– Więc jesteś o rok i trzy miesiące starszy od mojego ojca. Myślałam, że więcej.

– Twój ojciec niby taki młodziak? – Znowu się zaśmiał. – Swoje też przeszedł. Ja byłem starszy i zawsze go wykiwałem. Eh, tak naprawdę byliśmy zgraną paczką braci.

– Paczką braci?

Leonardo chrząknął.

– Byliśmy braćmi i kolegami jednocześnie. Nie było ani w Porto, ani tu w okolicy zbyt wiele dzieci w naszym wieku, więc przyjaźniliśmy się ze sobą, trzymaliśmy sztamę, jak to się mówi. Chodź, coś ci pokażę.

Wziął mnie pod łokieć i poprowadził w jedną z bocznych ścieżek. Szliśmy dłuższy czas, dopóki nie zatrzymał się przy granitowym obelisku wkopanym głęboko w ziemię. Pomyślałam, że już kiedyś go widziałam, schyliłam się i odczytałam ledwie widoczny napis wyryty na jego powierzchni:

– *Feitoria*. Słup *Feitoria*. To chciałeś mi pokazać? – Nie kryłam zdziwienia.

– Tak. To jeden z trzystu trzydziestu pięciu słupów rozsianych po dolinie, które zostały wbite w ziemię ponad dwieście sześćdziesiąt lat temu, kiedy markiz Pombal zakreślił linię demarkacyjną i oddzielił winnice, z których można produkować porto, od tych, które nie mają królewskiego glejtu. Ta quinta szczęśliwie znalazła się w grupie uprzywilejowanych. Wiesz, po co to zrobił?

– Leo... – poczułam się urażona. – Dla zagwarantowania jakości porto. Bo niektórzy dorzucali winogrona spoza regionu albo dolewali do wina soku z bzu, rozcieńczali...

– Tak powie każdy portugalski producent porto. Ang-lik doda, że Pombal miał w tym swój własny interes, przecież zaczął pobierać od wina podatki. Tak czy inaczej, wbicie tych słupów było jednym z pierwszych zadań, jakie wykonała założona wtedy przez Pombala Companhia⁶. Ten stary drań był nowatorski i chciwy zarazem. Nowatorski, bo ten region był jednym z pierwszych regionów demarkacyjnych na świecie, a chciwy chociażby dlatego, że sam posiadał winnicę pod Lizboną, która wypuszczała na rynek butelki porto, mimo że owoce nie pochodziły z chronionego Douro. Markiz chciał, żeby złote monety nie wpadały do sakiewek obcych spedytorów, tylko do królewskiej kasy, niby na potrzeby zburzonej przez trzęsienie ziemi Lizbony⁷.

– Pewnie to nie wszystkim się podobało? – przerwałam mu. Wuj potrafił gładko przechodzić z jednego wątku w drugi, z jednej dygresji w kolejną, nie łapiąc przy tym nawet oddechu. To potrafiło znużyć nawet najwytrwalszych słuchaczy.

– Oczywiście, że nie. Zrobił się prawdziwy kocioł, wybuchły zamieszki nazwane potem pijackimi. Niektórzy twierdzą, że biorący w nich udział byli opłaceni przez Anglików. W każdym razie Pombal wysłał wtedy na ulice trzy tysiące swoich żołnierzy i stłumił bunt⁸.

– Jesteś chodzącą encyklopedią – skrzywiłam się.

– Jestem producentem porto – odparował.

Akurat tę historię znałam. Wśród skazanych na egzekucję był Afonso Piedare, brat Jacó, dawnego właściciela posiadłości, w której skład wchodziła Quinta de São Francisco. Majątki braci leżały obok siebie, a oddzielała je jedynie droga, ale quinta Afonsa została pominięta przy wyznaczaniu regionu demarkacyjnego, a quinta Jacó do niego włączona. Afonso przyłączył się do buntowników i zapłacił za to życiem. Jacó zaś, przeklinając dzień, w którym poradził bratu zakupienie sąsiedniej quinty, sprzedał swój dom, winnicę i zasoby wina i wyprowadził się z Porto pod Lizbonę. Tym, który kupił od niego dom i część parceli, był mój przodek, John Wineford.

– Sądne czasy porządków Pombalowych na szczęście już przeminęły. – Uśmiechnęłam się.

– To prawda. Od tamtej pory bywały lepsze i gorsze czasy dla *port wine*, ale w sumie ma się ono nieźle.

– Leo, pomożesz mi znaleźć kupca na moją ziemię? Miałam nadzieję, że będziesz moim sprzymierzeńcem.

– Namysłam się jeszcze.

– Proszę, bez twojej pomocy nic nie zdziałam. Nie mam pojęcia, jak te sprawy załatwia się w Portugalii, nie mam pojęcia, od czego zacząć, gdzie szukać nabywcy, kogo pytać.

– Naprawdę potrzebujesz tych pieniędzy na mieszkanie?

– Oczywiście – stanęłam obok niego. Dlaczego miał wątpliwości, że

potrzebuję ich właśnie na taki cel? – Usamodzielnienie się to chyba najlepszy powód z możliwych, prawda? – Spojrzałam mu prosto w oczy, ale uciekł wzrokiem.

Wolałby zostać postawiony przed plutonem egzekucyjnym, niż podejmować tego rodzaju decyzję. Miał pomóc bratanicy sprzedać winnice? Zgodzić się na transakcję, nie mówiąc jej, jakiego rodzaju spuścizny się pozbywa? Jednym słowem, miał nadal milczeć? To wszystko mogło skutkować nieobliczalnymi konsekwencjami. Dlaczego właśnie on otrzymał rolę cerbera? Antón chce pozbyć się winnic, umywa ręce, przysyła tu Sophie samą... Leonardo zacisnął zęby. Mój brat zawsze był tchórzem, zawsze trzymał się z daleka od naszych spraw, jakby właśnie jego to wszystko najmniej dotyczyło!

Kiedy tylko słońce wysunęło się zza horyzontu, a mieszkańcy quinty jeszcze spali, Leonardo wziął termos z kawą, nożyce do trawy oraz brezentowy worek i ruszył na wzgórze. Minał pierwszy zakręt i drugi. Nie marnotrawiąc energii na pokonywanie całej drogi, wspiał się ostrym skrótem niemal na szczyt wzniesienia i skierował swój zwrok ku południu – dokładnie tam, gdzie tak niedawno doszła Sophie. Ścieżka, którą wybrał, zrobiła się mniej wygodna, coraz więcej ostrej trawy porastało ziemię, a kiedy szczególnie duży chwast zagroził mu drogę, wyciągnął nożyce i utorował ją sobie, przycinając zielsko.

Przystanął na chwilę dla złapania oddechu.

Winnica, którą dostała Sophie, zarosła i zdziczała. To ja pozwoliłem na to, pomyślał. Przyzwyczaiałem się do widoku zdziczałych winorośli i lubię patrzeć, jak przyroda na powrót bierze w swoje panowanie to, co niegdyś człowiek z takim uporem ujarzmił. A teraz Sophie będzie chciała to sprzedać. Nawet gdybym nie miał nic przeciwko temu, to kto kupi taki ugór? Taki nieużytek?

Poprawił worek na ramieniu i ruszył dalej, co jakiś czas potykając się o kamienie, które wysunęły się z ogrodzenia i zgodnie z siłą ciężkości sturlały na leżącą niżej ścieżkę. Podnosił paliki, które zbutwiały leżały na szlaku, przyglądał się splątanym drutom, które niegdyś robotnicy rozciągnęli wzdłuż rzędów winorośli, a które wyglądały teraz jak oblepione ziemią korzenie. Patrzył na pęczki zmarniałych dzikich ziół, zagłuszonych przez chwasty. Nie oglądał się za siebie, by nie widzieć, jak niewielki odcinek pokonał i jak wiele drogi jeszcze mu pozostało. Kolejna stromizna odebrała mu siły. Przysiadł na brezentowym worku i wyjął termos. Cisza poranka, widok bezkresnych winnic i świeżo zaparzona kawa sprawiły, że na kilka ulotnych minut poczuł się szczęśliwy.

Jednak z silniejszym powiewem wiatru, który wprawił w ruch gałęzie winorośli, to błogie uczucie uleciało. Z tęsknotą, ale i przestrawieniem Leonardo spojrzał na winnice Sophie ciągnące się dalej, na północy. Dostrzegł granicę

wydzieloną przez mur. Zbudował go z matką dwadzieścia trzy lata, osiem miesięcy i dwanaście dni temu. Teraz mur zarastały krzewy, tu powykrzywiane i zaniedbane, po drugiej stronie zasadzone w równych rzędach i wypielęgnowane.

Przez plecy Leonarda przebiegł zimny dreszcz, a mięśnie w naturalnym odruchu napięły się, gotowe do ucieczki. Jakby ktoś położył zimną dłoń na jego ramieniu i zapytał: Pamiętasz, Leonardo? Pamiętasz?

Po korytarzu wyraźnie ktoś chodził. Otworzyłam oczy i nasłuchiwałam, spodziewając się, że ten ktoś zaraz pojawi się w drzwiach pokoju. Spędziłam tak kilkadziesiąt sekund, podczas których odgłosy kroków słabły, to znów się nasilały. Wreszcie szelesty i stukanie obcasów całkiem umilkły. Spojrzałam na zegarek i jęknęłam, była czwarta piętnaście. Już raz babka wystraszyła mnie w ten sam sposób, kiedy w środku nocy zjawiała się w pokoju, a następnego ranka twierdziła, że ani na chwilę nie opuszczała swojej sypialni. Widocznie tej nocy historia miała się powtórzyć.

Z irytacją skopałam z siebie pled. Wczoraj długo przekręcałam się z boku na bok, a kiedy wreszcie sen przyszedł, okazał się męczący i przeplatany trudnymi do zrozumienia koszmarami. Spałam może ze trzy godziny. Ziewnęłam i podeszłam do okna, by otworzyć je szerzej. Niebo zasnutę było jakąś dziwną, mleczną powłoką, gwiazdy dawno zniknęły, księżyc prześwitujący przez chmury wyglądał jak nadgryziona bułka. Potarłam zaciśniętymi dłońmi oczy, tak bardzo chciało mi się spać. Postanowiłam wrócić do łóżka, gdy nagle rozległo się chrobotanie w zamku. Cyprysy pod oknem zakołysały się pod nagłym podmuchem powietrza. Ktoś myszkował w bliskiej odległości od mojej sypialni, gdzieś na końcu korytarza. Co tam się znajdowało? Spizarnia? Jakiś salonik przeznaczony dla gości?

Mijały kolejne minuty, ale przez długi czas nic więcej się nie działo. Poczulałam znużenie i wróciłam do łóżka. Ułożyłam się wygodnie, kiedy rozległ się głośniejszy niż wcześniej stukot obcasów. Tym razem kroki były nerwowe, zdecydowane. Nie brzmiały jak stąpanie lunatyka, ale raczej kogoś, kto się czegoś wystraszył i porzucił wykonanie zaplanowanej misji. Podeszłam na palcach do drzwi. Od progu rozciągała się czarna czeluść korytarza, nie do końca jednak statyczna, bo na jej końcu przemykała chuda postać Gabrieli.

Najciszej, jak potrafiłam, postawiłam pierwszy krok, a potem ruszyłam śladem babki – przez salon i bibliotekę do kuchni, potem znowu korytarzem, omijając schody na antresolę, i dalej... prosto do sypialni babki. Gdy babka w niej zniknęła, przykleiłam się do ściany i patrzyłam, jak otwiera szufladę w toalecie z ozdobnym lustrem i wrzuca do niej kluczyk trzymany w dłoni. Brzdęknięt o metalowe puzderko i szuflada została zamknięta. Babka zdjęła tureckie klapki

z orientalnym wzorem, które przed chwilą tak stukały o ceglana podłogę w korytarzu, i położyła się do łóżka. Dalsze sterczenie pod jej drzwiami nie miało sensu, też zamierzałam wrócić do siebie. Cofnęłam się i wtedy moja stopa uderzyła w coś metalowego. Zagryzłam wargi. Tuż przy ścianie stało małe wiaderko, co, u diabła, tu robiło?

– Horacio?! – spytała babka zniecierpliwiona.

Horacio?, przylgnęłam mocniej do ściany.

Babka wymamrotała coś jeszcze pod nosem i odwróciła się na prawy bok, narzucając kołdrę niemal na sam czubek głowy. Odetchnęłam, ale nie śmiałam jeszcze się poruszyć. Spojrzałam na toaletkę. Babka zamykała szufladę z kluczykiem, a jednak... nawet z tej odległości widać było wyraźnie, że jest niedomknięta. Poczułam ciekawość. A może sprawdzić, co tak wygania babkę z łóżka w środku nocy i jaki ma to związek z Horaciem? Nie... to byłoby nie fair podkraść klucze, że też takie myśli mogą w ogóle pojawiać się w głowie... Z drugiej strony, skoro już tu jestem...

W ciszy rozległo się miarowe chrapanie, babka zasnęła. Jej profil z zarysem kanciastego nosa miarowo podnosił się w górę i w dół. Weszłam do pokoju i sięgnęłam po uchwyt szufladki. Przez chwilę wydawało mi się, że babka tylko udaje sen i zaraz nakryje mnie na przestępstwie, otworzyłam więc czym prędzej metalowe puzderko i wyjęłam klucz. Potem delikatnie zasunęłam szufladę. Wycofałam się z pokoju i starając się, by gołe stopy nie plaskały o podłogę, ruszyłam do drugiej części domu.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nie jestem na korytarzu sama. Czy teraz to babka mnie śledzi? W kilka chwil pokonałam dystans do swojego pokoju i zatrzymałam się na progu. W środku paliła się lampka. Nie zgasiłam jej? Zawróciłam na korytarz. Na jego końcu, tuż za komodą z marmurowym blatem, znajdowały się, tak jak podejrzewałam, drzwi. Niebieskie, ładne i zamknięte. Uśmiechnęłam się do siebie i wyciągnęłam dłoń: klucz. Włożyłam go do dziurki i przekręciłam. Obrócił się o kilka milimetrów i zatrzymał, spróbowałam przekręcić go mocniej, ale ani drgnął. Kiedy w ten sposób blokowały się drzwi w naszym londyńskim mieszkaniu, wystarczyło chwycić za klamkę i przyciągnąć ją do siebie, tak zawsze zwykłam robić. Drzwi ustawione w dobrej pozycji odblokowywały mechanizm. Powtórzyłam tę czynność tutaj. Czułam kropelki potu na czole, gdy chwyciłam klamkę, i potem, gdy przyciągałam drzwi do siebie. Gotowe, pomyślałam, włożyłam ponownie klucz, przekręciłam... w połowie drogi klucz napotkał opór. A niech to, zaklęłam, może w Portugalii zamki otwiera się w drugą stronę? Spróbowałam. Nic z tego, klucz w przeciwnym kierunku też przekręcał się o milimetry, po czym się zatrzymywał. Wyjęłam go i obejrzałam dokładnie, wyglądał jak zwyczajny klucz, z kilkoma wycięciami na końcu, gładki, wytarty od częstego używania.

Spróbowałam jeszcze raz i jeszcze, za każdym razem mocując się coraz bardziej i czując, jak moje zdenerwowanie zaczyna przechodzić w gniew. Szarpnęłam za klamkę, muszę je otworzyć!, gorączkowałam się, ale drzwi ani drgnęły. Wreszcie, przyznając się do porażki, obrzuciłam je nienawistnym spojrzeniem i zawróciłam do sypialni babki. Gabriela nadal spała snem niewinnego dziecka. Odłożyłam klucz do pudranka, dopiero teraz zauważając swoją pomyłkę. W pudełku leżały dwa klucze, bardzo do siebie podobne, a jednak inne. Jęknęłam. Nie było już czasu na kolejną próbę, za oknem zaczynało świtać.

Miałam wrażenie, że siedzę w metalowej puszcze, która zaraz zacznie staczać się w dół, prosto w odmęty rzeki. Nic takiego jednak się nie stało, odpaliłam silnik i nacisnęłam lekko pedał gazu, a koła starego dżipa posłusznie zachręściły na żwirze.

Leonardo siedział jak niepyszny obok mnie.

– Wizja sprzedaży ziemi wcale nie przypadła mi do gustu – powiedział mi wczoraj wieczorem. – Ale masz rację, to twoje winnice i nie mogę niczego ci zabronić. Pojedziemy więc do Quinta do Frade.

Skutkiem tej obietnicy siedział teraz na fotelu obok, w koszuli i eleganckiej marynarce, swój dyżurny sweter zostawił w szafie. Pachniał dobrą wodą toaletową. Zdziwiłam się, jak inaczej po tej przemianie wygląda. Zgodził się mi pomóc – to już było coś. Zawsze uważałam go za najbardziej godną zaufania osobę w rodzinie i najbardziej mi przychylną. Pamiętam, że ukrywał moje przewinienia, których nieraz dopuszczałam się podczas pobytów w Douro. Kiedyś odkręciłam kranik w beczce z winem. Na podłodze szybko rosła czerwonokrwista plama, a ja nie umiałam z powrotem zakręcić kurka. Leonardo znalazł mnie, kiedy w panice łąpałam wyciekające wino w znalezione naprędce wiadro. Nie pisnął o tym incydencie moim rodzicom, ani tym bardziej Gabrieli, nawet słowa. Kupił mnie tym sobie na zawsze.

Kiedy wyjechaliśmy za bramę, droga stała się kręta i stroma.

– Trudno się to prowadzi – powiedziałam, z trudem mieszcząc się w czasie zakrętu na swoim pasie.

– Wolalabyś lamborghini? – Leonardo spojrział w lusterko i przeczesał włosy palcami.

– Lamborghini? Jasne, to fajny sportowy wóz.

– Myślałem o ciągniku. Na gąsienicach. Stoi taki u mnie w garażu.

– Masz traktor Lamborghini? – Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Owszem. Świetnie sobie radzi na tych zboczach.

– Na pewno mówimy o tym samym Lamborghini?

– Nie, ty myślisz o Automobili Lamborghini, a ja Lamborghini Trattori. To

dwa różne przedsiębiorstwa i dwa różne pojazdy.

– Czyli wpuściłeś mnie w maliny, udało ci się. Tak czy inaczej, musisz mnie naprowadzić na właściwy adres.

– Spokojnie, dasz radę. – Leonardo ponownie przeciągnął palcami po włosach.

– Denerwujesz się, Leo?

– Co? Nie, chciałbym tylko zrobić dobre wrażenie. Jeśli masz zamiar znaleźć dobrego kupca, musisz pokazać się z jak najlepszej strony. Skręć tu – wskazał na strzałkę z nazwą miejscowości. – Potem do mostu i w prawo.

Droga zaczęła się zwężać, a po jej bokach pojawiły się pierwsze domy. Przecisnęliśmy się przez most i przecięliśmy skrzyżowanie. Ulica wyglądała na wymarłą, kilka samochodów stało wzdłuż chodnika, ale żaden nie jechał. Nie było widać też ludzi i chociaż minęliśmy dwie confeitarias⁹ i kilka sklepów, to tylko ledwie tłące się w nich światła były oznaką, że lokale te są czynne.

– Trochę tu strasznie. – Przypomniałam sobie, jak o tej porze dnia zwykła wyglądać londyńska ulica.

– Zimno jest, to nie pora na wietrzenie tyłka. Jeśli chcesz zobaczyć inne Douro, przyjeźdź do nas w lecie.

Hamulce dżipa zapiszczały i zatrzymaliśmy się przed wyblakłymi drzwiami dawnego urzędu miasta. Budynek wyglądał na opuszczony, obok straszyla tabliczka *vende se*¹⁰.

– Chodź, wezmę dokładniejsze mapy – powiedział Leonardo.

Kiedy weszliśmy do środka, wrażenie zapyziałości prysło jak bańka mydlana. W pomieszczeniu biurowym, obstawiona kryształami, siedziała nieco znudzona sekretarka.

– Jesteśmy umówieni z senhorem Álvarem João Sotto Monteiro – oświadczył Leonardo. Ponieważ nie zareagowała, powtórzył krócej: – Z senhorem Monteiro.

– Proszę czekać – odpowiedziała kobieta, nie obdarzając nas spojrzeniem.

Mijały kolejne minuty, słychać było tylko tykanie stylowego zegara zawieszzonego nad drzwiami. Nic się nie działo.

– Senhor Monteiro zapewne chciałby wiedzieć, że tu jesteśmy? – Leonardo nie dawał za wygraną.

Kobieta otaksowała go wzrokiem.

– Proszę czekać – powtórzyła jak wyrok.

– Długo mam czekać?

– Senhor zaraz przyjdzie. A państwo w zasadzie w jakiej sprawie? – ocknęła się.

– Jestem umówiony na jedenastą, wpadłem po kilka map, które miały być dla mnie na dzisiaj przygotowane.

- Ach, mapy – powtórzyła. – Mapy terenu, jak rozumiem?
- Tak, dokładnie mapy terenu, które senhor miał mi przekazać.
- Dzisiaj?
- Dzisiaj.
- Rozumiem – przytaknęła i dodała: – Proszę czekać.
- To ja się przejdę. – Z ulgą wyszłam na zewnątrz.

Właśnie zaczynał siąpić deszcz i nie pozostało nic innego, jak w oczekiwaniu na wuja skryć się w jednej z mijanych wcześniej confeitarii. Uchyliłam drzwi najbliższej z nich. Choć wydawało się, że kawiarnia Baptista jest pusta, w środku przy stoliku nakrytym pstrokatą ceratą siedziały dwie starsze kobiety. Były okutane w kilka warstw ubrań, z których jedne wystawały spod drugich i tworzyły barwny melanż. Kobiety wyglądały, jakby wyszły z domu specjalnie po to, by tutaj spotkać się przy filiżance kawy. W kawiarni panował półmrok i z tak nieliczną klientelą robiła ona wrażenie pogrążonej w nieprzystającym jej funkcjom marazmie.

– Co podać? – wyrwało mnie z zamyślenia pytanie kobiety, która wyłoniła się z zaplecza. Na ladzie pod szklanym kloszem leżały lekko zarumienione ciastka, a w gablocie obok nie pierwszej świeżości kanapki. Bez namysłu wybrałam chrupiącą *pastel de nata*¹¹ i zamówiłam czarną *cimbalino*¹².

Usiadłam przy stoliku i rozejrzałam się. Jediną ozdobą kawiarni były stare fotografie rozwieszane na ścianach. Pomyślałam, że może rozpoznam wśród nich jakieś zdjęcie z mojego albumu, ale nie, na kawiarnianych fotografiach utrwalone były wyłącznie wizerunki dzieci. Patrzyły przestraszonymi oczami w obiektyw, bosa i ubrudzone, wdzięczne, że ktoś choć przez chwilę skupił na nich uwagę.

Poczułam, że robię się bardzo zmęczona i senna, wzięłam łyk kawy, ale nie przyniosła mi orzeźwienia. Nocna eskapada pod niebieskie drzwi dawała teraz o sobie znać. Zapragnęłam zamknąć powieki, powstrzymałam się jednak w obawie, że naprawdę zasnę. Pomyślałam o Horaciu. Miałam położyć kwiaty na jego grobie... Jeśli myślałyśmy z babką o tym samym człowieku, to nie miał on prawa pojawić się w środku nocy w domu. Co nie zmienia faktu, że babka musiała go znać.

Dopiłam kawę i wyszłam na zewnątrz. Leonardo już siedział w samochodzie i zniecierpliwiony naciskał klakson.

– Wsiadaj – rzucił, kiedy pojawiłam się przy dziupie. – Wstąpimy tylko po pieczywo, São João da Pesqueira jest po drodze. Smakuje ci tutejsze pieczywo? Jedzenie się zmienia, wiesz, bezcukrowy dżem i masło bez tłuszczu, może jeszcze porto bez alkoholu! – Zaśmiał się. – Ale chleb z Pesqueira nadal smakuje jak chleb i trzyma świeżość przez tydzień. Wyobraź sobie, kiedyś w każdej wiosce był publiczny piec do wypieków. Każda rodzina miała ustalony dzień, w którym mogła z niego korzystać.

– Jesteśmy przecież umówieni, zdążymy zrobić kolejny postój?
– Sophie, jesteś w Portugalii, nie wypada być punktualnym. Zobacz, wjeżdżamy prawie na szczyt góry.

Wyjrzałam za okno. Faktycznie, droga wznosiła się coraz wyżej, dość szybko pozostawiając w dole białe zabudowania. Rzędy ogołoconych z liści winnych krzaków spinały jedne wzgórza z drugimi, pokonując wzniesienia, omijając zbyt duże stromizny i nieprzydatne urwiska.

– Wyobraź sobie, że kilka wieków temu winnice zakładano tylko wzdłuż głównego nurtu Douro. Zobacz, jak to się zmieniło, teraz uprawy zajmują wszystkie doliny rozciągnięte wzdłuż dopływów rzeki: Tua, Torto, Corgo, Ceira, Távora, Tedo...

Droga stała się płaska, ale tylko po to, by po kilku kolejnych metrach opaść w dół i zaraz za zakrętem wyjawić swój sekret: piaskowobiałe miasteczko.

– Zajmie mi to minutę. – Leonardo zahamował i zaczął rozglądać się za miejscem do parkowania. Znalazł je w zatoczce przy kamiennym kościele. Oparłam głowę o zagłówek. Czas biegł tu zdecydowanie inaczej, ale właśnie przestało mi to przeszkadzać.

Chwilę potem trzymałam w dłoniach ciepły jeszcze bochen chleba. Pachniał nieziemsko. Leonardo z miną „a nie mówiłem, że będziesz zadowolona?” zasiadł za kierownicą i ruszyliśmy dalej. Po kolejnych kilkunastu minutach byliśmy na miejscu. Wzniesając obłok kurzu, dżip podjechał pod stromiznę prowadzącą na dziedziniec Quinta do Frade. Nikt nie kręcił się w gospodarstwie, tylko gdzieś z obniżenia terenu za domem dochodziło nieśmiało gdakanie kur.

– Przedstawię cię Osvaldowi – oświadczył Leonardo.

– To twój znajomy?

– Tak. Też właściciel quinty i producent wina. Swego czasu sam dużo obracał ziemią, zrobił to w dobrym momencie, wzbogacił się okrutnie. Na pewno wie, co się teraz sprzedaje i kupuje w Douro, zwłaszcza że jest lepszym biznesmenem niż producentem wina. Bardzo go lubię, ale nawiasem mówiąc, niezbyt mi odpowiada jego sposób robienia interesów. Wiesz, on nie pochodzi stąd, nie ma tu korzeni. Pomoże ci jednak prędzej niż ja, bo ja nigdy nie sprzedawałem ziemi.

Pociągnął za klamkę potężnych, drewnianych drzwi i pchnął je do wewnątrz. Znaleźliśmy się w zaciemnionym pokoju. Wzrok Leonarda zatrzymał się na dziewczynie zajmującej miejsce przy stole. Zjawiskowo pięknej. Widziałam, że omiół wzrokiem jej niebotycznie długie oraz odsłonięte nogi i z trudem przełknął ślinę.

– Mamy spotkanie – wydukał onieśmielony.

– Dzień dobry. – Piękność uśmiechnęła się, odsłaniając swój kolejny atut w postaci lśniąco białych zębów. Powietrze zrobiło się gęste i mój wuj poluzował

kołnierzyk od koszuli.

– Proszę za mną, senhor wspominał o państwa wizycie. – Dziewczyna podniosła się z gracją z obrotowego fotela i kołysząc biodrami, ruszyła w stronę korytarza prowadzącego w głąb domu. Leonardo ruszył za nią, uwodzony wonią słodkich perfum, a ja posłusznie podreptałam za nim.

Na końcu korytarza pojawił się okrągły i łysy jak kolano mężczyzna w dobrze skrojonej marynarce.

– Leonardo, mój drogi! – Rozłożył szeroko ramiona. – Wchodźcie śmiało, miałem właśnie zamiar was szukać! – Wprowadził nas do przestronnego pokoju z fotelami i kanapą.

– Witaj, Osvaldo. – Leonardo objął gospodarza i klepnął go serdecznie po plecach. – Świetnie się trzymasz.

– Ha, łatwiej mnie przeskoczyć, niż obejść, prawda? – Mężczyzna pogładził się po wystającym brzuchu. – Moja Maria ma dar z niebios, jeśli chodzi o gotowanie, nie mogę oprzeć się szatańskim pokusom, na które mnie wystawia. Może wpadniecie kiedyś na *açorda de marisco*¹³? Nie wyjdziecie głodni, o nie – zapewnił.

– Moja kucharka zwykle to danie przypala, a matka nawet nie próbowała go przyrządzać – powiedział Leonardo. – Zresztą nie jadamy takich frykasów na co dzień.

– O mój drogi, to błąd, wielki błąd. W pewnym wieku człowiek nie robi już sobie złudzeń i albo zacznie wtedy korzystać z życia, albo umrze zgorzkniały, więc nie odmawiaj sobie przyjemności, jeśli cię na nie stać.

I jakby na dowód tego, co mówi, podszedł do stojącego nieopodal biurka i otworzył szufladę.

– Poczęstuj się cygarem – zachęcił. – Z Hondurasu, najlepsze.

– Stary drań z ciebie – wuj zaśmiał się i zaraz potem w pomieszczeniu zaczęły unosić się kłęby dymu wypuszczane z ust obu mężczyzn, ale tylko mnie zdawał się on przeszkadzać.

– Kto to jest? – Leonardo zrobił ruch głową w stronę drzwi.

– Chodzi ci o moją asystentkę? To Lurdes. Dotąd nie miałeś okazji jej poznać, prawda? – Osvaldo uśmiechnął się z satysfakcją. – Co was do mnie sprowadza?

– Właśnie. Chciałem przedstawić ci moją bratanicę – Leonardo mało taktownie wskazał na mnie. – Ma interes.

W kilku zdaniach wyłożyłam swoje zamiary. Ten mężczyzna budził we mnie nieuzasadnioną niechęć, ale nie dałam tego po sobie poznać, mógł okazać mi się przydatny.

– Ach tak – westchnął Osvaldo. – Niedobrze, niedobrze. Jest stagnacja, niewielu właścicieli sprzedaje ziemię i prawie nikt nie kupuje. Jeśli chcecie znać

moje zdanie, proponuję poczekać.

– Nie mogę czekać – powiedziałam stanowczo. – Niedługo wyjeżdżam i zanim to zrobię, muszę wystawić winnice na sprzedaż.

– Hmm... – Osvaldo zamyślił się i wypuścił kolejny kłębek cygarowego dymu. – Macie jakieś mapy geodezyjne?

– Mamy, tu jest wszystko zaznaczone. – Leonardo wyciągnął płachtę papieru złożoną na cztery.

– Popatrzmy... południowy stok?

– Nie inaczej – mruknął Leonardo. I pewnym głosem dodał: – To bardzo dobra ziemia. Doskonały teren, winorośl rośnie tam na potęgę.

– Jak wiesz, to, że rośnie na potęgę, nie musi być zaletą i na ogół nie jest. Poza tym – zawiesił głos – nie przesadzaj. W jakim stanie jest ta ziemia? Tarasy w rozsypce, a krzaki nieprzycinane od dwudziestu lat? Co tam masz? *Touriga franca*? *Touriga nacional*? Nic oryginalniejszego? Jeśli pamiętam, dostęp z drogi też nie jest łatwy. Trzeba by dużo włożyć, żeby ten teren do czegoś się nadawał.

– Jak coś się kupuje, to zawsze najpierw trzeba trochę włożyć.

– No wiesz, Batista Sousa sprzedawał ostatnio pole z kilkuletnimi krzakami. Idealne nasłonecznie na porto, położone na dobrej wysokości, różnorodność gatunków... łakomy kąsek.

– Daj spokój, Osvaldo. Nie oddam tej ziemi za bezcen, na to nie licz. Lepiej powiedz, czy znasz jakiegoś potencjalnego kupca.

– Urealniam twoje oczekiwania. To nie będzie szybka transakcja, wiem, co mówię. Zresztą – zrobił pauzę – dlaczego ty się na to zgadzasz?

– Ja nie mam nic do gadania, to jej – znowu wskazał na mnie.

– Rozumiem. – Osvaldo się zamyślił. – Jeśli tak sprawy stoją... spróbuję wam pomóc. Uruchomię swoje kontakty. Ale nie licz na cuda, one zdarzają się tylko u świętej Marii Adelaidy, a ta jest w Barcos.

– Na szczęście do Barcos nie mamy daleko – odparował Leonardo.

– Och, niedaleko, ale klucze trzyma senhor Fernando i niechętnie je wydaje.

– Ty, przyjacielu, masz z pewnością u niego specjalne względy.

– Zobaczymy, zobaczymy. – Osvaldo klepnął dłońmi o kolana. – Zrobię, co będę mógł.

Leonardo mruknął coś pod nosem i zgarnął mapy rozrzucone na stole. Wyglądało, jakby dobili interesu. Miałam nadzieję, że wuj nie popełnił błędu, zwracając się o pomoc właśnie do Osvalda. Ten facet nie wyglądał na kogoś, kto lubi działać charytatywnie. Ale mogłam oczywiście się mylić.

Leżałam na łóżku w swoim pokoju. Słońce zaglądało przez dwuczęściowe okno, swymi promieniami próbując ogrzać wyziębione pomieszczenie. W kącie

przy suficie zmarznięty pająk powoli snuł misterną sieć. Kolejną. Podmuchy wiatru, które wdzierały się przez futryny, delikatnie kołysały pajęczynę, jakby chciały uspić czujność pająka. I nagle siwe kłęby chmur przysłoniły niebo. Wiatr zaczął pchać je dalej na wschód. Gałęzie się zakołysały, zniknęły wszystkie ptaki. Chmury zatrzymały się i zawisły w jednym miejscu, ciężkie, nabrzmiące, groźne.

Zaczęło padać. Początkowo delikatnie, ale deszcz wzrastał się, krople robiły się coraz większe, świat szarzał. Patrzyłam na to zjawisko zza okna sypialni i myślałam tylko o jednym – czy kiedy pada, P. też o mnie myśli. Tak jak ja myślę o nim.

Przypomniałam sobie, że kiedy wyjeżdżał do siebie, a ja zostawałam w Londynie, celowo gubiłam się w tych samych uliczkach, które wcześniej przemierzałam z nim. Lubiłam przypominać sobie, jak czułam się, idąc tędy z P., czego doznawałam, jakie myśli pojawiały się w mojej głowie. Sprawdzałam, co się zmieniło od tamtego momentu, gdy byliśmy tu razem, czy czas zatarł wspomnienia, czy wręcz przeciwnie, uwypuklił je. Spędziłam u P. jedną z ostatnich nocy przed wyjazdem. Leżałam przytulona do niego plecami, z lekko podkulonymi nogami, jego ręka pod moją głowę, jego oddech na moim karku. Każda wypukłość mojego ciała wypełniała zagłębienie w jego ciele, każde zagięcie dopasowywało się do jego zagięcia. Jakbyśmy byli idealnymi puzzlami. Albo jakbym ja była piaskiem, niestałym i ruchliwym, a on foremką, zdolną zamknąć w sobie całe moje niezdecydowanie i roztarg-nienie.

Podniosłam się. Cyprysy rosnące wzdłuż tarasu łomotały o barierkę. Pokój pogrążał się w szarości zmroku. Wzdrygnęłam się. Choć nie wierzyłam w duchy, w tym domu łatwo je było sobie wyobrazić.

Czy dobrze zrobiłam, nie zdradzając wujowi wszystkich powodów, dla których chciałam sprzedać winnice? Ani on, ani babka nie wiedzieli przecież, w jakim stanie rozkładu jest małżeństwo moich rodziców i jak wygląda nasze życie. Nie podejrzewali, że wyjazd ojca do Kanady jest jego ostateczną ucieczką od matki. I z pewnością nie mieli też pojęcia, że mój pomysł zakupu mieszkania to coś więcej niż zwykła kolej rzeczy w rodzinie z dorastającą córką. Ja też chciałam salwować się ucieczką – przed poczuciem winy, rozczarowaniem, oziębłością.

P. mówił, że ucieczki, jak każdy mechanizm obronny, działają tylko na krótką metę. To, przed czym uciekamy, i tak nas w końcu dopadnie. I to w takim momencie, w którym jesteśmy na to najmniej gotowi. Czy nie lepiej więc się przygotować i podjąć wyzwanie?

Ja uważam, że nie. Czasem po prostu nie można czekać. Trzeba się odciąć, kategorycznie i nieodwołalnie. Albo przegrać.

Niebo przejaśniało się, deszcz zelżał. Uchyliłam okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Czy powinnam im powiedzieć? To prawda, Leonardo i babka byli moją

najbliższą rodziną, ale nigdy nie wtajemniczaliśmy ich w nasze problemy, ani rodzice, ani tym bardziej ja... Czułam się jednak źle. Nie byłam szczerą, a nieszczerłość w zestawieniu z gościnnością, której doznawałam, bolała. Stara quinta miała w sobie wiele uroku i wbrew temu, co twierdził Leonardo, spacer po winnicach przypominały mi piękne chwile z dzieciństwa. Nie to jednak było najważniejsze. Wydawało mi się, że jestem winna wujowi i babce jakąś rekompensatę za lata milczenia. Wychowywałam się tutaj, jadłam z nimi przy wspólnym stole, a potem nagle zniknęłam. Czy mogłam temu zaradzić? Byłam przecież wtedy dzieckiem, a potem już nikt nie proponował mi podróży do Douro. Tylko od czasu do czasu dochodziły do nas wieści, że w quincie wszystko w porządku, że były świetne zbiory, albo wręcz przeciwnie, coś poszło nie tak, uschła część krzewów albo grad zniszczył owoce. Kto jednak, będąc w odległym Londynie, przejmowałby się podobnymi sprawami?

A teraz byłam tutaj. Po raz pierwszy sama. Patrzyłam na quintę swoimi oczami, a nie oczami swych opiekunów, jak czyni to małe dziecko, i było mi szkoda, że nie przyjechałam tu wcześniej. Objęłam wzrokiem wypełniony antykami pokój: przepastne komody z czarnego hebanu, dębowe szafy i misternie rzeźbione, lecz niewygodne krzesła, dziergane serwety, stare zegary, szkatuły zamknięte od lat, łóżko z baldachimem w orientalnym stylu i skrzypiące okiennice... Wygląd pokoju i całej quinty zdradzał słabość kolejnych właścicieli do gromadzenia pamiątek rodzinnych i drogocennych bibelotów, do pielęgnowania melancholii rodzącej się w zetknięciu z pamiątkami przeszłości. Nie sposób było uciec przed wszechogarniającym powiewem minionych czasów, przed tym dziwnym stanem, który sprawia, że człowiek na ułamek sekundy doznaje poczucia własnej nietrwałości.

Z salonu doszły mi dźwięki jakiejś wiekowej piosenki, która wydała mi się znajoma. Podniosłam się z łóżka i nadstawiłam uszu. Słowa brzmiały obco, ale melodia była znajoma: „Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal” – skrzypiała płyta. To była stara, polska piosenka, którą babka śpiewała mi w dzieciństwie, teraz byłam tego pewna. Słowa układały się w refren: „...gdy szumi, szumi woda i płyniesz sobie w dal! Ach, jak przyjemnie... gdy szumi, szumi woda...”.

Kiedy przeszłam przez korytarz, muzyka ucichła. Gabriela wyjęła płytę i odłożyła ją na stertę innych, a gramofon z wielką zieloną tubą przykryła miękkim welurem. Dopiero teraz zauważyłam ten zabytkowy sprzęt. Choć był ogromny, zajmował zaledwie jedną trzecią długości szafki, na której stał. Miałam ochotę zapytać, dlaczego babka trzyma w domu tyle niemal starożytnych rupieci, ale powstrzymałam się, bo być może zarówno ten ogromny gramofon, jak i stary telefon na komódce przy wejściu, a nawet oksydowany stojak na pogrzebacz stanowią dla babki nie tylko nadal użyteczne przedmioty, ale też przedmioty, które towarzyszyły jej młodości. Nie są więc martwe, żyją, dopóki ona widzi w nich

odbicie minionych dni. Podobnie bywa z murami domu, który pamięta jeszcze głosy rodzących się w nim dzieci, a potem opuszczony popada w ruinę podczas jednej zimy.

– Babciu, pamiętam tę piosenkę, wiesz? – odezwałam się.

– Ach, to ty. – Babka się odwróciła. – Pamiętasz, dziec-ko? To jedna z moich ulubionych melodii. Teraz już nie ma takich przebojów. A szkoda, szkoda wielka. Dzięki takim piosenkom mam nadal polskie słowa w głowie.

Przyjrzałam się babce bliżej. Nie wyglądała na zmęczoną, a przecież nie spała w nocy dłużej niż ja. Wydało mi się to dziwne. Nie miała też chyba zamiaru z niczego się tłumaczyć, najwyraźniej nie była świadoma, że także tym razem obudziła mnie w środku nocy. Ale najważniejszy był Horacio, o niego chciałam zapytać w pierwszej kolejności.

– Wczoraj w nocy, było już naprawdę późno, ale ty chyba nie mogłaś spać, babciu... – zaczęłam.

– A ty znowu swoje – mruknęła. – Chcesz powiedzieć, że także dziś w nocy widziałaś mnie w swoim pokoju? Jeśli tak, Sophie, to zacznę się o ciebie poważnie martwić.

– Widziałam cię na korytarzu.

– Co w tym dziwnego? Czasami wstaję, żeby napić się wody. Albo do toalety.

– Masz rację, babciu. Tak naprawdę chciałam zapytać o coś innego.

– Zamieniam się w słuch.

– Kto to jest Horacio?

– Horacio? – Babka zatrzymała się w pół ruchu.

– Tak. Myślałaś w nocy, że to on stoi pod twoim pokojem.

– Dziecko, co też ci przychodzi do głowy. Skąd taki pomysł. Horacio...

Horacio nie był tutaj od dawna.

– To przyjaciel rodziny?

– Mniej więcej, Sophie... – zaczęła, ale zanim wyartykułowała myśl, w jej słowa wdarł się kaszel. – Matko... – wyszeptała, łapiąc się za szyję. – Jak mnie dusi... Chryste...

W ułamku sekundy jej twarz nabrała koloru purpury. Przestraszyłam się nie na żarty. Podbiegłam do niej, żeby unieść jej rękę do góry. Nie udało się, bo w kaszlu aż zgięła się w pół. Klepnęłam ją więc parę razy między łopatkami, nie pomogło. Rozejrzałam się w panice, szukając wzrokiem karafki z wodą, ale wtedy babka zachrypiała: – Porto, nalej mi... porto.

Złapałam butelkę, nalałam. Rozedrganą ręką uniosła kieliszek do ust, upiła spory haust i opadła na fotel. Jej twarz powoli odzyskiwała naturalny kolor, kaszel ustępował. Otarła łzy, które z wysiłku uroniła, i z ulgą zaczerpnęła powietrza. Minęło kilka dobrych minut, zanim zaczęła oddychać w miarę normalnie.

– Już mi lepiej, no tak mnie złapało... Człowiek mógł-by się udusić, jak słowo daję – stęknęła i spojrzała na trzymaną nadal przeze mnie butelkę. – Dobry rok dla naszych krzewów... rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa... spróbuj.

– Babciu, czy na pewno dobrze się już czujesz? – wołałam się upewnić. Nagle doznałam wrażenia, że ten napad kaszlu nie był przypadkowy.

– Dobrze, dziecko, dobrze. Ale poczęstuj nas jeszcze tym. – Kiwnęła w stronę stolika.

– Jak mogłam nie zauważyć! Czekoladowe salami! – ucieszyłam się. Mój ulubiony, portugalski specjał.

– Nasz sąsiad Filipe wrócił dziś rano z Oporto i spełniając moją zachciankę, przyniósł mi ten pakunek – wyjaśniła babka. – Zwykle przywozi też *falachas* z Mesão Frio, te niezwykle słodczye z kasztanami, ale tym razem złożyłam tylko zamówienie z kawiarni Bolhão. Byłaś kiedyś na Rua Formosa? Bolhão jest pod numerem trzysta trzydzieści dziewięć. Jeśli skręcisz z Rua Formosa na węższą Rua Santa Catarina, to trafisz do Café Majestic14. Czy wiesz, że właśnie tam zabrał mnie Thomas podczas pierwszej wizyty w mieście? Majestic była kiedyś bardzo eleganckim lokalem, kobiety w białych rękawiczkach i mężczyźni w kapeluszach typu fedora, zapach dobrze zmielonej kawy i cukru waniliowego. Teraz jednak... może to nadal art nouveau na ścianach, ale ja tam już nie chadzam.

– Dlaczego?

– Za ciasno – skwitowała. – Kiedy sobie pomyślę, jak dawno to wszystko się działo... choć czasami wydaje mi się, że upłynęło najwyżej kilka lat. – Spojrzała na swój imponujący pierścień na wskazującym palcu lewej dłoni, a ja powędrowałam wzrokiem za nią. – Dostałam go od Thomasa ponad sześćdziesiąt lat temu. Nie lubię wracać do wspomnień, ale być może nie będę miała już zbyt wiele okazji do prowadzenia podobnej rozmowy.

– Jak wiesz, poznałam twój dziadka na statku płynącym przez Atlantyk – babka zniżyła głos – a historia zaczyna się, gdy pewien młody Anglik podczas podróży transatlantyką dostaje ostrych mdłości i wychodzi ze swojej luksusowej kajuty na powietrze. Jest późny wieczór, przeszywający wiatr szarpie poły jego dwurzędowego chesterfielda z wełny i omal nie zrywa kapelusza, ale Anglik, osłaniając twarz swoim niestosownym na oceaniczną podróż kaszmirowym szalikiem, przedziera się w stronę relingu. Ścisza go oburącz i wychyla głowę za burtę, mając wrażenie, że ocean z wdzięcznością przyjmuje to, co on z siebie wyrzuca. Kiedy jest już po wszystkim, odchrząkuje, chcąc zatuszować swoją słabość, rozgląda się dyskretnie i w tym momencie napotyka wzrok dziewczyny. Widzisz to? A teraz wyobraź sobie tę dziewczynę. To młoda Polka, która

w przeciwieństwie do Anglika nie podróżuje w jednoosobowej kabynie, lecz jest pasażerką drugiej klasy, przebywa na niższym pokładzie parowca, skąd niedaleko już do ładowni, królestwa szczurów i karaluchów, chorób i nędzy. Płynie ona w towarzystwie swego kuzyna, Piotra Kuleszy, który ucieka przed pracowitym, lecz nudnym życiem zubożałego kawalera na kurpiowskich włościach.

Razem z czterystoma pasażerami wsiedli na pokład „Arcadii”, która ma szczęśliwie dowieźć ich do brzegów bajecznego Nowego Jorku. Nie zastanawiają się zbyt nad niebezpieczeństwami czyhającymi na młodych emigrantów w nowym kraju. Płyną kolejny dzień, nie mierząc czasu, nie utyskują i nawet jeszcze nie wyglądają lądu.

Co innego Anglik. Ten czuje się, jakby ktoś mu wywrócił trzewia na zewnątrz. Ma nieustającą migrenę, targają nim mdłości i odlicza każdą minutę przybliżającą go do celu. Nie podróżuje pierwszy raz, pływał już statkami przewożącymi beczki porto, nigdy jednak morze nie dało mu się tak bardzo we znaki. Kiedy więc jego wzrok zawisa na twarzy dziewczyny, zdaje mu się, że sam anioł patrzy na niego, i nie zauważa na razie, że spojrzenie jest gęste jak konfitura i słodkie jak miód. Próbuje dostrzec w kocach, którymi dziewczyna się owinęła, jakieś ludzkie ciało, ale jest to trudne nie tylko z racji licznych warstw materiału, ale też z powodu zapadającego zmroku.

Anioł w ciuchach starej baby, myśli mężczyzna. Skłania nisko głowę, uchylając kapelusza, i nie tracąc czasu, umyka do swojej kabiny.

– Paniczyk – dziewczyna nie pozostaje mu dłużna. Odwraca hardo głowę i kieruje się w stronę schodów. Ma dość chlastającego oceanem wiatru, dość zimna, od którego cała kostnieje. Na swoim posłaniu przykrywa się dodatkowym kocem i zasypia niespokojnym snem.

Być może to przelotne spotkanie nie miałooby dalszego ciągu, ale następnego dnia Anglik czuje się lepiej i postanawia wyjść na pokład. Zażywa spaceru, nie podejrzewając, że przeznaczenie postanowiło przypomnieć o sobie właśnie teraz, na zniechęconym transatlantyku, pośrodku złowrogiego oceanu.

Kiedy on przemierza kolejne metry statku, ona siedzi na jednej ze stalowych ławek, w miejscu, gdzie przytwierdzone do pokładu skrzynie stanowią świetną ochronę przed wiatrem. Myśli o pełnym ciepła i radości domu, który tak niedawno opuściła, o ogrodzie z ziołami i dwóch nieodłącznych chartach, które codziennie towarzyszyły jej w spacerach po okolicznych lasach. Jej ojciec jest właścicielem ziemskim z nienaganną reputacją, matka zajmuje się domem. Rodzice prowadzą też pensjonat dla zaprzyjaźnionych gości, wykorzystując do tego celu przybudówkę postawioną w dawnych czasach przez ojca. Do letniego domu, zwanego też Domem Konia, od śparogów w kształcie łbów końskich zdobiących szczyt domku, chętnie zjeżdżają na letnie miesiące mieszcuchy z Warszawy i okolic. Otoczenie jest przecież piękne, powietrze przesiąknięte olejkami sosen puszczańskich, rzeka

czysta.

Goście są różni – przyjaciele i osoby polecane albo też całkiem nieznanne, lekarze i urzędnicy, a nawet jeden kapelan. Niektórzy przyjeżdżają od lat, inni pojawiają się tylko raz, dla dziewczyny jednak każdy z letników niesie powiew przygody, która czeka na nią gdzieś w odległym i nieznanym świecie. Nie pociąga jej wizja nudnego życia na wsi. Ma otwarty umysł. Chłonie nowinki jak gąbka i nasiąka przywożonymi przez gości lekturami, rodzice zaś, przerażeni emancypacją córki, w skrytości ducha mają nadzieję, że dziewczęce fanaberie będą trwać krócej niż sianokosy.

A kiedy upływa kolejne pracowite lato i nadchodzi wizja niekończącej się zimy, dziewczyna już wie, że musi coś w swoim życiu zmienić.

Nie odważyłaby się jednak na karkołomną podróż przez Atlantyk, gdyby nie drastyczne posunięcia rodziców zmierzające do szybkiego wydania jej za mąż. Wyselekcjonowany przez rodziców kandydat jest przyjacielem rodziny, sporo starszym. Dziewczyna zna go od dawna, co sprawia, że zdążyła znienawidzić co najmniej kilka jego cech, w tym zwyczaj podkręcania wąsa poślinionymi palcami, niezmiennie napawający ją obrzydzeniem. Jako panna wyedukowana, lecz z niezbyt imponującym posagiem, nie może przebierać w kawalerach.

Na początku jesieni oświadcza więc rodzicom, że zamierza dołączyć do swojego kuzyna Piotra, który wyjeżdża w interesach do Ameryki. Rodzice lamentują, lecz koniec końców dają listy polecające do dalekich krewnych w Nowym Jorku, błogosławią ją i odprowadzają na pociąg z przeczcuciem, że widzą córkę po raz ostatni. I tak pojawia się ona na pokładzie „Arcadii”.

Ta dziewczyna to ja. Mam wtedy siedemnaście lat, jestem żądna wrażeń i przekonana o słuszności swej młodszej decyzji.

A teraz posłuchaj dalej.

W trzecim dniu podróży niebo jest pochmurne, a ocean burzy się i zmusza statek do coraz większej walki z żywiołem. Kolejne góry wody stają na drodze „Arcadii” i kapitan przez megafon zaleca pasażerom powrót do kajut. Ja jednak zostaję na pokładzie, ławka, na której siedzę, wydaje mi się dostatecznie bezpieczna. Przypominam sobie ostatnią wystawną kolację w domu, co bardzo kontrastuje z doznaniem teraz pustego żołądka. Kiedy więc słyszę głuchy pogłos, wydaje mi się, że to tylko nieprzyzwoite burczenie w moim brzuchu, lecz kiedy hałas się przybliży, podnoszę wzrok i głos więźnie mi w gardle.

Wielkie skrzynie, jeszcze przed chwilą scalone z pokładem, suną teraz prosto na mnie. Jakiś mężczyzna, który potem okazuje się zauważonym poprzedniego dnia Ang-likiem, biegnie w moją stronę, machając jak oszalały rękami, a potem wydarzenia nabierają tempa. Dwóch marynarzy staje na drodze skrzyń i próbuje je zatrzymać ciężarem swych ciał, ale ich wysiłki są bezskuteczne. Pojawia się trzeci mężczyzna, pomaga tamtym dwóm, ale skrzynie suną nadal. Czuję mocne

szarpięcie za rękę i moje stopy zawisają w powietrzu, a kiedy próbuję zlokalizować swoje położenie, dociera do mnie, że znajduję się w ramionach Anglika. Skrzynie oczywiście uderzają z impetem o ławkę, na której przed chwilą siedziałam, i omal jej nie rozłupują na kawałki.

Uratował mnie najwspanialszy mężczyzna, jakiego znałam. – Babka zamilkła na chwilę. – Twój dziadek Thomas Wineford, człowiek wielkiej kultury i galanterii.

Zaledwie po dwóch miesiącach pobytu w Ameryce wsiedliśmy razem na transatlantyk i w ten sposób dotarliśmy do brzegów Portugalii. Tutaj przeżyłam z Thomasem dwadzieścia pięć szczęśliwych lat.

– Niewiarygodna historia – przyznałam.

– W życiu zdarza się więcej niewiarygodnych historii niż w książkach. Pamiętaj, dziecko, są dwie drogi, aby przeżyć swoje życie. Jedna to żyć tak, jakby nic nie było cudem, druga to żyć tak, jakby cudem było wszystko.

– Masz pewnie rację, ale nie zawsze ma się siłę, żeby dostrzegać te cuda.

– Och, wy młodzi, nie znacie prawdziwych nieszczęść, a już się martwicie. Jak to się mówi? Mieć dół?

– Mieć doła albo chandrę.

– Przecież właśnie mówię. W każdym razie to złe przyzwyczajenie i objaw lenistwa. A lenistwo, jak wiadomo, jest grzechem.

– Babciu – przerwałam. – Byłaś jeszcze kiedyś w Polsce?

– Nie, dziecko, nigdy. Zaraz wybuchła wojna i każdego dnia zastanawiałam się, czy zobaczę jeszcze swoich bliskich żywych. Ale udało im się, uciekli do siostry mojego ojca mieszkającej na Białostocczyźnie i tam jakoś przetrwali najgorszy czas. Po wojnie, kiedy chciałam tam pojechać, nowe władze skonfiskowały dom, ziemię i nie było już co odwiedzać, rodzice przenieśli się do Warszawy. Potem urodził się Leonardo i znów musiałam odłożyć wyjazd. A później już mi się nie chciało. Po wojnie pisałam do rodziców długie listy, a jeszcze dłuższe dostawałam. Matka przysyłała mi pościel i obrusy z kurpiowskimi haftami, żebym nie zapomniała o swoich korzeniach, ja wysyłałam im zdjęcie swojego męża, a potem naszych dzieci. Niełatwo było mi wtedy opuścić quintę, a rodzice też nie mogli przyjechać z Polski, tam był socjalizm, granice zamknięte, a moja rodzina z racji ziemiańskiego pochodzenia na cenzurowanym. Żałuję, że tak to się potoczyło, że nie zobaczyłam już nigdy rodziców, brata, domu.

– Zamilkła na moment. – Cóż, takie było życie, dużo pracy i mało sentymentów.

– A jaka była quinta, kiedy tu przyjechałaś?

– Och, najpierw spędziłam zimę w domu Winefordów koło Oporto, tej pięknej willi nad oceanem. W okolicy pasły się jeszcze owce, a tam gdzie dzisiaj jest park, rozciągały się wspaniałe tereny łowieckie, idealne dla Thomasa. To było naprawdę niezwykle miejsce. Zresztą wszyscy mieszkali wtedy w Foz albo w Vila

Nova de Gaia – Anglicy, Duńczycy, Holendrzy... Nie było wówczas w zwyczaju mieszkać w Douro na stałe.

– Co się stało z tym domem, o którym mówisz?

– Nie wiesz, dziecko? Popadł we wstydlivą ruinę.

– A quinta?

– Quinta... piękna była. Winorośl właśnie zaowocowała, kury i kaczki chodziły po podwórku, w oborze stało sześć młodych wołów. Dzieci bawiły się w zacienionej alejce biegnącej za budynkiem, gdzie mieszkali pracownicy. Bo wiedz, że kiedyś sprowadzały się tu całe rodziny i pomagały przez okrągły rok. Thomas dopiero co rozbudował winiarnię i zakupił wielkie *balseiros*¹⁵, do których zamierzał wlać wino po najbliższych zbiorach. Czekał na nie. Kilka lat wcześniej przeprowadził wielkie zmiany – posadził odpowiednio dobrane szczepy, by lepiej rodziły, zasadził też zupełnie nowe krzewy... Tamtej wiosny cała quinta cieszyła się, że to będzie dobry sezon.

– I nagle ty znalazłaś się w tym całym harmidrze?

– A nie mówiłam ani słowa po portugalsku! Jednak wcale się tym nie przejmowałam. Bóg jest właścicielem świata, ale wynajmuje go odważnym, tak zawsze myślałam, a poza tym miłość może wszystko. – Babka sięgnęła po kawałek *salame* i włożyła go do ust. – Ja byłam bardzo zakochana.

– No tak... – Spojrzałam na babkę z nieukrywanym podziwem. – A nie chcieliście przenieść się do Londynu? Przecież tam był Thomasa rodzinny dom.

– Ależ skąd, dziecko! Oporto było kurą, która znosiła złote jajka. To tutaj ludzie się przenosili, a nie stąd uciekali. Bednarze, producenci korka, lin, żeglarze, przewoźnicy, robotnicy rozładowujący statki, urzędnicy... oni wszyscy mieli tu co robić. A jeśli chodzi o Brytyjczyków, to co bardziej przedsiębiorczy już dawno porzucili wille w Anglii czy Szkocji i zamieszkali w Oporto. Przywozili swoje żony, handlowali winem, a z czasem zaczęli uprawiać ziemię. Tutaj też chcieli być pochowani, aż zabrakło miejsc na cmentarzu brytyjskim w mieście. Nawiasem mówiąc, musisz odwiedzić British Cemetery, jest zupełnie inny niż wszystkie tutejsze nekropolie.

Tak, wiele rodzin już wcześniej dorobiło się prawdziwego majątku. Symingtonowie, Taylorowie, Offaly... wystarczy spojrzeć na drogowskazy przy drodze. Co tu dużo mówić, dobrze nam było. Thomasowi wystarczyło do szczęścia, że co roku sprowadzał skrzynkę *Ceylon Tea*, a z Londynu wydania „The National Geographic”, czuł się wtedy wystarczająco angielski. Zresztą ja bym nie wytrzymała zamknięcia w londyńskim domu Winefordów. W Oporto mieliśmy dwa hektary ogrodu, sąsiedztwo oceanu. Wychowałam się na prowincji, potrzebuję przestrzeni i powietrza. W naszym kurpiowskim majątku tak mnie nauczono, że trzeba ciągle coś robić, robotników dopilnować, posiadłości objechać, w odwiedziny zaprosić. Nie umiałabym siedzieć i beczynn timerze patrzeć w okno.

– *Bom dia*, senhora Gabriela. – W drzwiach pojawiła się nagle głowa kobiety w średnim wieku.

– Witaj, Benedita.

– Pójdę na górę i zabieram się do pracy. Czy ma pani jakieś specjalne życzenia?

– Nie, złotko. Leonardo zrobił zakupy na targu, zobacz, co tam przywiózł, przygotuj, co należy. – Gabriela wydała polecenia i zwróciła się do mnie: – To nasza kucharka i pomoc domowa. Przychodzi ugotować nam obiad i posprzątać. Nieoceniona pomoc. Dawniej mieliśmy w quincie dwie służące, jedną utrzymującą porządek w domu, i drugą, która robiła zakupy, odbierała przesyłki z poczty i załatwiała sprawy poza domem. Ale Margarida spadła ze schodów prowadzących do piwnicy w winiarni, uderzyła głową w okucie beczki i zmarła na miejscu. Biedaczka nigdy nie lubiła chodzić do piwnicy, bała się ciemności i gryzoni. Jak widać, każdy ma swoje powody, dla których nie lubi czegoś robić. – Gabriela westchnęła. – Teraz musi wystarczyć nam Benedita.

– Ten dom mieścił tylu ludzi...

– Owszem, ale i tak były jeszcze puste pokoje. Podobno podczas budowy quinty w tysiąc siedemset czterdziestym siódmym roku właściciel zamurował w jej fundamentach sakwę z monetami dla zapewnienia obfitości. Może dlatego nikt tu nigdy nie zaznał biedy. Ale budowano z rozmachem, a Winefordów nigdy nie było wielu. Zresztą może to dobrze. – Zamyśliła się. – Przynajmniej nie musieliśmy tak dzielić majątku, jak to robiły inne wielodzietne rodziny, które dzieliły, aż nic nie zostało, albo sprzedawały swoje *port houses*, żeby spłacić wszystkich dziedziczących. Jak wiesz, twój dziadek miał brata. Charles Wineford reprezentował interesy quinty w Londynie, ale został nieszczęśliwie potrącony przez automobil, niemal pod drzwiami swego domu. Nie zdążył założyć rodziny. Potem ja, to znaczy my z Thomasem mieliśmy dzieci, ale tak się złożyło... a zresztą nie warto wracać do przeszłości – machnęła ręką. – Ty jesteś młoda, wszystko przed tobą. Och, za dużo *port wine* – teatralnym gestem położyła dłoń na czole. – Wykończyłaś mnie, dziecko, tym gadaniem. Pozwolisz, że cię opuszczę. – Podniosła się z fotela i stawiając ostrożnie kroki, pokuśtykała do swojej sypialni.

Stałam na kamiennych schodach prowadzących do mniejszej, teraz opustoszałej części domu. Obok na ławce Leonardo próbował rozplątać jakiś niemilosiernie poplątany drut.

– Jakie to ładne. Co to jest? – Wskazałam jeden ze stopni, gdzie odbite było idealnie symetryczne serce.

– Co? – Leonardo nie zrozumiał. – Zgubiłaś coś?

– Nie, chodzi o ten znak. Ktoś zrobił tu odcisk w kształcie serca.

– A... to. Jest tu od zawsze. Babka powiedziała ci, że to ślad po pewnej legendzie.

– Jakiej legendzie? Opowiesz mi?

– Spytaj babki, ja nie jestem poetą.

– Oj, Leo, opowiedz, proszę cię.

– To krótka historia. Wydarzyła się w czasach, kiedy portugalscy plantatorzy oddawali swe córki angielskim spedytorom w zamian za wyższe ceny za winogrona. Wiesz, co mam na myśli, córki były kartą przetargową w interesie: dasz mi córkę, to zapłacę więcej za twoje owoce. Zacniejszym rodzinom, potępiającym podobne praktyki, bardzo zależało na nieskazitelnej opinii. A w Quinta de São Francisco córka właścicieli zakochała się w parobku pracującym w winnicach. Wybuchł skandal, ojciec dziewczyny wpadł w furję z powodu mezaliansu i zszargania opinii rodziny. Kazał boleśnie wychłostać parobka i przegnać go z quinty z zakazem zbliżania się do domu na odległość dwóch dni drogi. Dziewczyna z rozpaczycy rzuciła się do rzeki. Ślad na schodach to odcisk jej serca.

– A ten ślad obok?

– Należy do dziecka, którego się spodziewała.

– Piękne i przygnębiające jednocześnie. Myślisz, że coś takiego mogło się zdarzyć naprawdę?

– Myślę, że takie historie zawsze się zdarzały.

– Ten dom zaczyna mnie fascynować.

– No widzisz, jeszcze trochę i nie będziesz chciała stąd wyjechać.

– O to się nie bój. Mój kot, londyński kanapowiec, umarłby z tęsknoty.

– Zostawiłaś go samego na tyle dni?

– Przecież mieszkam z matką.

– Tak czy inaczej, Sophie, teraz przynajmniej mam pewność, że wrócisz.

O ile pojawi się kupiec.

– O ile pojawi się kupiec... – zmarkotniałam. – Leo, dlaczego moi rodzice tak rzadko tu przyjeżdżali?

– Skąd mógłbym wiedzieć...

– Czasem zachowywali się tak, jakby chcieli wymazać to miejsce z pamięci. Nie rozmawiali o quincie, a przecież wy jesteście ich najbliższą rodziną. Tak się zastanawiam, czy oni tu mieli jakichś przyjaciół... – próbowałam wybadać, jak bardzo Leonardo skłonny jest do zwierzeń.

– Twój ojciec nie jest specjalnie towarzyski. Wiesz, że wyjechał stąd w młodym wieku. Nie przyjeżdżał, bo pewnie miał dużo pracy. Nic dziwnego w dzisiejszym świecie.

– Ale przecież ty i mój ojciec... wy jesteście braćmi, przyjaźniliście się, lubiliście, prawda? Dlaczego teraz się nie odwiedzacie?

– Nie wiem, Sophie, tak już jest, czasy się zmieniły.

– Opowiedz mi w takim razie o tym, jak było tu dawniej.
– Po co?
– Proszę...
Wuj chrząknął.
– Masz narzeczonego?
– Słucham?
– Pytam, czy masz narzeczonego. W Londynie albo gdzieś indziej na świecie.
– Dlaczego pytasz?
– Dlatego – wyjaśnił Leonardo – że jest mi zimno i idę do domu.
– Leo! – Chciałam się oburzyć, ale wuj trzasnął już drzwiami przed moim nosem.

Przez kolejne dni rzadko widziałam Leonarda. Wydawał się ciągle zajęty. A może mnie unikał? W kwestii sprzedaży też nic się nie działo, telefon uparcie milczał. Obawiałam się, że wyjadę z quinty bez jakiegokolwiek nadziei na zmianę tej sytuacji.

– Osvaldo mówił, że nie będzie łatwo znaleźć chętnych – przypomniał mi, kiedy wreszcie spotkaliśmy się w salonie. – A poza tym dopóki babka nie da ci pozwolenia, pewnie nie sprzedasz swej ziemi. Wiesz, czasami myślę, że ona jest trochę czarownicą. – Mrugnął do mnie okiem. – Bez jej zgody nic się nie dzieje.

– Słyszałam. – Gabriela pojawiła się nagle w drzwiach. – Wszystko słyszałam, faryzeuszu – zachrypiała.

– Babciu... – zaczęłam. – Jest tak wcześnie, myśleliśmy, że jeszcze śpisz.

– Spałam, ale od tego deszczu lodowacieją mi kości. Mam wrażenie, że woda przedostaje się przez sufit, w takich warunkach niełatwo znaleźć się w objęciach Morfeusza. Więc przyszłam i co zastałam? Dwójkę spis-kowców!

– Wiesz o planach Sophie? Domyśliłaś się? Niesamowite. – Leonardo stęknął. – Jak na osiemdziesiątkę z hakiem jesteś prawdziwym szatanem inteligencji.

– A wy myśleliście, że jestem ślepa i głucha?! – Poczzerwieniała i utkwiała we mnie wzrok.

– Nie myśleliśmy tak, babciu. Chciałam już dawno ci powiedzieć, ale...

– Ale co?! – Babka podniosła głos. – Uznałaś, że jestem za stara, żeby ze mną się konsultować? Co ty sobie wyobrażasz, dziecko?!

– Przepraszam, babciu, ale to moje winnice.

– Twoje?! W takim razie musisz wiedzieć, co o tym myślę! Od początku podejrzewałam, że nie przyjechałaś z tęsknoty za nami ani nawet z poczucia obowiązku, tak niespodziewane wizyty mają swój cel. Chcesz sprzedać ziemię, na

której nigdy nie posadziłaś nawet jednego krzaka, zgadza się? Której nie poświęciłaś ani sekundy swojego życia, której nie obdarzyłaś ani jednym uważnym spojrzeniem, aż do teraz, gdy przyjechałaś, by ją tak bezpardonowo odebrać. Nie obchodzi cię, co ta ziemia znaczy dla nas, masz to wszystko za nic! Przyjeżdżasz i chcesz całą spuściznę roztrwonić, sprzedać. To po prostu podłe!

Za oknem złowrogo zagrzmiało. Odruchowo spojrzeliśmy w tę samą stronę.

– Babciu, nie mów tak, czuję się winna – wymamrotałam wreszcie.

– Jak lisica w kurniku? I dobrze. Tak właśnie powinnaś się czuć!

– Mamo. – Leonardo się skrzywił.

– Milcz, synu! Przestań jej bronić, nie widzisz, do czego to wszystko prowadzi?

– Może do niczego złego, jeszcze nie wiemy. – Spojrzał bezradnie na mnie, a potem przeniósł wzrok na matkę.

– Też mi coś – prychnęła wzburzona. – Ty nigdy nic nie wiesz! Mówiłam, że powinienes jeździć do Vidago, kąpiele odświeżają umysł, a twój nie działa najlepiej.

– Vidago jest od dawna zamknięte.

– To nie zmienia faktu, że mogłeś korzystać z nich wcześniej. Ile razy namawiałam cię, byś pojechał ze mną? Ale ty zawsze wykręcałeś się, mam tyle roboty, muszę tego i tamtego dopilnować, muszę czekać na odbiorcę...

– Wody to są dobre dla wyfiokowanej arystokracji – wymamrotał Leonardo półgębkiem.

– Co?! – Gabriela zaperzyła się ponownie. – Co powiedziałeś, synu?

– Babciu, może usiądziesz w fotelu? Zaparzę ci herbatę. – Przestraszyłam się, że znowu zaczniesz się dusić. – Tę, co lubisz, azorską Porto Formoso?

– Skąd pomyślałaś, że ją lubię?! Daj mi herbatę angielską!

Posłusznie wyszłam do kuchni, zostawiając wuja na pastwę Gabrieli.

Leonardo zmęczony przysiadł na kanapie i spojrzał na matkę.

– Nie naskakuj tak na Sophie. Jasne, że ja też nie jestem zadowolony – mruknął. – I też boję się, że ściągnie nam tu jakichś obcych. Będziemy patrzeć, jak rujnują nasze winnice, stracimy na tym.

– I kto to mówi, synu? Zawsze mi wypominasz, że to ja jestem staromodna.

– Och, nie bądź już złośliwa. To dla nas może oznaczać duże zmiany. Akurat teraz, gdy wszystko jest w najlepszym porządku.

– A jest? Nie zauważyłam.

– Mamo! Na litość boską, miej trochę sumienia!

– Nie rozumiem, jak ona może nas traktować w ten sposób. Latami tu nie przyjeżdżała, a kiedy już raczyła się pojawić, od razu w takim celu, to skandal.

– To nie zmienia faktu, że ta ziemia należy do niej, może zrobić z nią, co jej się tylko podoba.

– Stoisz, synu, po jej stronie?!

– Nie stoję po niczyjej stronie. Ale nie będę walczył z wiatrakami, Sophie z nami czy bez nas i tak sprzeda ziemię. Lepiej, żeby zakończyła sprawę szybko i po naszej myśli.

– Ona nie wie, co to za ziemia... Ona nie jest świadoma.

– To może zechcesz ją uświadomić?

– Zamilcz. Wiesz, że nie wolno nam...

– Wiem. Ale kamień został rzucony. Sophie przyjechała do Douro w jednym celu: żeby sprzedać winnice. Myślisz, że jej w tym przeszkodzisz?

– Sądząc z twojego tonu, byłeś już w Factory House.

– Oczywiście. Rozpuściłem wici, może kupi to któraś z rodzin.

– Byle nie Johanowie! Nie znoszę ich zarozumiałstwa.

– Nie zapominaj, że to nasi kuzyni.

– A tam, takie gadanie. Tu wszyscy są czyimiś kuzynami.

– Z tej ziemi nigdy nie będzie już dobrego wina, pogódź się z tym.

– Jak mam się z tym pogodzić! Uch! – Gabrieli dech zaparło.– A jeśli w ogóle nie będą uprawiać tu winorośli? Wyrwą krzaki i zasadzą mandarynki?!

Leonardo spojrział na nią zaskoczony. Oczami wyobraźni zobaczył wielki spychacz, który ryje ziemię pod nowe uprawy, łamie krzaki i rozjeżdża je na krwawą miazgę.

– E... – Oprzytomniał. – Co ty wygadujesz. To za dobre miejsce i teren chroniony. Nie zapobiegniemy sprzedaży, ale możemy postarać się, aby nie panoszył się tu jakiś amator z bożej łaski. Nabywca musi być stąd i znać się na uprawie winnic. O tyle możemy Sophie prosić. Ona wróci do Londynu, ale my będziemy żyć tutaj dalej, z takimi sąsiadami, jakich do nas sprowadzi.

Ostatnie jego słowa zagłuszył deszcz bębniący o parapet. Hektolitry wody spadające z nieba rozmazywały kontury krajobrazu i gdy Leonardo spojrział w okno, odniósł wrażenie, że wzgórza spłynęły razem z deszczem do Douro. Pozostała przejmująca szarość, która przysłoniła wszystkie kolory i zabrała naturalne dla przyrody odgłosy. Można by pomyśleć, że niebo właśnie teraz postanowiło wylać z siebie cały zapas skrzętnie przetrzymywanej przez lato wody. Prosto na Quinta de São Francisco.

Obrazy przesuwane się za oknami samochodu niewiele różniły się od tych, które rozpościerały się dookoła Quinta de São Francisco. Kilkusetmetrowej wysokości wzgórza w całości były zagospodarowane przez uprawę winnic. Gdziekolwiek spośród rzędów krzaków wyrastała stara willa, z mniejszymi bądź

większymi budynkami gospodarczymi, czasami z drzewami migdałowymi lub pomarańczowymi w zasięgu wzroku. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że krajobraz Douro nie jest mi obcy. Być może widok rozległych dolin, wzgórz i rzeki głęboko zapadł mi w pamięć, gdy byłam dzieckiem, i teraz tylko wystarczyło otworzyć odpowiednią szufladkę, by na powrót krajobrazy te zostały wydobyte na powierzchnię i stały mi się bliskie. Starzy ludzie często najlepiej pamiętają nie to, co wydarzyło się niedawno, ale właśnie to, z czym mieli do czynienia dziesiątki lat wcześniej, często jako dzieci. Czy ze mną też tak będzie? Czy jako staruszka najlepiej będę pamiętała zabawę w chowanego na patiu Quinta de São Francisco albo spacer z Leonardem po rozmokłych ścieżkach ogrodu w Foz? Uśmiechnęłam się na tę myśl. Moje angielskie dzieci będą pewnie słuchać portugalskich opowieści z takim samym zdziwieniem, z jakim ja słucham wspomnień Gabrieli o Polsce.

Korzenie i poczucie przynależności do miejsca, ludzi, kraju, wszystko to jest bardziej skomplikowane, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. Przynajmniej w mojej rodzinie. Mój ojciec uważa się za Anglika, choć urodził się w Portugalii. Jego brat Leonardo jest Portugalczykiem, choć miał za rodziców rodowitą Polkę i Anglika. Moja babka z kolei zachowuje się bardziej jak Angielka niż Polka, a przecież nigdy nie była w Anglii! Ja zaś, na przekór losowi, mając rodziców Portugalczyków i babkę Polkę, uważam się za obywatelkę Anglii, nawet jeśli w paszporcie mam wpisane jako miejsce urodzenia Porto. Czy gdybym pozostała w Portugalii, byłabym Portugalką? Czy mój sposób myślenia byłby inny, inne rzeczy bym lubiła, innych słów używała? Czy inaczej bym wyglądała, inaczej dojrzewała? Może wolałabym inne smaki, czym innym bym się denerwowała, inne opinie wyrażała, była mniej lub bardziej spontaniczna?

Choć nie minął mnie do tej pory żaden pojazd, zjechałam na wszelki wypadek na pobocze i zatrzymałam samochód. Wysiadłam i wciągnęłam w płuca rześkie powietrze. Pierwsze smagnięcia lodowatego wiatru uświadomiły mi jednak, że nie włożyłam kurtki. Roztarłam dłonie, które zdążyły już zmarznąć, i pospiesznie wróciłam do samochodu.

Wkrótce krajobraz za oknem zaczął się zmieniać. Wzgórza zniknęły, a kiedy zjechałam na drogę krajową, zniknęły też winnice. Na chwilę straciłam zainteresowanie widokiem za oknem, ale kiedy ponownie spojrzałam na horyzont, znowu zobaczyłam pagórki. Tym razem jednak porośnięte drzewami, jakby dzikie, z odkrytymi fragmentami skał i sterczącymi tu i tam kamieniami. Ich szczyty porastały kępki karłowatej dębiny i ostrych traw. Terra Fria, przypomniałam sobie jakieś stare podanie czytane w dzieciństwie. Zimna ziemia, łąd za górami, otoczony lasami, w które nikt nie zapuszcza się przypadkiem, chodzą bowiem słuchy, że nadal stanowią one jedną z najlepszych kryjówek dla różnego rodzaju uciekinierów i łajdaków.

Brak winnic, które już dawno zostawiłam za sobą, był niezbitym dowodem

na to, że gleba była tu nieurodzajna, a klimat mniej sprzyjał uprawom. Skręciłam w pierwszą napotkaną wiejską drogę. W oddali pasły się owce, jedyne zwierzęta, którym nie straszne były mgliste poranki i zimne noce. Czułam jakiś wewnętrzny przymus zagłębiania się w to nieznanne i nieco ponure terytorium. Chciałam dotrzeć do końca, sięgnąć granic. Bez lęku. Zupełnie tak jak wtedy, gdy rodzice zabronili mi zbliżać się do opuszczonej kamienicy, która od dawna szpeciła naszą ulicę, a ja i tak po kryjomu tam zaglądałam. Miałam kilka lat i bardzo chciałam się przekonać, że potrafię przejść przez zrujnowane pokoje na parterze bez poczucia narastającej paniki.

Jechałam dalej, mijając kamienne wioski, które ukrywały się w dolinach. Drogi świeciły dziurawym asfaltem położonym kilkadziesiąt lat temu. Widziałam leżące odłogiem pola i zacienione zagajniki. Kilka domów waliło się pod ciężarem czasu, inne były w całkiem niezłej kondycji, ale posępne i przygnębiające.

Gdy droga zrobiła się o połowę węższa, skręciłam do najbliższych domostw, żeby przyjrzeć im się bliżej. Tutaj kończył się asfalt, a zaczynały kocie łby. To był dawny rynek. Spory, kamienny plac otaczało kilka budynków, a ścieżki wyłaniające się gdzieś z ich zaplecza spotykały się właśnie tutaj. Domy jednak w niczym nie przypominały rozległych domostw Alto Douro. Były niewiele większe od towarzyszących im komórek, balkoniki zaś mieściły zaledwie kilka doniczek z przywiedłymi roślinkami wystawionymi do słońca. Nędzny wygląd otoczenia tak bardzo kontrastował z tym, co widziałam, wyjeżdżając z quinty, że zaczęłam się zastanawiać, ile właściwie ujechałam kilometrów. Osiemdziesiąt? A może dwieście?

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Jakby wszyscy mieszkańcy zniknęli, nie bacząc na pozostawione przez siebie ślady codzienności – rzucone pod schodami grabie, zgromadzone przy ogrodzeniu opony samochodowe, uchylone okno z powiewającą na wietrze firanką.

Domy, które już tutaj wydawały się zbyt skromne, w głębi ulicy jeszcze malały, były też coraz bardziej zaniedbane, aż w końcu dotarłam do zupełnie wymarłej części wioski. Kamienne budynki chyliły się tutaj ku ziemi, wielkie otwory, w których osadzone były kiedyś okna, ziały pustką, nie było drzwi, balkonów ani konstrukcji dachowych, które już dawno runęły w trawę i nią zarosły. Zajrzałam do jednego z budynków. W dawnej stodole pod ścianą stały połupane koryta na pożywienie dla zwierząt, zgniłe beczki straszyły w kącie pomieszczenia. Miejsce to dawno spowił gęsty kokon ciszy, kładąc się ciężarem na wszystkie budynki, dróżki, kurniki i obory, na całą tę część wioski, która już nigdy nie miała podźwignąć się z upadku.

Przeszłam dalej, na tyły dawnych domostw. Niegdysiejsze ogródki zarosły chwastami, ziemia była nieuprawiana, ale dwa czy trzy poletka były ogrodzone. Dostrzegłam nawet wypielony fragment ziemi i resztki warzyw w niej tkwiące.

I wtedy z jednego z domów, który wydawał się opustoszały, usłyszałam muzykę. Obeszłam budynek dookoła. Na sznurkach rozpiętych pomiędzy dwoma drzewami suszyło się świeże pranie. W betonowej wannie pełno było wody. Oparto o nią dziecięcą wanienkę, a dalej w głębi podwórka leżało kilka porzuconych zabawek. Odkrycie życia na tym pustkowiu bardziej mnie przeraziło, niż ucieszyło. Kiedy muzyka ucichła i spiker z namaszczeniem zaczął recytować wiadomości, skrzypnęły drzwi. Szarobury jak otoczenie kot wyślizgnął się z wnętrza domu, a zaraz za nim pojawiła się kobieta opatulona w ciepły sweter.

– Dzień dobry – odezwałam się.

– Dzień dobry – odpowiedziała, lustrując mnie wzrokiem. Przez chwilę trwałyśmy w milczeniu. – Zabłądziła pani? – zapytała.

– Nie, chciałam tylko się rozejrzeć. Strasznie tu pusto.

– Od dawna nikt tu nie mieszka. Tam bliżej drogi znajdzie pani więcej domów.

– Tak, widziałam je. Wszyscy się przenieśli?

– Raczej wyprowadzili, do miasta, na niziny. Młodzi strasznie emigrują, wie pani, do Hiszpanii... – przerwała i obejrzała się za siebie. – Przepraszam, ale dziecko mi płacze – obróciła się na pięcie i bez pożegnania zniknęła w drzwiach.

Objęłam wzrokiem dom. Nie był nawet otynkowany, a w okiennych szparach musiał nieźle hulać wiatr. Ile osób żyje tak jak ta rodzina? Czy jest tu miejsce na miłość? Czułość? Zrozumienie? A może właśnie jest, tu najbardziej? Słowa, które kiedyś zakłuły mnie tak boleśnie, pojawiły się ponownie. „Gdyby nie ty, już dawno nie bylibyśmy razem – mówiła moja matka – ...ale przez ciebie nie mog-liśmy się rozstać, mieliśmy związane ręce, przez ciebie, przez ciebie...”.

Gabriela wkładała klucz do dziurki i wyjmowała go, by znowu go włożyć. Dawno nieoliwiony zamek ustąpił dopiero po kilku próbach. Drzwi skrzypnęły i pod naporem drżącej ręki Gabrieli otworzyły się. Staruszka się zawahała. Jakaś jej część chciała wsunąć stopy w przestrzeń między futryną a drzwiami i otworzyć je szerzej, na oścież. Inna zaś unieruchamiała jej ciało, nie pozwalając na żaden, nawet najmniejszy ruch. Trwało dobrą chwilę, zanim kobieta odważyła się głębiej odetchnąć i z biciem serca godnym jakiegoś poważniejszego czynu przekroczyć próg niebieskiego pokoju. W środku panował półmrok. Gabriela próbowała przypomnieć sobie, czy to ona zaciągnęła tak szczelnie zasłony, ale jej pamięć nie potrafiła wydobyć z przeszłości jednoznacznej odpowiedzi. Niewiele pamiętała ze swojej ostatniej wizyty. Tamtego mrocznego dnia, gdy była tu po raz ostatni, jej umysł spowijała gęsta mgła zapomnienia, która chroniła ją przed szaleństwem.

Teraz rozejrzała się dookoła, próbując rozpoznać znajome sprzęty. Doznawała przy tym jakiejś fizycznej niemocy, która nie pozwalała jej wyciągnąć

ręki w stronę biurka, szafki ze zdjęciami ani podejść do okna, żeby rozsunąć zasłony i rozproszyć uciążliwy dla wzroku mrok. Czuła, że jeśli pozwoli mięśniom wykonać jakiś nieprzemyślany ruch, stanie się coś złego. Coś, czego nie będzie można już cofnąć. Dlatego stała na środku, przerażona i jednocześnie niezdolna do opanowania drżenia nóg.

Podjejrany hałas z jadalni wybudził ją z tego dziwnego letargu. Być może to Benedita przysłała nieco wcześniej niż zwykle, a może listonosz zostawiał właśnie przesyłkę dla Leonarda. Tak czy inaczej, Gabriela zrobiła trzy kroki w stronę drzwi i zamknęła je zdecydowanym ruchem, a potem przekręciła klucz w zamku, odcinając sobie tym samym jedyną drogę ucieczki.

Jej serce się uspokoiło. Teraz mogła bez przeszkód rozejrzeć się po ścianach i meblach. W pomieszczeniu unosił się duszący zapach starego kurzu i wilgotnej stęchlizny. Przez chwilę Gabrieli zdawało się, że przyjdzie jej tu wydać ostatnie tchnienie. Zebrała się jednak w sobie i postąpiła krok do przodu. Rzędy książek stały równo na półce wiszącej nad łóżkiem. *Medycyna i patofizjologia kliniczna, Przewodnik diagnostyki i terapii, Anatomia narządów wewnętrznych...* Gabriela знаła na pamięć te tytuły. Choć tyle razy przeklinała te księgi i tyleż samo razy miała ochotę cisnąć je w rozpalony kominek. A gdyby tak rzeczywiście zrobiła? Wyciągnęła dłoń po zdjęcie stojące przy książkach. Rozklekotana owalna ramka omal nie rozpadła jej się w rękach. Pod warstwą kurzu rozpoznała siebie i swego pierwszego męża. U stóp młodych ludzi siedziały na rozłożonym kocu dzieci. Tylko Leonardo patrzył w obiektyw uważnymi oczami, pozostałe maluchy zajęte były swoimi sprawami – układaniem pomarańczy w równym rzędku na brzegu koca. Gabrielę przepełniło nagłe uczucie goryczy, które zostawiło w jej ustach gorzki, metaliczny smak. Trzeba było to przewidzieć, pomyślała. Lepkie opary wspomnień wyciągnęły do niej swoje macki i już, już miała się im poddać, kiedy nagle przypomniała sobie: Nie po to tu przyszłam, i zdecydowanym ruchem dłoni odgoniła lęki.

Poszukała wzrokiem krzesła, na którym Horacio często siadał, studiując jakieś skomplikowane przypadki. Spędzał całe noce nad książkami i skryptami, nie szanując potrzeb własnego ciała, nie zważając na zmęczenie i brak snu, zapominając o posiłkach i konieczności zaczerpnięcia świeżego powietrza. Krzesło stało w tym samym miejscu prawie od trzech dekad, sfatygowane i o niemodnym kształcie, ale nieprzestawione ani o centymetr od tamtego wieczoru, gdy widzieli się po raz ostatni. I tak jak tego oczekiwała, siedział na nim Horacio.

Kiedy weszłam do winiarni, ogarnęła mnie ciemność. Przez malutkie okno gdzieś na końcu korytarza wpadało trochę światła, ale nie było go na tyle dużo, by rozjaśnić wnętrze budynku. Choć nigdy nie widziałam tu żadnego szczura, byłam

przekonana, że właśnie w chłodnej i ciemnej winiarni żyją ich dziesiątki. Poszukałam po omacku włącznika. Jarzeniówki zasyczały i jaskrawa biel rozlała się po ścianach.

W długim korytarzu, na betonowym podwyższeniu stały cylindryczne kadzie z porto. Do każdej przyczepiono tabliczkę z datą zlewu, szczepem winogron i zapisem pomiarów, które czyniono według restrykcyjnego kalendarza. Przeciągnęłam dłonią po powierzchni kadzi. Była gładka i zimna w dotyku, ale rzędy cyferek na tabliczce świadczyły niezbicie o tym, że w środku znajduje się efekt jednego z cudów natury – sok uległ przemianie w wino. Niewysokie schodki prowadziły do drugiej części winiarni. Nie zdążyłam jednak wspiąć się na pierwszy stopień, kiedy jedne z drzwi w pomieszczeniu uchyliły się i pojawił się w nich Leonardo. Rozmawiał przez telefon.

– Wiem. Obiecuję, nic takiego się nie zdarzy. Pamiętam umowę, a poza tym ona jutro wyjeżdża.

Wstrzymałam oddech. Leonardo najwyraźniej nie wiedział, że jestem tuż obok.

– Tak, to oczywiste, nie obawiaj się, panuję nad sytuacją – mówił dalej. – Nie jestem aż tak krótkowzroczny, znasz mnie. Ależ daj spokój! Sam jej na to pozwoliłeś! Tak... dzięki, że zadzwoniłeś.

Kiedy skończył, wychyliłam lekko głowę. Wuj usiadł na betonowym stopniu i przez chwilę patrzył w skupieniu na telefon, jakby chciał z niego wyczytać dalszy ciąg rozmowy. Zmarszczył czoło i przygryzł wargi. Wreszcie podniósł wzrok, ale jeszcze bezmyślnie obracał komórkę w dłoni. Ta rozmowa najwyraźniej wytrąciła go z równowagi. Nie mogłam dłużej stać w bezruchu z ręką zawieszoną na poręczy. Stuknęłam głośniejszym obcasem w posadzkę i wyszłam zza rogu.

– Sophie! – Leonardo poderwał się na równe nogi. – Wstałaś już?

– Dzień dobry. Miałam ciężką noc, musiałam odespać. – Ziewnęłam. – Z kim rozmawiałaś?

Leonardo spojrzał na ciągle trzymany w dłoni telefon.

– Twój ojciec do mnie dzwonił.

– Mój ojciec?

– Tak. Pytał, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Tylko tyle?

– Chciał też wiedzieć, kiedy wyjeżdżasz. Powiedziałem, że jutro.

– Aha – przytaknęłam, choć byłam zdziwiona. Mój ojciec niezmiernie rzadko dzwonił do kogokolwiek z rodziny, a Leonardo na pewno nie należał do osób, z którymi chętnie rozmawiał telefonicznie. Poza tym wiedział, że już jutro będę w Londynie. Przypomniałam mu o tym kilka dni temu. Myśl, że mogli omawiać jakieś wspólne sprawy, wydała mi się absurdalna. Tak niewiele ich przecież łączyło.

– Chciałaś wejść na górę? – zapytał wuj z przesadnym zapalem.

Chcąc nie chcąc, potwierdziłam.

– To są pojemniki do ugniatania winogron, zobacz. – Wskazał na cztery granitowe kwadraty zajmujące przestrzeń na wyższym poziomie winiarni. – Mówimy na nie *lagares*¹⁶. Z każdego zlewa się po dziesięć, czasami więcej, beczek wina. Do ugniatania potrzeba z piętnastu mężczyzn! Coraz trudniej znaleźć chętnych do tej roboty, dlatego niektórzy producenci korzystają ze specjalnej maszyny. My jednak nadal ugniatamy stopami. Przyjedź na przełomie sierpnia i września, jeśli chcesz to zobaczyć.

– Na razie muszę stąd wyjechać. Co prawda niczego nie dokonałam – westchnęłam. – Nic nie załatwiłam...

– Sophie, nie dramatyzuj. To trudna ziemia, z kiepskim dojazdem. Ale ma też swoje plusy, więc nie martw się, w końcu ktoś zechce ją kupić. Potrzeba tylko cierpliwości.

W pokoju spowitym w wilgotną ciemność, nieproszone, ale wyraziste, przewijały się przed moimi oczami obrazy z ostatnich dni. Zobaczyłam długą ścieżkę, którą wędrowałam w górę brunatnego zbocza, Leonarda strącającego liście winorośli, babkę przemykającą w nocy po ciemnym korytarzu, niebieskie drzwi, winiarnię, ślad serca na schodach. Obrazy układały się w film, klatka po klatce, aż do końca, a potem powtarzały od nowa. Znowu był więc Leonardo, winiarnia, babka... Zirytowana przekręciłam się na brzuch i wcisnęłam twarz w poduszkę. Film zatrzymał się, ale wtedy pojawiły się słowa rozmowy, którą usłyszałam niechcący w winiarni. Wuj dyskutował z moim ojcem, to było takie dziwne. Jakaś umowa, obietnica, nerwowość słyszalna w każdym niemal słowie wypowiedzanym przez Leo. Przypomniałam sobie kolejne fragmenty wieczoru. Leonardo opowiadający przy kolacji anegdoty i jego wesołość, która teraz nagle wydała mi się wymuszona. Widoczne przygnębienie, kiedy przestał mówić. Od kilku dni wyglądał na zaniepokojonego, zdenerwowanego. I jeszcze Horacio... o nim nikt w ogóle nie chciał rozmawiać. Dlaczego?

Zegar wybił północ, a ja nadal przekręcałam się w łóżku, szukając dogodnej pozycji do spania. Zostało mi pięć godzin snu, pomyślałam z przestrawieniem, nie wstanę na pociąg! Nakryłam się kołdrą po czubki uszu i zacisnęłam powieki. I wtedy zmroziła mnie myśl, że może ojciec i Leonardo knuli coś za moimi plecami w związku ze sprzedażą winnic. Może Leonardo naciskany przez Gabrielę obiecał ojcu coś w zamian za to, że pozwoli mu uniemożliwić sprzedaż albo chociaż ją opóźni. Czułam się dziwnie, dopuszczając do głowy podobne przypuszczenia. Nie, to byłoby zbyt nieuczciwe, nie mogliby mi tego zrobić. Zresztą ojciec zaaprobował pomysł sprzedania ziemi bez mrugnięcia okiem. W zasadzie wyglądało to tak,

jakby możliwość pozbycia się tej uwierającej spuścizny bardzo go ucieszyła.

Spojrzałam na papierowe zawiniątko, które wieczorem położyłam na stoliku przy łóżku. W środku był prezent, który dostałam na pożegnanie od babki – spinka do włosów w kształcie dość abstrakcyjnego ptaka. Pióra w jego ozdobnym ogonie były połączane, a w miejscu oka błyszczał rubin. Spinka nie była w moim guście, ale sam gest babki miał dla mnie duże znaczenie, obdzielanie tego typu podarunkami nie leżało w jej naturze. To jedna z moich najstarszych ozdób, powiedziała, podając mi wsuwkę. Bardzo ją lubiłam. Mam nadzieję, że będziesz miała okazję ją nosić.

Kiedy wybrzmiały ostatnie słowa babki, zapiszczał sygnał w komórce leżącej przy łóżku. Przetarłam oczy, a więc jednak zasnęłam. Na wpół przytomna zaczęłam się ubierać. Było tak przeraźliwie zimno, że część garderoby wciągnęłam z kołdrą na plecach. Włożyłam spinkę do podręcznej torebki, poprawiłam pościel i z walizką w ręce wyszłam na korytarz. Staralam się nie hałasować, by nie obudzić wuja i babki, ale kiedy weszłam do kuchni, Gabriela już tam była. Owinięta szlafrokiem, jeszcze zasnana, ale z elegancko ułożonymi włosami, wyglądała jak arystokratyczna zjawia.

– Babciu, dlaczego nie śpisz? – Nie posiadałam się ze zdziwienia.

– Dzień dobry. Jakoś nie mogłam. Dużo myślałam... – zawahała się i urwała. – Zaparzyłam świeżą herbatę.

– Dziękuję, mam tylko kilka minut, zaraz przyjedzie taksówka.

– Nie zjesz śniadania? Nie można wychodzić bez jedzenia, to bardzo niezdrowe. Doktor Gaspar zawsze powtarza, że dobre śniadanie to zapowiedź udanego dnia. Śniadanie zjedz jak król, obiad jak mieszczanin, a kolację jak żebrak, tak mawiano w Polsce. Usiądź, dziecko, i zjedz jak człowiek.

– To wystarczy. – Złapałam kromkę chleba i posmarowałam ją dżemem. – Naprawdę nie zdążę więcej zjeść.

– I po co ten pośpiech? To niejedyny pociąg do Oporto.

– Babciu, dlaczego Leonardo mówi Porto, a ty mówisz Oporto?

– Och, to kwestia przyzwyczajenia. Oporto powstało ze zlepiania portugalskiego „o”, będącego odpowiednikiem angielskiego „the”, z nazwą miasta. W ten sposób powstało „o Porto”. Dziwię się, że tego nie wiesz.

– Nie wiedziałam. A więc mam z Oporto samolot, on nie będzie czekał.

– Nabieram wody w usta i nic już nie mówię. Wy młodzi zawsze chcecie mieć rację. Ale żebyś chociaż w mieście coś zjadła. – Pogroziła mi palcem.

Taksówkarz trąbił już przed bramą. Chwyciłam walizkę i ruszyłam do drzwi. Gabriela zatrzymała mnie jednak ruchem ręki.

– Chodź no tu – powiedziała. A kiedy nie rozumiałam, o co jej chodzi, babka zrobiła krok w moją stronę i objęła długim, szczerym uściskiem.

Na ułamek sekundy czas się zatrzymał. Poczułam dziwne mrowienie

rozchodzące się od serca po całym ciele, aż po czubki palców i cebulki włosów na głowie. Znowu byłam małą dziewczynką, którą utula do snu czyjś ciepły głos. Jest pogodny letni wieczór, po patiu kręci się mnóstwo osób, ale mnie to już nie obchodzi. Zaraz zasnę kamiennym snem beztroskiego dziecka i nie przebudzę się aż do rana, kiedy ostre słońce wdrze się do mojego pokoju i rzuci promień na poduszkę.

– Spodziewałeś się tego, synu? – Gabriela poprawiła troczki od koronkowego czepca przykrywającego jej siwe włosy.

– Kiedyś to musiało nastąpić.

– Co ten Antón wymyślił, po co przysłał tu Sophie samą? Biedny Thomas przewraca się w grobie. – Gabriela wyjęła z kieszeni chusteczkę i położyła ją starannie złożoną na kolanach.

– Chyba nie zamierzasz z tego powodu się zamartwiać? – Leonardo popatrzył zaniepokojony na matkę.

– Nic nie zamierzam – odburknęła. – Ale dobrze wiesz, że wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej.

– Eh, to niczyja wina. Sprzedajmy te winnice jak najszybciej, zanim Sophie zacznie zadawać za dużo pytań. I tak już zaczyna coś podejrzewać. Wiesz, że Antón dzwonił? Chyba z obawy, że się przed Sophie wygadamy.

– Cały Antón. Mój syn nigdy nie wierzył, że jego matka umie dochować tajemnicy. Sophie jest do niego podobna, też nam nie dowierza. Pytała mnie o Horacia.

– Co jej powiedziałaś?

– Nic.

– To dobrze. Ona ma nas za odmieńców. Ale to się zmieni, zobaczysz, że to się teraz zmieni.

– Myślisz, że jest jej dobrze?

– Chyba tak, nie wiem. Wygląda na to, że tak.

Gabriela pociągnęła nosem i wyrównała fałdkę na spódnicy. Chusteczkę schowała z powrotem do kieszeni.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Tydzień później Leonardo zaczął przygotowywać się do zbioru oliwek. Kiedyś oliwa z oliwek była niezbędnym surowcem służącym do oświetlania domów w regionie. Dzisiaj nie była już używana do tego celu, ale stanowiła składnik niemal każdej lokalnej potrawy, nie można więc było jej lekceważyć. W ramach jesiennych porządków planował dopilnować naprawy drogi dojazdowej

do domu, rozmytej w kilku miejscach po ulewnych deszczach, spalić uschnięte gałęzie winorośli, a popiół podsypać pod niektóre krzaki. Te wszystkie prace wypełnią mu czas do grudnia, potem chwila oddechu i już w styczniu ponownie będzie musiał zająć się pracą w winnicach.

Leonardo lubił powtarzać, że gdyby w historii ich rodziny nie wmieszał się szanowny Pombal, być może teraz wygrzewaliby swoje kości przy angielskim kominku, a nie wystawiali je na zimowe wiatry wiejące ze wschodu. Mawiał tak zwłaszcza wtedy, gdy dawało o sobie znać jego lewe kolano, swoisty barometr zwiastujący nadejście zimnych miesięcy albo po prostu sygnalizujący rychłą zmianę pogody.

Tutejszy klimat zaiste nie należał do najłagodniejszych. „Dziewięć miesięcy zimy i trzy miesiące piekła” – mawiano tak nie tylko o Trás-os-Montes, ale i o Douro, charakteryzując w ten sposób amplitudę temperatur powietrza typową dla regionu. Na jesieni i w zimie dni bywały tak deszczowe, że mieszkańcy quint wychodzili z domu tylko po to, by naprawiać rynny pękające pod naporem wody i ratować kamienne tarasy, które osiadały w rozmokłej ziemi jak wisienki w dobrze wypieczonym cieście.

W lecie z kolei nie padało czasem przez kilkanaście tygodni z rzędu, a gdy zaczynały się zabójcze upały, co zdarzało się często, płonęły lasy. Rozprzestrzeniający się dym zagrażał uprawom w dolinie i plantatorzy drżeli na myśl, że owoce przejdą jego zapachem, co zmieni smak i aromat młodego wina. Ale suszy nie dawało się zapobiec. Winnice nie posiadały systemów irygacyjnych, nie nawadniano ich celowo, gdyż krzewy świetnie radziły sobie same, zapuszczając długie korzenie i szukając naturalnych zasobów wodnych głęboko w ziemi. Konieczność walki o wodę, wysiłek, który krzew musiał uczynić, by sięgnąć do źródła, sprawiał, że owoce, które wydawał, były słodsze, pełniejsze w smaku. Przyznać trzeba, że szczepy, które przystosowały się do tak ekstremalnych warunków, dawały owoce najszlachetniejsze ze szlachetnych.

Klimat Douro był zdradliwy, nawet podczas upalnego i suchego zazwyczaj lata mogła zdarzyć się katastrofalna ulewa, kiedy to bezchmurne niebo nagle zasnuwało się szarością i w kilkanaście minut zalewało potężnym deszczem hektary winnic. Jeśli kilka takich ulew przeszło w porze zbiorów, winogronagniły, pleśniały i rozmaślały się po wzięciu do ręki.

Prawdą jest też, że mikroklimat Alto Douro zmieniał się. Najstarsi plantatorzy z rozrzewnieniem wspominali dawne czasy, gdy cała przyroda była bardziej przewidywalna. Teraz każdego roku pogoda była inna i nikt nie mógł przewidzieć, jakie będą zbiory, dopóki wszystkie winogrona nie zostaną zebrane i przewiezione do winiarni.

2 *Tripeiros* – czyli „jedzący flaczki”, tak nazywa się potocznie mieszkańców Porto. Pozostałość po czasach, gdy najlepsze kęski mięsa trafiały do marynarzy,

a flaki i podroby – do mieszczan.

3 *Pingo* – czarna kawa z kroplą mleka.

4 *Barco rabelo* – rodzaj łodzi o płaskim dnie, przez stulecia zwożono nią z nurtem Douro beczki drogiego portu. *Rabelos* pokonywały trasę ponad 200 kilometrów, by przybić do Vila Nova de Gaia, miejsca składowania wina.

5 Dona Antónia Ferreira – XIX-wieczna portugalska bizneswoman, prawdziwa królowa portu. Odziedziczyła spory majątek, ale pomnożyła go wielokrotnie, korzystając ze swojej intuicji i zmysłu do interesów. Uwielbiana w Douro.

6 Chodzi o Companhia Geral da Agricultura das Vinhas do Alto Douro, założoną w 1756 roku.

7 Największy kataklizm naturalny w Lizbonie miał miejsce w dzień Wszystkich Świętych 1775 roku.

8 Bezpośrednią przyczyną zamieszek w 1757 roku było podniesienie przez angielskich producentów cen portu. Protestowali właściciele tawern i ich klienci, a także plantatorzy winnic nieobjętych apelacją. Z polecenia Pombala wykonano wtedy 26 egzekucji, 470 osób wtrącono do lochów, 26 wysłano na galery, a 52 deportowano do Afryki. Innym skonfiskowano majątki i nałożono grzywny.

9 *Confeitaria* – tradycyjna kawiarnia.

10 *Vende-se* – na sprzedaż.

11 *Pastel de nata* – rodzaj babeczki wypełnionej jedynym w swoim rodzaju kremem jajecznym, przysmak bardzo portugalski.

12 *Cimbalino* – kawa mała, mocna i aromatyczna. Nazwa pochodzi od pierwszego włoskiego ekspresu do kawy „La Cimbali”, który pojawił się w Porto. W Lizbonie tę samą kawę nazwą *bica*.

13 *Açorda de marisco* – wyśmienite danie ze świeżymi krewetkami, dużą ilością czosnku i oliwą. Kiedyś potrawa dla biedoty (zwłaszcza w Alentejo), dziś raczej przysmak.

14 Café Majestic – kiedyś miejsce spotkań śmietanki towarzyskiej, dzisiaj elegancka kawiarnia w starym stylu, okrzyknięta jedną z najpiękniejszych w Portugalii. Działa od 1921 roku.

15 *Balseiros* – dębowe, pionowo ustawione kadzie, w których dojrzewa portu. Pojemność nawet do 100 tysięcy litrów.

16 *Lagares* – w tych kamiennych basenach na planie kwadratu, dość płytkich, ale pojemnych, ugniecione stopami winogrona pozostawia się do fermentacji.

Londyn, trzy dni później

Wróciłam do Londynu z katarem i pustymi rękami. Na szczęście miałam P., a on umiał zaradzić mojej słabej formie i robił to w najlepszym stylu. Siedzieliśmy w pokoju otuleni cichymi dźwiękami płynącymi z radia, a P. masował mi stopy. Zawsze tak robił, kiedy widział, że ogarnia mnie markotny nastrój. Znał się na akupresurze i szczerze ze swych umiejętności korzystał. A ja pod wpływem jego dotyku topniałam jak śnieg na wiosnę. Moje smutki się ulatniały, mruczałam leniwie i podkulałam palce, kiedy dotykał najwrażliwszych miejsc na mojej stopie. Czułam się jak wygłaskany, dopieszczony kot. Tak możesz czuć się tylko w dzieciństwie, kiedy jesteś przekonana, że wszyscy cię akceptują, nawet jeśli pełno w tobie niedoskonałości.

Popijałam małymi łyčzkami herbatę zaprawioną whisky (kolejna metoda podwyższania formy) i opowiadałam P. o wizycie w Douro. Marne były szanse na szybką sprzedaż mojego prezentu urodzinowego. Zastanawiałam się, czy nie poszukać kupca w Londynie, ale P. ostudził mój zapał – kto by się zainteresował kawałkiem zapuszczonej ziemi w środku Portugalii. Żeby chociaż na wybrzeżu lub w Algarve...

Podciągnęłam koc pod samą brodę, podczas gdy P. pracował dalej nad moimi stopami. Mogłam tylko uzbroid się w cierpliwość, licząc na odzew z Douro. Zawsze to lepsze niż odhaczanie dni do końca stażu P., a przynajmniej nie tak przewidywalne – nie pozbawia nadziei.

Masowanie zamieniło się w głaskanie, a potem P. złożył na mojej kostce ciepły pocałunek. Przeszły mnie ciarki.

Wiedziałam, że wrócę do Douro. Nie spełniłam przecież prośby ojca. Pytałam o Horacia, ale... babka nie była skora do rozmowy o nim. Nie byłam z nią na tyle blisko, by przypierać ją do muru i wymuszać odpowiedź. Odłożyłam to na następną wizytę.

Przymknęłam oczy, pod kocem zrobiło się jakoś cieplej. Czasami czytaliśmy w ten sposób książki. P. kładł się obok mnie, otwierał Terry'ego Pratchetta i czytał, dopóki nie zasnąłam. Pamiętam, że spędziliśmy w ten sposób wiele wieczorów podczas naszego pobytu w Szkocji – pogoda nie zachęcała, by wychodzić na powietrze, a nam przecież wystarczyło własne towarzystwo. Lubiłam ten moment, kiedy opierałam głowę na ramieniu P., w przeczuciu, że za chwilę zasnę. Czułam wtedy wyjątkową z nim bliskość, jakbyśmy na moment przeistaczali się w jeden organizm. Uważam zasypianie za jeden z najbardziej intymnych momentów w życiu człowieka, właśnie zasypianie, a nie na przykład seks. Człowiek, zasypiając, staje się bezbronny, nagle bez względu na wiek i charakter, a nawet

swoje przewinienia, cofa się do stanu niewinności i łagodnieje.

Pocałunki P. sięgnęły mojego pępka. Były jak stemple afirmacji, łagodziły rozczarowanie.

P. powtarzał często, że ciało to miniatura wszechświata, miliony komórek, a każda żyje swoim życiem. Podobało mi się, jak P. pojmował świat. Wszystko było dla niego takie do ogarnięcia, zrozumienia. Moje komórki chciały teraz wyłącznie jednego – chciały P. Przyciągnęłam jego twarz do swojej. Koc nie był już potrzebny, zrzuciliśmy go na podłogę.

A potem swoje ubrania.

Quinta de São Francisco, lato 2006

Kiedy straciłam już nadzieję, że znajdzie się nabywca na moją ziemię, zadzwonił Osvaldo. Znalazł kupca. Kobieta zdecydowaną, by wejść w posiadanie mojej działki. Rozmowa była krótka i treściwa. Prosił, abym wzięła wszystkie niezbędne dokumenty do sporządzenia umowy i przyjechała do Douro. Powiedziałam „przylatuję” i niemal natychmiast, odkładając na bok wszystkie sprawy, zaczęłam się pakować.

Była już pełnia lata. W Douro powitał mnie upał, o którym podczas listopadowej wizyty mogłam jedynie pomarzyć. Powietrze było suche i gęste, niemal lepkie, rozgrzewało ciało z każdym oddechem.

Pomimo szczerych chęci Leonardo nie mógł pojechać ze mną na spotkanie. W posiadłości miał teraz pełne ręce roboty, nie nadążał z dopilnowaniem wszystkiego. Poradził mi tylko, abym nie podejmowała pochopnych decyzji ani nie zgadzała się na żadne sugestie, zanim ich porządnie nie przemyślę. To spotkanie miało być zarazem wstępną rozmową z kupcem. Nie martwiłam się brakiem towarzystwa wuja, znałam drogę i nie potrzebowałam wprowadzenia mnie do Quinta do Frade.

Drzwi starego domu były tym razem szeroko otwarte. Weszłam do środka, chrząknięciem sygnalizując swoją obecność. Nikt jednak się nie odezwał, nie było też śladu pięknej asystentki. W pokoju, który pamiętałam z jesiennej wizyty, panował tym razem przyjemny chłód. Przedmioty stały dokładnie w tych samych miejscach, jakby przez te kilka miesięcy pomieszczenie nie było przez nikogo używane. Spojrzałam na niezliczone fotografie rozwieszane w ramach na ścianie. Na jednym, bardzo starym zdjęciu trzypokoleniowa rodzina usadowiła się na tle Rio Douro. Zajmowali kamienny taras, skurczony staruszek z bokobrodami, kilkuletni chłopczyk w marynarskim stroju oraz bardzo elegancka dama z otwartą książką w dłoni.

– Ach, tu jesteś! – usłyszałam nagle za sobą głos.

Odwróciłam się. Stała za mną kobieta o radosnej aparycji, ubrana w kremową, zwiewną tunikę.

– Jestem żoną Osvalda, mąż zaraz wróci – przedstawiła się. – Patrzysz na zdjęcia? Spójrz tutaj. – Nachyliła się nad wyblakłą fotografią, zachęcając mnie, bym uczyniła to samo. – To mój pradziadek, uwielbiał pielęgnować róże, zasadził ich cały ogród, krzyżował i wynajdywał nowe gatunki, znał się na nich jak botanik. W mojej rodzinie każdy miał jakąś pasję, jeden brat ojca kolekcjonował klucze, drugi badał pszczoły. Biedne ciotki miały tego po dziurki w nosie. A tutaj – popchnęła mnie lekko pod drugą ścianę – tutaj to moje dalekie kuzynki. Ana

zmarła na jakąś rzadką przypadłość, Antónia była lesbijką. Ich matka dostała w prezencie ślubnym ciało świętej, prawdziwej świętej, trzymając ją w prywatnej kaplicy w swojej posiadłości. Wiesz, w Portugalii osławiamy w ten sposób śmierć – westchnęła i zaraz klasnęła w dłonie. – Ach, nie uwierzysz, kto jest na tej fotografii! – wskazała na piękną kobietę w kapeluszu. – To moja matka, zanim rozwiodła się z ojcem. Bardzo się kochali, dlaczego więc się rozwiedli? I to w tamtych czasach? Tego nikt nie wie, moja rodzina była, wiesz – tu zrobiła ruch ręką wokół czoła – fiśnięta. Oto i jest mój małżonek! – uradowała się na widok wchodzącego Osvalda. – Przekazuję cię w jego ręce. – Podała mi dłoń na pożegnanie i zniknęła w ciemnym korytarzu.

Osvaldo zaokrąglił się jeszcze bardziej, guziki białoniebieskiej koszuli, w którą się wbił, z trudem wytrzymywały nacisk jego okazałego brzucha. Zarumienił się też na twarzy, zapewne wskutek przebywania na słońcu. Zapropował mi kawę, dobrze zaparzoną, słodką i gęstą jak śmietanka. Kobieta, która chciała kupić ziemię Winefordów, przyszła trzydzieści minut później, gdy zdążyliśmy z Osvaldem przygotować papiery, które chciała zobaczyć kupująca.

Miała na sobie prostą sukienkę przepasaną na wysokości talii cienkim paskiem. Jej włosy o nieczęsto spotykanym wśród portugalskich kobiet złotobrazowym odcieniu błyszcząły w słońcu. Na jej twarzy znać było upływ czasu, ale zagadkowe spojrzenie, żywe gesty i sprężyste ruchy ciała odejmowały jej lat.

Uścisnęła moją dłoń tak serdecznie, jakbyśmy już kiedyś się poznały, ale jej wzrok przewiercał mnie na wylot. To spojrzenie wbiło mnie w ziemię, było w nim coś niepokojącego, coś, co sprawiło, że z wysiłkiem wyprostowałam się i poprosiłam, abyśmy przeszli do meritum.

– Panie się jeszcze nie znają. To pani Camila Hernandez – Osvaldo wskazał na kobietę – zainteresowana kupnem winnic, a to – zawiesił głos – Sophie Wineford. Myślę, że dobrze się złożyło, że panie się spotkały, ponieważ jedna z parceli senhory Hernandez przylega właśnie do ziemi Winefordów. Lepszej sytuacji nie można sobie wymarzyć, czyż nie? – Spojrzał na Hernandez, ale ona nie wykonała żadnego potwierdzającego ruchu. Ja również siedziałam sztywno. Osvaldo przeszedł naokoło biurka i westchnął wyraźnie zniechęcony. Otworzył szufladę i chciał sięgnąć po papierosa, rozmyślił się jednak i cofnął rękę. Usiadł i zakaszał astmatycznym kaszlem. – W każdym razie, moje miłe... Czy wie pani, że eukaliptus to niesamowicie wytrzymałe drzewo? – Wycelował we mnie palcem.

– Tak? – podskoczyłam. – Nie znam się na drzewach.

– Jego korzeń może mieć nawet pięć kilometrów długości, niesamowite, prawda? Wysokość nawet i sto metrów. A do tego pali się jak papier, co ja mówię, lepiej niż papier! Trzydzieści pięć tysięcy drzew zasadzono sto trzydzieści lat temu wokół Coimbrы, a teraz eukaliptusy są wszędzie. Wiecie, że sprowadził je jeden

człowiek? Sir Joseph Banks, przyrodnik, a do tego Anglik!

– Eukaliptus to drzewo chwast, panie Osvaldzie. Taka sama plaga dla Portugalii jak królik dla Australii. Przez eukaliptusy płoną lasy, każdy o tym wie – wtrąciła sucho Camila Hernandez.

– Tylko się upewniam. A olejek eukaliptusowy? Albo miód. Czy miód z eukaliptusa nie jest pyszny?

– Jest – potwierdziłam. – I do tego drogi.

– A właśnie! Młoda damo, do tego zmierzam. Eukaliptus to chwast, ale człowiek potrafi ze wszystkiego zrobić użytek. Olejki, miody, papier, meble i co tam jeszcze. Może powinniśmy zacząć go uprawiać?

– Chyba nie chce pan uprawiać eukaliptusów w Douro?

– Ależ skąd, zupełnie gdzie indziej, zupełnie, ale to na razie tylko plany. A zielona herbata? Co panie o niej myślą?

– W jakim sensie? – zaczynałam się gubić.

– W sensie uprawy, rynków zbytu, zysku...

– To chyba bardziej Azory?

– Wystarczy wybrzeże. Już ją tam uprawiają – poinformowała Hernandez.

– A więc za późno, no nic, pozostanę przy eukaliptusie. Przechodząc do rzeczy... pani Hernandez może teraz spojrzeć w dokumenty, o które prosiła, są tutaj. – Osvaldo podsunął kobiecie kilka kartek. – O cenie same panie porozmawiają, w razie potrzeby służę wsparciem.

– Skoro mówimy o cenie, tak jak wspominałam, chciałabym obniżyć ją o dziesięć procent.

– Nie było o tym mowy! – Poczulałam się zaskoczona.

Osvaldo podrapał się po błyszczącej łysinie.

– Ach, nie powiedziałem?

– Nie, panie Osvaldo, nie powiedział pan. Ani przez telefon, ani kiedy robiliśmy ustalenia przed spotkaniem.

– Przykro mi – chrząknął. – Pani Hernandez zadzwoniła do mnie dziś rano, widać wyleciało mi z głowy.

– Nie dysponuję taką sumą. – Camila Hernandez zaplotła dłonie, próbując się wytłumaczyć. – Poza tym każdy potwierdzi, że ta ziemia nie jest tyle warta. To mało atrakcyjny nieużytek. Chcę go kupić, bo tak jak powiedział se-nhor Osvaldo, moja działka leży obok pani działki i mogę łatwo je połączyć. I tak zapłacę więcej, niż powinienam.

– Potrzebuję chwili do namysłu – poczułam, że robi mi się gorąco.

– Dobrze. Rozumiem, w zaistniałej sytuacji należy pewne sprawy przemyśleć, aczkolwiek doradzałbym mądre decyzje. I proszę pamiętać, czas to pieniądz.

– Proszę się nie zniechęcać. – Hernandez uśmiechnęła się. – Nie znajdzie

pani lepszego kupca. W każdym razie nie tutaj. Ta ziemia będzie leżeć odłogiem przez kolejne dwadzieścia lat.

– Może mogłabym przystać na pięć procent, ale muszę to skonsultować. Ja... zadzwonię – obiecałam. – Tak czy inaczej, zadzwonię.

– Chce pani już zakończyć spotkanie? – Osvaldo poważnie się zaniepokoił. – Może spróbujemy ponegocjować... Pięć procent, pani Hernandez? To nadal dobra cena...

– Nie mogę oferować więcej, mówiłam. – Kobieta westchnęła z przesadą.

Siedzieliśmy przez chwilę skrępowani sytuacją. Wreszcie podniosłam się i pożegnałam. Potrzeba mi było świeżego powietrza. Musiałam oswoić się z myślą, że być może będę zmuszona sprzedać ziemię za sporo mniejszą kwotę. Mieszkanie, o jakim marzyłam, zaczynało kurczyć mi się w oczach. Wolałam poradzić się też Leonarda, on najlepiej wiedział, ile działka naprawdę jest warta. Chciałam jednak zrobić to dopiero wtedy, gdy sama podejmę decyzję.

– Proszę do nas zadzwonić – usłyszałam jeszcze za sobą Osvalda.

Wsiadłam do samochodu i pokonując kolejne zakręty wąskiej drogi, zjechałam w dół doliny. Minęłam kilka domów w miasteczku i dotarłam do stacji kolejowej Pinhão, będącej jednym z przystanków kolei Douro17. Za każdym razem, gdy wysiadałam tutaj z pociągu, mój wzrok zatrzymywał się na turkusowo-białych *azulejos*, którymi wyłożone były ściany budynku od strony torowiska. Kafelkowe obrazy przedstawiające prace przy zbieraniu winogron witały podróżnych niczym bramy nieba i faktycznie wysiadający mogli mieć wrażenie, że trafili do raju. Stojąc na peronie, widzieli zazielenione i skąpane w słońcu wzgórza, nie słychać było gwaru ulicy biegnącej za budynkiem stacji. Kraina wina zapraszała do siebie, bez względu na to, czy podróżny przybył z którejś leżącej na trasie pociągu wioski, z wielkomiejskiego Porto czy może z oceanu.

Dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo Douro odmieniło się przez te kilka miesięcy, podczas których przebywałam w Londynie. Dojrzało, złagodniało. Nawet ulice wyglądały inaczej. Przed kawiarnią kłębił się tłumek mężczyzn ubranych w kraciaste koszule, pokrzykiwali coś do siebie i śmiali się, co jakiś czas wymieniając zdania z mijającymi ich przechodniami. Pojawiły się też samochody, niektóre poobijane i zużyte, inne eleganckie, jakby wyjechały dopiero z samochodowego salonu.

Zatrzymałam się na skwerku ciągnącym się wzdłuż rzeki. Wiedziałam już, że zgodzę się na każdą cenę. Na niczym nie zależało mi tak bardzo jak na tym, żeby moi rodzice ułożyli sobie szczęśliwe życie beze mnie i żeby ja mogła naprawdę rozpocząć swoje z P.

Wracałam okreśną drogą, teraz nigdzie mi się nie spieszyło. Powoli wspinałam się serpentyną odsłaniającą coraz to nowe widoki. Położone na szczycie miasteczko pojawiało się, to znów zniknęło, jakby nie było do końca pewne, czy chce pokazać się nadjeżdżającym. Wreszcie dotarłam na górę, zaparkowałam pod rozłożystą palmą. Miejsce wydawało się pustawe, nie do końca jednak, bo na głównym placu w cieniu kościoła Nossa Senhora da Assunção drzemał samotny staruszek w kapeluszu.

– Dzień dobry – odruchowo go pozdrowiłam.

Staruszek otworzył oczy, jakby przebudził się z głębokiego snu. Patrzył na mnie zamglonym wzrokiem, a kiedy dotarło do niego, że ma przed sobą żywą istotę, uniósł kapelusz w geście powitania i przemówił:

– *Bom dia, senhora.*

Chciałam pójść dalej, ale mężczyzna nagle się ożywił:

– Piękny dzień, wart grzechu... szuka pani pewnie Marii Adelaidy?

– Adelaidy? Raczej nie...

– Święta leży w cmentarnej kapliczce – szepnął konspiracyjnie. – Niedaleko. Wie pani, że wydobyto ją z ziemi po trzydziestu ośmiu latach od śmierci? Tak, tak, a od tamtej pory jej włosy i paznokcie nie przestają rosnać... Klucze do kaplicy trzyma Fernando, ale pomogę pani je zdobyć.

– Ale ja dziękuję, naprawdę. – Nie miałam ochoty na spotkanie z martwą świętą. Nie w tym celu zjechałam z głównej drogi.

– Nie? – staruszek wyraźnie się zmartwił. – Nie chce pani zobaczyć naszej panienki, świeć Panie nad jej duszą?

– Nie chcę oglądać zmarłych, dziękuję.

– Widać, że senhora nie jest stąd. My, Portugalczycy, lubimy być blisko swoich, nawet jeśli nie są żywi. Proszę zaczekać, zapoznam chociaż senhorę z moim wnuczkiem. Pedro! – zawołał nagle, zanim zdążyłam zaprotestować. – Pedro, chodź no tutaj!

Zza stojącego na środku rynku kamiennego *pelourinho*¹⁸ wyjechał na białym, ale nieco przybrudzonym koniu młody jeździec w koszulce polo. Rzucił mi przelotne spojrzenie:

– Co się dzieje, dziadku, w czymś pani trzeba pomóc?

– Dziękuję, chciałam tylko się przejść – wtrąciłam.

– A to proszę, tam w dół uliczką do końca Barcos albo w górę, za cmentarzem jest park miejski. Mogę podwieźć – zaoferował się.

– Poradzę sobie sama...

– Na pewno?

Kiwnęłam głową i czym prędzej się oddaliłam. Tylko jeden samochód przemknął koło mnie podczas wędrowki. Minęłam wspomniany cmentarz z kaplicą Świętej Barbary i doszłam do parku. Gdzieś tutaj, jak wskazywała tabliczka, biegła

niegdyś droga krzyżowa, po której pątnicy wspinali się na wzgórze. Wyżej musiała więc być kolejna kapliczka. Faktycznie, po kilkuset metrach wspinaczki stanęłam przed wczesnochrześcijańską budowlą o grubych murach, wrośniętą w ziemię, jakby stała tu od stworzenia świata.

Dziwna, przywołująca przeszłość aura tego miejsca sprawiła, że przypomniałam sobie pewien obraz. Jestem w dużym, jasnym pomieszczeniu. Słyszę znajome głosy, może rodziców, może tylko jednego z nich. Ktoś bierze mnie jednak na ręce i przenosi z tego przyjemnego miejsca do zaciemnionego, małego pokoju. Kładzie mnie w łóżeczku, to akurat pamiętam bardzo wyraźnie, z drewnianymi szczebelkami, wystarczająco szeroko rozstawionymi, by włożyć pomiędzy nie rączkę, ale zbyt wąskimi, by się prześlizgnąć całym ciałem. Te ciepłe, duże dłonie znikają, razem z miękkim głosem, który sprawiał, że czułam się tak dobrze. Nie chcę tu być, nie chcę zostać sama... Nie rozumiem jeszcze, co się dzieje, wstaję więc, próbuję wyjść z łóżeczka, jestem jednak zbyt mała, by tego dokonać, zaczynam płakać i nawoływać, kogo?, pewnie rodziców, tatę, mamę.

Nikt jednak nie przychodzi, nikt nie zapala światła, nie słychać żadnych kroków na korytarzu, nie pojawiają się znajome głosy, żadne ręce nie wyjmują mnie z łóżeczka. Zmęczona siadam i dopiero teraz zaczynam się rozglądać. Nie potrafię dostrzec żadnych szczegółów, jest zbyt ciemno, widzę tylko białą ścianę, pod którą stoi moje łóżko, a w tej bieli rysuje się kilka pęknięć w tynku, kilka pionowych rys biegnących od sufitu do dołu, widocznych jak żyłki na wyteżonej z wysiłku twarzy. Zaczynam im się przyglądać, a im dłużej to robię, tym bardziej się boję, bo pęknięcia na ścianie są coraz większe, potężnieją z każdą minutą, rozrastają się na cały pokój jak lepka pajęczyna, wydają się żywe, jeszcze chwila, a dotrą do mnie samej, a przecież nie mogę uciec, bo niby jak, wszyscy mnie opuścili. Jestem zbyt przestraszona, by wydobyć z siebie głos albo chociaż szept. Tkwią więc tak w niemym stuporze niezdolna, by się uratować.

To przeżycie zapada w moją pamięć, choć trzeba ponad dwóch dekad i znalezienia się na opustoszałym wzgórzu w Douro, by wydobyć je z pamięci.

Gabriela przysiadła na łóżku obok Horacia. Czekwała na ten moment od dawna, a teraz, kiedy nadszedł, czuła się zbyt przejęta, by sensownie myśleć. Horacio w przeciwieństwie do niej nie wydawał się zdenerwowany ani tym bardziej zaskoczony. Gabriela odniosła wrażenie, że się jej wręcz spodziewał, że na nią czekał. Poczuli się tym faktem skomplementowani. Spojrzała na niego z czułością. Ubrany w jasną koszulę, jak zawsze z nienagannie odprasowanym kołnierzykiem, już samym swym wyglądem wzbudzał szacunek i zaufanie. Zauważyła coś jeszcze – po raz pierwszy od dawna wydawał się odprężony i spokojny, bez cienia frasunku na twarzy. Nie chciała zaburzyć tego stanu,

milczała więc, czekając, aż Horacio odezwie się pierwszy.

Zamiast dobrze znanego jej głosu usłyszała jednak obcy, męski baryton. Odwróciła się gwałtownie w stronę, skąd dochodził.

– Tu mnie boli. – Mężczyzna w dojrzałym wieku rozpinał za jej plecami koszulę i wskazywał na swoją potężną klatkę piersiową. – Jakby mnie kto ścisnął w imadle, panie doktorze...

– Proszę usiąść. – Horacio łagodnym tonem zaprosił mężczyznę na stołek obok. – Od dawna? – zapytał.

– Tydzień, może dwa... normalnie ledwie chodzę.

Z troską w oczach przyjrzał się pacjentowi i używając stetoskopu, zaczął go badać. Mężczyzna zamilkł.

Przez kolejne minuty Gabriela ze zdumieniem obserwowała, jak gęsto zarośnięty tors mężczyzny unosi się i opada, rozszerza i kurczy, a jeden oddech pacjenta oddzielany jest od drugiego gróźliczym charczeniem.

– Teraz przez usta – poprosił Horacio, a mężczyzna posłusznie rozchylił wargi i sapnął. Potem Horacio przeniósł głowicę stetoskopu na plecy badanego i ze skupieniem wsłuchiwał się w jego oddech.

Kiedy skończył, Gabriela otrząsnęła się z osłupienia.

– Przecież nigdy nie przyjmowałeś tutaj pacjentów...

– Wiem. Ale odkąd nie znosisz Hernandez, muszę to robić właśnie tutaj.

– Ależ co ma jedno do drugiego... – oburzyła się. – Czy nie masz swojego gabinetu?

– Mam, teraz jednak nie mogę go używać.

– Dlaczego?

– A dlatego – powiedział i wysunął przed siebie podkulone do tej pory stopy. Wzrok Gabrieli powędrował w dół i zatrzymał się. Horacio nie miał butów. Jego stopy odziane były w coś, co przypominało poszarpane przez języki ognia strzępy skarpetek. Gabriela miała wrażenie, że rozpadną się one na drobne kawałeczki, i przeraziła jeszcze bardziej, bo noga, którą było widać, nie wyglądała wcale lepiej. Była osmolona, niemal czarna, jakby jej właściciel przeszedł właśnie przez gorące pogorzelsko.

Horacio, zadowolony z efektu, jaki wywołał, podkulił z powrotem stopy.

– Dlaczego tak ci przeszkadza, że pracuję właśnie tutaj? – zapytał i zaraz udzielił sobie odpowiedzi: – Fakt... nie podoba ci się, że jestem lekarzem, wszyscy wiemy, że z trudem to znosisz... No cóż, nic na to nie poradzę. Od dzisiaj będziesz tu mieć mnie codziennie.

– Ależ... – Gabriela jęknęła. – Przecież wiesz, że chciałam dla ciebie jak najlepiej, martwiłam się, że popełnisz błąd, że zaprzepaścisz swoją szansę, zdolności.

Uśmiechnął się. Z wprawą opukał plecy mężczyzny i poprosił go

o pokazanie gardła. Kiedy pacjent otworzył usta, z jego wnętrza buchnął odór przetrawionego obiadu, kawy i alkoholu. Gabriela z niechęcią odwróciła głowę, ale na Horaciu ta drobna niedogodność nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

– W życiu nie można za dużo się martwić – pouczył. – Z tego nigdy nie wynika nic dobrego. – A potem znacząco spojrzął na Gabrielę i zwrócił się do pacjenta: – Zaraz porozmawiamy, panie Solano.

– Oczywiście – zrozumiała. – Nie będę wam przeszkadzać.

I z ociąganiem wycofała się na korytarz.

Leonardo pojawiał się w quincie i z niej znikał, kursując pomiędzy winiarnią, biurem a winnicami oraz wyjeżdżając w bliżej nieznanym mi sprawach gdzieś poza posiadłość. Kiedy w końcu zmęczony przysiadł wieczorem na ławce pod przyjemnie zacienioną ścianą, zajęłam miejsce obok. Miałam zamiar opowiedzieć mu o swoim spotkaniu u Osvalda i o tym, że znalazłam kupca na winnicę, ale zamiast tego milczałam, nie chcąc przerywać wiążącego nas bezruchu.

Nigdzie nie czułam się tak blisko natury jak tutaj, w Quinta de São Francisco. Posiadłość, ten stary dom wuja i babki, przynależała do krainy Douro i jednocześnie ją tworzyła, tak jak dziesiątki innych quint w okolicy. Bez nich dolina sprawiałaby wrażenie nagiej i bezwstydnego jednocześnie. Zobaczyłam siebie jako małą dziewczynkę hasającą po patiu i bawiącą się kulkami winogron. Obraz był tak realistyczny, że niemal słyszałam swój dziecięcy śmiech odbijający się od okolicznych wzgórz. Leonardo rozmawiał z robotnikami, ojciec szedł do winiarni, babka krzątała się po podwórzu. Zapragnęłam cofnąć czas jeszcze bardziej i stanąć oko w oko z dziadkiem Thomasem, którego znałam przecież tylko ze zdjęcia, albo z pradziadkiem, albo niechby i z założycielem rodziny, Johnem Winefordem. Poznawanie własnej rodziny jest odkrywaniem samego siebie, pomyślałam, czymś w rodzaju podróży, czasem bezpiecznej i fascynującej, a czasem, gdy trzeba zajrzeć do wszystkich zakamarków, trudnej i niewygodnej.

Minęło kilka chwil, zanim odważyłam się odezwać do wuja i opowiedzieć mu o wizycie u Osvalda.

– A więc Osvaldo mówił prawdę! – Leonardo wyraźnie się uradował. – Naprawdę ma poważnego kupca.

– Tak, tylko cena będzie nieco niższa, niż zakładaliśmy.

– Zawsze trochę trzeba zejść, to nic dziwnego. Mam jednak nadzieję, że zachowujesz rozsądek w negocjacjach?

– Ależ oczywiście, Leo, sprzedam winnicę dziesięć procent taniej, ale to chyba nadal nie jest zła propozycja?

– Wiesz, Sophie, ta parcela jest naprawdę trudna do zbycia. Zaniedbane krzewy obniżają wartość ziemi, poza tym ta droga... w zasadzie wąska, stara

ścieżka, kupiec na pewno będzie musiał zrobić nowy dojazd. Gdybym miał zamiar tę ziemię jeszcze kiedyś uprawiać, odkupiłbym ją od ciebie, ale przemyślałem sprawę i nie mam już takich planów.

– To właśnie chciałam usłyszeć – ucieszyłam się. – Teraz wiem, że dobrze robię.

Leonardo pokiwał głową.

– W ciągu ostatnich miesięcy miałem wystarczająco dużo czasu, aby przyzwycząić się do myśli o sprzedaży. Kiedyś i tak to musiało nastąpić. Liczę tylko na to, że przyprowadzisz dobrego kupca, kogoś, kto sprawnie zajmie się winnicami, kto nie zmarnuje ziemi. Poczekaj chwilę, bratanico. – Wstał nagle i skierował się do winiarni.

Zostałam sama. Dzień wydawał się zastygły w upale. Dopiero teraz, pod wieczór, ulgę zaczął przynosić delikatny wiaterek, będący tak miłą odmianą po wszechobecnym zaduchu.

Leonardo wrócił, trzymając pod pachą butelkę.

– Odpowiednio schłodzone, lekkie wino stosowne do pogody. Chyba możemy już uczcić twoją sprzedaż? – Uśmiechnął się i podniósł butelkę do góry. – Proszę. – Wręczył mi trzymane w drugiej dłoni kieliszki. – *High Douro's fine wine, clears up my voice as I speak, and I feel merry and bright, only my legs feel weak*¹⁹ – wyrecytował. Potrafił być zabawny.

– Muszę tę kobietę powiadomić, że zgadzam się na niższą cenę. Wtedy podpisze ze mną umowę.

– A więc to kobieta?

– Tak. Jest mniej więcej w twoim wieku. Nie pochodzi stąd, ale ma tu kawałek ziemi. Osvaldo ją zna. I ty pewnie też.

– Nie każ mi rozwiązywać zagadek o tej porze dnia. Pamiętasz jej nazwisko?

– Nazywa się Camila Hernandez.

Leonardo zastygł z winem w ustach. Miałam wrażenie, że powietrze na powrót znieruchomiało.

– Nie podoba ci się, że to kobieta? – zdziwiłam się.

– Absolutnie.

– Chyba powinieneś się cieszyć, że będziecie mieć za sąsiadkę właśnie ją – ciągnęłam nieco speszona. – Nie wygląda na taką, która planuje wielką rewolucję, nie musicie się bać, że wystawi tu hotel albo zepsuje winnice. Uprawia winorośl w innym rejonie, więc ma pojęcie o uprawie, nie sprowadzi żadnej zarazy mogącej zaszkodzić waszym krzewom. No i twierdzi, że zna te okolice. Może kiedyś tu mieszkała? Mówiła, że ma obok nas małą działkę, którą wiele lat temu komuś wydzierżawiła. Teraz okres dzierżawy się kończy i kiedy odzyska winnice, połączy je z tym, co kupi ode mnie... czy to nie jest pomyślny zbieg okoliczności? – Spojrzałam na milczącego wuja.

Jego usta były zaciśnięte, a z twarzy, zdawało się, odpłynęła cała krew.

– Leo, źle się poczułeś?

– Nie – zachrypiął zmienionym głosem. – Nic mi nie jest. Tylko to wino...

Wstał, odstawił kieliszek na kamienną posadzkę i chwiejnym krokiem skierował się do wejścia do domu.

Ostatni refleks słońca właśnie gasł na przybrudzonej bieli tynku. Wino smakowało wybornie. Rozmowa toczyła się gładko. A mimo to nie mogłam odeprzeć wrażenia, że nagle w powietrzu zawisł ciężar czyjegoś rozczarowania.

Leonardo z trudem doszedł do salonu. Zamknął przeszklone drzwi i oparł się o nie plecami. Camila Hernandez próbowała wejść w posiadanie winnic należących do rodziny Wineford. Nie zapomniała o zemście, nie puściła jej w niepamięć. Czekala na dogodny moment, czaiła się tyle czasu... Camila... Czy mogło przydarzyć się coś gorszego? Podniósł wzrok, szukając pomocy w niebie, ale zamiast doznać wsparcia, poczuł, że pokój zaczyna niebezpiecznie wirować. Podłoga chwiała się i zmieniała kąt położenia. Jego nogi też zachowywały się dziwnie. Straciły nagle całą sztywność, jakby ktoś pozbawił ich kości i podtrzymujących je mięśni. Leonardo zanotował jakiś narastający dźwięk, który dochodził... z jego własnych uszu? Tak, coś szumiało, a może raczej dzwoniło mu w uszach. Poczul, jak zimne strużki potu spływają z jego czoła, pleców, brzucha. Jakby ktoś otworzył nagle wszystkie pory w ciele.

Hernandez. Dlaczego właśnie ona? „Nie wygląda na taką, która planuje wielką rewolucję, nie musicie się bać, że wystawi tu hotel albo zepsuje winnice”, powtórzył za Sophie. Nie musicie się bać... nie musicie... Nadludzkim wysiłkiem uczynił kilka kroków i oparł dłonie o bok kanapy. To działało się naprawdę, nie był w stanie chodzić. Mam zawał, przemknęło mu przez myśl. Usiadł na kanapie, a czując, że nie jest w stanie dłużej utrzymać pionu, położył się na niej. Coś podobnego już kiedyś mu się przydarzyło. Zanim zdążył sobie przypomnieć, co to było i kiedy, jaskrawe światło zalało salon. Porażony jego intensywnością zacisnął powieki.

W takiej pozycji zastała go Gabriela. Z wyrazem niezadowolenia na twarzy przystanęła nad synem i karcąc go jak małe dziecko, pouczyła:

– Jeszcze wczesna pora, a zarządca domu tak się pokłada? Leonardo, to nie przystoi... – wydeła wargi w grymasie.

A ponieważ Leonardo milczał, powtórzyła:

– Synu! Zasnąłeś?

Spojrzała na niego uważniej i dopiero teraz dostrzegła, że oddech ma nierówny, płytki, twarz pergaminową, powieki zaciśnięte. Przysiadła na brzegu kanapy i położyła dłoń na jego czole, tak jak zwykła robić, gdy faktycznie był

jeszcze dzieckiem. Zaskoczyło ją, że pomimo upału czoło ma lodowate. Poklepała go po ręce, potem podniosła ją do góry, była wiotka.

– Benedita! – krzyknęła. – Benedita, chodź tu!

Benedita poruszona nienaturalnie głośnym wołaniem Gabrieli natychmiast zjawiła się w drzwiach salonu.

– Dzwon po doktora Gaspara – zaordynowała babka. – Z Leonardem dzieje się coś złego.

Doktor Gaspar przybył w ciągu kilkunastu minut, choć babce i służącej wydawało się, że trwa to wieczność. Próbowaly cucić Leonarda, klepać go po policzkach, ale wydawało się, że Leonardo nie czuje żadnego z tych brutalnych zabiegów. Doktor sprawdził puls i już miał zamiar zajrzeć pod nieruchome powieki pacjenta, kiedy ten się poruszył, odetchnął głębiej i otworzył oczy. Widząc pochyloną nad sobą pomarszczoną twarz Gaspara, zamknął je szybko. Umarłem?, zapytał sam siebie.

– Leonardo, jak się czujesz, coś cię boli? – zapytał doktor z niewielkim uczuciem ulgi.

– Chyba nie, tylko nogi były dziwne...

– Czujesz to? – uderzył Leonarda lekko w goleń.

– Au! Czuję, doktorze!

– A to? – powtórzył zabieg na drugiej nodze.

– Też – stęknął Leonardo.

– Wygląda na omdlenie – ocenił Gaspar i wyciągnął z torby ciśnieniomierz.

– Ale przyjrzyj ci się bliżej, kochaniutki.

Nie powinienem tak się tym przejmować, myślał następnego dnia Leonardo. Ostatecznie to nie moja sprawa, a w zasadzie moja najmniej. Głupi jestem, tak się dać zaskoczyć. Sophie o niczym nie wie, nie mogę jej za nic winić. Ale jest ktoś, z kim trzeba zrobić porządek. Nacisnął ze złością pedał gazu. Sfatygowany silnik dzipa zabuczał i auto ruszyło. Leonardo nie patrzył na prędkościomierz. Jechał szybko, za szybko jak na te kręte drogi, zdrowy rozsądek wyparła złość. Mogłem się tego spodziewać, stary dureń, no idiota i tyle, powtarzał w myślach.

Oswaldo właśnie zbierał się do wyjścia, kiedy do jego gabinetu wpadł Leonardo.

– Leonardo! Dobrze cię widzieć, druhu! – Jak zwykle rozłożył ramiona w powitalnym geście.

– Ty sukinsynu... – Leonardo podwinął rękaw koszuli, jakby zabierał się do ciężkiej pracy, i postąpił krok naprzód. – Ty sukinsynu! – huknął.

– Ależ... o co ci chodzi?! – Oswaldo zbladł.

– Znalazłeś kupca, tak? Wyśmienitego kupca, w sam raz dla mnie i dla

Sophie... – Leonardo podwinął drugi rękaw, a Osvaldo, widząc ten gest, cofnął się i opadł na fotel. – Komu podsunąłeś naszą ziemię, niech cię szlag, no komu?!

– Przecież wiesz... – zaczął Osvaldo lękliwie. – Sophie ci powiedziała.

– A tak, powiedziała. Szkoda tylko, że ty nie puściłeś pary z gęby! Trzeba było dopowiedzieć jej całą resztę!

– Co ty mi tu imputujesz, uspokój się... Pies z kulawą nogą nie zainteresował się waszą przeklętą ziemią. Tylko Hernandez. Na litość boską, miałem oszukiwać twoją bratanicę, że nie ma kupca?! Sam mnie prosiłeś o pomoc!

– Do ciężkiej cholery, miałeś do tego nie dopuścić!

– Nie dopuścić do czego? Daj spokój, Leonardo, to są wasze sprawy, nie moje.

– Jasne! Liczyłem na pomoc, ale ty nie masz za grosz sumienia. Nigdy nie byłeś stąd. Camila obiecała ci jakiś procent od sprzedaży, tak? Czego ja się spodziewałem! Cholera!

Osvaldo zatrząsł się z oburzenia.

– Jak sobie chcesz. Sądziłem, że chcesz naprawdę sprzedać ten śmierdzący grunt. Twoich kretyńskich podejrzeń ani obelżywych insynuacji nawet nie będę komentował.

– Camila Hernandez jest dla nas niebezpieczna, wiesz o tym!

– Powtarzam ci, że nie mogłem postąpić inaczej.

– Mogłeś! Mogłeś chociaż mnie uprzedzić! Jeśli dojdzie do jakichś komplikacji, ty będziesz winien!

– Chyba mi nie grozisz?!

– Interpretuj to, jak chcesz!

– Leonardo... czy to by coś zmieniło, gdybym powiedział ci wcześniej? Miałem nie dopuścić Hernandez? Odesłać jedyne kupca... tego byś chciał?

Leonardo oparł się o biurko i nachylił nad Osvaldem.

– A gdybym powiedział twojej drogiej Marii José, gdzie chadzasz w piątkowe popołudnia i dlaczego nie odbierasz wtedy telefonów? – wycodził przez zęby. – Powinienem być uczciwy wobec ciebie czy raczej wobec niej, jak sądzisz?

Osvaldo zadrżał.

– Leonardo, nie zrobisz tego. Wiesz dobrze, że nikomu nie wyszłoby to na zdrowie.

– Nie jestem tego pewien, a chciałbym być uczciwy twoją uczciwością.

Osvaldo odkaslnął gulę, która nagle pojawiła się w jego przełyku:

– Nie powiem nic Sophie, a Hernandez postaram się zniechęcić. Będziemy wtedy kwita?

Kiedy Gabriela dowiedziała się od Leonarda o pojawieniu się Camili Hernandez, od razu zrozumiała swój błąd. Nie powinna była otwierać niebieskiego pokoju, a tym bardziej nie powinna spotykać się z Horaciem. To było bardzo nierozważne z jej strony i nic dziwnego, że na efekty nie musiała długo czekać. Pewne zdarzenia przyciągają do siebie inne zdarzenia, a niektóre z nich stanowią zapłon dla ciągu nieobliczalnych w skutki wypadków. Najwyraźniej wkroczenie na terytorium Horacia należało do jednej z takich groźnych katapult.

Gabriela czerpała cichą satysfakcję z faktu, że Camila Hernandez trzyma się od nich z daleka. Najwyraźniej nie była całkiem pozbawiona rozumu, jak Gabriela uważała, a tym bardziej honoru, w którego istnienie Gabriela również wątpiła. W każdym razie aż do tego czasu staruszka czuła się bezpiecznie i miała nadzieję, że tak już pozostanie.

Nadzieje okazały się płonne. Nie doceniła Camili. Kobieta wyłoniła się teraz z przeszłości jak zły demon, który pragnie ponownie zakłócić spokój w Quinta de São Francisco. Gabriela nie mogła w to uwierzyć. Czy Camila Hernandez znalazła nowy sposób, żeby im zaszkodzić? Co tym razem przyszło jej do głowy? „Będiesz jeszcze kiedyś żałować...”, powiedziała Hernandez wiele lat temu. Czy właśnie nadszedł czas na spełnienie groźby?

Spojrzała w lustro stojące na sypialnianej toalecie.

– Mam osiemdziesiąt pięć lat – powiedziała na głos. – Nie wiem, czy starczy mi sił, żeby na starość wojować.

Przyjrzała się bliżej swemu odbiciu. Małe oczy, ach, dlaczego z wiekiem oczy maleją, a twarz rośnie? przemknęło jej przez myśl. Zmatowiała, przypominająca sitko skóra na twarzy, zapadnięte policzki, szyja przykurczona z prawej strony, nie, to nie mogła być ona. Nie lubiła patrzeć w lustro. Kłamało. Przecież nadal czuła, że jest przystojna, niemal młoda. Kłamliwe lustro dodawało jej lat i zmarszczek. Kradło radość. Głupie lustro! rzuciła w nie koralami, ale nawet nie dotknęły szklanej tafli. W suchych zazwyczaj oczach Gabrieli zaszklily się łzy. Gdyby chociaż Thomas tutaj był, pociągnęła nosem. Zobaczyła siebie idącą pod rękę z mężem po Rua do Infante Dom Henrique. Skręcają do Factory House i pokonują razem kolejne stopnie imponujących schodów. Kiedy wchodzi do sali jadalnej i zajmują swoje miejsca przy stole, czuje, jak oczy wszystkich obecnych mężczyzn śledzą jej ruchy. To ona! Polska małżonka Thomasa Wineforda! zdaje się słyszeć ciche komentarze. Inne kobiety starają się zatrzeć wrażenie, które ona wywołała, stają się bardziej ożywione, mówią nieco głośniejszym głosem, potrząsają biżuterią. Ale Gabriela wie, że kiedy obiad się skończy, wielu z obecnych mężczyzn będzie chciało z nią porozmawiać. Z nią, która nie boi się pytać i która wie wszystko o interesach męża. Thomas jest postępowym plantatorem i Gabriela umie to wykorzystać. Dzięki niemu zdobyła dużą wiedzę na temat produkcji wina i kiedy teraz Thomas wyjeżdża w interesach do Londynu, ona ku zdumieniu innych

przejmuje jego obowiązki. Negocjuje z odbiorcami, ustala terminy. Jeśli jest taka potrzeba, przenosi się z willi w Porto do Quinta de São Francisco, by doglądać winnic i produkcji wina osobiście. Ludzie często widują ją wśród gęstwiny winorośli, jak z niemal obłąkańczą pasją poucza pracowników, sprawdza ich, pokazuje, jak zrywać kiście nabrzmiiałych winogron albo ciąć zbędne odrosty. Jej determinacja zawstydzia innych. Swoją odwagą i obrotnością bardzo różni się od żon tutejszych mężczyzn. A do tego jest piękna urodą Słowianki znad Wisły.

Ponownie pociągnęła nosem. Spojrzała w lustro i ze złością odwróciła je taflą do ściany. Hernandez... – wróciła myślami do kobiety. Na jej miejscu siedziałabym cicho, zbytnia pewność siebie poprzedza dotkliwy upadek.

Podeszła do szafy i otworzyła jej drzwi na oścież. Sytuacja zrobiła się na tyle groźna, że Gabriela poczuła, iż potrzebuje wsparcia. Rzadko opuszczała swoją posiadłość, bo też i nie miała ku temu zbyt wielu powodów. Leonardo dbał o interesy, a w domowych sprawunkach wyręczała go Benedita. W tej konkretnej materii jednak Gabriela musiała podjąć zdecydowane działania, a to oznaczało wizytę u Filipe Agostinho.

Filipe mieszkał za wzgórzem. Równie często jak Leonardo bywał w Porto, ale w przeciwieństwie do niego nigdy nie zapominał o różnego rodzaju zamówieniach, którymi obarczała go Gabriela. Bogiem a prawdą Filipe był nie tylko sąsiadem. W zamierzchłej, jak się teraz im obojgu wydawało, przeszłości stawał w konkury o przychylność Gabrieli, kiedy została młodą wdową. Gdy Thomas zmarł, miała czterdzieści trzy lata. Dzieci nie zabrały jej urody, czas był dla niej łaskawy. Nie czekała długo na chętnych, którzy chcieli dzielić z nią kuchnię i łożę. Kiedy zabrakło Thomasa, uznała, że tak miało być. Po dwóch latach zgodziła się zostać żoną Victora Carnegiego, mężczyzny młodszego od niej, pełnego temperamentu. Tym samym dała kosza sporo od siebie młodszemu Filipe. Bo to do Victora miała wielką słabość. On też kochał ją do szaleństwa, ale nie przeszkadzało mu to co jakiś czas ją zdradzać, o czym Gabriela zwykle dowiadywała się ostatnia. Victor był inny od statecznego Thomasa, ale prawdą jest też, że Gabriela nie mogła pozwolić sobie na samotne życie. Posiadłość była za duża, by wszystkim obowiązkom mogła sprostać jedna osoba. Zresztą Gabriela przeżyła również Victora.

Od tamtej pory minęło dwadzieścia sześć lat. Obydwaj mężowie Gabrieli umarli, ale Filipe trwał nadal przy jej boku. Ich znajomość musiała jednak przez lata ewoluować – od niechęci i zniesmaczenia po sarkazm i ironię – by wreszcie nabrać lekkości i swobody we wzajemnym obcowaniu i przemienić się w przyjaźń. Łączyły ich podobieństwa. Oboje mieli synów, oboje darzyli miłością winnice. Specyficzna relacja między tą dwójką znalazła odzwierciedlenie w wymienianych przy każdej okazji kurtuazjach.

– Gabrielo, gdybyś zgodziła się spojrzeć na mnie nieco łaskawiej pół wieku

temu, nie musiałabyś mnie teraz prosić o tak drobne przysługi jak przywiezienie *ovos moles* z Porto – mawiał Filipe, kładąc przed Gabriellą pudełko z ciastkami.

– Mój drogi, gdybyś pół wieku temu był tak czarujący jak dzisiaj, musiałbyś przywozić mi je codziennie – odparowywała Gabriela.

– Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność.

– Filipe, nie znasz wszystkich moich zalet. Niektóre uważane są za niezdrowotne wady.

– Powtórzę za słynnym poetą: Czyż można pragnąć słońca, a jego plam nie?

Po czym ukontentowani wstępną wymianą grzeczności przechodzili do omawiania zwykłych spraw, to znaczy dyskusowania o rodzajach plag, które w najbliższych latach mogą spaść na Douro, nagannych poczynaniach swoich dorosłych dzieci lub wyszczególniania swoich aktualnych dolegliwości zdrowotnych. Tego dnia jednak miało być inaczej.

Gabriela wybrała na odwiedziny popołudniową porę, by mieć pewność, że jej przyjaciel zaznaje odpoczynku w ocienionej przez gęstą winorośl altanie. Ubrała się starannie, dostatecznie elegancko, by swą wykwintniejszą niż zwykle toaletą sprawić sąsiadowi przyjemność, i dostatecznie wygodnie, by strój nie zaprzętał jego uwagi, kiedy zacznie mu wyłuszczać swój problem.

O podwiezienie poprosiła Tiaga, który i tak wybierał się do miasteczka, by załatwić swoje sprawy. Tak jak sądziła, zastała Filipe na werandzie. Przeglądał najświeższe wydanie „Jornal de Notícias”. Widok Gabrieli kroczącej po rozżarzonej do czerwoności ścieżce sprawił, że poderwał się na równe nogi.

– Żaden znak na ziemi ani niebie nie zapowiadał dziś takiej niespodzianki! – wykrzyknął. – Gabrysiu, czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?

– Filipe, nie pora na żarty. Przychodzę w ważnej sprawie. Jeśli uraczysz mnie szklanką wody, opowiem ci, w czym rzecz – powiedziała poważnie i z uczuciem ulgi opadła na podsunięty jej przez przyjaciela fotel. Zdjęła kapelusz z dużym rondem, zwilżyła usta wodą i nie tracąc czasu na wstępne konwersacje, przeszła do meritum.

Filipe wysłuchał uważnie jej opowieści. W miarę jak Gabriela mówiła, narastało w nim wzburzenie, które wydawało mu się jedynym słusznym uczuciem mającym prawo pojawić się w tej sytuacji. Słońce przesunęło się wyżej na bezchmurnym niebie i palący żar wlał się pod altanę, co wzbudziło w mężczyźnie chęć natychmiastowego działania. Camila Hernandez była kobietą niebezpieczną, to oczywiste. Niepowstrzymana w porę, mogła zdziałać wiele złego. Filipe, od dawna wtajemniczony w sekrety swej przyjaciółki, nie był zdziwiony, że Gabriela tak bardzo jest przejęta pojawieniem się kobiety. Doskonale rozumiał powagę sytuacji.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał, zanim Gabriela skończyła wywód.

– Pojedź do niej, Filipe. Pamiętaj, rozmawialiśmy o tym kiedyś. Zrób, co

trzeba, a zyskasz moją dozonną wdzięczność. Nie pozwolę na to, żeby Hernandez weszła w posiadanie naszych winnic, wiesz, że to sprowadziłoby na nas nieszczęście. Mój Boże, sądziłam, że tę sprawę na zawsze mamy już za sobą.

– Złe rzeczy lubią powracać, Gabrielo.

– Wiem. Zwłaszcza te nie do końca załatwione.

– Myślisz, że naprawdę gotowa jest wam znowu zaszkodzić?

– Mój drogi, stawiam dukaty przeciw orzechom, że to dopiero początek problemów. Ta kobieta przez cały czas czekała na dobrą okazję, żeby znowu się pojawić. Snuła tę pajęczą nić za naszymi plecami przez lata.

– Co na to Leonardo?

– Mój syn niemal dostał zawału, gdy usłyszał, kto chce nabyć winnice. Ale akurat w tej delikatnej kwestii nie ufałabym mu w stu procentach. Ciężar tej sprawy biorę raczej na siebie.

– Rozumiem. – Złożył gazetę w prostokąt i przygniótł ją szklanką z wodą, jakby bał się, że pod wpływem kotłujących się w Gabrieli emocji zaraz zerwie się wichura. Zawsze służył przyjaciółce pomocnym ramieniem i nigdy nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Był cierpliwym powiernikiem, idealnym sąsiadem i dobrym kompanem do żartów. – Zajmę się tym jeszcze dziś wieczorem, możesz na mnie polegać – zapewnił.

– Jak dobrze mieć przy sobie takiego człowieka. – Gabriela westchnęła i poklepała mężczyznę po dłoni. – A przy okazji – dodała, chcąc okazać swą wdzięczność – zapraszam cię na niedzielny obiad, specjalnie dla ciebie każę przygotować królika.

Marna zapłata za nadstawianie karku, Filipe roześmiał się w duchu, ale powiedział:

– Uwielbiam waszą kuchnię. Ostatni raz zapraszałaś mnie na królika jakieś dwa lata temu, gdy moją winorośl zżerały mączniaki, pamiętasz?

– Oczywiście. Chciałam podnieść cię nieco na duchu, martwiłeś się bardzo.

– Zawsze o mnie dbasz, Gabrysiu.

– Kochany, na mnie już czas. Umówiłam się z Tiagem, że zabierze mnie, gdy będzie wracał. Leonardo nie wie, że tu jestem, zacznie coś podejrzewać.

Z pomocą Filipe podniosła się z fotela i nałożyła swój arystokratyczny kapelusz. Jej wzrok powędrował na rozgrzaną ścieżkę prowadzącą do bramy, a na twarzy natychmiast odmalował się wyraz niechęci.

– Ten klimat mnie zabije – mruknęła.

Wybiła już północ, a Gabriela nadal się zastanawiała, co tak naprawdę podkusiło ją, aby wejść do niebieskiego pokoju. Zrobiła to w złą godzinę, tego była pewna. Usiadła na łóżku i popatrzyła w okno. Światło księżyca padało idealnie na

środek podłogi. Wydawało się, że oświetla scenę, na której zaraz pojawi się znany aktor. Staruszka wstała i podpierając się z rzadka używaną laską, podeszła do okna. Jednym ruchem zaciągnęła ciężkie kotary i zmęczona tym wysiłkiem opadła na pościel. Światło ze środka pokoju zniknęło, ale w korytarzu nadal było jasno. W dodatku ktoś trzaskał drzwiczkami szafek kuchennych, jakby czegoś gorączkowo szukał. Gabriela pomyślała, że Leonardo poczuł głód i myszkuje w kuchni. Jest ostatnio bardzo przemęczony, przypomniała sobie niedawne zasłabnięcie syna.

Wiedziała, że nie zaśnie, dopóki hałasy nie umilkną. Ułożyła się na łóżku, podkładając sobie pod boki poduszki, i przykryła cienką kołdrą. Cierpliwie czekała na ciszę, która przywoła sen. Światło wreszcie zgasło, trzaskanie ustało. W miejscu, w którym poprzednio padało światło księżycy, ktoś jednak stał. Gabriela wyteżyła wzrok i z pretensją w głosie stęknęła:

– Horacio!

Horacio nie poruszył się, utkwił tylko w Gabrieli wzrok. Ta z kolei usiadła na łóżku i tym samym tonem nagany ciągnęła:

– Ktoś może cię zobaczyć, nie możesz tak po prostu chodzić po całym domu, nawet w nocy – pogroziła mu. – Nie teraz! Po naszym ostatnim spotkaniu stało się coś bardzo złego. Camila Hernandez się odezwała. Po tylu latach! Co my teraz zrobimy?! Wiem, moja wina, że to wszystko znowu powraca. Ale ja chciałam tylko się z tobą zobaczyć! Horacio, musisz mi pomóc – posłała mu błagalne spojrzenie.

– Halo! – gdzieś z głębi korytarza rozległo się wołanie.

– Jestem w pokoju, Leonardo! – odkrzyknęła.

– Dlaczego nie śpisz? Z kim rozmawiasz?

– Z nikim, modlitwę odmawiam – skłamała. A potem, zwracając się do Horacia, pouczyła: – Idź już teraz, moje serce, nie chcesz chyba zrobić większego zamętu, niż jest.

Myśli Leonarda krążyły wokół Camili Hernandez. Nie chciał jednak ulec pokusie rozpamiętywania przeszłości. Dał już nauczkę Osvaldowi. Co jeszcze mógł zrobić? Chyba tylko mieć nadzieję, że Osvaldo dotrzyma obietnicy, Camila zrozumie, że popełniła błąd, a Sophie jakimś cudem znajdzie innego kupca. Jemu pozostało czekanie, wyczerpujące i niepokojące. Niewyspany i zły przeszedł ze swojego pokoju do kuchni. Było jeszcze bardzo wczesnie, a Benedita miała przyjść dopiero za dwie godziny. Otworzył szafkę i wyjął z niej ponadgabarytową puszkę z kawą Nicola. Nie chciał budzić matki o tej porze buczeniem ekspresu do kawy, więc sięgnął po niewielki ciśnieniowy zaparzacz w kształcie czajniczka. Do jego podstawy wlał trochę wody, kawę uklepał w stalowym sitku i zakręcony czajnik postawił na gazie. Odczekał kilka minut. Gdy czajniczek zasyczał, a w jego

wnętrzu rozległo się bulgotanie, wyjął z szafki małą, białą jak płatki dzikiego migdałowca filiżankę i wlał do niej kawę. Łechcący nozdrza zapach rozszedł się po nagrzanym promieniami słońca kuchni. Leonardo zwięźczył kawę kilkoma kroplami podgrzanego mleka i sownie postodził ją cukrem. W nieco już lepszym humorze włożył dwie kromki chleba do tosteru. Rozsmarował konfiturę na ciepłej kromce. Usiadł przy masywnym stole i oparł się plecami o przyjemnie chłodną ścianę. Czekalo go dzisiaj mnóstwo pracy, ale ogólne zniechęcenie odebrało mu chęć do działania. Gdyby tak choć przez chwilę mógł wyzbyć się wszystkich obowiązków i zniknąć jak mysz w norze do czasu ułożenia wszystkich spraw w bezpieczny sposób...

Upił pierwszy łyk kawy i zatopił zęby w toście. Jeszcze tyle godzin do wieczoru, jak je przetrwa? Będzie musiał stawić czoła rozgoryczeniu Sophie z powodu niedosłej sprzedaży winnic. Z drugim łykiem kawy poczuł narastającą panikę. Jego brat Antón dobrze wiedział, na co naraża Sophie, przysyłając ją tutaj samą. Łajdak, zrobił to specjalnie!

Sięgnął znowu po filiżankę, ale nie odczuł już żadnej przyjemności z picia kawy. Odsunął od siebie talerz z tostem i nie zważając na pozostawiony ostatni, najśłodszy łyk, wstał i wyszedł z kuchni.

- Filipe, byłeś u niej?
- Tak.
- I co?
- Nie musisz się obawiać. Jest unieszkodliwiona, brzydko mówiąc.
- Naprawdę?
- Tak.
- Mówiła coś?
- Nic.
- Zupełnie nic?
- Prawie. Zapytała tylko, które z nich pana nasłalo?
- I co odrzekłeś?
- Że to nieistotne.
- Nie chcę wiedzieć, co było dalej.

Byłam w Quinta do Frade i czekałam na Camilę Hernandez, ale kobieta do tej pory się nie pojawiła.

- Dlaczego się spóźnia? – Czułam narastające zdenerwowanie.
- Nie mam pojęcia, miła pani. – Osvaldo wyglądał na równie zaniepokojonego. – Nie mam pojęcia. Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję.
– Herbaty?
– Nie, jestem zbyt przejęta. To dla mnie ważny dzień.
– Nie wątpię. – Osvaldo chrząknął. – Skoro i tak musimy czekać na panią Hernandez, może chociaż zagramy w blefa?
– W blefa? Panie Osvaldo...
– Przepraszam, tak tylko pytam. Pani mieszka w Londynie?
– Tak.
– To dobrze, to dobrze.
– Dlaczego uważa pan, że to dobrze?
– Tu nie jest łatwe życie. Douro to nie miejsce dla mięczaków. Dziewięć miesięcy zimy, trzy miesiące piekła, Terra Quente, zna to pani?
– Już gdzieś słyszałam.
– Dużo ludzi stąd wyjechało, oj dużo, ale komu ja to mówię! – Zaśmiał się nienaturalnie.

Spojrzałam na niego uważniej. Pot szklił mu się na łysinie wielkimi kroplami. Zaraz plamy pojawią się na koszuli pod pachami, pomyślałam z niesmakiem.

– Ja wychowałem się w Lizbonie – ciągnął. – Tak, droga pani, w samej Lizbonie! – Uniósł palec do góry. – Zna pani Calçada Garcia? Nie? To proszę posłuchać. To mała uliczka wznosząca się stromo, począwszy od Praça de São Domingos. Idzie się wąskim chodnikiem, domy przyklejone są do siebie ścianami, na balkonach suszy się pranie pachnące cytryną, jak to w Lizbonie, wiadomo, czego słońce nie wysuszy, to wiatr przewieje. Więc przy tej właśnie uliczce jest taki dom, jednopiętrowy, jak inne, kwiaty w glinianych donicach tarasują wejście, ale proszę się nie bać, można wejść, sprytnie omijając pelargonie. Jeden pokój, pomieszczenie zwane kuchnią i wspólna latryna, takie lokum zajmowali moi rodzice, a wie pani, nas była piątka, jak to w Lizbonie, im większa rodzina, tym mniejszy dom. Z tej skromnej kwatery przenieśliśmy się, gdy ukończyłem szósty rok życia. Ojciec wszedł w dobry interes, ha! Odkąd znaleźliśmy się w Porto, zaczęło nam się wieść, poszliśmy wszyscy do szkół, ja odziedziczyłem smykałkę do interesów, lecz jak pani widzi, wciąż pozostaję skromny, ta quinta, sam ją wyremontowałem, tu były tylko ściany, ale ja podam jeden przykład...

Spojrzałam na zegarek, kobieta spóźniała się już dwadzieścia pięć minut. A przecież mieliśmy po ustaleniu szczegółów pojechać jeszcze do notariusza.

– Dlaczego pan mi to opowiada? – zniecierpliwiłam się.
– Nie ciekawi panią? Przepraszam, pani wzbudza we mnie chęć do rozmowy.
– Może powinniśmy zadzwonić do pani Hernandez?
– Zadzwonić? Ach nie, nie ma sensu, zapewne sama do nas zadzwoni, jeśli

coś ją zatrzymało, proszę pamiętać, angielska punktualność mimo powiązań historycznych nie leży w naszym charakterze. Proszę się nie denerwować, ale przyzna pani sama, czasami wystarczy jeden telefon albo jedno zdanie i pstryk, wszystko się kończy, zanim zdążyło się zacząć...

– Co pan ma na myśli? – zaniepokoiłam się jeszcze bardziej.

– Nie, nic takiego, po prostu czasami budzimy się z przeświadczeniem, że tego dnia wydarzy się coś specjalnego, wyjątkowego, pełniejszego niż wszystko, co wydarzyło się wcześniej, tak nam mówi wewnętrzny głos albo intuicja, jak niektórzy nazywają to wewnętrzne przeświadczenie... Zgodzi się pani, że tak czasami jest?

– Trafnie pan to ujął, czasami tak można się poczuć – przyznałam niechętnie.

– No właśnie! – Osvaldo aż klasnął w dłonie. – Kontynuując... czasem to coś się wydarza, rzecz jasna! To piękne chwile, takie, o których potem opowiada się wnukom, ważne, pełne, promieniejące szczęściem! Przyciągane są te chwile naszym oczekiwaniem, naszą zachłannością, tak tłumaczą to amerykańscy naukowcy, ale innym razem dzieje się wręcz przeciwnie, takie pstryk, jak mówiłem, małe coś, pozornie małe, jakiś telefon, słowo i...

– I co?

– I nic, właśnie. Dialektyczne nic. Całkowita pustka. Kończy się, zanim zdążyło się zacząć. – Spuścił wzrok.

– Pan coś sugeruje?

– Nie bardzo, ale mam wrażenie, że... – wyjął chusteczkę i otarł nią pot, który strużkami zaczynał przemieszczać się z łysiny na czoło – ...że senhora Hernandez nie przyjedzie.

– Ach tak?

– Tak. Mam takie wrażenie, bo zdaje mi się, że już dałaby znać, gdyby zamierzała przyjść, a coś po prostu ją zatrzymało. Ale proszę się nie martwić! – Spojrzał na mnie po ojcowsku. – Coś wymyślimy, znajdę innego klienta. Jestem to pani winien, gdyby z senhorą Hernandez nie wyszło.

– Innego klienta? – Uniosłam brwi. – Niech pan zadzwoni do niej, przecież coś mogło się stać!

– Nie pali się, zadzwonię wieczorem, gdyby jednak na nic to się zdało, poszukam kogoś na jej miejsce, klientów nie brak.

– Panie Osvaldzie, podobno to była jedyna zainteresowana?!

– Och, nie uruchomiłem wszystkich możliwości, wie pani, zbyt mało czasu, należałoby pomyśleć o lepszym nagłośnieniu sprawy, mam niewykorzystane kontakty, może spoza Douro? Wie pani, globalizacja, świat się rozszerza, ludzie chcą kupować ziemię w różnych zakątkach planety, ha, ja i tak uważam, że nie ma to jak w Portugalii, droga pani, proszę tę sprawę zostawić mnie, a będzie pani jeszcze rozlewać porto dla uczczenia pomyślnej transakcji. Czy mówiłem już, że

pomagałem niegdyś jednemu z największych tutejszych producentów wina? Byłoby nietaktem wymieniać nazwę jego firmy, co ja mówię, byłoby wręcz grubiaństwem, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak bajkowo potoczyły się losy nabywczyni winnic, ale to już inna historia. – Ponownie sięgnął po wymiętą kraciastą chustkę. – Jasny gwint! – wykrzyknął nagle. – Zapomniałem, że muszę o szóstej zadzwonić w ważnej sprawie! Najmocniej panią przepraszam...

Spojrzałam na zegarek: była szósta czterdzieści.

– Niech pan mi da numer telefonu do Camili Hernandez, sama zadzwonię – zażądałam.

– Nie mogę! W żadnym wypadku – oburzył się Osvaldo. – To nie jest osoba zaprzyjaźniona, nie mogę szafować jej numerem, pani musi mi wybaczyć. – Zamrugał powiekami. – Zrobię, co w mojej mocy, by doprowadzić do sprzedaży, ale to wymaga zaufania.

Zacisnęłam zęby, ten facet nieuczciwie ze mną po-grywał.

Drogę powrotną pokonałam bezwiednie, nie patrząc na znaki ani tabliczki, ledwo zauważając skrzyżowania, jakby ktoś kierował moimi ruchami, sprzęgło, gaz, dwójka, kierunkowskaz. Rozczarowanie bolało. Nastawiłam się na to spotkanie... liczyłam, że jeśli obniżę cenę do tej, jaką zaproponowała Camila Hernandez, to transakcja przebiegnie szybko i bez niespodzianek. Podpiszemy wstępną umowę i moje życie zacznie układać się w kolorową mozaikę. Kupię mieszkanie, zamieszkać z P., wszystko nabierze sensu. Pragnęłam zasadniczych zmian i przetasowań. Byłam na nie gotowa. Będąc w Londynie, jeszcze zanim poznałam P., wielokrotnie zastanawiałam się, czy nie wynająć jakiegoś lokum, jak wielu młodych ludzi, i wyprowadzić się z domu, ale za każdym razem dochodziłam do tego samego wniosku: to nie rozwiąże całego problemu. Przyznam, że nie w smak mi było pomieszkiwanie w wynajmowanych mieszkaniach, od tego braku zakorzenienia i nieprzewidywalności chciałam właśnie uciec. Tymczasowa wyprowadzka byłaby rozwiązaniem ryzykownym. Nie miałam przecież stałej pracy, dopiero co skończyłam studia, gdyby powinęła mi się noga, musiałabym jak niepyszna wrócić do rodziców. Takiej porażki chyba bym nie przeżyła.

Dzisiaj rano byłam bliska osiągnięcia celu. Ale wszystko poszło nie tak. Gdyby chociaż Camila Hernandez targowała się, wybrzydzała, ale nie, ona po prostu nie przyszła! Zawiesiłam swoje londyńskie życie na kołku i wsiadłam w pierwszy samolot do Porto tylko po to, aby spotkać się z tą kobietą... a przecież i ona, i ten Osvaldo wiedzieli, że nie czekam za rogiem, aż mnie zawołają, dla mnie to cała wyprawa. Nie zostawia się ludzi na lodzie, bez słowa wytłumaczenia, bez podania przyczyny, bez przeproszenia za nagłą zmianę decyzji! Pewnie, że zamiast tłumaczyć się, najłatwiej nie przyjść, zapaść się pod ziemię, co za paskudny obyczaj.

Czy Camila Hernandez była poważnie zainteresowana kupnem? Może sobie

tylko ze mnie zakpiła? Nie miała powodu, żeby tak się zachować... to wszystko się nie kleiło. Musiałam uzyskać jakieś wyjaśnienie. Jeśli nie od Osvalda, który nawiasem mówiąc, od początku wzbudzał moją niechęć, to od samej Hernandez. Ale jak to zrobić, skoro ten oślizgły facet, który niby mi pomaga, nie chce nawet dać mi jej numeru telefonu?

Osvaldo oczywiście wyolbrzymiał swoje możliwości. Nie znalazł innych kupców, w całym Douro nie było nikogo, kto połasiłby się na skrawek ziemi Winefordów, a poza regionem... Szkoda mówić, szanse, że znajdzie się chętny, były naprawdę znikome. Osvaldo... może on od początku wiedział, że Camila Hernandez nie przyjdzie? Ten cały jego wywód o przeświadczeniu, że coś się wydarzy, kiedy tak naprawdę nic się nie wydarzy... Nagle jego tłumaczenia wydały mi się zbyt mętne. Mydlił mi oczy przez bite czterdzieści minut po to, by na końcu z przykrością stwierdzić, że do transakcji nie dojdzie. A może ta kobieta nie zmieniła wcale zdania, może nadal chciała kupić winnice, tylko Osvaldo nie stanął na wysokości zadania, może po prostu pomylił daty albo zajęty różnymi interesami zapomniał ją zaprosić na spotkanie?

Dżip wspinał się zakurzoną drogą prowadzącą do quin-ty i zmuszona byłam zasunąć okno. Mimo włączonej klimatyzacji w samochodzie natychmiast zrobiła się sauna. Na szczęście do domu było już blisko, jeszcze tylko aleja z cyprysów, trzy drzewa oliwne i dziedziniec. Było mi źle. Nie miałam ochoty ani na słowa pocieszenia, którymi zapewne obdarzyłyby mnie Leonardo, ani tym bardziej na rozmowę z babką, która lubiła ganić nawet za to, na co nie miało się wpływu. Czułam, że coś się zmieniło. Jadąc na spotkanie, sądziłam, że sprawa sprzedaży będzie dla mnie ambitnym wyzwaniem, teraz, kiedy wydarzenia potoczyły się nie po mojej myśli, uświadomiłam sobie, że jest to nie tylko wyzwanie, ale też palący problem.

Minęłam się w drzwiach z Leonardem. Chyba od razu wiedział, że Camila nie przyjechała na spotkanie. Z głupią miną patrzył, jak ściągam sandały i rzucam je w kąt. Byłam wściekła i rozczarowana. Nie chciałam nikogo widzieć.

Następnego ranka naciągnęłam wielki słomiany kapelusz na głowę i ruszyłam wąską, piaszczystą ścieżką na stok. Pokonując kolejne rzędy winorośli, czułam na sobie coraz dotkliwsze smagania palącego słońca. Na horyzoncie widać już było poletko, do którego zmierzałam, szłam jednak coraz wolniej, przystając co jakiś czas w cieniu drzew oliwnych, rosnących rzadko, za rzadko!, wzdłuż ścieżki. W końcu nawet one się skończyły i znalazłam się w miejscu, gdzie nie było już ani kawałka murku, zabudowań czy roślinności, która dawałaby jakikolwiek cień. Poczułam się jak w pułapce, bez możliwości ucieczki, a wrażenie uwięzienia na rozgrzanym i odsłoniętym zboczu nie opuszczało mnie przez długie minuty.

Ten krajobraz oddawał stan mojego ducha. Od wczorajszego feralnego wieczoru miałam wrażenie, że ugrzęzłam w beznadziejnej sytuacji. Czekałam na kupca wiele miesięcy bezskutecznie. Wreszcie znalazła się jedna jedyna zainteresowana, już miałyśmy podpisać umowę, a tu... kłapa, nie wyszło. Jak wybrnąć z tego impasu? Czekać kolejne miesiące, a może i lata, aż uda się sprzedać ziemię? A co za tym idzie, tkwić w smutnej martwocie panującej w domu?

Mimochodem pomyślałam o moim pierwszym spotkaniu z P. O fali ekscytacji i jednocześnie rodzącego się niepokoju, który mnie wtedy ogarnął. Wydawało mi się niemal niemożliwe, by nasze wzajemne zainteresowanie mogło przerodzić się w coś więcej. Pamiętam, że niedługo po pierwszym spotkaniu byliśmy na koncercie. Staliśmy obok siebie i nagle kątem oka dostrzegłam wielkiego pajaka chodzącego po plecach P. Zajęło mi dobrą chwilę, zanim udało mi się tego pajaka strzepnąć na podłogę. Pamiętam, że stałam za P., pajaka już nie było, a ja nadal nie mogłam ruszyć się z miejsca. I wtedy zupełnie spontanicznie przytuliłam policzek do pleców P. Wstrzymałam oddech, próbując wyczuć przez materiał koszuli jego zapach, poczuć ciepło jego skóry. Nigdy żaden chłopak nie wyzwolił we mnie takich zachowań. Nigdy nikogo tak nie pragnęłam. Trwało to ułamki sekund. P. nagle odwrócił się i pocałował mnie w usta. Pierwszy raz. Wtedy poznałam jego smak.

Jak mogłam dalej spotykać się z nim pod okiem matki? To była najgorsza z opcji.

Odgarnęłam włosy opadające na ramiona i chcąc poczuć przewiew na szyi, związałam je w kucyk. Ruszyłam dalej. Zdziwiło mnie, że nie widzę żadnych owadów, much, komarów ani mrówek, najwyraźniej nawet dla nich było za gorąco. Spękana i twarda ziemia zasłana była patykami i ściętą na wiosnę, zeschniętą trawą. Gdzieś w oddali słychać było warkot silnika, ale żaden pojazd nie pojawił się w zasięgu mojego wzroku.

Zmęczona dotarłam do położonej na przeciwległym wzgórzu winnicy. Pracownicy w przeróżnych nakryciach głowy, w mocnych butach i osłaniających łydki spodniach zrywali kiście winogron już od świtu, spieszyli się. W ciągu zaledwie kilkunastu dni musieli zebrać to, co natura rodziła przez cały rok. Leonardo mówił, że zapowiadano deszcze w drugiej połowie miesiąca, a one mogły zniszczyć całe zbiory. Mokre owoce zwykle pleśniały i ulegały grzybicy, tony owoców trzeba było wtedy wyrzucać.

Grupa pochylonych pracowników przesuwiała się systematycznie od jednego krzaka do drugiego, pomiędzy rzędami winorośli oplecionych wokół palików i drutów stanowiących podporę dla gałęzi. Fioletowe, nagrzone kiście owoców wpadały do wiader. Kiedy wiadro było pełne, owoce przesypano do większego kosza. Wtedy podchodził mężczyzna, który stał dotąd z boku i nie

uczestniczył w zbieraniu owoców. Poprawiał on „winiarską” opaskę założoną na czoło i swobodnie opadającą na plecy. Do dolnych końców tej opaski przyczepiony był specjalny wałek ułatwiający trzymanie kosza, kosz z winogronami wędrował przecież na kark tragarza. Niósł on ciężki ładunek kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie stał traktor ze skrzynkami, do których przesypywano grona.

Dołączyłam do grupki najbliższej pracujących. Kilka osób na chwilę podniosło wzrok, ktoś się uśmiechnął, ale zaraz powrócił do swojego zajęcia. Włączyłam się do zbierania, nie mogłam jednak pozbyć się natrętnych myśli; tworzyły one zaplątany kłębek, z którego co rusz wysuwała się niesforna nitka w postaci kolejnego pytania. Co dalej? Jak się zachować w obliczu zniknięcia jedyne kupca? Powinnam wracać do Londynu? Czekać w Douro, aż znajdzie się inny kupiec? Bilety lotnicze zabukowałam na następny tydzień, mogłam przesunąć termin wyjazdu i lecieć choćby jutro. To było żalosne rozwiązanie, ale proste do przeprowadzenia. I tak straciłam dużo czasu.

Przypominałam sobie obydwie wizyty u Osvalda, minuta po minucie, próbując znaleźć wytłumaczenie dla nieobecności Camili Hernandez. Ale pytania wracały, nie znalazłam na nie odpowiedzi. Kusilo mnie jednak, aby spróbować odnaleźć Camilę Hernandez i dowiedzieć się, dlaczego ta kobieta zrujnowała tak misternie ułożony przeze mnie plan. Wtedy przynajmniej mogłabym wrócić do domu z czystym sumieniem i głową wolną od snuty przez wyobraźnię domysłów.

Zrywając grona, nabierałam coraz wyraźniejszego przeświadczenia, że muszę stawić czoła wyzwaniom – to znaczy odnaleźć niedoszlą nabywczynię działki. Nie mogłam tak po prostu odjechać z pustymi rękoma, pokonana. Na szali leżała moja przyszłość – moje bycie z P., moja samodzielność, moje powodzenie. Znałam nazwę miejscowości, w której mieszkała Hernandez. Padła z ust Osvalda podczas naszego pierwszego spotkania. Co mi szkodziło spróbować? Nie, to było złe pytanie, niosło wątpliwość. A ja w tej spalonej słońcem winnicy właśnie pozbyłam się wątpliwości. Wiedziałam już, że jedynym słusznym posunięciem jest odnalezienie Camili.

Nie czułam już żaru lejącego się z nieba. Rozsuwałam liście winorośli, chwytalam kiście i odcinałam je od gałęzi sekatorem. Zajęcie to wymagało trwania w pozycji ciągłego nachylenia i wykonywania jednostajnych, powtarzalnych ruchów. Bolały mnie ręce, a kręgosłup miał wielką ochotę się wyprostować. Nie wypadało jednak skapitulować.

Sięgnęłam wzrokiem dalej, tam gdzie kończyły się krzewy winorośli. Ostatni fragment winnicy, położony niemal na czubku wzniesienia, zagospodarowany był w inny sposób. Rzędy krzewów zostały tam zasadzone zupełnie pionowo. Wspinały się one prosto na szczyt, jakby chciały sięgnąć nieba. *Vinha ao alto*, przypomniałam sobie określenie, jakiego użył Leonardo na tego rodzaju winnice.

Wielokrotne pokonywanie stromizny takiego zbocza musiało być nie lada wyzwaniem dla zbieraczy. Zwłaszcza w upał.

– Ładne? Ładne? – za moimi plecami wywiązało się jakieś poruszenie. Odwróciłam się.

Młoda kobieta trzymała w dłoni pękata kiść białych winogron, a dwie czy trzy osoby podskubywały owoce prosto z krzaka.

– To *moscatel* – poinformował mnie mężczyzna stojący najbliżej. – Czasami w rzędach czerwonych winorośli trafi się krzak białych, a te tutaj są najśodsze.

Sięgnęłam po podane mi na wyciągniętej dłoni białe kulki. Miały cienką skórkę i delikatny, słodki miąższ.

Odgłos odjeżdżającego traktora był sygnałem do rozpoczęcia przerwy. Marzyłam o butelce schłodzonej wody mineralnej, pracowałam już ponad dwie godziny. Wszyscy szli na lunch, ja też rozpoczęłam wędrówkę powrotną.

Dotarłam do domu, powłócząc nogami. Gabriela popijała herbatę w salonie. Zapewne zauważyła fioletowe plamy po winogronach na moim ubraniu i rękach. Lepiłam się od kurzu, moja twarz spływała potem. Miałam dziwne wrażenie, że ten widok sprawił mojej babce satysfakcję. Nie wiedziała, że w głębi serca ja też się cieszę.

Stare schody prowadzące na antresolę zaskrzypiały pod moimi stopami, jakby chciały stawić opór nagłemu intruzowi. Umyta i przebrana tu właśnie miałam zamiar zaczekać na posiłek, przy którym od kilkudziesięciu minut krzątała się Benedita. Zapaliłam lampę zawieszoną u sufitu z drewnianych bali. Łagodne światło objęło swoim zasięgiem środek pomieszczenia, ledwie wyłaniając z mroku wiszące na ścianach portrety przodków. Nieco posępne, zamyślane twarze obdarzyły mnie uważnym spojrzeniem. Wśród pięciu zawieszonych w rzędzie podobizn jedna należała do młodej dziewczyny. Jej włosy skrywał przedziwny kapelusz ozdobiony długimi piórami, na szyi miała bogaty, lecz nader gustowny naszyjnik, na ramionach niedbale zarzucony muślinowy szal, dłonie wsunięte w skórzane rękawiczki. Coś jednak w jej twarzy nie pasowało do reszty wizerunku. Tak, jest bez wątpienia piękna, pomyślałam, ale w jej oczach wygasło życie. Kim była? Żaden podpis nie zdradzał imienia nieznajomej.

Porzuciłam studiowanie portretu i przysiadłam na wyłożonej poduszkami kanapie. Gdybym tylko mogła zrozumieć, dlaczego rodzice tak bardzo odcięli się od korzeni, dlaczego nie przekazali mi żadnej wiedzy na temat rodzinnych historii, poczynań poprzednich pokoleń, na temat tych wszystkich ludzi, których portrety wiszą tutaj na antresoli. Chciałabym wiedzieć, jaki był mój pradziadek, który po śmierci prababki został sam z małymi dziećmi, dlaczego rodzinna willa w Porto obróciła się w ruinę, z jakiego powodu Leonardo nigdy się nie ożenił... Nie wiem,

czemu nikt nie oswoił mnie z winnicami, nie próbował nawet opowiedzieć o uprawie winorośli, o produkcji wina... Takie pytania same nasuwały mi się na myśl, a im więcej ich było, tym bardziej czułam się zaintrygowana. Chciałam przestać martwić się sprzedażą, pragnęłam działać, ale jak?

Sięgnęłam po jeden z dużych woluminów ustawionych na półce obok. Księga była ciężka, jakby jej kartki nasączył ktoś oliwą, na dwóch rogach znać było ślad nadpalenia. *Occidente – Revista Illustrada de Portucale E Do Estrançeiro I De Janeiro 1878* – odczytałam. Drobnym napisem na dole kartki informował, że wydawnictwo mieściło się w Lizbonie. Przejrzałam kilka stron wypełnionych niemal współczesnymi grafikami. Jedną z nich przedstawiała białą kurę wychylającą się z kurnika w kierunku stojącego nieopodal koguta, kogut dumnie wypinał pierś, dając popis swoich umiejętności głosowych. Podpis pod grafiką: *Romeu E Julieta*.

Przypomniałam sobie słowa dedykacji ze starego albumu, tego, który kiedyś znalazłam na tej samej półce: *Nie ma przypadków, istnieje tylko cel, którego jeszcze nie rozumiesz*. Czy zniknięcie Camili Hernandez miało swój ukryty cel?

Zamknęłam książkę, wzniesając w powietrze drobinki kurzu, które zasiedlały zszarzałe strony, i odstawiłam ją na półkę.

Widziała już z daleka, że coś jest nie tak. Ze szpary pomiędzy drzwiami a podłogą, a nawet – jak ze zgrozą zauważyła – przez dziurkę od klucza, wydobywał się dym. Gęste kłęby szarego dymu. Przyspieszyła kroku i stanęła przed niebieskimi drzwiami. Otworzyła je z duszą na ramieniu. Zawiasy zaskrzypiały i Gabriela mimochodem pomyślała, że pora je naoliwić, wszak nie robiła tego od dawna.

Dym wypełniał całe pomieszczenie, a pokój zalany był dziwną pomarańczową poświatą. Gabriela wyobraziła sobie, że zaraz dostrzeże płomień trawiące meble, książki i perski dywan leżący na podłodze, ale nie, nic takiego się nie stało. Na stoliku pod oknem paliła się natomiast świeca, dużych rozmiarów gromnica, i to ona, a nie żaden pożar, dawała efekt pomarańczowej mgły spowijającej pokój. Gabriela przełknęła ślinę. Co tu, u diabła, się działo?

Nie miała wątpliwości, że ktoś tu jest, i nie był to Horacio. Wyczuła to po zapachu, fetorze raczej, który wydał jej się znajomy, choć na pewno nie kojarzył się dobrze. Przywoływał bowiem w pamięci złe wspomnienia. Nie mogła też odeprzeć wrażenia, że ten ktoś bacznie ją obserwuje, że ją widzi, chociaż ona nie widzi jego.

Rozejrzała się uważnie dookoła, odwróciła się w stronę szafy. Drzwi do szafy były otwarte, najwyraźniej ktoś chował się właśnie za nimi. Gabriela podeszła bliżej i uszczypnęła się dwa razy, żeby upewnić się, że nie śni.

W otwartych drzwiach stała kobieta. Nieruchoma jak posąg. Jedyne kąci jej ust unosiły się lekko, wypuszczając nienaturalnie duże obłoczki tytoniowego dymu.

– Hernandez! – Gabriela powstrzymała się, by nie krzyknąć na całe gardło. – Niech mnie wszyscy święci!

Hernandez uśmiechnęła się drwiąco. Mogła przestać udawać, że jej tu nie ma. Zresztą wykonała już większość swojego zadania, torba była prawie spakowana, jeszcze dwie marynarki i zamierzała opuścić pokój. Najwyraźniej spotkania z Gabrielą nie dało się uniknąć, można było jednak nim odpowiednio pokierować.

– Co tu robisz!? – Gabriela z trudem opanowała głos. Camila Hernandez szperała w rzeczach Horacia, to było nie do pomyślenia. Jak weszła do jego pokoju? Miała klucz? Jakim prawem? A poza tym przecież ona nigdy nie paliła!

– Horacio prosił mnie, żebym zabrała dla niego kilka drobiazgów.

– Kpisz sobie. Gdzie on jest?! Mów!

– Pojechał do tamtego domu. Widzisz, wcale nie posłuchał twoich argumentów. Nie masz na niego wpływu, twoje słowa nic nie znaczą. – Hernandez roześmiała się, a jej białe zęby błysnęły w półmroku.

– Pojechał?! – Gabriela położyła ręce na oparciu krzesła. Zaciśnęła powieki, dobrze wiedziała, co stanie się potem. – Ach, nienawidzę cię! Jesteś potworem w ludzkim ciele! Wynoś się stąd natychmiast!

– Quinta to też moja posiadłość, zapomniałaś? Nie jestem całkiem obcą osobą.

– Dla mnie zawsze będziesz obca, słyszysz?! Nigdy nie zaistniejesz w świecie Winefordów, nigdy!

– Przestań już, uspokój się. Zawsze jesteś taka porywcza. – Hernandez się skrzywiła. – Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. To nie moja wina, że nie masz już nad nim żadnej władzy. Ludzie dorastają, wiesz? Zmieniają się, zaczynają inaczej się zachowywać, wyglądać, myśleć, to normalna kolej rzeczy. A ty zawsze jesteś taka niezadowolona. Chciałabyś zatrzymać czas, żeby trwał w nieskończoność, chciałabyś zawsze mieć Horacia przy sobie... to niemożliwe. Poza tym jesteś starą kobietą, nie powinnaś tak się denerwować.

– Gównu wiesz!

– Jesteś niezrównowazona. Biorę rzeczy i znikam, nie mogłabym z tobą przebywać dłużej – kobieta odwróciła się w stronę półek w szafie i spokojnie zaczęła składać odłożone ubrania, a potem pakować je do torby. Kiedy skończyła, zasunęła suwak i z triumfem spojrzała na Gabrielę. Staruszka, czerwona na twarzy, oddychała jak ryba, której zaczyna brakować powietrza. Nie wyglądała dobrze. – Policz do trzech i już mnie nie będzie – szepnęła Hernandez.

Gabriela zaczęła w myślach liczyć, lecz opamiętała się – dlaczego robi to, co jej każe Hernandez?! Przetarła oczy, ale kobieta zniknęła. Drzwi do szafy

zakołysały się żałośnie, kiedy Gabriela dotknęła ich dłonią.

Obudziło mnie trąbienie traktora, który przywiózł skrzynki z porannym zbiorem winogron, a nie mógł podjechać do winiarni z powodu samochodu zaparkowanego na środku drogi. Usłyszałam jakieś okrzyki, a potem mężczyzna dźwigający karton wina podbiegł do samochodu i czym prędzej odjechał. Klient, pomyślałam, spoglądając przez okno.

To był dzień, w którym zamierzałam odnaleźć Camilę. Pojechać do jej miasteczka i zapukać do drzwi jej domu. O swych planach nie poinformowałam Leonarda ani tym bardziej babki. Intuicja podpowiadała mi, że tak będzie lepiej. Pełna dobrych myśli podreptałam do kuchni zaparzyć sobie mocną *café*. Potrzebowałam dużej ilości kofeiny, gdyż tej nocy nawet tutaj, w chłodnych zazwyczaj murach quinty, nie mogłam się wyspać. Spiekota odczuwalna za dnia pod wieczór zamieniła się w coś, co można było nazwać temperaturą znośną, lecz nadal utrudniającą normalne funkcjonowanie. Ciężkie powietrze nie pozwalało swobodnie oddychać. Miałam też wrażenie, że koszulka, którą mam na sobie, uszyta jest z jakiegoś nieprzepuszczalnego materiału. W takich warunkach trudno o dobry sen.

Sądziłam, że o tak późnym poranku nie zastanę już nikogo w kuchni, ale się myliłam – Leonardo raczył się szklanką wody z limonką.

– Ach, nasza Sophie – przywitał mnie. – Czy dzisiaj też będziesz pomagać w winnicy?

– Nie, zostanę w domu, znajdę sobie jakieś inne zajęcie – skłamałam.

Odstawił opróżnioną szklankę i odruchowo spojrzął na zegarek.

– Muszę wracać do winiarni. Dziesięciu chłopów przyjeżdża ubijać winogrona. Sophie, u ciebie wszystko w porządku? Uszy do góry, tak? – spytał z troską.

– Leo, chyba nie myślisz, że pierwsza porażka mnie złamie?

– Nie, mam nadzieję, że nie. Wiesz, przez życie, jak przez błoto, idzie się trudno... – westchnął. – Żałuję tylko, że nie mogę dzisiaj w niczym ci pomóc.

– Nie szkodzi, wiem, że masz dużo pracy – pocieszyłam go. Było mi bardzo na rękę, że w dzień, w którym postanowiłam odnaleźć Camilę Hernandez, wuj jest tak zajęty.

– Chcesz zajrzeć do winiarni? Teraz tam taki ruch. Ach, ty chyba jeszcze nie zjadłaś?

A zresztą... zjesz potem. Chodź, pokażę ci, jak to wygląda. – Pociągnął mnie do drzwi.

Przeszliśmy przez podwórko i pokonując kilkanaście kamiennych stopni dzielących nas od położonej niżej winiarni, dotarliśmy na niewielki dziedziniec oddzielony od reszty terenu białą, oplecioną winoroślą ścianą. Panował tu trudny

do przekrzywienia hałas wytwarzany przez maszynę sortującą winogrona. Podeszłam bliżej, chcąc przyjrzeć się temu hałaśliwemu wynalazkowi.

– To winogrona zwiezione dziś z winnic. – Wuj próbował przekrzywić warkot. – Kilkanaście skrzynek. – Wskazał na traktor.

Rozpoznałam mężczyznę stojącego na przyczepie traktora, widziałam go wczoraj w winnicy. Przyczepa zaparkowana była przy maszynie sortującej, mężczyzna mógł więc sypać winogrona bezpośrednio na taśmę. Wysypane owoce podjeżdżały dalej, pod ręce kobiet, a one sprawnie wylapywały te przegniłe, spleśniałe, posklejane lub po prostu zmiażdżone. Przebrane owoce znikwały na chwilę w ciemnym otworze stalowej maszyny, po czym wypadały z niego już bez gałązek, prosto na stertę wcześniej wyselekcjonowanych gron. Praca postępowała szybko i co kilka minut inny pracownik zabierał pełen kubeł owoców, podstawiając pusty.

W powietrzu unosił się słodki, nieco mdły zapach, który sprawił, że w moim pustym żołądku coś złowieszczo zabulgotało. Rozejrzałam się w poszukiwaniu źródła woni. Zlokalizowanie go nie było trudne, nad przyczepą stojącą przy drzwiach winiarni brzęczał rój os, a w środku leżały odrzucone winogrona i gałązki oblepione ich sokiem.

– Chodźmy dalej. – Leonardo wziął mnie pod ramię i z ulgą weszłam do wnętrza winiarni. W środku było nieco chłodniej i znacznie ciszej niż na zewnątrz. Kamienne baseny wypełnione były moszczem w różnych stadiach fermentacji. Tutaj też dało wyczuć się charakterystyczny, słodki zapach, nie miał jednak on w sobie tej przykrej, przyprawiającej o mdłości nuty.

– Prawie gotowe. – Leo z dumą wskazał na jeden z *lagares*. – To lato było suche i bez większych anomalii, porto będzie wyborne.

– Kiedy będziesz to wino zlewał? – Starłam się za nim nadążyć.

– O, z tym jeszcze trzeba zaczekać. Teraz najważniejsza sprawa: może już dzisiaj w nocy, góra jutro, trzeba będzie dolać *aguardente vínica*, innymi słowy brandy²⁰. Należy to zrobić w odpowiednim momencie, a to trudna sztuka. Będziemy więc co pół godziny robić pomiary cukru, ja będę osobiście czuwał dziś w nocy, a to oznacza spanie tam. – Obrócił się i wskazał palcem gdzieś ponad swoją głową. Powędrowałam za nim wzrokiem i dostrzegłam ukryte schodki prowadzące do biura.

– Tam przecież nie ma łóżka...

– Jest leżanka, kto by myślał o łóżku, kiedy chodzi o porto. Czasami fermentacja idzie powoli, a potem nagle przyspiesza i jeśli nie doda się alkoholu w odpowiednim momencie, to już po herbacie. A raczej po winie.

– *Maldito sejas!* – ktoś nagle przeklął w głębi winiarni.

– Oho, coś chyba poszło nie tak. – Leonardo rozejrzał się. Mężczyzna pracujący przy stalowych kadziach walczył z pompą do przelewania soku. –

Przepraszam – zdążył rzucić i już go nie było.

Wiedziałam, w której miejscowości mieszka Camila, a to już było coś. Pocieszałam się, że tutejsze miasteczka nie należą do rozległych, z drugiej jednak strony znałam portugalskie zamiłowanie do powielania imion w obrębie jednej rodziny i do statystycznej powtarzalności tych samych nazwisk. Camili Hernandez mogło być w jednym miasteczku najzwyczajniej kilka.

Licząc na łut szczęścia, wyjechałam za bramę quinty. Droga nie była tym razem pusta. Toczyły się nią półciężarówki i traktory zwożące winogrona. Ponieważ trasa była wąska, a pojazdy szerokie, przed każdym zakrętem ostrzegały siebie nawzajem za pomocą klaksonów. Cała dolina nagle znalazła się w stanie najwyższego podniecenia. Było głośno i ruchliwie, Douro odkrywało przede mną jeszcze jedną swoją twarz. Na zboczach ludzie uwijali się przy pracy, bramy quint w oczekiwaniu na kolejne dostawy owoców pozostawały szeroko otwarte. Niezwykłe, przeszło mi przez myśl, jak natura Douro żyje w symbiozie z ludźmi, a raczej jak oni nauczyli się z nią współgrać.

Miasteczko, do którego dojechałam, wydawało się jednak martwe. Kamienny kościół, kamienne domy, poczta i niewielki skwerek z dwiema ławkami pośrodku skąpane były w południowym słońcu, ale opustoszałe. Być może większość ludzi na okres zbiorów przerywała swe normalne zajęcia i przenosiła się do pracy w winnicach. A może po prostu było zbyt gorąco, by przebywać na zewnątrz?

U wylotu brukowanej uliczki dostrzegłam mężczyznę wychodzącego z jednego ze sklepów. Ucieszona tym widokiem, tam właśnie postanowiłam najpierw się udać. *Talho*21, przeczytałam napis na szyldzie. W środku było jeszcze dwóch mężczyzn, rozmawiali ze sprzedawcą. Stałam za ich plecami.

– Benfica, mówisz? Te obdartusy ze stolicy? Wolne żarty! – zaperzył się mężczyzna w kapeluszu.

– Daj spokój, FC Porto da radę – przekonywał drugi.

– Panowie – wtrącił się sprzedawca. – Porto miastem niezwyciężonym, *Cidade Invicta*, czyż nie tak?

– Tak, tak. – Mężczyźni roześmiali się.

Powiodłam wzrokiem po ścianach pomieszczenia sklepowego. Wisiały na nich polce mięsa, świńskie półtusze i pęta kiełbas o różnych grubościach i odcieniach brązu, szynki oplecione ciasno surowym sznurkiem, salcesony i grube salami z oczkami gęstego tłuszczu. Pachniało żywym mięsem, ciężkim, krwistym, i zaczęłam żałować, że przestąpiłam próg sklepu. Nie było jednak czasu na ucieczkę, sprzedawca właśnie mnie zauważył.

– Dla pani? Może szyneczki? – zapytał, podsuwając mi pod nos kawałek

wędliny nadzianej na rzeźniczy nóż. – Palce lizać, pani spróbuje – zakręcił dłonią.

Nie wypadało odmówić. Ściągnęłam wędlinę z czubka i posmakowałam. Faktycznie palce lizać.

Sprzedawca zniknął nagle pod ladą. Mężczyźni wstrzymali oddech, wymienili porozumiewawcze spojrzenia i szturchnęli się łokciami. Poczułam się niepewnie. Sprzedawca tymczasem zaszeleścił gdzieś na dole gazetą, trzasnął szafką i udając wielki wysiłek, wyłonił się zza kontuaru z drewnianą beczułką w dłoniach.

– Tu cię mam, ptaszku – szepnął i mrugnął okiem.

Beczulkę postawił na ladzie i odkręcił kurek. Do podstawionego kubeczka wysączyła się z niego przezroczysta zawartość. Napelnięny do połowy kubek podał mężczyźnie w kapeluszu, potem kolejny drugiemu, a następnie, jakby to była całkiem naturalna kolej rzeczy, napełnił trzeci i wyciągnął dłoń w moją stronę. Pokręciłam głową, ale sprzedawca nie miał zamiaru ustąpić. Tutejsze zasady kurtuazji najwyraźniej nie podlegały dyskusji. Posłusznie wychyliłam zawartość kubeczka, czując przy tym, jak mój przelyk, a potem żołądek stają w ogniu. Nie mogąc złapać oddechu, spojrzałam przez łzy na sprzedawcę. Uznał to za zachętę.

– Dokładkę?

– Nie! – chlipnęłam. – Absolutnie!

Kiedy wstępny rytuał mieliśmy za sobą, zapytał wreszcie:

– Czym mogę służyć?

– Szukam pewnej kobiety, Camili Hernandez, nie znam niestety jej adresu.

– Hernandez, ale której?

– Camili – powtórzyłam.

– Czym się zajmuje? Ile ma lat?

– W wieku około pięćdziesiątki, ma chyba winnice.

– Nie kojarzę.

– Ja wiem! – odezwał się mężczyzna w kapeluszu. – To młoda Hernandez.

Powiem, jak dojść. Pójdzie pani uliczką wzdłuż tego sklepu, potem będzie rozwidlenie, trzeba iść w lewo z dziesięć minut...

– Jakie w lewo, tam nie ma skrętu w lewo, można iść prosto lub w prawo – przerwał mu drugi mężczyzna.

– Jest w lewo, Jorge, co ty gadasz, delikatny łuk w lewo, nie pij tyle.

– Jeśli mówisz w lewo, to pani skręci do Juliety, przecież ten chodnik prowadzi tylko do niej.

– A skąd ty tak dobrze wiesz, który chodnik prowadzi do Juliety?

– O święta Madonno! Eusébio ma myśli brudne jak wielu ludzi ręce!

Mężczyzna w kapeluszu wydał wargi w wyrazie pogardy i ponownie podjął wątek.

– Dobrze, droga pani, umówmy się, że to jest w zasadzie bardziej prosto niż

w lewo, chodzi o to, żeby odbić od głównej drogi, która prowadzi w prawo. I tak pani zauważy różnicę, wystarczy trzymać się lewej strony i trafi pani do fontanny przy końcu ulicy...

- ...na końcu miasteczka – uzupełnił drugi mężczyzna.
- Chyba że nie w Serra do Marão, na litość boską! Więc jak mówiłem, za fontanną w prawo i to będzie taka brama kuta w żelazie, tam jest wjazd.
- Dziękuję! – odetchnęłam i nie zwlekając, ruszyłam na zewnątrz, prosto w sforę psów czatującą pod drzwiami *talhy*.
- Pani im nic nie rzuca, są nażarte! – zdołał ostrzec mnie sprzedawca, a potem drzwi się zamknęły.

Obszczekiwana przez niezbyt przyjaźnie nastawione stado czworonogów pokonałam wskazaną trasę. Mijałam właśnie fontannę, kiedy dostrzegłam zaparkowany byle jak, jakby w pośpiechu, samochód. Przeszłam kilka kroków w przeświadczeniu, że znam skądś to auto... Czy był to drugi, nowszy džip Leonarda? Przystanąłam zaskoczona. Zostawiłam wuja w winiarni nie dalej jak dwie godziny temu, może i zdążyłby tu dojechać przede mną, ale twierdził, że jest dzisiaj bardzo zajęty, to przecież noce porto...

Rzuciłam okiem na uliczkę, ale była tak samo opustoszała jak przed chwilą. Cofnęłam się w cień oplecionego pnączem murku. Co Leonardo mógł robić akurat tutaj? Postałam jeszcze kilka minut, nie pojawił się. Przecież on ciągle gdzieś jeździ, próbowałam się uspokoić. Nic w tym dziwnego, a ja mam tu do załatwienia swoją sprawę i lepiej, jeśli się z tej uliczki natychmiast ewakuuję. Odnalazłam wzrokiem żelazną bramę. Odległość do niej pokonałam w kilka sekund, przemykając po rozpalonej ulicy jak spłoszony zwierz. Potem ruszyłam zwirowaną alejką gęsto obsadzoną po obu stronach hortensjami. Psy, jak na rozkaz, zatrzymały się przed furką i już tam pozostały.

Minęłam warzywnik z poletkiem dojrzałych pomidorów, rzędy ogromnych głów kapuścianych, równie imponujących dyni i marchewek. Dalej rosły drzewa pomarańczowe i cytrynowe, zielone i bujne, rzucające zbawienny cień na ścieżkę. Na końcu drogi, przy samym domu, kwitły białe kamelie.

Drzwi do domu były zamknięte, więc poszukałam wzrokiem kołatki. Nie było jednak niczego, co by ją przypominało. Zastukałam więc dłonią raz, potem mocniej ponownie. Brama była otwarta, ktoś musi tu być, pomyślałam, zapuszczając żurawia w najbliższe okno. Przeszłam za róg domu, tu również było pusto, w cieniu drzew pomarańczowych stały drewniane palety na wino, ustawione zgrabnie jedna na drugiej. Przeszłam dalej, minęłam pomarańcze i rozkopany kwadrat ziemi, w której tkwił szpadel. Ziemia wyglądała na świeżo poruszoną, ktoś tu musiał niedawno pracować. Teraz jednak była tu tylko cisza. To bez sensu, mam

piękną, starą winnicę, ładny kawałek ziemi, czy naprawdę muszę pętać się po cudzej posiadłości jak złoczyńca?, pomyślałam. Czy muszę zebrać, żeby ktoś kupił moją działkę? I jeszcze ta wataha psów... Przypomniałam sobie jednak powód, dla którego wdarłam się do cudzej quinty, matkę celującą we mnie palcem: „Przez ciebie! Przez ciebie jesteśmy wciąż razem...”. Wzdrygnęłam się i czym prędzej wróciłam przed front domu. I wtedy drzwi się otworzyły. Stała w nich Camila Hernandez.

Przedstawiłam się, nie musiałam jednak tego robić, bo kobieta od razu mnie rozpoznała. Patrzyła pytająco, oczekując jakiegoś wyjaśnienia tej niespodziewanej wizyty.

– Czy pani już nie jest zainteresowana moimi winnicami? – zapytałam bez owijania w bawełnę. – Nie przyszła pani na spotkanie u Osvalda...

Kobieta wzięła głęboki oddech.

– Nie przyszłam... Ja się wycofałam, przykro mi.

– Ale dlaczego? Jeśli chodzi o cenę, mogę z niej zejść, być może nawet tyle, ile pani proponowała.

– Nie, nie. – Kobieta wyraźnie się przestraszyła. – Nie trzeba, nie o to chodzi, to coś niezależnego ode mnie. Tak wyszło.

– Może mogłabym wejść na chwilę? Porozmawiać? – Nie miałam zamiaru dać łatwo za wygraną. Odniosłam zresztą wrażenie, że naszą możliwość porozumienia ogranicza stanie w progu, jakby w półkroku. Gdybym weszła, pani Hernandez zapewne byłaby bardziej rozmowna.

Kobieta chwilę się zastanawiała. Omiotła mnie baczny spojrzeniem:

– Dlaczego pani tu przychodzi, jak pani mnie znalazła... Ktoś pani podał adres?

– Nie, po prostu zapytałam w sklepie, jakiś mężczyzna panią znał i wskazał drogę.

– Ach tak – zamilkła znowu.

Wahała się. Gdzieś w powietrzu zabrzęczała mucha i pomyślałam, że przez to brzęczenie kobieta znecierpliwi się i zamknie mi drzwi przed nosem.

– Sama pani tu przyszła? To pani pomysł? – odezwała się wreszcie.

– W stu procentach. Mój wuj nie wie, że tu jestem, ani Osvaldo, nikt.

– Pani babka też nie?

– Babka? – zdziwiłam się. – Zna pani moją babkę Gabrielę?

– Znałam... to znaczy znam – poprawiła się. – Przecież mówiłam, że moje winnice graniczą z waszą działką.

– Racja. – Przeszłam z nogi na nogę. – Ona też nie wie. Więc może mogłabym jednak wejść?

– To bezcelowe, jestem zajęta. Lepiej, jak pani już pójdzie.

– Ale pani zna tu wszystkich, może ktoś szuka ziemi, każda wskazówka jest

dla mnie cenna.

– Nie sędzę. Jeśli jednak tak bardzo pani zależy... – zawahała się znowu. Wystawiła głowę za próg i rozejrzała się uważnie. – Dobrze, na chwilę, proszę. – Drzwi zostały szerzej otwarte. Wślizgnęłam się do środka, a kiedy to zrobiłam, trzask rozległ się za moimi plecami. Podskoczyłam i odruchowo odwróciłam się. Hernandez zasuwawała właśnie ciężką zasuwkę i zaciągała kotarę przy drzwiach.

– Co pani robi? – Poczułam się nieswojo.

– Ach nic, zamykam tylko drzwi. Słyszała pani o szaleńcu, który wystrzelał całą wioskę?

– Nie...

– To zdarzyło się nie tak dawno. Mąż był zazdrosny, podejrzewał, że kobieta go zdradza, nie wiedział jednak, z kim. Któregoś dnia wziął strzelbę i zanim zabił siebie, wystrzelał wszystkich mieszkańców. Zgładził całą wioskę, zresztą do dzisiaj nikt tam nie mieszka, domy stoją puste. Pisali o tym w gazetach.

– Sądziłam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w Ameryce.

– Skądże znowu, Douro kryje w sobie potworne historie.

Ruszyliśmy długim, ciemnym korytarzem w głąb domu. Camila Hernandez była boso. Miała niewielkie, zwinne stopy i paznokcie pomalowane na czerwono. Posuwała się po korytarzu bezszelestnie, podczas gdy moje sandały nienaturalnie głośno stuknęły w granitową podłogę.

Pokój, do którego dotarliśmy, był niewielki, ale jego okna wychodziły na ogród, przez co sprawiał wrażenie przestronniejszego, niż był w rzeczywistości. Jedno z okien było otwarte, kobieta pospiesznie zamknęła je i jednym ruchem zasunęła rolety. Ogród zniknął. Wskazała krzesło przy masywnym stole zajmującym środek pomieszczenia, sama również usiadła.

– Przepraszam, że tak panią nachodzę, ale zależy mi na sprzedaży. Musiałam się upewnić, że pani naprawdę zrezygnowała. – Czułam, że powinnam się usprawiedliwić.

– Rozumiem, ale ja już postanowiłam, zaszły pewne okoliczności, moja oferta nie jest aktualna. Leonardo lub Osvaldo znajdą pani innego kupca.

– Leonardo to akurat nikogo nie znajdzie. Zna pani dobrze mojego wuja?

– Nie najlepiej – powiedziała z ociąganiem. – Już lepiej znałam Antóna, Horacia...

Spojrzałam na nią zaskoczona. Nasze spojrzenia skrzyżowały się i poczułam na sobie zapamiętany z pierwszego spotkania przytłaczający ciężar. Hernandez patrzyła na mnie przenikliwie, jakby chciała wyczytać moje myśli i zamiary. Można było odebrać to jako natarczywą ingerencję. Odruchowo skuliłam ramiona.

– Powiedziała pani Horacio... – pokręciłam się na krześle. Kim jest ten przeklęty Horacio? – Może pani powiedzieć o nim... coś więcej?

– Powiedzieć więcej? Po co? – Kobieta wybuchnęła śmiechem i szybko

zamilkła, jakby zawstydzona własną reakcją. Odwróciła twarz do okna. Gdy ponownie na mnie spojrzała, w jej oczach nie było śladu radości. – Przecież ma pani kogo pytać – stwierdziła.

– Nie całkiem. – Pomyślałam o ojcu, który co prawda kazał położyć mi kwiaty na grobie Horacia, ale nie wyjaśnił już, dlaczego miałabym to zrobić. – Moi rodzice nie są zbyt wylewni, ani Leonardo...

– Ale chyba pani wie, że Horacio nie żyje? I wie pani, że był najmłodszym z trójki braci? – spojrzała na mnie pytająco.

– To znaczy... – próbowałam przyswoić sobie to, co właśnie usłyszałam – ...z trójki braci? Tak, wiedziałam – skłamałam pospiesznie.

– Biedne dziecko. – W głosie Camili słychać było sarkazm, przejrzała mnie. – Widać, że wie pani niewiele. Horacio był młodszym bratem pani ojca. Lekarzem. Może czegoś pani się napije?

– Z chęcią. – Przełknęłam ślinę. – Wody.

Gospodyni podniosła się i zniknęła w korytarzu. A więc Horacio należał do rodziny? Dlaczego ojciec mi tego nie powiedział?

Rzuciłam okiem na pokój. Już wcześniej zauważyłam, że panuje w nim nieskazitelny porządek. Pokój nie był zagracony tak jak pomieszczenia w posiadłości Leonarda i Gabrieli. Niedawno ktoś musiał go odnowić, ściany były tak białe, czyste. Meble – dwie porządne komody, stół, kilka półek i rozłożysta kanapa – były proste i eleganckie w stylu, bez śladów upływu czasu, bez staroświeckich ozdobników.

– Rzeczywiście, woda jest najbardziej odpowiednia na taką pogodę. – Hernandez postawiła na stole butelkę carvalhelhos i dwie szklanki. Napełniła je zaraz i jedną z nich podsunęła w moją stronę. – Więc chce pani wiedzieć, czym zajmował się senhor Horacio?

– Chciałabym wiedzieć... jak najwięcej. – Próbowałam ogarnąć myśli. – Mam taki album z dedykacją... – zaczęłam, lecz zaraz porzuciłam pomysł spoufalania się z kobietą.

– No cóż... – Hernandez oparła łokcie o stół i zaplotła dłonie. – Doktor Horacio był znanym człowiekiem, ludzie go szanowali, bo to nie był lekarz wysłany z Porto na prowincję albo, jeszcze gorzej, z Lizbony. Wie pani, Douro, pomimo żywych kontaktów ze światem z racji produkcji wina, przez długi czas pozostawało w izolacji od reszty Portugalii. A doktor Horacio... on był świetnym fachowcem, wykształconym w Anglii na najlepszym uniwersytecie medycznym, tacy lekarze nie osiadali zwykle u nas. A co robił dokładnie... – zamyśliła się na chwilę, jakby chciała przypomnieć sobie jakieś ważne szczegóły. – W zimie leczył przeziębienia, zapalenia płuc i zwichnięcia, o które tak łatwo podczas pracy

w winnicach. Leczył bóle kości nasączonych deszczem i niezliczone przypadki ciężkiej gruźlicy... w lecie bąble na rękach od noszenia koszy z winogronami, czyraki, udary i oparzenia słoneczne... nie było już wtedy na szczęście malarii, już nie zbierała takiego żniwa. Doktor Horacio odbierał też porody, choć to nie była jego specjalność. Wiem o tym, bo asystował przy przyjściu na świat mojego bratanka, który nawiasem mówiąc, jest już dorosły. Podejrzewam, że doktorowi dobrze się pracowało. Nie chciał z Douro wyjeżdżać, a zaręczam pani, że miał ku temu niejedną okazję. Może dlatego, że pacjenci byli tutaj zawsze cierpliwi i przyzwyczajeni, że na efekty trzeba niekiedy długo czekać.

Uparta mucha, która pojawiła się, gdy stałyśmy w progu, teraz nagle znalazła się nad stołem. Odgoniłam ją, ale mucha wróciła. Jej brzęczenie było nieznośnie. Jak nie przestaniesz, utopię cię w szklance wody, pogroziłam jej w myślach.

Hernandez opowiadała dalej:

– Tu nie było wielu medyków... Przez wieki leczyli nas znachorzy, zielarze, szpitalna medycyna przyszła z opóźnieniem. Zresztą lekarze w kitlach zawsze budzili strach, niełatwo zdobywali zaufanie pacjentów. Doktor Horacio był inny, był lekarzem z powołania, ludzie to wyczuwali, naprawdę miał złote serce. Ja nie wiem, czy tacy specjaliści jeszcze się trafiają.

– A jak on zmarł? Chorował?

Hernandez wyprostowała się i spojrzała nerwowo na zegarek.

– Zginął w pożarze... Tak, chyba zginął w pożarze.

– A grób? Powie mi pani, gdzie jest?

– O to proszę zapytać Winefordów.

Czasami milkła, jakby biła się z myślami, czy mówić dalej, czy przestać, a może po prostu szukała właściwych słów. Chwilę to trwało, brała wtedy w dłoń swój wisiołek, pocierała go kciukiem albo zaciskała wokół niego palce. Kiedy wydawało się, że to już koniec opowieści, odnajdywała rytm i ciągnęła ją dalej. Tak mijały kolejne minuty, a ona mówiła, motywowana jakimś wewnętrznym przymusem.

Tak naprawdę jednak chciała skończyć to spotkanie. Nie powinna tyle mówić, nie powinna wpuszczać dziewczyny do domu. Ta rozmowa zaprowadziła ją dużo dalej, niż się spodziewała. Gdyby Leonardo, Gabriela i ten stary Filipe wiedzieli... Camila poczuła drapanie w gardle. Sięgnęła po szklanekę z wodą i upiła z niej łyk, próbując zatuszować zdenerwowanie. No właśnie, a jeśli oni się dowiedzą? Nie chciała nawet myśleć o konsekwencjach. Spojrzała na Sophie, ale ta nie zauważyła nagłej paniki, która zrodziła się w sercu rozmówczyni.

Próbowała więc mówić spokojnie dalej.

Nie była jednak tak szczerą, jak się wydawało... wiedziała, że przede

wszystkim syci własną ciekawość, karmi ją, a ciekawość pęcznieje, rośnie i łaknie jeszcze więcej.

Patrzyła więc na ostry podbródek dziewczyny, na jej głęboko osadzone piwne oczy, na lśniące młodością włosy. Zastanawiała się, jaka była jej twarz wcześniej, gdy była dzieckiem, potem nastolatką, i jaka będzie, gdy dziewczyna się zestarzeje. Chwilami te obserwacje przerywały jej tok myślenia. Zapomniałam, co chciałam powiedzieć, usprawiedliwiała się wtedy, a potem w możliwie naturalny sposób kontynuowała.

Sophie była tak zasłuchana... nie spostrzegła, że Camila bacznie ją obserwuje, że czeka na jakiś znak, na sygnał stanowiący potwierdzenie albo zaprzeczenie swoich podejrzeń. Czy Sophie wie, Camila się zastanawiała, czy się domyśla, kim jestem, czy tylko mnie sprawdza, sonduje?

Dręcząca ciekawość sprawiła, że zaczynała mówić nieskładnie. Czowała narastające w sobie napięcie, delikatne jeszcze drżenie mięśni, nerwowość rąk, które starała się czymś zająć – odgarnianiem włosów z policzka albo ich zaplataniem na palcu. Tak bardzo bała się, że powie coś, co zabrzmi zbyt jednoznacznie i czego będzie potem żałować.

Kiedy zegar wybił pierwszą, wiedziała już, że ta dziewczyna musi iść, musi wyjść, zanim będzie za późno. Dość, powiedziała w myślach, czując, że nie wytrzyma dłużej, muszę ją wyprosić, odgonić, zniechęcić. Poczwała, że serce bije jej nienaturalnie szybko, naprawdę nadszedł czas, żeby to przerwać.

Kiedy przyjechałam do domu, był już wieczór. Razem ze mną zajechał na dziedziniec niewielki van, z którego wysypało się kilkunastu młodych mężczyzn. Mężczyźni, dość głośni i w dobrych nastrojach, przeszli do winiarni, gdzie czekał już na nich Tiago. Wszyscy razem zniknęli na kilka minut w magazynie, a potem przebrani w krótkie spodenki i japonki ruszyli do winiarni. Miałam wielką ochotę zobaczyć *foot treading*²², ale jeszcze bardziej chciałam splukać z siebie kurz, który przyklejał się do mojej spoczonej skóry przez cały dzień. Marzyłam o chłodnej kąpieli w zabytkowej wannie, która stała w drugiej, bardziej prywatnej łazience starego domu.

Łazienka była wolna. Małe okienko z zielonymi okiennicami wpuszczało do środka tylko tyle słońca, ile trzeba było do zapewnienia minimalnej ilości światła, przez co pomieszczenie pozostawało równie chłodne jak nalana przeze mnie do wanny woda. Zanurzyłam się, doznając miłego odprężenia, razem z brudem splukując z siebie całe napięcie, które gromadziło się we mnie już od kilku dni. Zamknęłam oczy, chwilo, trwaj, już chciałam powiedzieć, nie zdążyłam jednak, bo nagle gdzieś z zewnątrz rozległ się tubalny śpiew męskich głosów.

Tłumiąc w sobie ochotę na przedłużenie relaksu, wyszłam z wanny,

wytarłam się i ubrałam. Odświeżona przystanęłam na patiu, by poczuć przyjemny wietrzyk, który właśnie pod osłoną zmierzchu pojawił się w dolinie. Niebo zasnuło się szarością. Nadpłynęły też chmury, przemieszczały się szybciej, dużo szybciej niż zazwyczaj. Wiatr porwał warstwę piasku i zawirował nią z siłą małej trąby powietrznej kilka metrów ode mnie, jakby chciał pokazać, na co go stać. Piachu było na dziedzińcu pod dostatkim. Zawsze wydawało mi się, że Douro porośnięte jest gęstą zielenią, ale teraz wiedziałam, że pod warstwą zieleni nie kryje się pulchna i miękka ziemia, lecz skały, twarde i nieprzejednane, z wierzchnią warstwą piasku i drobnych kamyczków. Winorośl mogła żyć na nich tylko dlatego, że warstwy skalne ułożone były wertykalnie. Takie ułożenie pozwalało czasem i ośmiometrowym korzeniom krzewów wcisnąć się głębiej w ziemię i sięgnąć wody. Tak czy inaczej, piach i pył były wszędzie. W upalne dni na gruntowych drogach można było poczuć się jak na rajdzie Paryż–Dakar, o czym miałam już możliwość się przekonać, piach w zębach nie smakował najlepiej.

Wiatr przybrał na sile i pomyślałam, że być może za chwilę będę świadkiem ulewy. Faktycznie, kolejny powiew wiatru przyniósł pierwsze krople. Cofnęłam się na zadaszoną werandę. Deszcz wzmagął się, a temperatura spadała proporcjonalnie w dół. Niebo nad doliną przybrało kolor przejrzałej śliwki i lunęło gęstym deszczem. W strugach wody rozmyła się winiarnia, najbliższe wzgórza i winnice, a nawet samochód zaparkowany przed domem, nie słychać już było głosów śpiewających mężczyzn, deszcz pochłonął cały krajobraz.

Trwało to jednak zaledwie moment. Ulewa skończyła się równie szybko, jak się zaczęła, a wiatr ucichł, jakby ktoś odłączył go od prądu. Ogarnęłam wzrokiem spustoszenie, jakiego żywioł dokonał – dziesiątki kałuż na dziedzińcu i przewrócone wiadra pod ścianą. Samochód też wyglądał dziwnie. Oblepiała go cienka warstwa błota będącego mieszaniną kurzu, którym pokrył się podczas drogi, i wody, która na niego przed chwilą spadła. Ledwie widzialna mgiełka unosiła się tuż nad ziemią, czuć było zapach zwilżonej roślinności, ziemia parowała, oddając swe ciepło powietrzu.

Tymczasem w winiarni wrzała praca. Mężczyźni wędrowali w *lagares* już od godziny. Ich nogi, zanurzone niemal do połowy ud w winogronowej mazi, podnosiły się rytmicznie, raz, dwa, raz, dwa, równo i bez chwili wytchnienia, jak w precyzyjnej niemieckiej maszynie.

Rozejrzałam się, szukając wzrokiem Leonarda. Chciałam zapytać go o Horacia, przecież on też mógł powiedzieć mi o istnieniu trzeciego brata. Najwyraźniej wszyscy mieli jakiś powód, żeby tego nie robić. Wuj stał na antresoli. Zamachałam do niego, lecz nawet na mnie nie spojrział. Tymczasem mężczyźni, chcąc się popisać, zaintonowali nową pieśń. Z wolna zielone łodyżki winogron znikwały na dnie *lagares*, a mężczyźni zmieniali tempo na wolniejsze. Nie skorzystałam z zaproszenia Eurica, by dołączyć do pracy. Byłam niższa niż

większość mężczyzn, musiałabym wskoczyć w kostium kąpielowy, żeby nie zmoczyć sobie ubrania. Nie miałam ochoty na podobny negliż w towarzystwie dziesięciu par męskich oczu i tak już z zaciekawieniem mnie obserwujących. Wspięłam się więc na antresolę, pokonując wąskie, metalowe schodki.

Kiedy dotarłam na szczyt schodów, spojrzałam w dół, gdzie Eurico zaczął właśnie rozlewać jedną z pierwszych porcji porto. Z tej wysokości winiarnia wydawała się jeszcze większa. Sufit nadal znajdował się dwa metry nad moją głową, a ogromne kadzie stojące w głębi budynku w dalszym ciągu przewyższały mnie wzrostem. Z góry widoczna była logika, z jaką zbudowano winiarnię – kolejne jej poziomy schodziły kaskadowo w dół, podążając za stromizną zbocza, na którym budynek został postawiony.

Popchnęłam drzwi i weszłam do biurowego pokoju. Wuj stał nad rzędem szklanych probówek z nalaną odrobiną wina na dnie każdej i intensywnie nad czymś myślał. Spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi takim wzrokiem, że aż mnie zmroziło. W jednej chwili odechciało mi się pytać go o cokolwiek.

– O, ty tutaj? – mruknął mało zachęcająco.

Odparłam, że chciałam wreszcie przyjrzeć się ubijaniu winogron i że ci mężczyźni muszą mieć niezłą kondycję, żeby tak pracować. Burknął coś pod nosem, a potem głośniejszym głosem dodał, że zaraz będzie posiłek, jakbym o tym nie wiedziała. Chciał się mnie pozbyć? Wiedział, o co zamierzam go zapytać?

– Może potowarzyszysz babce? – dodał na odczepnego.

– Leo, czy coś poszło nie tak?

Spojrzał na mnie niechętnie.

– Nie, dlaczego? Jestem po prostu zajęty. – Odwrócił się do probówek. Plecami do mnie. – Zaraz do was dołączę.

Benedita faktycznie czekała już z kolacją, a babka krążyła po jadalni, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

– Jesteś! Czekając na was, można się zestarzeć – mruknęła. – Gdzie twój wuj?

– Powiedział, że zaraz przyjdzie.

– Zaczekajmy zatem pięć minut.

Leonardo jednak nie pojawił się ani za pięć minut, ani za piętnaście, ani kiedy zjadaliśmy zupę cebulową z kielbasą, ani kiedy dotarliśmy do *maçã assada*, pieczonych jabłek oblanych słodkim porto i podanych jako deser. Babka była zdegustowana, ale uznała, że tej nocy wino wymagało od Leonarda wyrzeczeń i żołądka pustego jak dzwon. Rozgrzeszyła go z ociąganiem i niechęcią. Nie była rozmowna, ledwie przełknęła ostatni kęs, opuściła pokój, tłumacząc się ostrym bólem głowy. Zostałam sama, z pytaniami, których nie zdążyłam zadać.

Zastanawiałam się, dlaczego moja rodzina trzyma w tajemnicy fakt istnienia Horacia. Dlaczego ojciec nie powiedział, że prosi mnie o położenie kwiatów na grobie brata.

Horacio był lekarzem i do tego dobrym, szanowanym, porządnym i wykształconym. Kimś takim można się w rodzinie raczej chwalić, niż go ukrywać. Czy moja rodzina czegoś się wstydziła? Co wołała wyprzeć z pamięci?

A że zginął w pożarze... Rozumiałam, że wspomnienie jego śmierci musiało być bolesne dla wszystkich i głęboko traumatyczne, z drugiej jednak strony należała mi się jakaś informacja. Stanowiłam część tej rodziny, byłam Sophie Wineford, wnuczką Gabrieli i bratanicą Horacia, tak samo jak byłam bratanicą Leonarda. Dlaczego chcieli wyłączyć mnie z kręgu wtajemniczonych? Kiedy Horacio zginął, musiałam być dzieckiem, to zrozumiałe, że chciano oszczędzić mi przeżyć, ale teraz? Dlaczego nadal nikt ze mną nie porozmawiał na temat nieżyjącego wuja? Dlaczego musiała zrobić to przypadkiem poznana kobieta?

Moje myśli zboczyły na inne tory. Co robił Leonardo, jeśli to był jego samochód, pod domem Hernandez? Czyżby sprawdzał, gdzie jeżdżę? Nie widziałam wprawdzie wyraźnego uzasadnienia, dlaczego miałby zachowywać się w ten właśnie sposób, nie opuszczało mnie jednak dziwne przeświadczenie, że byłby do takiego zachowania zdolny i że naprawdę mógłby mnie śledzić.

Za chwilę mój umysł produkował inną wersję wydarzeń. Może to wuj miał coś do ukrycia, to on bał się, że odkryję, że był pod domem Camili. Dlatego teraz nie chciał ze mną rozmawiać, nie przyszedł na kolację i udawał obrażonego.

Sięgnęłam po nóż i pokroiłam jabłko na małe kawałki, chociaż nie było to potrzebne, bo owoc był wypieczony i miękki jak nasączony biszkopt. Zjadłam kawałek po kawałku, aż na talerzu została tylko plama ciemnego porto, które wyciekło z owocu. Odsunęłam talerz. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że coś tu nie gra. Już wcześniej podejrzewałam, że Osvaldo nie jest uczciwy, teraz wydawało mi się, że również Leonardo nie jest tak szczerzy, jak powinien. Interpretowałam fakty na tysiąc sposobów i szukałam różnych wytłumaczeń, a mimo to ciągle tkwiło we mnie to samo odczucie – w zachowaniu Leonarda było coś, co przypominało mi zachowanie Osvalda. Obaj nagle przestali być przekonujący. Nie mogłam pozbyć się absurdałnej myśli, że Leonardo konspiruje za moimi plecami, tak samo jak Osvaldo. Musiałam być uważna, na pewno ostrożniejsza niż dotychczas.

Kiedy Gabriela wypijała ostatnią tego dnia herbatę, przysiadłam obok niej i postanowiłam zapytać wprost o przyczynę rodzinnej zmywy, tej, która sprawiła, że musiałam przedzierać się przez cudze ogrody i przełamywać niechęć obcej kobiety, żeby usłyszeć kilka słów o nieżyjącym wuju. Absurdalność tej sytuacji

była dla mnie oczywista i miałam nadzieję, że babka ją zrozumie.

Księżyc przybierał właśnie kształt cienkiego sierpa, kiedy moja babka, słysząc, z kim widziałam się w ciągu dnia, podniosła się z fotela i oparta o stół wyszeptowała z przerażeniem:

– Żartujesz sobie, dziecko, prawda? Wcale nie byłaś u Camili Hernandez, nie rozmawiałaś o Horaciu, nie siedziałaś z nią przy jednym stole. Wymyśliłaś sobie to wszystko, prawda?

– Babciu, niczego nie wymyśliłam. Pojechałam do tej kobiety, bo narobiła mi kłopotu, rezygnując z kupna winnic. Chciałam uzyskać jakieś wyjaśnienia. Przypadkiem dowiedziałam się, że znała Horacia. Ja też znam to imię, ale nie wiem nic o człowieku, który je nosił. Poprosiłam więc, żeby opowiedziała mi o nim więcej. Usłyszałam historię o wspaniałym lekarzu, lubianym i szanowanym.

– Mój Boże, mój Boże. – Gabriela cofnęła się o krok i osunęła na fotel, wciąż mamrocząc słowa niedowierzania. Ręce wyraźnie jej drżały.

– Teraz chciałabym usłyszeć od ciebie – ciągnęłam niezrażona dalej – dlaczego nie wiedziałam nic o Horaciu, dlaczego nikt mi o nim nie powiedział, co to za tajemnica?!

Spojrzałam na babkę, ale ona nadal nie mogła odzyskać spokoju. Nie mając czym zająć drżących rąk, chwyciła za imbryk i dołała sobie herbaty. Sięgnęła po filiżankę, sparzyła się i zakląła siarczyście.

Czując wzbierający w sobie żal, zarzuciłam ją pytaniami:

– Czy Horacio zrobił coś złego, coś, czego się wstydzicie, powiedz, czy jest coś, co usprawiedliwia chowanie go w zakamarkach rodzinnej pamięci jak w drugim grobie? Jak długo będziecie jeszcze raczyć mnie półsłówkami? Przecież to twój syn i brat mojego ojca!

– Ty nic nie rozumiesz, Sophie – wycedziła babka.

– To wyjaśnij mi, proszę, mamy czas. Zobacz, siedzę tu i czekam, moje sprawy nie układają się tak, jak bym chciała, klientka zrezygnowała z kupna winnic, samolot mam dopiero za kilka dni, nie mam nic do roboty, zamieniam się w słuch. Babciu, ktoś musi w końcu ze mną porozmawiać – w moim głosie zabrzmiała desperacja.

Gabriela poczerwieniała. Miałam wrażenie, że lada chwila zacznie krzyczeć. Uczyniła chyba nadludzki wysiłek, żeby się pozbierać. Czekałam w napięciu, a ona wpatrywała się we mnie tym swoim kasandrycznym, naładowanym ładunkami elektrycznymi wzrokiem.

– Chcesz wiedzieć, to ci powiem – zachrypiała wreszcie. – Horacio to był mój ukochany syn. Najmłodszy z dzieci, najbardziej uroczy, najbardziej posłuszny. Wspaniale się uczył, najlepiej polował, nigdy nie sprawiał problemów. Kiedy Leonardo i Antón zdzierali kolejne spodnie na murze odgradzającym nasz dom od sąsiadów, Horacio siedział w salonie i grał z ojcem w szachy. Kiedy oni uciekali

z kąpieli, on już dawno umyty czytał książkę. Był inny od swoich braci, w każdym calu, i może dlatego pokładaliśmy w nim wielkie nadzieje. Ale niech ci nie przyjdzie do głowy, że bracia go nie lubili, nic z tych rzeczy, Horacio z każdym z nich świetnie się dogadywał. Gdy byli mali, rano znajdowałam ich wszystkich trzech w jednym łóżku, chociaż każdy z nich miał swoje, między Leonardem a Horaciem była różnica trzech lat... między Antónem a Horaciem dwóch. Serce mi rosło, gdy widziałam, jak się przyjaźnią, i wiedziałam, że ze sobą nie rywalizują, chociaż pewnie czuli, że to najmłodszy z nich jest moim oczkiem w głowie. Thomas mi to zawsze wypominał, to faworyzowanie Horacia, zaprzeczałam, ale teraz mogę powiedzieć, że tak, miał rację, Horacio zawsze był w centrum mojego zainteresowania.

Jak wiesz, on został lekarzem. Nie w tym rzecz, czy mi się ten wybór podobał, czy nie. Musisz jednak wiedzieć, że lekarz na prowincji miał wtedy dużo roboty, ale mały prestiż i nędzne zarobki. A on był doktorem wspaniałym, najlepszym w regionie, nikt temu nie zaprzeczy. Włożył mnóstwo wysiłku w to, żeby móc właśnie tutaj, w Portugalii, pracować. Ciągłe się doszkałał, wyjeżdżał na międzynarodowe konferencje, publikował, ale najważniejsze, że pacjenci traktowali go jak swego, zapraszali na śluby i chrzciny swoich nowo narodzonych dzieci, zostawiali pod drzwiami gabinetu drobne upominki świąteczne, chcąc wyrazić swe podziękowanie za uratowanie życia w chorobie albo po prostu za serdeczne i ludzkie traktowanie.

– Tak, tyle słyszałam...

– Słyszałaś? To teraz powiem ci najważniejsze. Usiądź pewniej na kanapie i słuchaj dobrze, bo nie jest to coś, co pragniesz usłyszeć. Horacio zginął, ale wcale nie musiał zginąć. Gdyby nie intrygi jednej jedynej osoby, która dążyła do tego, aby rozbić naszą rodzinę, zniszczyć ją, zaszkodzić jej, nie przebijając w środkach... gdyby nie jej podstępne matactwa, jej lisi charakter, prawdopodobnie mój syn siedziałby tu razem z nami i popijał herbatę. Ale mieliśmy pecha. Ten ktoś wziął się na nas, krążył wokół jak sęp, jak wampir gotowy wyssać nasze szczęście do ostatniej kropli krwi. Daliśmy palec, a zapragnął całej dłoni. – Babka potarła dłonią czoło, jakby chciała zetrzeć z niego upiorne wspomnienia. Przymknęła na sekundę powieki. – Jak myślisz, dlaczego przeprowadziliśmy się tutaj do quinty w czasach, gdy nikt tego jeszcze nie robił? – rzuciła zaraz jak wyzwanie. – Zostawiliśmy piękną willę z wszelkimi wygodami, willę z marmurowymi schodami i kryształowym lustrem w hallu, roznosiciele gazet co rano zostawiali nam pod drzwiami najświeższe wydania angielskich dzienników, mieliśmy wszystko, co trzeba... Porzuciliśmy przyjaciół i sute przyjęcia przez nich wydawane, całe to wielkowiejskie życie, aby zamieszkać w starym domu bez elektryczności, bez ogrzewania, z oknami przepuszczającymi trasmontański wiatr... Przenieśliśmy się tu, gdzie nie było sklepów, teatrów,

rozświetlonych ulic, eleganckich parków ani nadmorskiej promenady, jednym słowem żadnych rozrywek poza możliwością przechadzania się pustymi drogami Cima Corgo. Czy już wiesz, kogo mam na myśli? – Oczy Gabrieli zaiskrzyły. – Wiesz, przez kogo zginął mój syn? Wiesz, kto sprawił, że moje serce pękło i rozsypało się w proch, że musiałam radzić sobie z bólem, który nie ustał aż do dnia dzisiejszego, że mówiłam słowa, które normalnie utknęłyby mi w gardle? Jeśli nie wiesz, to ja ci to powiem, Sophie. Powiem ci, bo ktoś w końcu musi to zrobić. I nie rób wielkich oczu, nie dziw się, bo nie takie już rzeczy działy się na tym ziemskim padole łez.

Odpowiedzialna za śmierć Horacia jest Camila Hernandez. Ta sama, z którą dzisiaj ucięłaś sobie słodką pogawędkę, z którą siedziałaś przy jednym stole, ramię w ramię.

To ona go zamordowała.

Leonardo wszedł do baru, z którego dochodziły gromkie okrzyki rozentuzjasmowanych mężczyzn. Transmitowano właśnie mecz z Estádio do Dragão i oczy wszystkich przebywających w lokalu wlepione były w nienaturalnie duży ekran zawieszony nad ladą. Przepchnął się przez podniecony tłumek i zajął stolik w dalszej części pomieszczenia, jak mu się zdawało, bardziej zaciszny. Nikt go tutaj nie znał, on też nie rozpoznawał żadnych twarzy. Z przyjemnością odnotował pojawiające się uczucie lekkości wynikające z faktu stania się anonimowym. Złożył zamówienie i potoczył wzrokiem po sali, dostrzegając przy tym dwie czy trzy kobiety kibicujące piłkarzom z równym zapałem, co mężczyźni. Jemu narodowy sport Portugalii nigdy nie podwyższał ciśnienia. Szkoda, pomyślał, mógłbym przynajmniej teraz się zrelaksować. Oparł się o ścianę i zamyślił. Sezon dobiegał końca, jeszcze kilka dni i winnice opustoszeją... Lato było bardzo gorące i nie na tyle wilgotne, żeby wilgoć zepsuła owoce. Wszystko będzie dobrze, zapewnił sam siebie. Tego dnia jednak nie przyszłość fermentujących w kadziach winogron obchodziła go najbardziej. Choć zdarzało się to niezmiernie rzadko, myślami błądził daleko od winiarskich interesów. Czy nie pracuję dostatecznie ciężko, żeby pozwolić sobie czasami na kaprys? pomyślał. Sophie swoją wizytą w Douro nawarzyła piwa, ktoś prędzej czy później będzie musiał je wypić. Staralem się pokrzyżować jej plany, ale ona jest taka uparta, westchnął. Czuł, że przegrał tę pierwszą batalię: Sophie pojechała do Hernandez. Czy mógł temu zapobiec? Nie mógł. Nadszedł jednak czas, by zająć się samą Hernandez.

Spojrzał na postawiony przed nim wcześniej talerz. Zdążył już zjeść większość *rissóis de camarão*, podsmażanych pierożków z krewetkami. Zawsze są tak małe... – pomyślał z żalem, włożył do ust ostatni i wytarł zatłuszczone usta. Mężczyźni skupieni przed ekranem zaczęli gwizdać i z obrazu zniknęła zielona

murawa stadionu. Dziękuję, powiedział Leonardo sam do siebie i opuścił lokal.

Nie zapominając o swoich zamiarach, ruszył w dalszą drogę. Czas mijał mu szybko, zanim się zorientował, przejeżdżał przez most. Po kolejnych kilkunastu minutach był na miejscu. Zaparkował tam, gdzie ostatnim razem. Zgasił silnik. Pomyślał, że gdyby był palaczem, byłby to dobry czas na wyciągnięcie papierosa. Nigdy jednak nie uległ tytoniowemu nałogowi, nie licząc krótkiego okresu londyńskiego, kiedy to palenie stało się modne wśród jego znajomych. Pokręcił gałką radia samochodowego. Na ustawionej częstotliwości spiker zapowiadał nadejście fali upałów, którą miał złagodzić chłodny prąd znad oceanu, co było wiadomością o tyle nieistotną, że do Douro i tak żadne prądy znad oceanu nie docierały. Zniecierpliwiony chwycił jeszcze raz za gałkę w poszukiwaniu przyjemnej dla ucha muzyki, nie znalazł jej jednak. Wyłączył więc odbiornik, sięgnął do schowka przy radiu i wyciągnął z niego stare okulary przeciwsłoneczne. Założył je, tak na wszelki wypadek. Ulica była jak ostatnio pusta i bez śladu ludzkiej obecności. Już wcześniej wyjął komórkę i umieścił ją na fotelu obok. Gdyby ktoś znajomy jakimś nieszczęśliwym trafem znalazł się w pobliżu, Leonardo miał zamiar chwycić za telefon i udawać, że prowadzi bardzo ważną rozmowę, co tłumaczyłoby, dlaczego w środku dnia i w najbardziej niedorzecznym miejscu spędza zamknięty w samochodzie długie, beczynne minuty.

Rozejrzał się dookoła, nadal pustka i bezruch. W porządku, pomyślał, zaczekam. Rozłożył nieco fotel, chcąc się wygodniej usadowić. Spojrzał na zegarek, minęła właśnie czternasta.

Kiedyś, gdy był bardzo młody, w podobnych na pozór okolicznościach czekał na pewną niezwykłą dziewczynę. Miała szesnaście lat, o trzy lata mniej niż on. Spotykali się już od jakiegoś czasu, ale Leonardo czuł tamtego dnia, że to spotkanie okaże się zupełnie wyjątkowe, że każde z nich zapamięta je do końca życia. Więc czekał, w jeszcze większym napięciu i z jeszcze większym nabożnym pragnieniem, by dziewczyna szybko przysłała i by mogli wspólnie rozpocząć ten jeden z najważniejszych w ich życiu wieczorów. Jego serce topiło się na myśl, co może się wydarzyć i czym może się zakończyć to wyczekiwane rendez-vous. Czekał i czekał, z wysiłkiem powstrzymując się od ciągłego zerkania na zegarek, aż zrobiła się noc i nad miastem zdążyły zawisnąć deszczowe chmury. Lunęło, grube krople spadły na jego wzorowo odprasowaną koszulę, zamieniając ją w, można rzec, dziewiętnastowieczny strój kąpielowy. W wypastowanych butach pojawiła się wilgoć, kwiaty trzymane w dłoni zwiędły. Kiedy deszcz ustał, zrozumiał, że dziewczyna nie przyjdzie. Nigdy. Cisnął kwiaty do kosza i kiedy miał już ruszyć przed siebie, ona nagle wyrosła przed nim. Tak samo mokra jak on, z niepewnym uśmiechem na twarzy.

– Nie chcę się już z tobą spotykać, Leonardo – powiedziała krótko. – Przepraszam – dodała, nie patrząc mu w oczy.

I co miał zrobić? Amputowała mu tamtego wieczoru pół serca, ale drugie pół wciąż było żywe.

Nareszcie, Leonardo potarł nerwowo nos. Na końcu ścieżki, z gęstwiny drzew i krzewów wyłoniła się postać. Uśmiechnął się triumfalnie: Camila Hernandez.

Kobieta przekroczyła bramę prowadzącą na ulicę i przystanęła, rozglądając się dookoła. Leonardo wstrzymał oddech, wydawało mu się, że Camila rozpoznaje jego samochód, a może i jego samego, pomimo dziecinnych zabiegów, jakie wykonał w celu kamuflażu. Nie podeszła jednak bliżej, nie obejrzała się, tylko ruszyła pustą alejką przed siebie, na rynek. Patrzył, jak idzie. Ubrała się w tę jedną ze swoich nieśmiertelnych sukienek, które tak lubiła nosić w młodości i od których, jak widać, nie stroniła i w wieku dojrzałym. Związane włosy odsłaniały jej smukłą szyję, tak smukłą, że było to aż nieprzyzwoite. Leonardo przypomniał sobie, że kiedyś nie mógł wyzbyć się pragnienia, by zacisnąć dłonie na tej części jej ciała tak, jak czasami zaciskają się na ciężkiej do otwarcia butelce porto. Czy pielęgnował w sobie to pragnienie nadal? Kto wie... znał swoje limity, nie dało się ich jednak stosować do tej kobiety.

Zdjął okulary, by lepiej widzieć. Nie było już zagrożenia, że Camila go rozpozna. Podążał za nią wzrokiem. Droga była prosta, mógł patrzeć do woli, póki nie dotarła do odległego końca alei. Nie poszerzyła się za bardzo w biodrach, pomyślał, patrząc na nią, nie zaokrągliła zbyt, no może trochę, odrobinę, ale w sposób łagodny, estetyczny. Zawsze chodziła w ten sam sposób, stawiając stopy lekko na zewnątrz, na pewno nie tak, jak robią to chude modelki na wybiegach, nie, nie koślawiła nóg do środka, to pewne. Nie przypominał sobie jednak, żeby jej chód był kiedykolwiek tak pewny, tak stanowczy jak teraz... to było widoczne, zauważyłby już wcześniej. Szła wyprostowana, energiczna, taka... zdecydowana? Władcza? Przekonana o swojej wartości?

Gdyby istniał ktoś, kto potrafiłby odgadnąć, co tej kobiecie chodzi po głowie, Leonardo suto by go opłacił. Nie było jednak nikogo takiego. Leonardo mógłby popytać ludzi z wioski, ale nie znał ich, to nie były jego rewiry. Rodziny ze starych quint i ludzi z wiosek łączyły wspólne interesy, może nawet razem pracowali, ale na tym ich zażyłość się kończyła. A zresztą komu Camila Hernandez pozwoliłaby zajrzeć w głąb swego umysłu...

Zapalił silnik, na dwójce podjechał kawałek do przodu. Jeszcze przez ułamek sekundy widział skrawek jej postaci i cień padający zza rogu na chodnik. Widocznie przystanęła, może spotkała sąsiadkę albo czegoś szukała w torebce. Zamierzał wysiąść – albo tylko otworzyć szybę w samochodzie – i zwabić Camilę pod pretekstem rozmowy. Wcale nie musiał być miły, o nie, nie miał ochoty na uprzejmości. Szarpnie Camilę, potrząśnie za ramiona, zmusi, by wsiadła z nim do samochodu.

Sprawdził, czy działa zamek centralny, działał. Nie będzie mogła uciec.

Camila Hernandez zabiła Horacia. Pomału docierało do mnie to, co babka powiedziała. Ale dlaczego, jak? Czy Gabriela mówiła serio? Nie brzmiało to raczej jak starcze paplanie...

A więc to nie był wypadek... Wzdrygnęłam się. Jak to możliwe, że kobieta nie dała po sobie nic poznać, nie zdradziła się ani jednym drgnięciem mięśnia, ani jednym słowem. Rozmawiała tak swobodnie, jakby nie miała na sumieniu niczyjej śmierci, jakby to nic nie znaczyło, nie zmieniało całkowicie postaci rzeczy. Jakim człowiekiem musiała być, żeby odegrać ten doskonały teatr, nie wzbudzając we mnie żadnych wątpliwości.

Spojrzałam w okno. Rozpościerała się za nim bezbrzeżna noc, czarna jak strój wdowy. Robiło mi się słabo na myśl, czym mogło zakończyć się spotkanie z panią Hernandez. Kim była kobieta, która tak dbała o to, by drzwi były zamknięte, okna zasunięte roletami?

Nalałam sobie resztki pozostawionej w czajniku herbaty. Ucisnęłam skronie, chcąc przyswoić sobie żalną prawdę – padłam ofiarą niewiedzy, będącej efektem bądź co bądź intrygi uknutej przez moją rodzinę. Dlaczego mnie nie ostrzegli, nie powiedzieli po prostu, że znalazłam nieodpowiedniego kupca? Dlaczego zachowywali się tak dziwacznie?

I wtedy z całą mocą przypomniałam sobie wydarzenia ostatnich dni. W mojej głowie pojawiło się kilka obrazów, które nagle ułożyły się w sensowną, wytłumaczalną układankę. Camila Hernandez – to był prawdziwy powód, dla którego Leonardo zabronił mi chodzić do starej winnicy. Przecież winnica Hernandez stykała się z moją działką. Leonardo nie chciał, bym miała kontakt z zabójczynią Horacia, to zrozumiałe... Inne wydarzenia też zyskały wytłumaczenie. Leo zasłabł, gdy usłyszał, komu chcę sprzedać ziemię... A to, że przez ostatnie dni miał podły nastrój... w tej sytuacji również nie dziwiło. Gdybym była bardziej uważna, mogłabym te sygnały odczytać jako wskazówki. Leonardo słusznie nie chciał, by ta kobieta zbliżała się do quinty. Być może nawet Osvaldo był w to wplątany, może opamiętał się w porę i dlatego postarał się, by Camila nie dotarła na spotkanie. To wszystko miało sens.

Jedno było pewne. Wszyscy dookoła znali prawdę, wszyscy znali powód, dla którego Camila Hernandez nie powinna wejść w posiadanie winnic Winefordów, tylko ja tkwiłam w błogiej nieświadomości, ciesząc się jak dziecko, o święta naiwności, że wreszcie załatwię swoje sprawy, a potem, gdy to się nie udało, zamartwiając się. Ale przecież mogli dać mi jasno do zrozumienia, w czym rzecz, zrozumiałabym, uszanowała ich sprzeciw. Zakryłam dłońmi twarz. Przez kilka chwil walczyłam z poczuciem bezsilności, które nagle we mnie się pojawiło i nie

chciało odejść. Jak mogłam cokolwiek zdziałać, jeśli rodzina narażała mnie na coś takiego? Jeśli ukrywała przed mną prawdę? Wrażenie to nie trwało długo. Ustąpiło miejsca poczuciu głębokiej ulgi, że wszystkie karty nareszcie zostały odkryte.

Następnego dnia obudziłam się przekonana, że to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni i nocy, było jedynie mrocznym, dręczącym snem. Nie rozmawiałam z zabójczynią Horacia, nie zmusiłam Gabrieli do bolesnych wynurzeń na temat przeszłości i nie zostałam przez rodzinę wmanewrowana w niedorzeczną wizytę u Camili Hernandez. To wszystko było tylko dziwacznym urojeniem, wyprodukowanym przez mój zmęczony umysł, z którego pozostała tylko jedna wyrazista, choć może również irracjonalna myśl: muszę dowiedzieć się więcej o Horaciu.

Wychyliłam się przez okno sypialni. Powietrze pachniało świeżością, słońce nie zdążyło go jeszcze rozgrzać. Intuicja mówiła mi, że Douro obudziło się już kilka godzin temu, pierwsze skrzynki zostały napełnione winogronami, a może nawet przyjechał już transport do winiarni. Tylko ja tkwiłam w półśnie, stojąc w oknie w rozpiętej piżamie i z workami pod oczami świadczącymi o niewyspaniu. Żołądek jednak całkiem realnie domagał się stawy. Ubrałam się więc i przeniosłam do kuchni.

W kuchni krzątała się już Benedita, energiczna i niezawodna, ubrana w kremowy fartuszek ciasno opinający jej wydatne biodra. Wydawało się, że robi kilka czynności naraz, nastawia czajnik, wlewa jakąś kleistą masę do brytfanki i miesza coś w garnku stojącym na gazie. Patrzyłam na nią z podziwem.

– Dzień dobry, Benedita, wszyscy już po śniadaniu?

– Dzień dobry! – Benedita odwróciła się zaskoczona. – Prawie wszyscy, pani Gabriela jeszcze nie jadła.

– Naprawdę? Nadal śpi?

– Nie śpi, pani tej nocy w ogóle nie spała, ma migrenę, rano zanosłam jej proszki – wyjaśniła.

Pewnie przez naszą rozmowę, dopowiedziałam w myślach. Oderwałam kawałek świeżej bułki i skropiłam ją oliwą. Kucharka zaczęła właśnie kroić soczyste pomidory, pachniały na kilometr.

– Mogę? – zapytałam, wyciągając rękę po kilka grubo posolonych plasterków. Skórka warzywa wyglądała na twardą, ale środek prezentował się smakowicie. – Skąd macie takie pomidory?

– Z ogródka nad rzeką, jak wszystkie warzywa.

– To Leonardo zasadził ten ogród?

– Skądże znowu, ogród był tu od zawsze, przecież to nie miasto, żeby biegać do sklepu po byle marchewkę.

– Mhm – mlasnęłam. – A co to będzie? – Zajrzałam kucharce w drugą miskę.

– Och, to tylko ziemniaki na *bacalhau à brás*²³.

– Takie chude? Wyglądają jak frytki...

– Tak właśnie mają wyglądać, cienkie jak najmniejszy palec. – Benedita wskazała na swoją dłoń. – Najpierw położę dorsza, na to frytki z ziemniaków, a pod sam koniec dodam rozbełtane jajko i kilka oliwek, ot i cała filozofia...

– Mówisz, jakby to nie było jedno z najważniejszych dań kuchni portugalskiej.

– A jest? – Benedita się zaśmiała. – Dla mnie to takie samo danie jak każde inne, robię je w tym domu od trzydziestu lat.

– Pracujesz tu od trzydziestu lat?

– Tak jest, nawet trochę dłużej.

Spojrzałam na nią uważniej. Nie pamiętałam jej, a przecież musiała tu pracować, gdy ja jako dziecko bywałam w quincie. Benedita z pewnością знаła wszystkie tajemnice domu i rodziny, zapewne nieobca jej też była historia Camili Hernandez. Kusilo mnie, żeby podpytać ją o jakieś szczegóły, co się wydarzyło, jak doszło do tragedii.

– Znasz Winefordów na wylot, prawda? – zagadnęłam.

– Ależ panienko, jestem tylko kucharką.

– No tak. – Zmarszczyłam czoło. – Ale jesteś tu codziennie, rozmawiasz z Leonardem i Gabrielą...

– Panienka będzie piła kawę do śniadania? – Benedita weszła mi w słowo.

Nie tędy droga, pomyślałam. Czulałam, że spoufalając się ze mną, Benedita naruszyłaby jakiś ogólny porządek Winefordowego świata. To babka powinna dopowiedzieć mi resztę, są mi to z Leonardem winni. Przez nich chciałam sprzedać winnice osobie odpowiedzialnej za śmierć Horacia, przez nich chciałam zrobić jedną z najgłupszych rzeczy, jaką w tej rodzinie można było zrobić.

– Przepraszam, tak tylko pytam – powstrzymałam ciekawość. – Tak, Benedito, będę piła kawę.

Posłusznie zaczekałam, aż ekspres zabulgotze i wyrzuci z siebie czarny napar. Na talerzu położyłam jeszcze kawałek sera koziego z Trás-os-Montes. Śniadanie było gotowe. Uważając, by nie potknąć się z tak misternie przyrządzonym posiłkiem, zasiadłam na werandzie.

Dzień zapowiadał się naprawdę piękny. Temperatura ciągle utrzymywała się na przyjemnym poziomie, turkusowe niebo rozciągało się po horyzont i zlewało ze wzgórzami. Pomyślałam o Gabrieli złożonej migreną w swoim monarszym łożu. Było mi trochę przykro, że babka przeze mnie czuła się źle, ale miałam też do niej żal i pretensję o ukrywanie tak istotnych faktów. Nie mogłam pozbyć się myśli, że trzymanie tej makabrycznej historii w tajemnicy miało jakąś głębszą przyczynę.

Sięgnęłam po kawę. Benedita musiała mi chyba zaparzyć podwójną porcję, bo napój był mocny, że wykrzywiało. Dosypałam nadprogramową łyżeczkę cukru i zamieszałam.

Na drugim, rozciągającym się przed winiarnią dziedzińcu kręcili się ludzie. Podjechał samochód, kogoś szukano, Eurico rozmawiał przez telefon. Obok maszyna sortująca winogrona furkotała pełną parą. Jak inaczej tu było na jesieni, kiedy zarówno winiarnia, jak i okolica sprawiały wrażenie uśpionych.

Chciałam zapukać do pokoju babki, żeby sprawdzić, jak się czuje, ale się rozmyśliłam. Gabriela nie była osobą, która szukała współczucia. Nie byłaby też zapewne szczęśliwa, pokazując się wnuczce w wymiętej koszuli nocnej i rozdeptanych kapciach. Porzuciłam więc ten pomysł i przenieśliam się w tumult panujący na terenie winiarni.

Każdy miał tutaj coś ważnego do zrobienia, każdy gdzieś biegł, tylko ja nie miałam zajęcia. Nie przeszkadzało mi to jednak, wręcz przeciwnie, pomyślałam, że najlepsze, co teraz mogę zrobić, to poczekać, aż wypadki potoczą się dalej same, babka dojdzie do siebie, Leonardo wreszcie się zmaterializuje, a ja ułożę sobie wszystko w głowie z daleka od nich. Bez większego poczucia winy zwolniłam czas z obowiązku wystukiwania upływających minut.

Kiedyś wróciłam do domu z dłuższego, wakacyjnego wyjazdu. Wchodziłam po schodach kamienicy na tyłach madryckiego Plaza de Moncloa, wypolerowanych przez sprzątaczkę, jeszcze trochę śliskich, i zastanawiałam się, co zastanę za drzwiami, które zaraz mam otworzyć, czy coś się zmieniło, czy przez kilka tygodni, kiedy mnie nie było, cokolwiek uległo choćby najmniejszej, najmniej nawet znaczącej zmianie. Przedłużałam ten moment wędrówki, wolno stawiałam kroki, zatrzymywałam się na półpiętrach. Pamiętam swoje odbicie w szybie klatki schodowej, odbicie młodej dziewczyny z plecakiem, opalonej i wypoczętej, ale z rysą niepokoju wymalowanego na twarzy. Powitał mnie rumor, rzadkość w tym domu, radość, że żyję, i pretensje, że przedłużyłam wyjazd bez uprzedzenia, że powinnam coś tam załatwić, bo ktoś przyszedł, bo nie dopilnowałam, listu nie odebrałam, coś przegapiłam. Ale te szybko wyrzucane z ust ojca i matki zdania przelatywały przeze mnie jak przez sitko. Denerwowałam się wtedy, dlaczego nie zajmą się sobą, swoim związkiem, życiem, uczuciami? Pozwalałam im mówić, ale sama chciałam trwać jeszcze w swoim niefrasobliwym, wakacyjnym świecie, bo od pierwszego spojrzenia, pierwszego usłyszanego słowa wiedziałam, że wszystko będzie takie samo, jak było przed wyjazdem. Że tam, gdzie byłam, wydarzyło się tyle pięknych rzeczy: wrażeń, spotkań i nieprzespanych nocy, ale tu, na Fernández de los Rios czas stanął w miejscu, wszystkie dni można było zamknąć w jednym. I teraz ogarnęło mnie podobne przeczucie, że mój powrót do domu za kilka dni będzie wyglądał niemal tak samo jak wtedy, tamtego madryckiego lata, że to, co dzieje się w Quinta de São Francisco, nie ma żadnego linearnego połączenia z tym,

co dzieje się w Londynie. Z tą różnicą, że teraz nie jestem nastolatką spragnioną rodzinnego ciepła, ale dojrzałą kobietą, dążącą do osiągnięcia celu.

Spojrzałam w niebo. Nad moją głową zwisały dorodne kiście moscateli, białych, najpyszniejszych winogron, których smak poznałam już wcześniej podczas pracy w winnicy. Oplatały one pergolę rozpiętą nad całym niemal dziedzińcem. Pergola nie dawała wiele cienia, wisiała zbyt wysoko, by stanowić skuteczną zaporę dla słońca. Winogrona kusily. Napęczniałe, rosnące wyłącznie dla ozdoby, wydawały się dziewicze, niemal surrealistyczne. Zapragnęłam skosztować kilku owoców. Najdorodniejsza kiść spadła, kiedy tylko musnęłam ją kijem.

W winiarni pracował Eurico. Stał na podeście przy największej kadzi i trzymając w dłoniach pękata rurę, bełtał sok. Jeden koniec rury zanurzony był w kadzi, podczas gdy drugi podłączono do pompy stojącej na niższym poziomie, pompę zaś do kolejnej kadzi.

– Co robisz? – zaciekawiałam się, bo wyglądało to, jakby sok krążył bez celu w zamkniętym obiegu.

– Przelewam fermentujący sok, żeby ten, który jest na dole, znalazł się na górze.

– Musi być dobrze wymieszany?

– Oczywiście, ale chodzi też o to, żeby wprawić go w ruch, umożliwiając tym samym odpowiednie natlenienie. Zobacz – wskazał na zawartość kadzi – tutaj na górze pływają skórki od winogron, tworzą rodzaj kożucha, trzeba go rozbić. Sok, już bez skórek, będzie zaraz przelewany z tej kadzi do mniejszej.

Zajrzałam do środka, faktycznie na powierzchni unosiła się zgęstniała warstwa ciemnofioletowej mazi.

Przeszłam dalej, na niższym poziomie pracowały jeszcze dwie osoby, najwyraźniej odpowiedzialne za utrzymanie czystości. Tutaj był kranik z wodą, którego szukałam. Umyłam winogrona i wróciłam na dziedziniec.

A więc Horacio zginął w pożarze, ale gdzie? W quin-cie? To nie był wypadek... czy to znaczy, że Camila Hernandez podpaliła dom? Samochód? A może winnice? Jak taka drobna kobieta mogłaby dokonać czegoś tak potwornego?

Bezczytność przywoływała zbyt wiele pytań, prowokowała do nich. Wróciłam do domu, żeby schłodzić ciało i myśli w przydomowym basenie.

Kamienna posadzka zdążyła się już mocno nagrzać. Sprawdziłam dłonią temperaturę wody, w zetknięciu z ciepłą skórą wydawała się wręcz lodowata. Zanurzyłam jedną stopę, potem drugą, zrobiłam kilka kroków po schodkach w głąb basenu. Nadal nigdzie nie było widać Leonarda, jakby zapadł się pod ziemię. Żeby chociaż wuj trzymał moją stronę, pomyślałam, żeby chociaż jedna osoba w całej rodzinie była ze mną szczerą... ale nie, wszyscy jak jeden mąż zmówili się, żeby nie pisać ani słowa. Czy naprawdę sądzili, że tak będzie dla mnie lepiej? A może

myśleli bardziej o sobie?

Zanurzyłam się w basenie, ale woda nie przynosiła ukojenia. Zanurkowałam raz i drugi, mokre włosy przykleiły mi się do policzków, odgarnęłam je ze złością i zanurzyłam się ponownie. Odczekałam, aż w moich płucach zabraknie powietrza, i wypłynęłam na powierzchnię. Nie mieli prawa tak ze mną postąpić. Powinnam spakować się i wyjechać, tak, powinnam pokazać im, jak bardzo mi się to wszystko nie podoba, jak bardzo czuję się zawiedziona, zignorowana. Należałoby trzasnąć drzwiami i rzucić na odchodne „kochani, sami do tego doprowadziliście, przykro mi, teraz naprawdę mam powód, żeby stać się dla was obcą osobą!”.

Przeplłynęłam basen kilka razy żabką, kraulem, delfinem. Chciałam zmęczyć się, poczuć ból w mięśniach, wyczerpanie. Przy szóstej rundzie zabrakło mi tchu. Położyłam się na plecach, ale słońce zbyt mocno raziło w oczy, przeplłynęłam więc resztkami sił jeszcze dwie długości basenu. Wiedziałam, że nie zdobędę się na taki krok, nie trzasnę drzwiami i nie wyjadę, co by to zresztą dało? Obraziliby się i zupełnie zamilkli, a poza tym – komu mogłabym opowiedzieć o swoim rozgoryczeniu? Matce? Ojcu?! Rodzice mnie nie przestrzegli, nie opowiedzieli o życiu i śmierci Horacia, nie wspomnieli nawet słowem o nim ani o Camili Hernandez. Gdyby nie darowizna, nigdy nie dowiedziałabym się prawdy.

Zatrzymałam się, jakiś zbłąkany liść unosił się na powierzchni wody. Wyłowiłam go i rzuciłam na brzeg. Miałam dość pływania, wspierałam się na podest i zostawiając mokre ślady stóp, przeszłam do ławki. Mokrymi dłońmi chwyciłam telefon i wystukałam numer ojca. Nie odbierał. Ponowiłam próbę, ale odezwała się tylko automatyczna sekretarka. Miałam ochotę cisnąć komórkę prosto do basenu, z trudem się powstrzymałam.

Usiadłam na ławce i czekałam, aż słońce wysuszy resztki wilgoci na mojej skórze. Poczucie frustracji nie minęło, wręcz przeciwnie, wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki nie uzyskam wyjaśnienia.

Gabriela rozejrzała się uważnie. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, większość ludzi pracowała w winiarni, Leonardo jeszcze nie wrócił, a więc w ciągu najbliższych kilkadziesiąt minut nikt nie powinien pojawić się w obejściu. Trzymając na piersi bardzo duży i bardzo ciężki klucz, ruszyła przez podwórkę w stronę kaplicy, która od 1800 roku stała u podnóża zachodniego stoku. Posapując i przystając dla złapania oddechu, pokonała kilkanaście schodków i przystanęła przed masywnymi drzwiami, pociągniętymi czerwoną niegdyś, a teraz wyblakłą farbą. Kłódka nie stawiała oporu, a drzwi posłusznie zaskrzypiały, ukazując Gabrieli dawno niewidziane wnętrze. Staruszka jeszcze raz obejrzała się za siebie, a upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, weszła do środka. Na zewnątrz było gorąco, z chwilą jednak, gdy przekroczyła próg kaplicy, zrobiło jej się zimno.

Przymknęła drzwi i roztarła gęsią skórę na przedramionach. Wyciągnęła dłoń do półki po lewej stronie, zwykła tam odkładać zapalniczki. Przesuwała rękę po zakurzonej powierzchni, dopóki jej palce nie wyczuły pudełka. Z zapalniczkami w dłoni zrobiła krok dalej i sięgnęła po świecę. Zapaliła ją, wątyły płomień oświetlił wnętrze.

Gabriela przeżegnała się i spojrzała na niewielki ołtarzyk znajdujący się w centrum pomieszczenia. Najświętsza Pani spoglądała na nią kojącym wzrokiem. Staruszka poczuła, że jej serce się uspokaja, ponownie sięgnęła na półkę i namacała bawełnianą szmatkę wciśniętą w metalową miskę, jak zawsze na swoim miejscu. Nalała do miski trochę wody i zmoczyła szmatkę. Z namaszczeniem, centymetr po centymetrze, starła kurz z posążka, potem zajęła się figurą Jezusa stojącą w zagłębieniu ołtarza, wreszcie trzema figurkami Świętej Rodziny po drugiej stronie. Kiedy poczuła, że spełniła swój obowiązek, westchnęła i uklękła na obitym czerwonym aksamitem klęcznika.

– Nie przychodzę tu często – wymamrotała – ale Bóg mi świadkiem, że myślami krążę przy Tobie częściej niż wrony wokół sera. Teraz zaś mam wyjątkową prośbę. Ta piekielnica Camila zwabiła do siebie Sophie, rozmawiały... ach, przecież Ty wiesz lepiej, o czym rozmawiały. W każdym razie teraz Sophie zna już część prawdy. Wybacz, nie mogłam milczeć... – Spojrzała ponownie na Najświętszą Panią, która nadal patrzyła na nią dobrotliwie. – Sęk w tym, że nie wiem, jak postępować dalej. Co mam zrobić? Jeśli niczego nie wyjaśnię, to chyba... chyba stracę wnuczkę. Powiedz mi, jak powinnam się zachować, bo ja straciłam orientację, pomóż mi. – Zadumała się, próbując dla poparcia swojej prośby przypomnieć sobie słowa polskiej modlitwy. – Pod Twoją obronę – zaczęła – ...naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych, ale...

Nic z tego, w głowie zabrakło słów, była pustka. I strach.

Podniosła się powoli i przeszła na drugi klęcznik, stojący przy bocznej ścianie, również obity czerwonym aksamitem. Srebrna szkatuła z jedną przeszkloną ścianką znajdowała się na wysokości jej wzroku. Gabriela wychyliła się, chcąc się upewnić, że wszystko jest w najlepszym porządku. Czerniała ludzka dłoń umieszczona we wnętrzu szkatuły wyglądała na nietkniętą. Zawsze mogłam liczyć na twoją wskazówkę. – Staruszka z czułością dotknęła pojemnika.

Nie pamięta, ile czasu tkwiła w tej pozycji. W jej sercu toczyła się bezgłośnie walka. Rozmyślała, czy starczy jej sił, by powrócić do przeszłości, do wydarzeń, które niemal ją złamały i pozbawiły mocnej wiary. Jeśli jednak nie odważy się, jeśli nie powie Sophie ani słowa więcej o Camili, nie wyjaśni, że Horacio... Nie, nie mogła lekceważyć uczuć własnej wnuczki. W Sophie płynęła przecież krew Winefordów, tego nie można było się wyprzeć.

Wszyscy chcieli chronić Sophie przed Camilą, a ona, Gabriela, najbardziej. Czy niewystarczająco już pokazała, że dotrzymuje zobowiązań? Sprawy jednak

zaszły za daleko, żeby można było udawać, że nic się nie stało. A jak zachowałby się w tej sytuacji Horacio? I kto powinien dokończyć raz rozpoczętą rozmowę? Oczywiście ja, stęknęła, czując, że chcąc nie chcąc, znalazła już odpowiedź na swoje pytanie.

Przeżegnała się i walcząc z odmawiającymi posłuszeństwa kolanami, podniosła się z klęczek. Przez chwilę stała, nasłuchując odgłosów z podwórka. Panowała cisza, uznała więc, że jest sama w posiadłości. Uchyliła drzwi, cyprysy, rosnące wzdłuż ścieżki biegnącej od kapliczki aż pod dom, rzucały już bardzo długie cienie. Na niebie gromadziły się chmury. Niemożliwe, pomyślała Gabriela, już tak późno? Najdelikatniej, jak mogła, zamknęła drzwi, nałożyła kłódkę i poprawiając czarny szal na ramionach, ruszyła ku domowi.

Jak mogłam go nie usłyszeć, zdziwiła się, widząc przed domem zaparkowany znajomy samochód. Przyspieszyła kroku. Filipe siedział w salonie, noga założona na nogę, przeglądał gazety pozostawione przez Leonarda na stoliku.

– Niewiarygodne! – Podniósł wzrok na widok przyjaciółki. – Benfica przegrała z Sevillą! Klątwa Béli Guttmanna nie przemija.

– O czym ty mówisz, mój drogi? – W głosie Gabrieli słychać było zadyszkę.

– Béla Guttmann, trener, z którym Benfica zdobyła Puchar Europy w roku sześćdziesiątym pierwszym i sześćdziesiątym drugim, dwa razy z rzędu! Nie pamiętasz? Po tym wyczynie Guttmann przepowiedział, że to koniec europejskich sukcesów drużyny.

– Filipe, myślałam, że jesteś posłańcem jakiejś lepszej nowiny.

– Wpadłem tylko sprawdzić, jak się sprawy mają. Śmiem myśleć, że wszystko w porządku?

– Nie, mój drogi, nic nie jest w porządku. Twoje zabiegi zmierzające do unieszkodliwienia Camili Hernandez można uznać za fiasko. Nie dość, że nie zniknęła z pola widzenia, to jeszcze zwabiła do siebie moją wnuczkę. Słyszysz, co mówię? Rozmawiała z Sophie! W swoim domu, tak jak ja teraz rozmawiam z tobą.

– Czy chcesz powiedzieć, że...

– Nie – ucięła Gabriela. – Na szczęście do tego raczej nie doszło. Sophie była po prostu zbulwersowana, że nie powiedzieliśmy jej o Horaciu ani nie ostrzeżliśmy przed Hernandez. W każdym razie, Filipe, chyba mnie Bóg pokarał, zróbże coś, żeby z tego nie było większego nieszczęścia.

– Gabrysiu, może my się jednak mylimy, może ona nie ma aż tak złych zamiarów.

– Filipe, czy ty dzisiaj spadłeś z dużej wysokości? Hernandez nie spocznie, póki nie dopnie swego!

Staruszek zrezygnowany odłożył gazetę.

– Jak uważasz. Przeklęte *melgas* – fuknął, ubijając komara na swoim przedramieniu. – Widziałem u niej Leonarda.

– U kogo, do licha?

– U Camili, duszko.

Gabriela przysiadła na kanapie. Spojrzała bacznie na Filipe i przełknęła ślinę.

– Rany boskie, a co niby Leonardo miałby robić u Camili?

– A bo ja wiem? Może nie tylko ty działasz na własną rękę?

– Miał się do tego nie mieszać.

– A widzisz, dorośli ludzie często zmieniają zdanie.

– Jesteś pewien?

– Że go widziałem? Jak kocham matkę i ojca. Zaparkował prawie pod bramą, jechałem wczoraj z Alijó, szedł na pewno do jej domu. Jakiś taki ponury, noga za nogą, jakby go prowadzili na szubienicę. Pomyślałem, zatrzymam się, przywitam z sąsiadem, świat jest taki mały. Kiedy jednak skojarzyłem, dokąd on idzie, dodałem gazu, nawet na mnie nie spojrział.

Gabriela się zasepiła.

– Niedobrze, Filipe, niedobrze. Mam nadzieję, że mój syn wie, co robi.

Podjechał bliżej, powoli, by nie budzić podejrzeń. Rzadko bywał porywczy, ale Camila wzbudzała w nim skrajne uczucia. Zawsze tak było.

Wiele razy marzył o chwili, gdy wreszcie ma ją, Camilę, w potrzasku. Wyobrażał sobie, że jej ciemnobrązowe oczy wpatrują się w niego błagalnie, ale on pozostaje niewzruszony. Nawet powieka mu nie drgnie, gdy zaciska dłoń na jej nadgarstkach i zmusza ją, by wsiadła do jego samochodu. Nie pozwala jej pisnąć ani słowa. Bo tym razem Leonardo jest jak skała. Stanowczy i precyzyjny. I działa metodycznie.

Pomyślał, że w filmach akcji takie kobiety wywozi się do opuszczonego domu poza miastem i tam przetrzymuje w zamknięciu. Policja ich szuka, ale kiedy znajduje, jest zwykle za późno. Nie dysponował jednak opuszczonym domem za miastem. Nawet benzyna mu się kończyła w baku, nie mówiąc o cierpliwości niezbędnej, by wykonać tak wymagający plan. Przez moment zastanawiał się, co może jeszcze potem zrobić. Obciąć Hernandez głowę i wrzucić ją do jednej z beczek trzymanyh w *cellars*? Długo by jej potem szukali... Było mu wszystko jedno, co stanie się z nim samym. Wsadzą go do więzienia? Dobrze. Jego własne życie też nieraz wydawało mu się więzieniem. Przez Camilę. Dlatego zasłużyła na to, co zamierzał uczynić.

Teraz! Docisnął pedał gazu i z piskiem opon pokonał zakręt. Jakiś przestraszony mężczyzna odskoczył na bok. Leonardo poczuł pulsującą wściekłość. Zacisnął palce na kierownicy. Do diabła ze wszystkim!

W kilka sekund znalazł się na rynku i zaraz gwałtownie zahamował.

Rozległo się głucho uderzenie i jedna z glinianych donic, ustawionych rankiem u wylotu uliczki, rozpadła się na drobne kawałki. – Cholera! Kto ustawił tutaj ten szmelc! – Leonardo potarł spocone czoło, wgnieciony zderzak go nie obchodził. Rozejrzał się na wszystkie strony, nerwowo przeczesując wzrokiem każdy zakamarek rynku. Camili jednak już tu nie było.

– Wymknęła mi się – syknął rozeźlony. – A żeby ją!

Siedziałyśmy w tym samym pokoju, dokładnie tak jak dzień wcześniej. Gabriela musiała czuć się już znacznie lepiej, skoro chciała ze mną rozmawiać, skoro mnie zaprosiła, posadziła na kanapie i kazała mi słuchać. W każdym razie nie kipiała już jak gejzer, wydawała się spokojna, opanowana, ale też, co od razu zauważyłam, przygnębiona.

– Sophie, dziecko, nie wiem, co sobie myślisz po wczorajszej naszej rozmowie, ale chcę ci coś jeszcze opowiedzieć, żebyś nie miała złego wyobrażenia i żebyś sama nie dopowiadała sobie reszty tej potwornej historii – powiedziała powoli.

Kiwnęłam głową. Nie wiedziałam, czego spodziewać się po tej rozmowie, ale czułam, że babka ułożyła już sobie jakiś plan działania i będzie się go mocno trzymać.

– Nie miej nam za złe, że nie powiedzieliśmy ci nic wcześniej, że musiałas o wszystkim dowiedzieć się sama, w okolicznościach mało sprzyjających i na obcym gruncie. Ja też nie znoszę dowiadywać się o faktach ostatnia, a jeszcze nie daj Boże z trzeciej ręki, jakby ta wiadomość była zaadresowana do innych uszu. Żyję jednak na tym świecie dłużej niż ty i wiem, że czasem inaczej nie można. Ale... – podniosła rękę, widząc, że chcę coś wtrącić – najpierw pozwól mi dokończyć. Sądziłam, że do tak absurdalnego spotkania, jakim było twoje spotkanie z Camilą Hernandez, nigdy nie dojdzie. Myślałam, że znajdziesz kupca na te przekłete winnice, sprzedasz je szczęśliwie jakiemuś przyzwoitemu plantatorowi bez żadnych perturbacji. Nie widziałam powodu, dla którego trzeba by wracać do przeszłości, jak wiesz, nie lubię tego robić i nie robię zbyt często.

Spojrzałam na babkę. Z jakim przekonaniem mówiła, jak bardzo wierzyła w swoją nieomyślność, „nie widziałam powodu, dla którego trzeba by wracać do przeszłości...”. Czy narażenie mnie na spotkanie z zabójczynią wuja nie jest wystarczającym powodem? Nie mogłam milczeć.

– Babciu, ale to niczego nie zmienia! Przecież ja należę do tej rodziny, jestem częścią tej rodzinnej przeszłości! Nic mi nie mówiąc, właśnie najbardziej naraziliście mnie na to spotkanie. Powinniście mi powiedzieć, jak tylko dowiedzieliście się, że Camila Hernandez zamierza kupić winnice. Jestem już dorosła i w dodatku z rodziny Winefordów, pamiętaj, babciu. Przez to wasze

milczenie naraziłam się, co ta kobieta musiała o mnie myśleć, weszłam jak baranek do jaskini lwa, a ty mówisz, że nie widziałas powodu, żeby mnie uświadamiać?! – wyrzuciłam z siebie nagromadzoną złość. Trudno było mi udawać, że odczuwam wdzięczność, kiedy czułam się zlekceważona i wypchnięta poza nawias rodziny, która uznała, że nie warto mówić mi prawdy.

– Nie unoś się, kochana, to nie tak – babka pokręciła głową. Podpierając się, wstała z fotela i podreptała do drzwi. Zamknęła je bezgłośnie, po drodze zapaliła lampkę i powróciła na swoje miejsce. Jej twarz w żółtym świetle nabrała złowróżbnego wyglądu. – To dla mnie bardzo trudna historia, ale jeśli jesteś gotowa, powiem ci, co było wcześniej.

– Gotowa? Przecież ja od jakiegoś już czasu proszę ciebie i Leonarda, żebyście traktowali mnie poważnie, a wy unikacie tematu jak ognia. Oczywiście, babciu, że jestem gotowa!

– To dobrze, to dobrze, dziecko. Chcesz mi robić wyrzuty, widzę to, wiedz jednak, że też nie jesteś bez winy. Ile razy do nas zadzwoniłaś z Londynu czy skądkolwiek, gdzie byłaś, aby zapytać, jak się miewamy, co u nas słychać? Dopiero teraz pierwszy raz przyjechałaś do nas z własnej woli, prawda? Z własnej woli, ale nie bez celu, chcesz sprzedać winnice. Przyznasz, dziecko, że to nie są bezinteresowne intencje. Może jestem już stara, ale na pewno nie ślepa ani bezrozumna. Twój rodzice nie zachowywali się lepiej, o nie, oni też zapadli się jak pod ziemię na wiele lat, jakby nie wychowali się na portugalskiej ziemi, jakby nie byli dziećmi Douro, jakby nie mieli tutaj żadnej rodziny. Firma, majątek, ziemia ich nie obchodzą. Antón już dawno wyzbył się swojej działki, odsprzedając ją Leonardowi kawałek po kawałku, aż została już tylko twoja parcela. Ale każdy z nas ma coś za paznokciami, prawda? Nie ma ludzi bez skazy, ja to wszystko umiem wybaczyć, bo wiem, że w życiu nic nigdy nie jest całkiem czarne ani białe. Błędów młodości, które czasem tak krzywdzą innych, żałuje się dopiero na starość, takie są prawa natury. Ja też zostawiłam rodziców w Polsce, pisałam listy, ale to było za mało, nigdy matki ani ojca nie zobaczyłam. Myślisz, że tego nie żałuję? Ale nie o tym chciałam mówić. – Poprawiła się w fotelu i pogładziła dłonią szal, który spływał jej z ramion na kolana. Zegar wybił dwudziestą. – Nigdy nie chciałam, żeby Horacio został lekarzem. To dobry zawód i szanowany, bez wątplenia. Ale nie znaczy, że odpowiedni dla potomka Winefordów, spadkobiercy jednej z najlepszych w okolicy quint. Ta jest w rodzinie od ponad dwustu lat! Wiesz, że prawie nie ma firm, które w całości należą do jednej rodziny? Bardzo wiele rodów borykało się z problemami, sprzedawało ziemię innym plantatorom, a razem z nią winnice, domy albo część firmy, żeby spłacić długi, zachować jakąś ważniejszą quintę albo po prostu przetrwać trudny okres. Czasem trzeba było podzielić ziemię między dzieci, a dzieci rządziły nieudolnie i marnotrawiły majątek, wyprzedawały się... Niektóre wielkie quinty już od dawna są w obcych

rękach, nawet Quinta do Noval. Posiadłości z tradycjami, prowadzone przez ludzi, którzy z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie tajniki uprawy winnic i produkcji porto, którzy zdarli na tej ziemi kolana i oddali serca... te quinty, nawet najstarsze, przechodzą w łapska firm ubezpieczeniowych, banków i finansjery. Żalodne, prawda?

– Dlaczego? Skoro stare rodziny nie potrafią już ich utrzymać...

– Ach przestań, Sophie! – Babka się zachnęła. – Żal dupę ściska, jak o tym myślę. Czy pan dyrektor enolog, który niechby i szkolił się na najlepszym uniwersytecie we Francji, ma pojęcie o tym, co lubią winnice w Douro? Jak tu pod ziemią płynie woda, które wzgórze jest lepsze dla *port wine*, a które dla win stołowych? Czy potrafi rozmawiać z rolnikami ze wsi, którzy od piętnastu pokoleń uprawiają winnice? A czy umie wykorzystać ich wiedzę? Krew mnie zalewa, jak Boga kocham, gdy słyszę podobne farmazony – zaperzyła się. – Nasza quinta przez cały czas należała tylko do nas. Owszem, sprzedałam trochę ziemi, wcześniej ojciec Thomasa trochę dokupił, ktoś tam zamienił jeden kawałek na inny, to oczywiste. Ale rdzeń tego majątku zawsze był i jest tutaj. – Tupnęła nogą w podłogę. Spojrzałam na nią z przestachem, niekiedy sprawiała wrażenie nieobliczalnej. – Na przekór losowi – mówiła dalej – Horacio nie palił się do objęcia choćby części spuścizny. A ja w głębi serca liczyłam na niego. Był taki poukładany, ale i przedsiębiorczy, świetnie poradziłby sobie w biznesie, no i zawsze był najbliżej nas, naszych spraw. Tymczasem on pewnego dnia ni stąd, ni zowąd oświadczył, że chce zostać lekarzem, że już poczynił pewne kroki, rozejrzał się za uniwersytetem i przygotował papiery. Myślałam, że to żart, jakiś młodzieńczy wybryk, ale on jak zawsze zresztą był poważny, kategoryczny. Nie było siły, która mogłaby go powstrzymać. Myślę, że on to sobie dużo wcześniej ułożył w głowie, tylko trzymał w tajemnicy, żeby nas nie denerwować. Krzyczałam i groziłam. Syn odciął się od nas i wybrał niedorzeczną drogę – westchnęła i zapadła się jeszcze głębiej w fotel. – Pojechał do Londynu na dziewięć długich lat. Pogodziłam się w końcu z jego wyborem, choć to był dla mnie wielki cios. Czas mijał i pewnego dnia Horacio pojawił się w domu z narzeczoną. Piękną jak księżna Monako, czarującą i bystrą, od razu przypadła mi do gustu. Kate Summers pochodziła z angielskiej rodziny z tradycjami i bogatą historią, jej rodzice mieszkali w posiadłości pod Londynem. Była wspaniałą dziewczyną, a Horacio ją kochał. Spędzili kilka dni w naszym domu w Oporto, a potem wszyscy przyjechaliśmy na lato tutaj, do Quinta de São Francisco. Podczas tych wakacyjnych miesięcy zrozumiałam, że moje dziecko jest szczęśliwe, że odkryło swoje powołanie, że naprawdę chce leczyć ludzi, a każdy inny wybór byłby dla niego katastrofą. Zrozumiałam też, że jest dorosłym, odpowiedzialnym człowiekiem i że niedługo będzie miał swoją własną rodzinę... Kiedy zostaniesz matką, przekonasz się, jakie to wszystko może być trudne.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Złość, która jeszcze przed chwilą we mnie kipiała, ustąpiła teraz miejsca przemożnej ciekawości. Nie chciałam przerywać ciągu wynurzeń babki, bojąc się, że zmieni zdanie i nagle zakończy rozmowę. Ale Gabriela nie miała takiego zamiaru. Wspomnienia powróciły i stanęły przed jej oczami jak żywe, pamięć rozciągnęła się i wypełniła zdarzeniami.

– Horacio i Kate planowali wspólną przyszłość, chcieli przenieść się do Douro, tutaj pracować, otworzyć praktykę lekarską. Pukałam się w czoło, dlaczego nie przyjadą do nas do Porto, lekarzy wszędzie potrzeba, ale nie, Horacio znowu się upierał, a ja nie chciałam już w niczym być przeszkodą. Douro i tak bliżej niż Londyn, myślałam, i nawet zaczęłam cieszyć się, że za rok będę mieć syna i piękną synową tak blisko. Pomyślałam, że w końcu wszystko dobrze się ułoży. Leonardo już wtedy przejmował firmę, tę kwestię mieliśmy rozwiązana. Nie wszystko jednak, co się dobrze zaczyna, dobrze się kończy. Ten jeden jedyny rok całkowicie zmienił nasze życie. Dlaczego? Wyobraź sobie – Gabriela wychyliła się w moją stronę – że na wszystko już się zgodziłaś, wszystko przemyślałaś, że zaczęłaś patrzeć w przyszłość z podniesioną głową, wreszcie ukontentowana, i wtedy... – zawiesiła głos – wtedy twój syn po raz kolejny niemożliwie cię zaskakuje. Wiesz, co się stało? Jak to się dalej potoczyło? – Nachyliła się jeszcze bardziej. – Nie uwierzysz. Rozstali się. Kate i Horacio. Mój syn porzucił Kate, kazał jej wyjechać, bo zakochał się w Camili Hernandez!

Zamilkła znacząco.

Zegar wybił dwudziestą pierwszą.

Oswaldo odebrał po kilku sekundach.

– Oswaldo, widzę, że wzięłaś sobie do serca naszą rozmowę.

– Zrobiłem, o co mnie prosiłaś. Na drugi raz musisz bardziej mi ufać.

– Nigdy już ci nie zaufam.

– Nie żartuj, chyba cię przekonałem.

– Do niczego mnie nie przekonałaś, może tylko do tego, że czasem warto przyprzeć cię do muru.

Oswaldo roześmiał się tubalnie.

– Dziwnie to interpretujesz. Co tam tak szumi?

– Jadę do Porto, zaraz pewnie łączność się urwie.

– Ach, do miasta. Wiesz, gdzie jest największa zachorowalność na gruźlicę?

– Skąd mam wiedzieć, ale sądząc po akuratności twego pytania, pewnie w Porto.

– Jasne, że w Porto. Prawie taka sama jak w krajach Trzeciego Świata! A wiesz, gdzie jeszcze?

– Nie mam bladego pojęcia, tobie chyba się nudzi.

– W Londynie, mój drogi, w Londynie. Tyle te miasta mają ze sobą wspólnego. Nic dziwnego, że twoi angielscy przodkowie tak swojsko tutaj się czuli, ta sama aura, te same choroby. A Sophie?

– Co Sophie?

– Jak się czuje? Wyjechała już?

– Nigdzie nie wyjechała. Zrobiłeś, co należało, nie waż się robić nic więcej.

– Mogę ci doradzić, żebyś...

– Osvaldo, słabo cię słyszę, skończyłeś?

Łączność się przerwała, Leonardo zwolnił. Właśnie przecinał pasmo Serra do Marão, w tym miejscu zawsze mocno wiało. Nie ujechał nawet kilkunastu kilometrów, kiedy bezchmurne, błękitne niebo przybrało kolor siniego fioletu i zawisło nad ostatnimi pagórkami niczym baldachim. Przeklęty Osvaldo wykrakał, będzie padać, mruknął Leonardo. W Porto zamierzał załatwić kilka spraw i deszcz był mu nie w smak. Musiał odwiedzić *cellars* w Vila Nova de Gaia, bo César Jose Amado, zarządca magazynów quinty, zgłaszał problemy z elektrycznością. Trzeba było upewnić się, że wszystkie usterki zostały naprawione i porto może leżakować bezpiecznie. Potem czekało go spotkanie z dystrybutorem, z którym zamierzał ustalić grafik dostaw na najbliższe miesiące. Powinien też wpaść do Palácio da Bolsa, Portugalskiej Izby Komercyjnej. Winefordowie co roku brali udział w organizowanej tam imprezie *Essência do Vinho Porto*. Podczas trwającego cztery dni pokazu trzystu producentów z Portugalii i spoza niej prezentowało ponad trzy tysiące rodzajów win. Na takiej imprezie nie mogło zabraknąć porto z Quinta de São Francisco. Do daty rozpoczęcia imprezy pozostało jeszcze wiele tygodni, ale Leonardo już teraz chciał dokonać wszelkich formalności, tak uciążliwych, gdy trzeba się nimi zająć w ostatniej chwili.

Do miasta zostało kilka kilometrów, samochód wjeżdżał na przedmieścia. Na tym odcinku Leonardo zawsze doznawał tego samego uczucia – że wkracza w świat pełen nadmiaru pojazdów, ludzi, sklepów i ulic, gdzie co prawda nie słychać warkotu traktora zwożącego winogrona, ale uszy atakuje trudna do zniesienia kakofonia miejskich dźwięków, trąbienie zniecierpliwionych kierowców, ryk ruszających z przystanku autobusów, szum ludzkich rozmów. Czasem zastanawiał się, jak mógł kiedyś żyć w tym harmidrze, niemal zupełnie go nie zauważając. Gdyby miał dzieci, zapewne musiałyby z powrotem zamieszkać w Porto, szkoły w Douro nie należały do najlepszych, według niego zawężyły horyzonty uczniów, zamiast je rozszerzać. Życzyłby sobie dla swych potomków lepszej edukacji.

Przystanął na światłach, uchylił okna. Powietrze było tu inne niż w Douro, bardziej wilgotne, orzeźwiał je wiatr znad Atlantyku. Niebo nadal straszło ulewą, czekało, aż nazbiera się w nim wystarczająca ilość wody, żeby wylać ją na rozgrzane ulice miasta. Porto bez wątplenia miało w sobie coś z klimatu angielskiej

stolicy.

Zaparkował w Gaia, na wąskiej uliczce wspinającej się ostro pod górę. Tutaj nie było już turystów, którzy tak tłumnio okupowali brzeg rzeki, próbując nasycić oczy widokiem rozkołysanych, malowniczych *barcos rabelos*. Tutaj panowała cisza, ulica nie miała żadnego znaczenia komunikacyjnego, prowadziła donikąd.

Rozmowa z Césarem nie trwała długo, wszystko było w najlepszym porządku. Serwisanci systemu chłodniczego, o dziwo, naprawili usterki od ręki. Leonardo złożył jeszcze zamówienie na zakup kilkunastu nowych beczek, po osiemset euro każda, ale trudno, jeśli chciał wyprodukować więcej wina, musiał mieć w czym je przechować. Podpisał zamówienie, przemierzył długie piwniczne korytarze pogrążone w mroku i po upewnieniu się, że nie ma tu nic więcej do zrobienia, pożegnał Césara. Zbliżało się południe, do spotkania z dystrybutorem miał jeszcze dwie godziny. Pozostawił samochód w Gaia, przeszedł przez Ponte Luís I i skierował się w stronę Praça Guilherme Gomes Fernandes. Mieściło się tu kilka kafejek, wyrosły w miejscu dawnego targu, na którym handlowano chlebem. Ominął kuszący wymyślnymi eklerkami sklep Leitaria Paço i zajął stolik przy niepozornym barze obok. Miał zamiar zamówić francesinhę, lokalną przekąskę z dużą ilością mięsa, zrezygnował jednak i poprosił o flaki.

Wyśmienite, mlasnął, nadziewając plasterek chorizo i dopełniając smaku odrobiną ryżu. Kelner dwa razy go pytał, czy potrawa na pewno smakuje. Leonardo podrapał się po głowie.

– Zawsze tu zjadam *tripas à moda do Porto*²⁵ i zawsze mi smakuje – zapewnił.

Przed oczami stanęła mu Sophie. Wczoraj Eurico o niej wspominał. Podobno spędziła pół dnia, siedząc przed winiarnią i podjadając winogrona. Z pewnością przesadził, nie mogła tej czynności poświęcić pół dnia, niemniej jednak oznaczało to, że bratanica nie przyspieszyła swego wyjazdu, jak się odgrażała. Leonardo nie wiedział już, czy z tego powodu powinien cieszyć się, czy raczej martwić. Dwa dni temu ledwie udało mu się wymknąć niepostrzeżenie od Camili Hernandez. Musiał poczekać, aż Sophie przejdzie na tył domu, inaczej spotkaliby się niemal w drzwiach. Wymagałoby to wyjaśnień z jego strony, a na to nie miał ochoty. Żeby tylko nie przyszło jej do głowy ponownie przyjechać do tego domu, pomyślał z przestrawieniem. Jest taka nieznośna... wytarł usta serwetką i popił winem podanym do obiadu. Posiłek ukoronował czarną *café* i gotowy do dalszej drogi, opuścił bar.

Przeszedł kilkanaście przecznic i znalazł się pod hotelem na Rua de Guedes de Azevedo. Tutaj umówił się z dystrybutorem, a poza tym lubił spojrzeć na Porto z góry. Zdążył wjechać windą na siedemnaste piętro i zająć stolik przy oknie, kiedy za oknem znowu lunęło rześzystym deszczem i miasto zniknęło gdzieś w dole przykryte szarością. Chcąc osłodzić sobie rozczarowanie, zamówił drugą tego dnia kawę. Czy dobrze zrobił, że pojechał do Hernandez? Co go podkusiło, nie wiedział.

Chyba przekora, a może raczej paniczny strach, że jeśli nie będzie trzymał ręki na pulsie, to straci kontrolę nad rozwojem wypadków, tak jak zdarzyło się to już kiedyś. Za nic nie chciał do tego dopuścić. Dopóki nie usłyszał osobiście od Camili, dopóki nie upewnił się, że ona wycofa się z transakcji, dopóty nie mógł odzyskać spokoju. Ale czy teraz czuł się lepiej? Odnotował ukłucie pod lewym żebrem. Nie, z całą pewnością teraz mogło być już tylko gorzej.

Dystrybutor najwyraźniej się spóźniał. Leonardo wyjął „Público” i zaczął czytać, ale strugi deszczu łomoczące o szyby rozpraszały uwagę. Wracił do tych samych nagłówków i odczytywał je ponownie. Wreszcie zniecierpliwiony złożył gazetę i sięgnął po kawę.

Camila nie chciała mnie wpuścić, co za idiotyczna sytuacja, pomyślał. Powiedziała, że ma dość telefonów z pogrózkami i wizyt Filipe, który traktował ją, jakby miała na sumieniu jakąś świeżą zbrodnię. Ale Leonardo był wytrwały, prosił, i w końcu go wpuściła. Spodziewał się, że Camila będzie opryskliwa, kłująca jak kolczatka, nieprzystępna. Nic z tych rzeczy, nie wyczuwał żadnej złośliwości, żadnego odgrywania się za dawne urazy. Raczej chłodny dystans, odrobinę wyniosłości. Przeszli do salonu, uchwycił jej profil w lustrze w korytarzu. Ma taką zdrową cerę, zdążył pomyśleć, jakby czas omijał ją dużym łukiem, jakby Camila Hernandez miała zamiar istnieć wiecznie. Zawsze uważał, że ma nieoczywistą urodę, niemożliwe, ale chyba nadal tak jest, nadal jest przystojna. Stali w salonie, nawet nie usiedli, chciał tylko powiedzieć to, co ułożył sobie w głowie już wcześniej. Musiał jej przypomnieć, to jego obowiązek, taka była umowa. Wysłuchiwała go, nie protestując, choć się tego spodziewał. Może taką obrała taktykę, nigdy nie potrafił rozgryźć Camili do końca i tak było też teraz, mogła mówić jedno, a robić drugie. Spotkanie z panią Hernandez zawsze niesie ze sobą jakieś ryzyko, czyż nie? zapytał sam siebie.

Deszcz przestał uderzać w okna, ulewa zelżała. Dystrybutora nadal nie było. Co za pieskie życie, przeklął Leonardo.

Zeżłony wyjął portfel, gotowy zapłacić rachunek, monety zabrzączały i potoczyły się po stole. Na chwilę wstrzymał oddech, jakby coś rozważał. Zdecydował się, otworzył głębszą, zapinaną przegródkę portfela i wyciągnął z niej stosik niewielkich karteczek złożony ze starych rachunków i kilku wizytówek. Spomiędzy wymiętych świstków wypadła nieco przetarta fotografia młodej kobiety. Leonardo odwrócił zdjęcie i uważnie przeczytał drobne pismo:

Jeśli człowiek czegoś pragnie, to potrafi myśleć o tym całe dnie, wierzyć w rzeczy niemożliwe, zmieniać swoje plany. Ale jeśli pragnienia nie da się zrealizować, potrafi zapomnieć...

Chciał przeczytać widniejący pod spodem podpis i datę, ale nie zdążył.

– Podać coś jeszcze? – Kelnerka pochyliła się nad jego stolikiem. Za nią stał dystrybutor.

– Dotarł pan. – Leonardo wstał zmieszany i wyciągnął rękę na powitanie. Kiedy dystrybutor sadowił się w fotelu, on pospiesznie schował zdjęcie do tylnej kieszeni spodni.

– Noga mi zdrętwiała. – Gabriela podniosła stopę i poruszyła palcami. – Ale nie spocznę, dopóki nie skończę tego, co zaczęłam. Otóż... poznali się podczas tamtego lata, gdy Kate Summers pomagała mi w kuchni piec polską szarlotkę, bo tylko ja ją umiałam właściwie przygotować. Horacio po raz pierwszy od dawna przyjechał na całe wakacje, w porze zbiorów i największego zamieszania, z głową pełną planów.

Od momentu poznania Camila osaczała Horacia niczym jakiś zajadły myśliwy, aż doprowadziła do tego, że mój syn rozstał się z narzeczoną, wyobrażasz sobie? Kate, nasza kochana Kate, nigdy więcej już do nas nie przyjechała. Za to Camila... Horacio zupełnie oszalał na jej punkcie, całkiem stracił dla niej głowę. Zawsze tak trzeźwo myślący, z dyplomem w kieszeni, dał się omamić tej nędznej sekutnicy.

Nie tak dawno było tu głośno o *meninas*²⁶ z Bragançy, brazylijskich dziewczynkach parających się najstarszym zawodem świata. Wiesz, dziecko, mówiono, że one rzucają czary na przyzwoitych mężczyzn, aż portugalskie kobiety musiały pójść do ratusza, by rozpocząć walkę o prawo do czystości moralnej we własnym mieście. Tak jak te *meninas* po pokonaniu oceanu stawały się przekleństwem dla braganckich kobiet, tak Camila po pojawieniu się w naszym życiu stała się dla nas prawdziwą klątwą.

Nie grzeszyła zbytnio urodą, o jej rodzinie nigdy wcześniej nie słyszałam, choć nie mieszkała na końcu świata, zaledwie kilka miasteczek dalej. Ale jedno było od początku jasne... na tych swoich słabiutkich zboczach Hernandez też uprawiali wino. Nie mam na myśli *port wine*, broń Panie Boże, ale zwyczajne wino i to słabe, z winnic na tych zboczach nic innego by im nie wyszło. Ich teren był już poza rejonem apelacji, a stoki tak bardzo nasłonecznione, że winogrona, dojrzewając, topiły się we własnym cukrze. Wina Hernandez były ciężkie, mocne, nie do wypicia... Przejrzałam ją od razu, to było dla mnie oczywiste. Wymyśliła sobie, że przez Horacia wejdzie do naszej rodziny, zyskując tym samym nazwisko, które mówi samo za siebie, markę, wspaniałą ziemię w obrębie linii demarkacyjnej i dostęp do rynku. Wiesz chyba, że w świecie porto nie można pojawić się ot tak, znikąd. Żeby zaistnieć, trzeba mieć za sobą doświadczenie pokoleń i ich rękojmię. Co by to było, gdyby każdy młokos mógł produkować *port wine*! Świat by wtedy upadł jak amen w pacierzu. Przed rokiem osiemdziesiątym szóstym było jeszcze trudniej, bo wytwarzać porto mógł tylko ten, kto miał piwnice w Gaia. Jest mnóstwo zasad, które nadal nas obowiązują. Czy wiesz na przykład, że aby kupić

owoce na porto, bo akurat masz swoich za mało, potrzebujesz wykazać się zapasem własnego *port wine* w ilości ponad jedenastu tysięcy litrów? Nie możesz też wyprodukować tyle wina, ile dusza zapagnie – każdego roku rząd, plantatorzy i spedytorzy ustalają limit. To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

– Tyle ograniczeń, żeby móc produkować porto, czy to nie przesada?

– Nie, moje dziecko. To ochrona dla tych, co są w biz-nesie od lat. Po pierwsze, mamy wiedzę, przekazywaną w rodzinie od dziesiątek pokoleń, i dbamy, aby tradycja nie zaginęła. Po drugie, przetrwaliśmy najtrudniejsze czasy, filokserę²⁷, malarię, grzyby, gradobicia i powodzie, bunty, zaostżenia w prawie, zawyżone podatki, rządy Salazara i wejście do Unii Europejskiej. Należy nam się jakieś zadośćuczynienie. Hernandez mogła stać się jedną z nas tylko dzięki Horaciowi. Kierowała nią głównie chciwość, ach, to był dla niej bardzo łakomy kąsek...

W tym czasie, o którym mówię, mieszkaliśmy jeszcze w Porto, a Horacio był tutaj sam, dopiero się urządzał. Co ja przeżyłam w te długie wieczory, wyobrażając sobie, jak ta ladacznica jest coraz bliżej swego celu, jak wyciąga macki w stronę mojego syna i naszej ziemi. Chyba postarzałam się wtedy ze dwadzieścia lat, spójrz, Sophie – przeciągnęła dłonią po włosach – od jego śmierci są całkiem białe.

Zaraz potem poprosiłam Leonarda, żeby ratował sytuację, przemówił bratu do rozumu... ale bez skutku, nic to nie dało, a może Leonardo starał się za słabo. Hernandez posuwała się małymi kroczkami, weszła Horaciowi do łóżka, omotała go... Wreszcie, kiedy już naprawdę nie wiedziałam, co robić, wpadłam na pomysł, że jeśli będę bliżej syna, to może go uratuję, może zapobiegnę nieszczęściu. Zarządziłam przeprowadzkę.

W kilka tygodni jak jacyś szaleńcy zainstalowaliśmy się w Quinta de São Francisco, z wszelkimi tego faktu implikacjami. Zobaczyłam wtedy, że Horacio pracuje jak wariat, ciągle gdzieś biegnie, ciągle ktoś go wzywa, a jego gabinet pęka od natłoku pacjentów. Nie dbał o siebie, nie zważał na swoje potrzeby, on, syn Winefordów. Umierałam z niepokoju o jego zdrowie, o siły, którymi tak rozrzutnie szafował. Aż w końcu nie mogłam na to dłużej patrzeć i zagroziłam, że albo będzie mniej pracował, albo go wydziedziczę. Żebyś widziała minę Camili, kiedy to powiedziałam, jak się wystraszyła bidula! Po tej awanturze wyjechali na dwa tygodnie, nie pamiętam gdzie, może na wybrzeże. Po powrocie niewiele się zmieniło, może przyjmował trochę mniej pacjentów, a może tylko chciał, bym w to wierzyła. Tak to się ciągnęło... a ja nadal nie mogłam znieść myśli, że mój syn dał się tak opętać, nie mogłam sobie tego wybaczyć.

– Babciu, Horacio naprawdę tego wszystkiego nie widział? – zapytałam z powątpiewaniem. – Że Hernandez jest taka... taka pazerna? Tylko ty jedna to zauważyłaś?

– Horacio był ślepy jak nowo narodzone szczenię. Nie chciał mnie słuchać, uważał, że postradałam zmysły. Nie dostrzegął, że kierowała mną matczyzna miłość, nie nauczył się jeszcze, że matki widzą to, czego nie dostrzegają inni. Ale Camila nigdy więcej nie postawiła stopy w naszym domu, po moim trupie. To i tak nie zapobiegło tragedii. Wiesz, ona nie robiła wokół siebie hałasu, takie niewiniątko, ale przecież szeptem można powiedzieć znacznie więcej niż krzykiem.

– Nie chce mi się w to wszystko wierzyć, babciu.

– Ależ mój syn dał jej się okręcić wokół najmniejszego palca! Uległ jej kobiecym sztuczkom. Nie powinien jej słuchać! Gdyby uwierzył, że to ja mam rację... Wreszcie pewnego wieczoru, namówiony przez Camilę, znalazł się w tym domu, który miał spłonąć. Ona wiedziała, jak to się skończy. Przecież zawsze chodziło jej o nasze winnice. – Gabriela zacisnęła dłonie, blada skóra na jej chudych dłoniach stała się niemal przezroczysta. Przycichła na moment, jakby coś ścisnęło ją za gardło. Czekałam, aż będzie gotowa mówić dalej. Gdy nadszedł ten moment, podniosła głowę i spojrzała na mnie wilgotnymi oczami. – Dał się zwieść sercu, a ono wywiodło go w szczerze pole. Nigdy nie poszedłby do tamtego przeklętego domu, nawet nigdy nie wyruszyłby w drogę, gdyby Camila go do tego nie skłoniła... gdyby nie kazała... a potem... wiesz... dalej już wiesz... – Wzruszenie odebrało jej głos. Odczekała chwilę i dodała: – Nie mogę nic więcej... – Otarła łzę wierzchem dłoni. – Ale mam nadzieję, że teraz zrozumiesz... naraziłam cię, jak mówisz, na spotkanie z Hernandez... ale gdybyś przeżyła śmierć własnego dziecka, niech cię Anioł Stróż ma w swojej opiece, też starałabyś się ukryć rany jak najgłębiej. Ja dobrze wiem, że to będzie boleć już do końca moich dni, chciałam być dobrą matką, dobrym człowiekiem... nie czekam na rekompensatę.

Tyły winiarni wyglądały niepozornie. Kamienne podwyższenie przysypane częściowo ziemią, zarosnięte wysuszoną trawą, sprawiało smętne wrażenie. A jednak to właśnie tutaj, za drewnianymi drzwiami niewidocznymi z poziomu dziedzińca, kryła się tajemnica Quinta de São Francisco. Piwnice ze starym porto.

Podążając za Tiagem, schyliłam głowę, by nie uderzyć w niskie nadproże, i pograżyłam się w półmroku rozświetlonym przez słabe światło żarówek umieszczonych na bocznych ścianach. Zapachniało ziemią i drewnem. Spojrzałam w górę, sufit wykończony był szerokimi łukami z odpadającym tynkiem, przybrudzonymi, ale nadającymi piwnicom dostojny charakter.

– Chciałaś zobaczyć, gdzie trzymamy porto.

Tiago wskazał drewniane beczki o potężnych średnicach. Kurz pokrywający ich powierzchnię dawno już utworzył gęsty kożuch. Dostrzegłam też pajęczyny, były wszędzie, nawet w przestrzeni pomiędzy rzędami beczek. Przez chwilę

zdawało mi się, że słyszę jakieś szmery, a może kapanie wody, ale Tiago rozwiał moje podejrzenia.

– Sucho tu jak pieprz – powiedział – i zapewniam cię, nie uświadczysz w tych lochach żywego ducha.

Spojrzałam w głąb magazynu. Do beczek stojących w najdalszej części piwnicy światło już nie docierało, to tłumaczyło, dlaczego Tiago zabrał ze sobą latarkę.

– Chodźmy dalej, stąd nie widać wszystkiego – przerwał moje obserwacje. Stąpając po podłodze wysypanej piaskiem i żwirkiem dla lepszego chłodzenia, przeszliśmy do najdalszej części piwnicy. Za kunsztowną, stalową kratą umieszczone były ciemne, niemal atramentowe butelki. Każda z nich zajmowała osobne miejsce w rozpiętej na ścianie konstrukcji.

– Te wina mają po trzydzieści lat – objaśnił Tiago. – Ale jeśli chciałabyś zobaczyć najcenniejsze porto Winefordów, musiałybyś pojechać do Gaia, tam jest butelka z końca dziewiętnastego wieku. Tylko Leonardo i Gabriela wiedzą, która to dokładnie.

– To sekret?

– Może nie sekret, ale ja też bym się bał, że może trafić w niepowołane ręce. Jest warta majątek, a gdyby miała jeszcze z pięćdziesiąt lat więcej...

– Byłaby warta jeszcze więcej?

– Nie tylko. Wyobraź sobie, pewna nobliwa rodzina przetrzymywała w piwnicy swoje porto przed epidemią filoksery. I to tutaj, w Douro! Wino z takiego okresu to jest rzecz o historycznej już wartości. Nic dziwnego, że kolejni członkowie rodu traktowali je jak najcenniejszy rodzinny skarb. Kiedy zmarła ostatnia, bezdzietna spadkobierczyni majątku, dalsi krewni zdecydowali się sprzedać swoją perłę. Po długich negocjacjach odstąpili producentowi porto dwie beczki. Nabywca, a była to jedna z bardziej szanowanych firm, nie spodziewał się, że porto trzymane w *Douro bake*, jak nazywamy nasz zabójczy upał, będzie aż tak dobre. W tamtych czasach nie było przecież klimatyzacji i porto trzeba było wysyłać do Gaia, gdzie dzięki bliskości Atlantyku w winiarskich magazynach panowały dużo bardziej sprzyjające warunki. Okazało się jednak, że akurat to porto jakimś cudem jest absolutnie fantastyczne. *Douro bake*, wbrew wszelkim prawom, w ogóle mu nie zaszkodziło. Wino zostało więc wypuszczone na rynek, z oczywistych powodów w limitowanej ilości. Jedna butelka tego napoju bogów kosztowała ponad dwa tysiące funtów.

– To ja się jednak przeniosę tutaj z Londynu – cmoknęłam. Przestałam się dziwić, że porto potrafiło tak mieszać ludziom w głowie. Dla zwykłego, lokalnego producenta wina, takiego jak Hernandez, porto było kluczem otwierającym wiele zamkniętych drzwi. Która z rodzin uprawiających niewielkie winnice, o nic nieznaczącym nazwisku i bez dostępu do rynku porto, żyła tak wygodnie jak

Leonardo i babka, jak żyły inne stare rody ze znanymi nazwiskami? Widziałam domy zwykłych ludzi w okolicznych miasteczkach, skromne, z praniem suszącym się na prowizorycznie zaczepionych sznurkach, z krzywymi oknami, przez które w zimie z łatwością wdziera się ziąb. W Alto Douro producenci portu byli najważniejszymi pracodawcami, dawali zatrudnienie przy zbiorach w sezonie i drobniejszych pracach w winnicach w ciągu całego roku. Gdyby nie oni, region miodem i winem płynący podzieliłby los niedalekiego, jakże ubogiego Trás-os-Montes.

Pomału zaczynałam rozumieć, co babka miała na myśli, mówiąc, że dla Camili wejście do rodziny Winefordów stanowiło niezwykłą nobilitację. Przecież Winefordowie od stuleci tworzyli historię regionu, pielęgnując stare tradycje i przekazując sobie pałeczkę w biznesie. Camila z pewnością o tym wiedziała i musiało ją to bardzo pociągać. Czy to jednak wystarczający powód, żeby pragnąć czyjejs śmierci? Camila jednak musiała być szalona.

– Tiago – odezwałam się. – Powiedz mi, jak się w Portugalii dziedziczy majątek? Dom, winnice, ziemię po rodzicach?

– Bardzo prosto. Wszystkie dzieci dziedziczą tak samo.

– A małżonkowie dzieci?

– Małżonek dostaje przynajmniej dwadzieścia pięć procent majątku. Pozostałe siedemdziesiąt pięć procent dzieci dzieli równo między siebie, chyba że są inne zapisy w testamencie. Swobodnie można jednak rozporządzać tylko jedną trzecią majątku, pozostałe dwie trzecie spuścizny muszą odziedziczyć prawowici spadkobiercy, nieważne, czy są to pieniądze, winnice czy dom.

– Czy kobiety, żony, dziedziczą tak samo?

– Oczywiście. Nie ma żadnej dyskryminacji, córki dziedziczą tak samo jak synowie, żony jak mężowie.

– Rozumiem... – zamyśliłam się. Gdyby Camila wyszła za Horacia, razem dysponowałiby jedną czwartą majątku Winefordów, jakimiś osiemnastoma hektarami. Po śmierci męża jej należałoby się... dokładnie tyle samo. Dlaczego więc miałyby pragnąć śmierci Horacia? Skąd pomysł, że chodziło jej tylko o ziemię i winnice? Przecież po śmierci Horacia nic by więcej nie zyskała.

Zapagnęłam wskazać tę nielogiczność Gabrieli, tę wyraźną lukę w jej opowieści. Nie miałam jednak pewności, że babka powiedziała mi wszystko. Może nadal ukrywała jakieś szczegóły, które wyjaśniałyby sprawę, przecież dowiedziałam się prawdy jako ostatnia w rodzinie, mogła to nadal być prawda niepełna. A poza tym Camila mogła mieć inne powody... Może faktycznie po śmierci Horacia chciała sama przejąć firmę? Albo wcale Horacia tak bardzo nie kochała? Miałam już zadać kolejne pytanie, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że kawałek ziemi Hernandez de facto graniczy z naszym polem. Może to jest dawna ziemia Winefordów, ów spadek? Jeśli tak, to znaczyłoby, że Hernandez w jakiś

sposób dopięła swego, uszczknęła kawałek posiadłości Winefordów. Jak jej się to udało?

– Tiago, odziedziczoną ziemię można podarować, komu się chce, prawda?

– Oczywiście. Jeśli nie ma dzieci, można ją spieniężyć, oddać przyjacielowi, kochance lub komukolwiek innemu.

Camila Hernandez nie mogła nic odziedziczyć, ale Horacio mógł jej wszystko oddać przed swoją śmiercią... Jeśli tak stracił dla niej głowę, jak mówi babka, to bardzo możliwe, że wszystko jej przepisał... gdyby tego nie zrobił, winnice nadal byłyby w rodzinie i zostały podzielone między żyjących braci. Tak to chyba działa? Być może Horacio, znając stosunek Gabrieli do Camili, chciał swoją ukochaną zabezpieczyć. Może zrobił to specjalnie, żeby w razie jakiegoś nieszczęścia Camila nie została z niczym...

Przeszłam kilka kroków dalej. Przeciągnęłam dłonią po żelaznej obręczy jednej z baryłek, odciskając na warstwie kurzu ślad palców. A więc Hernandez tak bardzo tego pragnęła. Stać się posiadaczką podziemnych kazamatów wypełnionych starzejącym się winem...

Potrafiłam sobie wyobrazić, że takie pragnienie może stać się obsesją. Nie przechowywano tu tylko wina. Mroczna piwnica Winefordów dawała też dostęp do przeszłości. Dzięki niej można było zobaczyć oczyma wyobraźni ludzi zrywających z krzaków wygrzane winogrona, przebierających owoce, depczących je w *lagares*, zlewających wino. Moi dziadkowie, pradziadkowie i poprzednie pokolenia, wszyscy oni żyli rytmem podyktowanym przez porto, przez prace w winnicach i zbiory, przez plagi i nieszczęścia zsyłane przez naturę. Tutaj właśnie mieściła się zamknięta w beczkach rodzinna mitologia, z pamięcią o poprzednich pokoleniach, o ich sukcesach i upadkach, o ich miłości i winiarskiej pasji.

– Idziemy? – Tiago przerwał ciszę.

– Tak, chyba już wiem to, co chciałam wiedzieć.

Zarządca zgasił latarkę, potem główne światło i sięgnął po pęk grzechoczących kluczy.

Ostatni raz chciałam spojrzeć na beczenny magazyn, ale kiedy obejrzałam się za siebie, mój wzrok zawisł w nieprzeniknionej ciemności.

Zobaczyłam Leonarda dopiero pod wieczór.

– Przez ostatnie dni byłem bardzo zajęty, Sophie, mam nadzieję, że się nie nudziłaś? – zapytał, gdy usiedliśmy do posiłku.

Nawet o tej porze trudno było wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu, dlatego babka kazała nakryć do stołu na werandzie, w miejscu bardziej przewiewnym niż duszna jadalnia. Dla odstraszenia latającego robactwa Benedita postawiła na środku stołu świecę. Siedzieliśmy jak zwykle w ustalonym porządku:

babka u szczytu stołu, zajmując najbardziej wytworne krzesło, Leonardo po przeciwnej stronie, po bokach ja i Filipe, zaproszony dziś przez Gabrielę na kolację. Dobre obyczaje nakazywały, by czekać, aż seniorka rodu rozpocznie posiłek. Rozłożyć lnianą serwetę na kolanach, a potem wycierać nią usta niemal po każdym kęsie. Prowadzić niespieszną konwersację, pozwalając, by żołądek spokojnie trawił.

Przestałam już dziwić się zasadom obowiązującym w quincie. Teraz wydawały mi się całkiem naturalne i logiczne. Co więcej, moje nowoczesne, londyńskie życie coraz wyraźniej jawiło mi się jako chaotyczne i pozbawione solidnych podstaw.

Spojrzałam na Leonarda. Wyglądał na przemęczonego, jakby wrócił co najmniej z Algarve, a nie z Porto oddalonego od Quinta de São Francisco o dwie godziny jazdy samochodem. Gabriela też musiała poczynić podobne spostrzeżenia, bo powstrzymała się od zbędnych uwag i bez słowa przygany zatopiła łyżkę w treściwej zupie z kapusty.

– Nie nudziłam się – odpowiedziałam na pytanie wuja, starając się, by mój głos zabrzmiał przekonująco. Chciałam zapytać, w jaki sposób Hernandez weszła w posiadanie ziemi Winefordów, to był ostatni niezrozumiały element w układance. Obecność Filipe przy stole wykluczała jednak jakkolwiek poważną rozmowę. Podejrzywałam, że babka posiekałaby mnie w cienkie plasterki, gdybym wtajemniczyła obcą osobę w rodzinne problemy.

– To dobrze, Sophie. – Kiwnął głową i dodał, zwracając się do Gabrieli: – Mamy sporo zamówień, spotkałem się w mieście z Almadą.

– Doprawdy? Masz na myśli porto czy wina? – Gabriela odłożyła łyżkę.

– Zdecydowanie porto. Win mamy za mało, jakoś nie idą.

– Może powinieneś wziąć przykład z *Douro Boys*, im zaczyna iść świetnie – wtrącił Filipe.

Leonardo spojrzał na niego spod oka i mruknął:

– Oni walczyli kilka ładnych lat, żeby te wina zyskały nabywców i zaczęły im schodzić, to ciężki kawałek chleba.

– To prawda, zrobili w kilka lat więcej dla Portugalii niż inni w dwadzieścia. No, a teraz mają coraz wyższą sprzedaż...

– Kto to jest *Douro Boys*? – zaciekałam się.

– To grupa pięciu mężczyzn, a w zasadzie zaprzyjaźnionych od stuleci rodzin, które postanowiły pokazać światu, jak dobre mogą być też zwykłe wina z Douro. Nie porto, podkreślam. Mówię tu o rodzinach Van Zeller, Ribeiro i Ferreira, Niepoort, Roquette i Olazabal. Oni robią porto od jakichś dwustu lat, a Van Zellerowie są w biznesie od czternastu pokoleń, tak mniej więcej od tysiąc sześćset dwudziestego roku – objaśnił Filipe. – Wiesz, Sophie, Douro zawsze było i jest kojarzone wyłącznie z *port wine*, a przecież tutaj od stuleci robi się też wina

niefortyfikowane. *Douro Boys* chcieli odkryć je na nowo, no i, rzecz jasna, polepszyć ich jakość.

– Udało im się?

– Ba – fuknął Filipe. – Wina Douro DOC28 to teraz jedne z najlepszych w Portugalii.

– Filipe – Leonardo wszedł mu w słowo – Quinta de São Francisco zawsze będzie produkować przede wszystkim porto. Nie wiem, do czego próbujesz mnie przekonać.

– Do niczego, sąsiedzie, coś taki drażliwy.

Leonardo zamilkł. Faktycznie czuł się rozdrażniony. Sądził, że wizyta w Porto odwróci jego myśli od wydarzeń ostatnich dni, ale się przeliczył. A poza tym bardzo uwierało go zdjęcie w tylnej kieszeni spodni.

– Bardzo sobie cenię wszystkich *Douro Boys* – powiedział powoli. – Nie ulega wątpliwości, że dokonali czegoś prawie niemożliwego. Ale będę trzymał się swoich tradycji.

– Och, macie dużo południowych stoków, najlepszych na porto, to zrozumiałe.

– Mamy też wysoką klasyfikację, doskonałe położenie i wspaniałe szczepy.

– Przecież nie zaprzeczam.

– Wiesz, Filipe, dziwi mnie, dlaczego tak znana rodzina jak twoja nagle zaczęła przestawiać się na wina, zaniedbując porto. Ale jak teraz o tym myślę, to co miałeś zrobić? W starych piwnicach zapadł ci się strop, smutna sprawa, no i beczki... Porto potrzebuje ich na całe dziesięciolecia, a wino poleży w bece do następnego sezonu i problem z głowy, użyjesz tej samej do nowych zbiorów. Beczki to kosztowna inwestycja, twoi synowie wolą za te pieniądze wybudować hotel, nieprawdaż? – przyciął mu.

– Mocno to uprościłeś, sąsiedzie. Moi synowie od wielu już lat zmieniają profil firmy.

– Taa, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

– Czy ktoś będzie tak miły – Gabriela zakasłała – i poda mi sałatę?

– Ależ oczywiście. – Filipe poderwał się z krzesła.

Podobnie jak Gabriela miałam wrażenie, że atmosfera robi się napięta. Coś wisiało w powietrzu.

– Czy porto jest trudniej zrobić niż zwykłe wino? – zwróciłam się do wuja.

– Oczywiście. – Leonardo dołał sobie wody i na jednym oddechu wychylił całą szklanekę. – Nie można absolutnie porównywać sposobu produkcji, kupazowania czy starzenia win Douro z winem porto – powiedział, ocierając usta.

– Jest kilka zasadniczych różnic. Wino Douro, zarówno białe, jak i czerwone, nie powinno leżeć w beczce dłużej niż dwa lata, straciłoby wtedy na jakości. Porto, jak wiesz, wręcz przeciwnie, zyskuje z wiekiem. Na smak win Douro wpływa o wiele

mniej czynników niż na *port wine*. Zwykle wina produkuje się z owoców pochodzących z jednego roku i z jednej winnicy. Produkcja porto jest znacznie bardziej skomplikowana. Po pierwsze, tworzy się je najczęściej z wina z różnych lat²⁹. Po drugie, umiejętne wymieszanie części składowych porto, a więc win z różnych roczników, jest prawdziwą sztuką i stanowi tajemnicę firmy. Porto potrzebuje specyficznych warunków do starzenia, winiarnia musi być perfekcyjnie zorganizowana. Rodzaj porto zależy też od beczki, od tego, czy była już używana wcześniej, czy nie, z jakiego drewna jest zrobiona... sama widzisz, to długa lista wymagań. No i zbieranie winogron na porto zaczyna się później niż na wino niefortyfikowane.

– Tu bym jednak polemizował. – Filipe podniósł dłoń do góry, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. – Ci, którzy chcą mieć białe, nie za słodkie i niezbyt mocne porto, zaczynają zbiory bardzo wcześnie. Na tyle wcześnie, żeby owoce nie zdążyły całkiem dojrzeć i żeby można było zatrzymać w gronie wyższą kwasowość, zapobiegając też nadmiarowi cukru. Tak właśnie niektórzy robią.

– Tych niektórych – powiedział Leonardo z naciskiem na ostatnie słowo – bardzo lubię, ale bez przesady, to wyjątek potwierdzający regułę.

– Leo – przełknęłam kawałek ziemniaka – chciałabym bardzo zobaczyć kiedyś magazyny w Gaia.

– Trzeba było mówić wcześniej, dopiero co stamtąd wróciłem.

– Jakoś nie przyszło mi do głowy. Zajrzałam do tutejszych piwnic, są wspaniałe, ale Tiago powiedział mi, że najstarsze porto trzymacie w mieście.

– Mamy tam stare *cellars* z bardzo cenną zawartością. Zabiorę cię następnym razem.

– Ja wybieram się do Porto w piątek, mogę cię podrzucić, Sophie.

– Ty za dużo jeździsz, Filipe, masz już swoje lata. – W głosie babki słychać było zniecierpliwienie.

– Gabrielo, jeżdżę tyle, ile tego wymagają sprawy, nie martw się o mnie.

– Właśnie, Filipe, z całym szacunkiem, ale myślę, że nie musisz także jeździć pod dom Camili Hernandez – wszedł im w słowo Leonardo.

Wszyscy przy stole znieruchomieli. Nawet Benedita w kuchni zastygła z garnkiem w dłoni. Filipe przełknął ślinę i obrócił się do Leonarda.

– Co powiedziałaś, sąsiedzie?

– Powiedziałem, że nie musisz tam jeździć. Nie ma takiej potrzeby.

– Synu, zajmij się swoim dorszem, co cię znowu ugryzło. – Gabriela poczerwieniała.

– A właśnie, że się nie zajmę. Po co nasłałaś tam Filipe? Każesz mi się nie mieszać do spraw Hernandez, a sama mieszasz jak opętana. Co ma do tego Filipe? Ja już zrobiłem wcześniej, co trzeba.

– Nie próbuj się ze mną handryczyć, Leonardo. To ja zrobiłam, co trzeba.

Spojrzałam na wuja, potem przeniosłam osłupiały wzrok na Gabriellę. O czym oni mówią?

– Babciu, co wy zrobiliście Camili?!

– Jeszcze nic, dziecko, jeszcze ją święta ziemia nosi – sapnęła. – Filipe ostrzegł ją, żeby dała ci spokój.

– Żeby dała mi spokój? – Oczy zaokrągliły mi się jeszcze bardziej.

– Żeby wycofała się z transakcji. Przecież wszystko już ci opowiedziałam.

– Co jej opowiedziałas? – Teraz Leonardo się zdenerwował.

– Leonardo, tyś dzisiaj jest niemożliwy, jak Boga kocham. Powiedziałam, kim jest Camila i dlaczego Sophie nie może sprzedać jej winnic. A co ty powiedziałas Camili?

– Ja? Nic!

– Kłamiesz, aż ziemia jęczy, Filipe widział cię pod jej domem!

– Szpiegujecie mnie?! Do diabła! – Leonardo walnął pięścią w stół. Potrącił kieliszek i rozlał resztkę wina, ale nawet tego nie zauważył. – Tego już za wiele!

– A więc co jej powiedziałaś?

– Nic nie powiedziałem, ponieważ wy zdążyliście już to zrobić – wycedził. Nie wspomniał słowem o Osvaldzie, wołał nie przyznawać się, że wmieszał w to jeszcze jedną osobę. Sięgnął ze złością po dokładkę dorsza. Zaraz kogoś zamorduję, pomyślał.

– Ukartowaliście to?! – Nie mogłam w to uwierzyć. – Żeby nie przyszła na moje spotkanie? To znaczy wiedzieliście, że ma zamiar nie przyjść?

– Sophie, powstrzymaj nerwy, tłumaczyłam ci, że to dla nas bardzo trudna rzecz, myślałam, że rozumiałaś.

– Zrozumiałam... – zakreśliły mi się łzy w oczach. Zaufałam babce, uwierzyłam jej, a teraz znowu dowiaduję się, że babka i Leonardo coś zataili. – ...zrozumiałam, że nadal mi nie ufacie! – Odsunęłam się od stołu, gotowa wstać.

– Ufamy ci, siadaj, dziecko. – Babka pociągnęła mnie za rękaw. – Siadaj tutaj i jedz, bo nie ręczę za siebie – zmusztrowała mnie. – A ty, Leonardo, powinieneś cieszyć się, że tak to się skończyło, mogło być znacznie gorzej. Przyjacielu – zwróciła się w końcu do gościa – przepraszam cię za tak stresujący posiłek, musisz nam wybaczyć.

Wszyscy zamilkli, pochylając się nad swoimi talerzami.

– Benedita! – głos babki przeciął ciszę. – Podawaj deser, proszę!

Kiedy Leonardo poczuł to po raz pierwszy? Kiedy zrozumiał, co tak naprawdę się wydarzyło i jaką stratę będzie musiał ponieść? Trzasnął drzwiami i oparł się o ścianę, jej chłód przynosił mu ulgę.

Pamięta dobrze, gdy wtedy, wiele lat temu, zobaczył Camilę zwiniętą

w kłębek na kanapie. Była zbyt zmęczona, by dojść do sypialni, oparła głowę o poduszkę i po prostu zasnęła znękana całym dniem, jak kot, który po pracowitych łowach zapada w sen tam, gdzie akurat znajdzie kawałek miękkiego podłoża. Może nie powinien tam wchodzić, bez zaproszenia i zachęty, ale trudno, drzwi wejściowe były niezamknięte, skorzystał i teraz nie mógł się już wycofać. Został zimną pustką, przeszedł korytarzem do salonu, myśląc, że może jest czymś tak bardzo zajęta, że nie słyszy jego kroków, ale ona po prostu spała. Leżała zwinięta na kanapie, bezbronna, wystawiona na jego zachłanne i badające spojrzenie, to było aż nieprzyzwoite. Była oazą spokoju pośrodku rozgardiaszu panującego w pokoju, wspomaganego przez źle nastawione radio, skrzypiące i szumiące. We śnie, w mroku rozświetlonym słabą lampką, tak właśnie wyglądała, jakby wreszcie odzyskała spokój.

Pamięta, że podszedł bliżej, nie chciał jej zbudzić, zatrzymał się metr od łóżka. Teraz dobrze widział – jej twarz złagodniała, ciemne zagłębienia pod oczami zniknęły, zyskała twarz dziecka. Chciał wyciągnąć dłoń i dotknąć jej policzka, wzbudzała w nim taką czułość i troskę, chciał się upewnić, że ta śpiąca kobieta żyje i jest tak bezpieczna, na jaką wygląda. Pewnie nawet nie poczułaby, jak kładzie dłoń na jej policzku, rozgrzanym nieco przez sen, lekko zaróżowionym. Miał ochotę musnąć go palcami, a potem delikatnie położyć całą dłoń i tak ją trzymać, nie wykonując innych ruchów, już wtedy poczułby się szczęśliwy. Dlaczego nie zrobił tego wcześniej, gdy jeszcze mógł? Taką szansę otrzymał, a potem zmarnował ją, jak wiele innych rzeczy w życiu. Powinien rozwiązać jej obawy i swoją determinacją pokonać wszelkie przeszkody. Przeczuwał przecież, był tego już wtedy pewien, że przy niej wszystko zyskałoby nowy kształt, nabrało nowego znaczenia. Wyzwalała w nim najczystsze uczucia, najbardziej intensywne, niewinne i najgorętsze jednocześnie. Nikomu to się wcześniej nie udało, a i on sam nie podejrzewał, że może odczuwać właśnie w ten sposób i w takim nasileniu.

Poczuł pieczenie w splocie słonecznym, jakby ktoś przypalał go tam żywym ogniem. Gdyby tylko wtedy pozwolono mu ją przytulić mocno do siebie, twarz do jej twarzy, pierś do piersi, wszystko byłoby dużo prostsze. Taki banalny gest, ilu ludzi przytula się, nic w zamian nie zyskując, a on by zyskał, on zyskałby nowe życie, nowego samego siebie.

Pamięta, że spojrzał na nią ponownie, leżała zwinięta w kłębek i wyglądała na samotną, choć przecież wcale taka nie była. Należała już do innego mężczyzny i to on, a nie Leonardo, był uprawniony do tego, by jej dotykać, by ją pieścić spojrzeniem. Poczuł się nieszczęśliwy, był to jednak taki rodzaj nieszczęśliwości, jakiego doznaje się czasem we śnie. Niedookreślony, mglisty, który sprawia, że chce się śnić dalej. Człowiek boi się wtedy poruszyć, aby nie spłoszyć tego niezwykłego obrazu, bo każde drżenie mięśni może skutkować przerwaniem bajki, więc wstrzymuje oddech i modli się, by to trwało, a jedynym ambiwalentnym

uczuciem, którego doznaje, jest niepewność. Więc stał tam, dwa kroki od niej, i patrzył, jak spokojnie oddycha, przejęty, że ma ją tak blisko siebie, a jednocześnie w przekonaniu, że przestrzeń, która ich dzieli, jest nie do pokonania.

Jak okrutny jest los, myślał wtedy, że nie pozwala zmieniać tego, co już się wydarzyło. Przecież chciałoby się skorygować czasami przeszłość, ułożyć ją inaczej, w innej konfiguracji, albo chociaż zmienić jakiś szczegół. Życie daje jednak tylko jedną szansę, a jeśli ją przegapisz, to jesteś frajer i możesz tylko walić głową w mur, nic więcej.

Jak miał z tym żyć, wiedząc, co już wtedy wiedział, jak pogodzić się ze świadomością, że nigdy nie dotknie kobiety, którą kocha, że będzie patrzył, jak ona bez niego układa sobie życie. Chciałby jej ofiarować wszystko, co ma, całego siebie, wszystkie chwile razem i każdą z osobna, nadzieje, rozterki i radości, a będzie mógł zaledwie posłać jej kurtuazyjny uśmiech ponad stołem, może musnąć przypadkiem jej ramię, gdy miną się gdzieś na ulicy. Jak miał żyć z taką perspektywą, wiedząc, co go czeka? Już chyba lepiej, gdyby go nie było, gdyby przestał istnieć, już chyba to byłoby lepsze.

Przykryła się tylko cienkim kocem, w środku grudnia. Nie wyglądała na zmarzniętą, ale nie mógł oprzeć się pragnieniu, by wykonać chociaż jeden, może ostatni gest, zresztą tylko to mógł zrobić – przykryć ją czymś lepiej utrzymującym ciepło. Ściągnął pled luźno zarzucony na fotel i rozłożył go na całą długość, delikatnie przykrywając nim jej stopy, biodra, plecy i zaplecione blisko ciała ręce, żegnając się w myślach z każdą częścią jej ciała, jakby była umarłą, a nie śpiącą kobietą, i jakby nigdy już miał jej nie zobaczyć.

To był ten dzień i ta chwila, kiedy świadomość utraty dotarła do niego z całą zabójczą mocą. Camila już nigdy nie będzie jego, choćby jej rzucił do stóp cały świat.

Potem zamknął się w skorupie i otoczył bastionem wymówek, by unikać tej kobiety jak ognia. Zrobił wszystko, co mógł, by wyrwać tę miłość z korzeniami. Prawie uwierzył, że może bez niej żyć. Nigdy nie uczynił żadnego gestu, który by go zdradził, nie był mężczyzną, który obnosi swój ból albo przyznaje się do pomyłki. Pracował najlepiej, jak mógł, żył najlepiej, jak potrafił, troszczył się o matkę, o quintę i interesy, i tylko czasami w szarości wieczoru dopadał go ten sam ból, ostry jak cięcie noża i przypominający, że nie można się sprzeniewierzyć samemu sobie, nie można się oszukać, bo rana w sercu może przyschnąć, ale już nigdy się nie zablizni.

Podszedł do okna i otworzył je na oścież, czując, że robi mu się duszno. Wspomnienie tamtego dnia ołowianym ciężarem osiadło na jego piersi.

Ścieżka pochyłała się ku dolinie. Idąc, przecinałam rzędy winnic spływające

kaskadami z wierzchołka wzgórza w dół, ku rzece. Było nieznośnie gorąco, ale nie zważałam na to. Choć najchętniej wsiadłabym jutro do samolotu i opuściła swoją nieobliczalną rodzinę, postanowiłam zrobić dokładnie coś odwrotnego. Przesunę biletu o kolejny tydzień i zostanę tutaj, w Douro, by dowiedzieć się wszystkiego, co próbowano przede mną ukryć.

Rodziców już powiadomiłam o swoich zamiarach. Ojciec chciał koniecznie wiedzieć, z jakiego powodu przedłużam pobyt, ale uspokoiliam go, mówiąc, że chcę tylko doczekać końca zbiorów, by poznać cały proces produkcji wina. Nie był zadowolony, ale przełknął to kłamstwo. Matka z kolei ostrzegła mnie, że przez dłuższe wakacje mogę zawalić sprawy zawodowe, ale i na takie dictum miałam odpowiedź. Moja przyjaciółka Eve powie w pracy, że problemy rodzinne wymusiły na mnie dłuższą obecność w Portugalii, po powrocie wystąpię o kilka dni urlopu i wszystko będzie dobrze.

P. zrozumiał od razu. Znał mnie najlepiej.

Zerwałam kiść winogron, by zaspokoić pragnienie. Nie mogłam pojąć, dlaczego babka i Leonardo zachowują się w tak niezrozumiały sposób. Uwierzyłam im, wybaczyłam, starałam się zrozumieć ich zachowanie... a wczoraj, przy stole, znowu okazało się, że mają przede mną tajemnice. Zamiast przeprowadzić ze mną szczerą rozmowę, woleli zniechęcić Camilę do przyścia na spotkanie. Wygodniej im było manipulować obcą kobietą, niż poinformować własną wnuczkę. To wołało o pomstę do nieba. Dlatego też już rano postanowiłam, że ponownie odwiedzę Hernandez. Kobieta, choć być może szalona, wydawała mi się teraz bardziej wiarygodnym źródłem informacji niż moja własna rodzina. Przeżułam ostatnie grono i odrzuciłam gałązkę. Czy miałam inne wyjście? Jeśli chciałam poznać prawdę na temat przeszłości Winefordów, musiałam wziąć byka za rogi.

Podwinęłam rękawki T-shirtu, choć słuszniej byłoby się zakryć, niż odkrywać. Ścieżka nagle zakręciła i zaczęła ostro opadać w dół. Zatrzymałam się, rozważając, czy w zmagającym się upale będę w stanie pokonać tę drogę w odwrotnym kierunku. I wtedy zza kolejnego zakrętu wyłonił się Leonardo. Wspinaczka wyraźnie go męczyła. Posapywał i ocierał pot z czoła, ale ani razu nie przystanął. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy niemal się ze mną stuknął.

– Sophie, aleś mnie przestraszyła! Co tu robisz, chyba nie chcesz się usmażyć?!

Zawahałam się. Czy nie powinnam na niego po prostu się obrazić? W końcu knuł za moimi plecami podobnie jak babka.

– Leo...

– Chodź, Sophie, czuję się tutaj jak w piekle.

Wziął mnie pod ramię i pociągnął za sobą, nie dając dojść do słowa. W kilka chwil znaleźliśmy się na małym dziedzińcu, pokonaliśmy drewniane trepy, którymi wyłożony był ostatni odcinek drogi, i wuj skierował się w stronę wielkiego

kamienia leżącego pod drzewem oliwnym.

– Muszę chwilę odpocząć. – Stęknął i przysiadł na głazie. – Wczorajszy wieczór, wiem, nie podobał ci się – zaczął. – Ale my tu mamy swoje porachunki, do których nie chcieliśmy cię mieszać. Nie udało się, jak sama widzisz. To zrozumiałe, im dłużej tu jesteś, tym bardziej stajesz się częścią nas i gdyby to wszystko działo się w innych okolicznościach, byłbym niezmiernie szczęśliwy. Nie sądziłem jednak, że sprzedaż winnic pociągnie za sobą takie wydarzenia... że stanie się tak skomplikowana, kto by przypuszczał. Eh, Sophie, chciałem tylko prosić cię o jedno, żebyś uwierzyła, że wszystko, co robimy, jakkolwiek to wygląda, robimy dla twojego dobra.

Spojrzałam na niego, od kilku dni wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie chciałam nadwerężyć jego sił, ale zawiodłam się na nim tyle razy, a on znowu prosił mnie, bym uwierzyła... Czy miałam po raz kolejny dać się zwieść gładkim słowom?

– Najpierw powiedz, dlaczego się zachowujecie w taki dziwny sposób. Czy nie prościej było wyjaśnić mi wcześniej, że Hernandez jest nieodpowiednim kupcem? Uniknęlibyście całego zamieszania, a ja nie czułabym takiej urazy.

– Czujesz do nas urazę? Sophie, przepraszam, ale sądziliśmy, że nie ma potrzeby, żeby cię męczyć opowieściami o Horaciu i jego śmierci.

– Ależ Leo, minęło tyle lat. To nadal takie trudne?

– Coś ci powiem, Sophie – westchnął. – Przysiądź tu koło mnie, proszę. Żyje tu w Douro pewna rodzina, bardzo stara i szanowana, producenci porto z dziada pradziada. W ich rozległej posiadłości jest kapliczka. Taka jak nasza, z krzyżem na szczycie, od frontu drewniane drzwi z nieczęsto otwieraną kłódką.

– Leo, chcesz znowu odwrócić moją uwagę.

– Posłuchaj tylko. Jakies osiemdziesiąt lat temu w tej rodzinie kobieta urodziła długo wyczekiwanego, wymodlonego u świętego Judy Tadeusza syna. Strasznie to dziecko kochała. Podobno często powtarzała, że dzieci są jak anioły, że są niewinne tak jak my, dorośli, będziemy niewinni dopiero w niebie. Ale w wieku ośmiu lat ten jej ukochany syn ciężko zachorował i zmarł. Zrozpaczona matka nie pozwoliła go pochować. Trzymała ciało w trumience w małym pokoju na tyłach domu, dopóki nie zaczęło się rozkładać. Zniosła tam dziecięce zabawki, codziennie wstawiała do wazonu pachnące kwiaty, przemawiała do martwego syna, szeptała i śpiewała mu piosenki. Rodzina sądziła, że okres żałoby w końcu się skończy i kobieta wróci do życia. Ale czas mijał, a ona nie potrafiła pogodzić się ze stratą. Postanowiła, że ciało zmumifikuje i dzięki temu będzie mieć syna zawsze przy sobie. I tak zrobiła. Spędzała przy zmumifikowanym dziecku całe dnie i noce, aż kiedyś zemdląca podczas czuwania przy trumience i wtedy ojciec dziecka powiedział basta. Nie zważając na błagania żony, przeniósł trumnę z ciałem do kaplicy i zamknął na klucz. I ona, ta ponadosiemdziesięcioletnia dziewczyna, nadal

tam jest. Pięknie ubrana, w wyłożonej atlasem trumnie, skazana na wieczne oglądanie przez żywych... To działo się w naszej bardzo dalekiej rodzinie. Gdybyś chciała, mogę cię do tej kaplicy zawieźć.

– Nie chcę.

– Dobrze, ale uwierz, że Gabriela byłaby zdolna zrobić coś takiego z Horaciem. Bo ona też kochała go taką miłością. Rozdmuchała to uczucie w sobie, jakby tylko on jeden był na świecie. Zawsze Horacia stawiała na piedestale, zawsze wszystko robił najlepiej, najwłaściwiej. A potem go straciła, w głupi, bezsensowny sposób. Młodego, pięknego. Dlatego wszystko, co dotyczy jego osoby, jest dla niej niemiłosiernie trudne do udźwignięcia. Ja już jako nastolatek przyzwyczaiałem się, że mnie nigdy nie poświęcała tyle uwagi. Chyba musiałbym umrzeć, żeby pokochała mnie tak jak jego. Ale ja zawsze uważałem, że jest tyle okrucieństwa na świecie, tyle niesprawiedliwych śmierci, tragedii, chorób, głodu i wydarzeń, które pozbawiają człowieka życia, zanim naprawdę je utraci, że nie warto dodawać do tego worka nieszczęść jeszcze swojego utyskiwania. Dlatego dałem spokój, zająłem się sobą. Ty jednak widzisz to z zewnątrz i wydaje ci się pewnie, że postradaliśmy rozum, zmysły, że coś jest z nami nie tak... no powiedz, tak właśnie myślisz?

– Nie mogę po prostu was zrozumieć, ta zabawa w kotka i myszkę...

– Sophie, czy ty kiedyś kogoś kochałaś?

Spuściłam wzrok. Czy kochałam? Nieraz. Znam smak pocałunków i rozczarowania. Wiem, co to miłość, wiem, jaką daje siłę. A gdybym teraz nagle straciła P... Odepchnęłam szybko tę myśl.

Uczucia rodzicielskie są mi jednak obce. Miłość, jaką obdarzali mnie rodzice... czy można ją do czegoś przyrównać? Gdyby była krystalicznie czysta, nie byłoby mnie tutaj, w Quinta de São Francisco, nigdy nie walczyłabym tak o własny kawałek kąta.

– No widzisz – w moje myśli wdarł się głos Leonarda. – Proszę cię tylko o odrobinę wyrozumiałości, o przyknięcie oka na nasze nieudolności.

– W takim razie odpowiedz mi na jedno pytanie: jak zginął Horacio?

– W pożarze, spłonął dom, w którym przebywał, to chyba wiesz.

– Dlaczego w takim razie babka twierdzi, że Hernandez jest winna jego śmierci? Że to wszystko przez nią?

– Bo to ona, Camila, wysłała go do tego domu.

– I to wszystko?

– Tak, takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają.

– Skąd wiecie, że to nie był wypadek? Czy przeprowadzono śledztwo? Czy została oskarżona?

– Sophie, Douro to był wtedy zupełnie inny świat. Była policja, przesłuchano wszystkich, nic nie wykryto. Co zresztą można wykryć na podstawie zgłoszczonej

domu i dwóch trudnych do zidentyfikowania ciał. Choćby ktoś zadźgał ich wcześniej nożem, i tak by tego nie udowodnili. Z domu zostały ściany i pogorzelnisko, nic więcej. Nie chciałyby być tego świadkiem.

– A jednak babka oskarża Hernandez?

– Uważa, że Camila miała powody, aby doprowadzić do tej tragedii.

– Wiem, babka już mi mówiła. Pazerność, chęć przejęcia winnic, nazwiska, firmy... A jednak wcale mnie to nie przekonuje, równie dobrze mogła to wszystko mieć, będąc z Horaciem. Poza tym wbrew waszym staraniom i tak dostała kawałek ziemi. Jakim cudem?

– Skąd wiesz, że dostała kawałek ziemi?

– Przecież to nie może być przypadek, że jej winnice akurat graniczą z naszymi?

– Masz rację, to nie przypadek. Horacio jej przepisał.

– Czy ja jeszcze o czymś nie wiem?

– Tak, Sophie, nie wiesz, że babka po jego śmierci chodziła w żałobie dłużej niż po obydwóch mężach. Zamknęła pokój Horacia na cztery spusty i nie pozwalała nikomu do niego się zbliżyć. Zachowywała się naprawdę dziwnie, martwiłem się o nią. Przez pięć lat w naszej rodzinie nie obchodzono żadnych radosnych uroczystości. Czasem wydawało mi się, że nasze życie naprawdę stanęło w martwym punkcie.

– Och, Leo! Nie wiedziałam o tym i tego żałuję. Ale to wy trzymaliście wszystko w tajemnicy. Rozumiem, że kiedy to wszystko się wydarzyło, byłam jeszcze dzieckiem, ale teraz już nie jestem. Chcę nadrobić stracony czas. Czy masz coś przeciwko temu, żebym spotkała się ponownie z Hernandez? – Spojrzałam hardo na wuja. Bez względu na to, co zamierzał mi odpowiedzieć, i tak planowałam ją odwiedzić.

Leonardo zacisnął szczęki. Przeszył mnie wzrokiem, próbując chyba odgadnąć moje zamiary, ale postanowiłam, że nie będę się tłumaczyć.

– Chyba nie jest ci to do niczego potrzebne.

– Uważam, że jest.

Leonardo ponownie westchnął, zdjął kapelusz i położył go obok na kamieniu.

– Co ja mogę ci jeszcze powiedzieć. – Bezradnie wzruszył ramionami, pokonany. – Przecież cię nie zamknę w kurniku.

– No właśnie – powiedziałam i pocałowałam go w policzek. – Doceniam to.

Już dość dawno przestałam dzielić się swoimi przeżyciami z rodzicami. Przestałam mówić im, co myślę, co czuję. Czasami oświadczałam po prostu „wychodzę” i znikałam na godzinę, dwie, trzy. Pewnego razu, gdy byliśmy na

wakacjach, znudzona wyszłam z niewielkiej knajpki, w której rodzice spotkali się ze znajomymi. Powiedziałam, że chcę się przejść. Nikt na mnie nie spojrział, nie zauważył nawet, że wychodzę. Ruszyłam w stronę portu, gdzie rybackie kutry pachnące sardynkami kołysały się obok jachtów bogaczy. Minęłam marinę, potem przystań dla promów, miasteczko powoli się kończyło, ale szłam dalej. Wzdłuż brzegu, po żwirku, który zaczynał ranić moje stopy, uparcie do przodu, jakby była to jedyna słuszna droga. Kiedy linię brzegową zaczęły wypełniać coraz trudniejsze do przebycia zatoczki, pomyślałam, że czas wracać. Było już ciemno, ale ja nie czułam strachu. Byłam jednak zmęczona. Raz czy dwa przysiadłam na odpoczynek, potem wstawałam, ale szłam coraz wolniej. Droga powrotna okrutnie się dłużyła, chciało mi się pić. Miałam ochotę po prostu usiąść na ziemi, przyłożyć policzek do kamyków wypolerowanych przez słońca wodę i zasnąć. Wreszcie zdałam sobie sprawę, że zaszłam zbyt daleko, by wrócić o własnych siłach. Skręciłam w głąb łądy i znalazłam szosę prowadzącą do miasteczka. To nie była okolica turystyczna, złapanie autostopu w środku nocy graniczyło z cudem. A mimo to udało się, w oddali zamajaczyły dwa małe światełka i sportowe bugatti zjechało na pobocze. Z okna wychyliła się zdziwiona twarz kierowcy. Co samotna dziewczyna robiła sama na tym pustkowiu w środku nocy?

Mężczyzna robił miłe wrażenie. Wracał do domu, też był zmęczony. Pytał, gdzie ma mnie podwieźć. Chcąc odpowiedzieć na jego pytanie, odwróciłam głowę i wtedy mój wzrok padł na jego ręce. Purpurowe, z płatami odpadającej skóry, jakby ktoś ją przed chwilą pociął z umyślnym okrucieństwem. Palce były wykrzywione każdy w inną stronę, stawy skrzycone w nienaturalny sposób. Zapragnęłam natychmiast wysiąść, chciałam, by się zatrzymał i mnie wypuścił, choćby na środku nieoświetlonej drogi i z dala od ludzkich zabudowań. Sparaliżowana strachem, nie mogłam jednak wydusić z siebie słowa.

Gdy wróciłam, rodzice zrobili mi awanturę. Nie czułam się winna, mówiłam przecież, że wychodzę, tylko oni nie słuchali... Czy właśnie wtedy, podczas tej nieszczęsnej wakacyjnej wyprawy, nie porozumienia między mną a rodzicami zaczęła się naprawdę rwać?

Zebrałam ze stołu skórki od pomarańczy i wyrzuciłam je do wiadra, potem obmyłam lepkie ręce zimną wodą. Pozostałe piętrzące się w misce cytrusy przestawiłam w cień, były przejrzałe, w tym domu nikt nie nadażał ich zjadać. Teraz czułam się gotowa do drogi.

W salonie rezydowała Gabriela. Leżała na szezlongu z plasterkami bakłażana na twarzy, po jednym na każdy policzek.

- Babciu, śpisz? – zapytałam cicho.
- Nie, dziecko, nic z tych rzeczy, regeneruję się.
- Przykładając skórki?
- Tak. To sprzyja ładnej cerze, nie wiedziałaś?

– To taki portugalski zwyczaj?
– Sophie... – Babka podniosła jeden z plasterków i zastąpiła go świeżym. Na talerzyku obok leżała ich cała sterta. – Na jakim świecie ty żyjesz. Moja matka robiła to samo. Kładła na skórę, co jej wpadło pod rękę. Kucharka gotowała dynię, matka kładła na twarz dynię, na obiad były ogórki, matka przykładła ogórki. Wnioskuje, że nie masz o tych sprawach zielonego pojęcia.
– Nie wiedziałam, że moja prababka tak dbała o -urodę.
– Przyzwoite kobiety zawsze lubią ładnie wyglądać. Co tam tak szperasz? – zapytała, widząc, jak po raz kolejny zaglądam pod gazety leżące na stole.
– Szukam kluczyków od samochodu Leonarda. Muszę gdzieś pojechać.
– Leonardo wyjechał z quinty, nie ma go od rana. Możesz wziąć drugi samochód.
– Mogę?
– Jeśli to niezbędne. Nie sądzę, żeby Leonardo urwał ci głowę. Kluczyki znajdziesz w szufladzie pod tym obrazem, o tam – wyciągnęła dłoń. – A gdzie ty się wybierasz, dziecko?
– Drobnostka, mam ochotę na wodę Perrier, chyba znajdę ją w sklepie w miasteczku?

– Perrier – babka prychnęła. – To już woda z Douro ci nie smakuje?
Ze sterty drobiazgów w szufladzie wyciągnęłam lśniące kluczyki. Ścisnęłam je w dłoni i czym prędzej wyszłam z pokoju.

Miałam nadzieję, że Camila Hernandez okaże mi przychylność i zechce ze mną znów porozmawiać. Oczywiście istniało ryzyko, że zamknie mi drzwi przed nosem, że mnie odeśle do stu diabłów i jeszcze poszczuje psami. Jeśli była taką kobietą, jak przedstawiała ją Gabriela, to tak powinna się zachować. A jednak miałam niejasne przeczucie, że wydarzenia potoczą się inaczej. Uczepiona tej myśli, zachręściłam kołami samochodu na żwirku przed quintą i opuściłam posiadłość.

Zawsze lubiłam czuć, że biorę sprawy w swoje ręce. To dziwne, napawające satysfakcją uczucie nie towarzyszyło mi jednak często. Może kiedyś, gdy stałam na trzecim piętrze paryskiej kamienicy, wpatrując się w drzwi z numerem czternaście... Przejechałam wtedy ponad tysiąc kilometrów, żeby tam być. Nie pamiętam nazwy ulicy ani nawet Paryża, nie pamiętam dokładnie, jak doszło do tego, że postanowiłam wybrać się w podróż do stolicy Francji tylko dlatego, że mieszkał tam chłopak, który wzbudził we mnie pierwsze prawdziwe uczucie. Ale pamiętam drzwi z mosiężną tabliczką, wycieraczkę w czarno-białe prążki i odgłos zamykanych drzwi piętro niżej, bo w ciszy i napięciu, którego wtedy doświadczałam, przypawił mnie o palpację serca.

Było lato, jeden z tych skwarnych i dusznych dni, kiedy każdy, kto może, ucieka z miasta. A ja wręcz przeciwnie, ja do tego miasta właśnie przyjechałam.

Ledwie zrzuciłam plecak, zjadłam coś po drodze i już byłam pod jego kamienicą, zadarłam głowę – które to może być piętro, które okno i który balkon? Powoli pokonywałam kolejne kondygnacje starego domu. To jego trasa, wchodził i schodził tymi schodami każdego dnia rano, gdy spieszył się na zajęcia, wieczorem, gdy z nich wracał... O czym myślał, gdy wspinał się na piętro pierwsze? Drugie? Trzecie? Drzwi do jego mieszkania były zwyczajne, takie jak te na niższym piętrach, a mimo to stałam tam i patrzyłam na nie, jakbym siłą woli miała zamiar je przeniknąć i nie używając klucza, dostać się do środka. Wyobrażałam sobie, jak to mieszkanie wygląda, czy w zlewie zostawił tego dnia brudne naczynia po śniadaniu, jakiej płyty słuchał, zanim wyszedł z domu... Może to było dziwne, przejechać tysiąc kilometrów tylko po to, żeby napawać się widokiem zamkniętych drzwi, ale dzięki temu czułam, że nie zostawiam spraw ślepemu losowi, przypadkowi. Poza tym to były jego drzwi, jego mieszkanie za tymi drzwiami, jego książki, ubrania, zdjęcia, zapachy.

Zaraz potem wyjrzałam przez okno klatki schodowej. W dole biegła niewielka uliczka, wąska, zastawiona samochodami, z podobnymi trzypiętrowymi kamienicami. Po drugiej stronie ulicy kawiarnia ze stolikiem wystawionym na zewnątrz... Może przy tym stoliku właśnie wypijał kawę, może zachodził tu, żeby coś zjeść i porozmawiać, zanim znajdzie się sam w pustym mieszkaniu. Pamiętam, że patrzyłam przez to okno i próbowałam wyobrazić sobie widok, jaki rozciąga się z okien jego mieszkania, i świadomość, że patrzę na scenerię, która towarzyszy mu codziennie, sprawiała mi przyjemność.

To było takie proste, mogłam poczekać, aż wróci, zostawić dla niego wiadomość, zadzwonić, tak mogłoby być, tak pewnie byłoby w każdej innej historii. Kiedy jednak usłyszałam, że ktoś na dole otwiera drzwi wejściowe, udałam, że bardzo się spieszę, i zbiegłam na dół. Nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył, żeby doniósł: „Hej, sterczała tu jakaś dziewczyna, wyglądała, jakby czytała rysy pozostawione na lakierze twoich drzwi, wiesz coś o tym?”. Domyśliłby się przecież. Wiedziałby, że to ja, wiedziałby, że zmieniłam zdanie, że coś się wydarzyło pomiędzy czasem, w którym się widzieliśmy, a tym, kiedy mieliśmy spotkać się ponownie. Co wtedy czułam, chyba żal, może tęsknotę, na pewno satysfakcję. Postanowiłam sobie coś i wykonałam to do końca, do ostatniej zaplanowanej czynności. Czy wielu tak potrafi?

Minęłam São João da Pesqueira i krętą drogą dojechałam do wzniesienia, z którego widać było Barragem da Valeira, jedną z pięciu zapór zbudowanych na rzece Douro. Leonardo wspominał, że to zawsze był najniebezpieczniejszy odcinek rzeki, wywracało się tutaj wiele *rabelos*. Przeszłam przez murek ułożony z nieociosanych łupków i spojrzałam w dół. Tuż przy wodzie unosiła się delikatna mleczna mgiełka, która sprawiała, że krajobraz łagodniał, przypominając impresjonistyczną akwarelę. Ujarzmiona Douro płynęła wolno, już dawno nie była

rwącą rzeką z czasów barona Forrestera. Przeszłam kilka kroków dalej, żeby drzewa korkowe z łuszczącą się korą nie przesłaniały mi widoku. Wtedy jakiś samochód śmignął za moimi plecami i zahamował z piskiem opon. Odwróciłam się – auto cofało się w moją stronę. Z jego wnętrza wychylała się uśmiechnięta twarz Osvalda.

– To pani? – zdziwił się. – Sądziłem, że Leonardo... Ale to jeszcze miłsze spotkanie – rozciągnął usta w uśmiechu.

– Panie Osvaldo... dzień dobry...

– Wybrała się pani na przejażdżkę? Podziwia widoki? To prawda, gdzie w Europie uświadczysz takiej panoramy, i żeby jeszcze z tego widoku był pożytek. Podoba się pani?

– Oczywiście.

– Na całym półwyspie tylko Tag i Ebro są dłuższe niż Douro, wiedziała pani? Nasz odcinek rzeki jest najpiękniejszy. Zanim zbudowano zapory takie jak ta tutaj, Douro potrafiło w lecie niemal całkiem wyschnąć, a w innym roku wylać, wie pani, zdarzały się okropne powodzie, następujące po ulewnych deszczach, dlatego wszystkie wioski umiejscowione są na wzgórzach, z dala od rzeki. Tyle komplikacji wynikało z sąsiedztwa z nią! Epidemie malarii chociażby... Tak, nurt zawsze był wąski, a brzegi płytkie, no więc w końcu ją uregulowali, i dobrze. A jak sprawy w quincie, owoce zebrane?

– Zdaje się, że tak...

– To dobrze, my w Douro musimy działać szybko, klimat nie zawsze jest po naszej stronie. Lata są coraz bardziej gorące, droga pani, zeszły rok był dobry na spędzanie wakacji, ale nie na robienie eleganckich win, dwa lata wcześniej niektóre winnice w Baixo Corgo zdziesiątkowały pleśń i grzyby, w czerwcu upały, w lipcu rześko, w sierpniu znów upalnie, we wrześniu mokro. Co rok to anomalia, jak Boga kocham, nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać, czas zbiorów to nerwy każdego roku. Tylko dla mocnych...

Przestąpiłam z nogi na nogę. Kiedy pytałam Osvalda, dlaczego Hernandez nie przychodzi na spotkanie, z jakiegoś powodu nie był tak wylewny.

– Współczuję – ucięłam jego wywód. – Panie Osvaldo, a czy znalazł pan dla mnie innego kupca?

– Chodzi o działkę? – westchnął i skubnął dłonią brodę. Jego twarz przybrała wyraz zatroskania. – Niestety. Trudna sprawa, to potrwa dłużej, niż sądziłem.

– A pana rozległe kontakty?

– Szukałem, proszę mi wierzyć. Uruchomiłem Amerykanów, czego nie robi się dla przyjaciół, ale bez odzewu. Mój dobry znajomy, który kupił tu niedaleko stary dom, akurat wyjechał w podróż do Azji, nie mogę go złapać, a liczyłem na niego. Będę jednak miał oczy i uszy otwarte. Swoją drogą wielka szkoda, że Camila Hernandez zrezygnowała.

– Mówi pan, że zrezygnowała. – Zacisnęłam zęby.

– To się zdarza, choć nigdy nie jest miłe... – Wysiadł z samochodu, oparł się o jego maskę i wyciągnął papierosa, podsuwając pudełko również mnie. Odmówiłam. – Dokonywanie istotnych życiowych zmian zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem – ciągnął. – Ryzykiem związanym z rozczarowaniem, jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli. Ale od czego jest nadzieja? Zawsze trzeba wierzyć, że wszystko w końcu się ułoży, a jeśli nawet nie bardzo, to istnieje jeszcze możliwość, że choć ułoży się inaczej, niż chcemy, to i tak na naszą korzyść, tylko tego jeszcze nie przeczuwamy...

Powiem pani, że kiedyś był tu wielki kryzys, tak, przeżywaliśmy wiele kryzysów w dolinie, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych tutejsze rodziny strasznie się porozrastały, co skutkowało dużą liczbą spadkobierców, a każdy z nich był przyzwyczajony do dostatku. Tymczasem konsumpcja porto zaczęła spadać, ceny poszły w dół, nie pozostało nic innego, jak sprzedać posiadłości, co część rodzin uczyniła. I właśnie podczas tamtego kryzysu przyszło mi do głowy, żeby opuścić kraj i wyjechać do Ameryki, zająć się jakimś innym biznesem. Zaczęłam załatwiać papiery, ach, jakie to papiery trzeba było wtedy zdobyć, by wyjechać do Ameryki, ale ja się starałem i wydawało się, że szybko je załatwię... Przyszedł jednak tamten list i psu na budę moje wysiłki, życie mi się pokrzyżowało, tu nie było dla mnie perspektyw. Uspokój się, chłopie, ojciec mi mówił, poczekaj, będzie dobrze, nie wierzyłem, ale minął rok, może dwa, coś zaczęło się zmieniać, do Douro wróciło wielu młodych ludzi z dużą wiedzą nabytą w świecie, z misją, żeby odbudować winiarskie tradycje swoich rodzin, nowa generacja, tak zwana. Region odżył. I widzi pani, wszystko dobrze się skończyło, a w tej Ameryce wcale nie wiadomo, jak by się ułożyło i czy ja bym nie wrócił jak niepyszny.

– Pan bardzo optymistycznie opowiada – przerwałam – ale ja już muszę jechać, zatrzymałam się tylko na chwilę.

– Wiem, wiem, dzisiejsza młodzież zawsze się spieszy. Jakie to nieracjonalne, prawda? Przecież macie więcej czasu przed sobą, a zresztą zna pani takie stare powiedzenie portugalskie, że odwiedziny zawsze powodują radość, jeśli nie przy przyjściu, to przy odejściu? Więc ja już nie zatrzymuję, kłaniam się nisko.

– Zgasił papierosa i faktycznie skłonił się do ziemi. – Wie pani, jak jechać, dokądkolwiek pani jedzie? – zapytał, siedząc już w samochodzie.

– Tak, panie Osvaldo, poznałam nieco Douro, nie zgubię się.

– Zatem do miłego i proszę pozdrowić mego przyjaciela, rączki babci całuję również, *tchau!* – Pomachał mi i odjechał, pozostawiając po sobie mdły zapach wysokogatunkowego tytoniu.

Wsiadłam do samochodu, czując wyraźną ulgę wynikającą z faktu odjazdu Osvalda. Nie mogłam wyzbyć się uczucia, że jego gadatliwość stanowi listek

figowy przykrywający mniej szlachetne cechy charakteru. Ale może się myliłam, może źle go oceniałam? Odkąd przebywałam w Douro, niczego nie mogłam być stuprocentowo pewna.

Zastanawiała się tysiącrotnie, jakie były ostatnie słowa Horacia przed śmiercią. Błagalne „powietrza...”, a może rozpaczliwe „pomocy”, a może zupełnie coś innego, może jej imię. Szczerze powiedziawszy, taką miała właśnie nadzieję, że ostatnim słowem wypowiedzianym przez jej umierającego męża było jej imię, jakby na znak ostatecznego pożegnania, które przecież nie odbyło się i już nigdy nie mogło odbyć się w żaden inny sposób. Ktoś mógłby powiedzieć, że to było egoistyczne, to pragnienie, by w chwili śmierci ktoś myślał o innej osobie, nawet jeśli to była jego ukochana. Ale Camila nie była egoistką, nie kierowało nią przeświadczenie, że była dla swego męża najważniejszą osobą na świecie, nic z tych rzeczy. Nie mogła tylko uwierzyć, że Horacio, jej ukochany, który przecież tyle razy wracał w niespodziewanych momentach do domu, odwołany z dyżuru albo z podróży do Porto czy innych miast, w których bywał na spotkaniach lekarskich i sympozjach, że ten właśnie mężczyzna odszedł bez należytego pożegnania i w dodatku bez żadnego wcześniejszego ostrzeżenia.

Analizowała wszystkie poprzedzające tamten wypadek dni i wszystkie słowa wypowiedziane przez nią i przez Horacia w poszukiwaniu jakiegoś śladu, który byłby zapowiedzią zbliżającej się tragedii. Szukała jakiegoś błędu, zaniedbania z ich strony, ale było oczywiste, że takiego nigdy nie znajdzie. Horacio był lekarzem, do jego obowiązków należało podążanie tam, gdzie jest najbardziej potrzebny, gdzie go wołają. A tam pół wioski wymagało opieki lekarskiej. Połowa wioski była chora, złożona epidemią, która nie miała prawa w obecnych czasach tak się rozprzestrzenić i która według wszelkiej logiki nie miała prawa zebrać takiego żniwa. Nie mogła mieć sobie nic do zarzucenia – że Horacio pojechał właśnie tam, do chorych, a tym bardziej że była to miejscowość, z której Camila pochodziła.

Co z tego, że Gabriela, dowiedziawszy się, co się święci, próbowała syna powstrzymać. Zabroniła mu nawet wyruszać z domu, choć nie miała już prawa niczego zabraniać. I co z tego, że Camila za to wtykanie nosa w nie swoje sprawy znienawidziła ją wtedy jeszcze bardziej. A potem, kiedy Horacio zginął, nienawiść Camili do teściowej przybrała zupełnie monstrualne rozmiary. Gdyby Gabriela mieszkała trochę bliżej, pewnie siła niszczycielskiego uczucia Camili by ją zabiła. Właśnie za to, że nie powstrzymała Horacia bardziej skutecznie i że nie zapobiegła nieszczęściu, choć wszystko wskazuje na to, że jako jedyna przeczuwała, co może się wydarzyć.

Im bardziej Camila o tym myślała, tym bardziej była przeświadczona, że

jednak los z niej zakpił, nie mówiąc o Horaciu. Bo gdyby tak cofnąć czas jeszcze dalej wstecz... to dlaczego akurat Horacio musiał być tym, którego obowiązek zmusza do tak ryzykownej misji? Gdyby nie był lekarzem, i to lekarzem z powołania, ale dajmy na to kierowcą samochodu dostawczego, to mógłby powiedzieć: „Nie, nie pojadę tam, drogę zalało po ostatnich deszczach, nie przejadę, zadzwoń jutro, pojutrze, kiedyś tam”. Albo gdyby był nauczycielem, mógłby odwołać lekcje w szkole, mówiąc, że źle się poczuł i nie jest w stanie ruszyć się z domu. Każdy inny może coś takiego powiedzieć, myślała Camila, a Horacio nie mógł, bo nawet gdyby chciał, to i tak sumienie by mu nie pozwoliło pozostać w domu i cieszyć się z bycia bezpiecznym we własnych czterech ścianach, z daleka od epidemii, zabójczej gorączki, jęków chorych i modlitw odmawianych przez tych, co jeszcze byli zdrowi. Już samo to było nie fair. A to, co wydarzyło się potem, gdy dom rodziny Figueira zajął się płomieniami, i to akurat w chwili, gdy był tam Horacio, to już doprawdy drwina losu. Gdyby dom nie był drewniany, gdyby Horacio nie zorientował się, że w środku została jeszcze najstarsza córka, mająca w gorączce, nieświadoma, co się naprawdę dzieje... gdyby po nią nie wrócił... A po co wrócił, jeśli był już bezpieczny na zewnątrz, no po co? Tak wolno tylko strażakom, ludziom, którzy potrafią sobie radzić z żywiołem, którzy wiedzą, jak z nim walczyć, i którzy wygrywają...

Ciągle zastanawiała się, dlaczego nie pomyślał o niej, o innych ludziach, którym tak bardzo też był potrzebny, o sobie nie pomyślał wcale, a rozsądek, gdzie był wtedy jego rozsądek? Drzwi się zaklinowały, nie mogli ich otworzyć, córka Figueirów oparta o niego, tak właśnie ich znaleziono, spalonych. Dlaczego wbiegł tam ponownie, pytała przez długi jeszcze czas, nie mogąc zrozumieć, dlaczego tak się stało. Ale to nieprawda, że pytanie pozostało bez odpowiedzi. On nie mógł tam nie wbiec, bo gdyby tego nie uczynił, nie mógłby dalej żyć, wiedząc, że mógł coś zrobić, a nie zrobił... I gdy to do niej dotarło, zadała sobie jeszcze jedno pytanie: czy nie za to go właśnie kochałam?

Ukojenia nigdy nie przynosi fakt, że zawsze, w każdej sekundzie trwania świata spotykają ludzi niesprawiedliwości i nieszczęścia, którym nikt nie umie zapobiec ani tym bardziej ich wytłumaczyć, a nasze własne nieszczęście jest tylko jednym z setek tysięcy innych. Każda śmierć wydaje się osobom osieroconym nieuzasadniona, zbędna i akurat w nieodpowiedniej chwili, a pytanie „dlaczego akurat teraz, dlaczego akurat on, ona” zadawane będzie zawsze, aż do skończenia świata, i nigdy nie znajdzie sensownej odpowiedzi.

Tworzenie różnych scenariuszy ich małżeńskiego, lecz już minionego życia przynosiło Camili tymczasową, ale tylko tymczasową ulgę. Tak naprawdę rozdrapując przeszłość i próbując ułożyć ją w inny, niż się potoczyła, sposób, zadawała sobie jeszcze większy ból. Wszelkie zabiegi, żeby znaleźć winnego albo chociaż uchwycić ten moment i tę złą decyzję, która zaprowadziła Horacia tam,

gdzie nigdy nie powinien się znaleźć, na nic się nie zdały. Czas mijał, a ona nadal usiłowała zrozumieć. Usiłowała znaleźć jakąś celowość w tym, co się stało, jakiś ponadczasowy dowód na to, że nie mogło się stać inaczej. Przestała odróżniać noc od dnia, bo jakie to miało znaczenie, skoro już nikt nie mówił jej po przebudzeniu się „dzień dobry” ani żadne czułe usta nie całowały jej na dobranoc. Zapominała, że trzeba jeść, żeby żyć, i spać, jeśli czuje się zmęczenie. Zapomnieniu uległa też pamięć o dziecku, o małej ludzkiej istocie, która na wszelkie sposoby przypominała o swoim istnieniu. Gdyby Gabriela któregoś dnia nie wkroczyła do domu przy Rua da Rosa z zamiarem zaprowadzenia tam porządku, wszystko mogłoby potoczyć się jeszcze gorzej. I za to Camila też nienawidziła Gabrieli. Za tę niechcianą pomoc.

Tego wszystkiego dowiedziałam się, gdy dotarłam wreszcie do domu Camili Hernandez i gdy udało mi się ją namówić, by poświęciła mi trochę czasu. Rozmawiałyśmy za domem, w ciszy zakłócanej tylko skrzeczeniem papugi tkwiącej w klatce zawieszanej na gałęzi. Nie przerywałam opowieści, nie dopytywałam. Przyjęłam wszystko tak, jak chciała mi to przekazać Hernandez.

Jak inaczej brzmiała jej opowieść od tego, co mówiła moja babka. Ale wiedziałam, byłam pewna, że to Hernandez przekazuje mi prawdziwszy obraz. Czułam to tak, jak się czuje podskórnie, co jest pewnikiem, a co tylko odbitą w krzywym zwierciadle półprawdą.

– Proszę pana, porto bywało nie tylko trunkiem, ale i lekarstwem. Nie wie pan pewnie, że brytyjskiemu premierowi, gdy był czternastoletnim chłopcem, lekarz zalecił szklaneczkę dziennie *port wine* w ramach kuracji na dnę moczanową. Pomińmy fakt, że był to wiek osiemnasty. Ale proszę pamiętać, że zanim zaczęto produkować tu porto, tradycja uprawiania winorośli miała już bardzo mocną podstawę. Rzymianie od drugiego wieku przed naszą erą robili w tych okolicach wino – ciągnął Leonardo. Przed nim stał klient z Hiszpanii, młody chłopak, a już właściciel jednej z bardziej szykownych restauracji w Salamance.

– Poważnie? – klient gwizdnął.

Ludzie nie mają o niczym pojęcia, a już na pewno nie ci młodzi, westchnął Leonardo i objaśnił:

– Wie pan, to Rzymianie nazwali tereny nad Douro Portus Cale. Rozumie pan, Portus Cale, piękny port. Stąd już niedaleko do Portucale.

– Jasne. A porto, jaki ma z tym związek?

– Wino robiono tu zawsze, ale porto pojawiło się w siedemnastym wieku. A wzięło się z potrzeby chwili, a konkretnie stąd, że podczas wojny między Anglią a Francją król Karol II, ożeniony z portugalską księżniczką Katarzyną Bragança,

zakazał importowania francuskich win. To było nie do pomyślenia, taki zakaz, żeby nie było francuskiego wina na angielskim stole. Angielscy handlowcy zaczęli więc szukać innych źródeł zaopatrzenia i w ten sposób odkryli Douro. W siedemnastym wieku rzeką zaczęły spływać beczki z winem transportowanym do Porto, a potem do Anglii³⁰. Ale porto na początku było zwyczajnym winem, zupełnie innym od tego, jakie pijemy dzisiaj. Mam na myśli, że nie miało w sobie tej słodczy, tej mocy, jaką ma teraz, rozumie pan, to było zwykłe wino stołowe. Pewnego roku jednak owoce miały w sobie aż tyle cukru, że wino też przepełniło się słodczyą. Obawiano się, że taki trunek trudno będzie sprzedać. Niepotrzebnie, zrobił furorę. Potem przez wiele lat trwał spór – czy porto powinno być słodkie, czy też nie, czy przerywać fermentację wcześniej, dodając brandy, czy ciągnąć ją dalej, aż w winie nie będzie prawie wcale cukru. Jak wiemy, stanęło na brandy.

– Ma pan niezwykłą wiedzę – Hiszpan nie krył podziwu.

– Ach, tutaj każdy z nas taką ma, to nic nadzwyczajnego. Za to na kulinariach na pewno pan zna się lepiej, każdy robi to, co umie, prawda? Wracając do wina, tutaj – podniósł butelkę z elegancką naklejką – rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa, jeden z najlepszych, klarowny kolor, naprawdę wyśmienite, albo to – wskazał na drugą – rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt, z odświeżającą, owocową nutą, bardzo nasycone...

– A to? – Klient wskazał na nieco niższą, za to bardzo pękata butelkę.

– To intensywne, gęste i głębokie Tawny. Zapraszam do biura, mam tam otwartą butelkę.

Poprowadził gościa schodkami na górę i poczęstował winem, nim klient dopił ostatni łyk, zamówienie było złożone. Ukontentowany Hiszpan pożegnał się i odjechał. Leonardo przysiadł na krzeselku i powrócił do przerwanych przez wizytę myśli.

Sophie ma w sobie coś z Gabrieli, ma też coś z Horacia, pomyślał. Jakąś nieustępliwość zapisaną w genach, która nie pozwala jej zaznać spokoju, dopóki nie osiągnie zamierzonego celu. On, Leonardo, tego nie miał, dlaczego? Kiedyś, gdy wszyscy trzej – Leonardo, Antón i Horacio – byli jeszcze dziećmi, zrobili zawody w podjeżdżaniu rowerem pod górę, po bardzo stromej ścieżce. Chodziło o to, by dojechać na szczyt, ani razu nie dotykając stopami ziemi. Leonardo był najbliżej celu, ale już prawie na samej górze wystraszył się, że nie da rady, rower zachwiał się i przewrócił. Horacio, najmłodszy i najśłabszy, nie miał przy braciach szans, upadał wiele razy, ale wziął się i ćwiczył nawet wtedy, gdy oni dawno już poszli do domu. Dwa dni potem ponowili zawody i ku ich zdumieniu wygrał je Horacio. Za każdym razem wjeżdżał na szczyt, nie wywracając się ani nie podpierając w trakcie jazdy, w przeciwieństwie do nich oczywiście, którzy nie poczynili żadnych postępów. Dlaczego z nich trzech tylko on był taki wytrwały? A gdy Horacio rozstał się z Kate – to zresztą zupełnie inna bajka – ale Leonardo

dobrze pamięta, że i wtedy chodziło o wytrwałość. Horacio mógł zostać z Kate, zapomnieć o Camili Hernandez, powiedzieć jej i sobie, że jest już z inną, że bardzo przeprasza, ale to się nie uda... Bo przecież już wszystko miał ułożone i mógł iść dalej tą ścieżką, dużo przyjemniej byłoby nią po prostu iść, skoro już ją obrał, dużo przyjemniej budować, zamiast burzyć i odrzucać czyjeś uczucie. Leonardo pamięta Kate, to była miła dziewczyna, naprawdę pasowała do Horacia. Wydawać by się mogło, że jest dla niego stworzona, ulepiona z tej samej gliny, sam mu to kiedyś powiedział. Ale w Camili jego brat musiał dostrzec coś więcej, coś, co sprawiło, że zawzął się tak jak wtedy, gdy jechał rowerem stromą piaszczystą ścieżką i wytrwale dążył do szczytu, tylko że tym szczytem było teraz coś znacznie poważniejszego. I czy mu się nie udało? Czy nie poślubił Camili wbrew protestom matki, wbrew wszelkim zasadom, a przede wszystkim wbrew temu, co mu oferowała Kate?

Może każdy inny mężczyzna by zrezygnował, zwłaszcza w obliczu trudności, może powiedziałby sobie, dobrze jest, jak jest, przecież nie będę teraz wszystkiego rzucał i stawiał na jedną kartę...

Spojrzał na butelkę, której zawartością przed chwilą częstował klienta. Zajrzał do środka, była pusta. Westchnął. A gdyby jednak ta nagła zmiana życiowych planów Horacia okazała się błędem, to czy wtedy dałoby się wszystko naprawić, odkręcić? Skąd Horacio wiedział, że właśnie tak należy postąpić, że trzeba odejść od jednej kobiety, żeby być szczęśliwszym z drugą, że to jest dobra decyzja i że nie będzie jej potem żałował? Skąd niektórzy ludzie po prostu to wiedzą, a inni tracą lata, tkwiąc w niewłaściwym miejscu, przy niewłaściwej osobie albo i w samotności, przeżywając swoje życie nie tak, jak sobie wymarzyli, i nie tak, jak tego by oczekiwali... Inni z kolei porzucają osobę, która jest im przeznaczona, żeby żyć potem z kimś, kto jest zupełnie nie dla nich, choć początkowo myśleli, że właśnie jest. Ale czy ja nie wiedziałem, że źle robię i że mógłbym postąpić inaczej?

Zabębnił palcami w stół, jakby chciał uwolnić nadmiar nasuwających się skojarzeń. Zabieg ten nie przyniósł efektów, podniósł się więc i podszedł do otwartych drzwi. Uderzyła go fala gorąca napływająca z zewnątrz, zatrzymał się na zacienionym progu. Słońce przesunęło się za horyzont, pozostały jednak jeszcze długie godziny do wieczoru przynoszącego orzeźwienie. Na dziedzińcu przed winiarnią kilku mężczyzn myło skrzynki po winogronach. Leonardo zaplótł ręce na piersi i oparł się o framugę drzwi, zaraz i ci pracownicy pojedą do domu, dzień pracy dobiega przecież końca.

Ponownie się zamyślił. Sophie znowu spotka się z Camilą Hernandez. Bał się tego ich spotkania, tak jak bał się każdego ich spotkania. Co tym razem Camila powie, a może już powiedziała jego bratanicy? Ile swego żalu przed nią wylała, ile wspomnień przekazała? Czy nie powinien bardziej nad tym wszystkim panować?

Dość, poczuł nagle, że musi zmienić podejście do Camili, trzeba skończyć z tą poufałością, trzeba być bardziej stanowczym. Dam jej ostatnią szansę, postanowił.

Cofnął się do środka biura, czując w sobie jakiś nagły przebłysk heroizmu, powiódł wzrokiem po zapelnionej butelkami półce i wybrał odpowiednie porto. Schował je do papierowej torby i opuścił biuro. Pracownicy zbierali się już przy samochodzie Tiaga, zarządca miał ich zaraz odwieźć do miasteczka. Leonardo pomachał wszystkim na do widzenia i sięgnął do kieszeni spodni po kluczyki. Szybko odpalił silnik i wyjechał z dziedzińca.

Pomyślał, że przekąsi coś, kiedy dotrze do miasteczka, może stek z wołowiny w barze obok rzeźnika. Przypomniawszy sobie jednak swoje postanowienie, miał być twardy, miał się nie rozdrabniać, jeszcze gotów rozmyślić się nad tym stekiem. Nie, lepiej nigdzie się nie zatrzymywać.

Zaparkował tak jak poprzednio, niedaleko od bramy, po drugiej stronie ulicy. Ile razy byłem w tym domu w środku?, zastanowił się. Wiele, w tym raz niedawno, gdy rozmawiałem o Sophie. Wysiadł, starając się nie trzasnąć za mocno drzwiami, po co ktoś miałby wiedzieć, że Leonardo Wineford parkuje przed domem Camili Hernandez. Po co komu ta informacja, jeszcze zrobi z niej nieodpowiedni użytek. Strzepnięciem dłoni rozprostował koszulę na piersi i ruszył ścieżką prowadzącą do domu. Zatrzymał się przed drzwiami, nabrał powietrza i zapukał. Odpowiedziała mu głucha cisza, ponowił więc próbę, również bezskutecznie. Czując rozczarowanie, ale i ulgę, wyjął spod pachy papierową torbę z butelką porto i postawił ją na progu. Chyba nie zniknie stąd, nim Camila wróci? Nie, raczej nie powinna...

Cofnął się kilka kroków i rzucił okiem na leżący na tyłach domu ogród. Sama to wszystko ogarnia, niemożliwe, pomyślał. Nieźle sobie radzi, taki tu porządek, a ma przecież jeszcze winnice na głowie... Odwrócił się i wtedy nagle ujrzał ją, szła ścieżką w jego stronę. Poczuł nagłą słabość. Czy to był dobry pomysł, cała ta pokojowa wyprawa? Miał być spokojny, takie sprawiać wrażenie... Zanim zdążył zebrać myśli, Camila Hernandez stała już przed nim. Przez chwilę wazyli swoje siły, jakby znaleźli się na arenie, on byk, ona toreadorka.

– *Olá* – wychrypiał, zmuszając aparat mowy do posłuszeństwa.

– *Olá* – odpowiedziała, nie spuszczając z niego wzroku. – Co tu, u diabła, robisz?

– Spodziewałem się miłszego powitania – wytrzymał jej spojrzenie. – Chciałem sprawdzić, czy Sophie jeszcze tu jest – powiedział już pewniej. – Wiem, że wybierała się do ciebie.

– To prawda, była u mnie. Jak zwykle jesteś o wszystkim dobrze poinformowany i jak zwykle masz spóźniony refleks – zrobiła pauzę. – Odjechała jakąś godzinę temu.

– Mam spóźniony refleks – prychnął. – A to dobre. Rozmawialiście?
– A co niby robi się, kiedy ktoś do ciebie wpada z niezapowiedzianą wizytą?
– Zadarła brodę do góry, zawsze była od niego niższa, nawet teraz w pantoflach na obcasach.

Od kiedy to Camila chodzi na obcasach?, zdziwił się, i jak to śmiesznie musi wyglądać, zobaczył ich z góry, taka mała, groźna kobietka i taki duży, najeżony facet.

– Słuchaj, Leonardo, jeśli masz zamiar robić mi wyrzuty, to daruj sobie.

– O wszyscy święci – Leonardo przewrócił oczami – trudno się z tobą rozmawia, ale czy kiedyś bywało prościej? Camila... ostatnie dni są dla nas wszystkich ciężkie. Ja sam czuję, jakby wszystko działa się od początku i ze wszystkimi szczegółami. Ale nie dziwię się Sophie, że chce wszystkiego się dowiedzieć, podziwiam jej upór, nie wiem tylko, czy to wszystko zmierza w dobrym kierunku. Chciałbym jej pomóc.

– A ty myślisz, że ja czego chcę? – przerwała mu, postępując krok w jego stronę. – Myślisz, że mnie jest łatwo znaleźć się w tej sytuacji? Ciekawe, jak ty dałbyś sobie radę na moim miejscu, chciałabym to zobaczyć.

– Nie myślę, że jest ci łatwo. – Zacisnął usta i wyobraził sobie, że oto nagle Camila Hernandez zapada się pod ziemię, po prostu nagle leci w dół, przez jakiś otwór piekielny otwierający się pod jej stopami, czy nie byłoby to piękne? I już nie stałaby tak przed nim wyzywająca i harda, czuł jej zapach, czym ona się perfumuje, niech to diabli, zaklął w myślach. – Chciałem ci tylko przypomnieć... – zaczął.

– Już mi przypomniałeś, co, nie pamiętasz? Byłeś tu nie dalej jak w środę. Leonardo, przepraszam, ale spieszę się.

– Gdzie?

– Do domu, nie widać?

– Sophie niedługo wyjeżdża, będzie tutaj jeszcze tylko kilka dni. Powiedz mi, dlaczego chciałaś kupić te winnice?

– Minęły czasy, kiedy musiałam tłumaczyć się ze swoich decyzji. Idę do domu, przepuść mnie, prosiłam, żebyście przestali mnie nachodzić.

– Mogę ci zaufać? – zapytał, zagładając jej w oczy.

– Czego ty ode mnie chcesz, Leonardo? Czy to takie dziwne, że chciałam powiększyć swoją winnicę? Niedługo kończy się dzierżawa i ziemia wraca do mnie, chciałam ją połączyć z działką Sophie, to oczywiste. Powinnam udawać, że mnie to nie interesuje? Otóż nie, mój drogi. Zmieniłam się, czy ci się to podoba, czy nie, nie jestem już tamtą Camilą Hernandez.

– Co masz na myśli? Jak to się zmieniłaś?

– Nie widzisz tego? Naprawdę tego nie widzisz? – Przybliżyła się do niego tak, że poczuł jej oddech. To było naprawdę nie do wytrzymania, jakżeby mógł teraz, w takim potrzasku, cokolwiek odpowiedzieć albo chociaż pomyśleć. – Nic

nie mówisz, poczułeś się zaskoczony? – W jej głosie słychać było nutkę triumfu. A ponieważ nadal nie odezwał się słowem, przesunęła się w bok i omijając go łukiem, ruszyła do domu.

Gabriela patrzyła na plik pękatek zeszytów leżących na przykurzonym biurku. Pamiętała, że Horacio zapisywał w nich historie nietypowych chorób, z którymi zetknął się podczas swojej praktyki. Nigdy nie była ciekawa zawłościami poszczególnych ludzkich nieszczęść, nie wypytywała Horacia o pacjentów, nie interesowała się nowinkami medycznymi, którymi on tak się emocjonował. Wystarczyła jej świadomość, że jej syn jest najlepszym lekarzem w okolicy, że ma pacjentów, którzy gotowi są przyjechać z drugiego krańca Douro, z odległego miasta albo i regionu, by zasięgnąć jego porady. Ten okres, w którym walczyła z synem, by nie studiował medycyny kosztem winiarstwa, zawsze starała się wypchnąć z pamięci, czując podświadomie swój błąd i swoją winę w próbach odciążenia go od powołania. Zresztą, myślała teraz, wodząc palcami po okładkach zeszytów, pamięć ludzka lubi pewne okresy w życiu nazywać dobrymi, a inne złymi, choć nic nigdy nie jest do końca złe albo do końca dobre. Wydarzyło się wtedy w tym domu wiele niedobrego, ale były też chwile godne zapamiętania.

Przeciągnęła dłonią po okładce notatnika leżącego na wierzchu. Gdyby chociaż to był pamiętnik, ale przecież chłopcy, a już na pewno mężczyźni, zwykle nie piszą pamiętników. Nie mają w sobie tego pragnienia, by dzielić się swoimi myślami z kartką papieru, jak to czynią dziewczynki, dojrzałe kobiety, a nawet kobiety u schyłku życia. Więc na co jej się teraz zdadzą te bruliony w ciemnych okładkach, pękate, przybrudzone, leżące w tym samym miejscu od tylu lat, że zdążyły przylgnąć do blatu stołu, jakby były jego stałym elementem, a nie zawierały niczego, co odkryłoby przed nią jakąś tajemnicę albo chociaż przekazały jakąś część Horacia, jakąś jego myśl, choćby ulotną i pozbawioną głębszego sensu, ale jednak jego.

Zdjęła dłoń z notatnika i odsunęła skrzypiącą szufladę, przez chwilę mocując się z zacinającym się zamkiem. W środku leżały nietknięte od lat narzędzia Horacia, dwa stetoskopy, paski nieotwartych strzykawek i igieł, jakiś stary termometr w skórzanym etui, obok drugi, w szklanym opakowaniu, kilka pieczętek, których Gabriela nigdy wcześniej nie widziała, jakieś druczki, recepty. Jego dłonie używały tego sprzętu dzień w dzień, zawsze był na wierzchu, zawsze w pogotowiu, a teraz wszystkie te przedmioty leżą tu bezużyteczne w szufladzie. Właściwie należałoby te strzykawki, słuchawki, termometry wyrzucić, razem z całym wyposażeniem pokoju, z książkami równie bezużytecznymi – chociażby dlatego, że wiedza medyczna wraz z upływem lat mocno się zdezaktualizowała – z biurkiem, zbyt staroświeckim i zniszczonym, żeby do czegoś mogło się przydać,

i ubraniami, ciągle wiszącymi w szafie, zapewne nadgryzionymi przez mole, bo akurat tam Gabriela zaglądała najrzadziej.

Pojawienie się Sophie sprawiło, że Gabriela częściej wracała teraz myślami do przeszłości. Sądziła, że pewne obrazy na zawsze zniknęły z jej głowy, że z wiekiem wypływały, straciły na intensywności. Tymczasem nic takiego się nie stało, pomimo zaawansowanego wieku starszuszka pamiętała bardzo dobrze tamte lata, zbyt dobrze, żeby pozostać wobec tych wyrazistych obrazów obojętna. Sięgnęła po kartonowe pudełko, do którego, kiedy to wszystko się stało, wrzuciła zdjęcia znalezione w pokoju Horacia. Nie było ich dużo, przecież Horacio niedługo po porzuceniu Kate Summers wyprowadził się z quinty, by zamieszkać z Camilą, z nią dzielić życie, tylko o niej myśleć.

Podniosła wieko, warstwa kurzu zawirowała w powietrzu i osiadła na blacie. Nie żałowała swego życia, co to, to nie. Nie mogła narzekać, że trafił jej się taki dystyngowany, kochający mąż, że aż trzech synów się dochowała, podczas gdy innym rodzą się same córki, że nie martwiła się o przetrwanie, o chleb powszedni, że nad jej głową nie latały samoloty zrzucające bomby, jak działo się to w życiu jej rodziców i brata, zresztą oni już wszyscy nie żyją, niech im ziemia lekka będzie.

Nigdy jednak nie pogodzi się ze stratą syna. Niech nikt tego od niej nie wymaga. Ale to nie znaczy, że czuje się nieszczęśliwa, tego nie może powiedzieć. I owszem, nie lubi wracać myślami do przeszłości, rzadko to czyni, z jednym jedynym wyjątkiem, bo przecież nie może zaprzeczyć, że Horacio, odkąd zdarzyła się tamta tragedia, często jej towarzyszył, a odkąd jest tu Sophie, nie odstępował jej na krok. Siada tutaj na krzeselku, Gabriela spojrzała, czy siedzi i teraz, ale nie, pokój był pusty, chodzi po korytarzu, pokoju, po salonie, gdy nikt nie patrzy ani nie nadśluchuje, spogląda na Gabrielę...

Nie umiała tego wytłumaczyć ani zrozumieć, dlaczego akurat wybrała jego, dlaczego on najbardziej spełnił jej matczyne ambicje, zaspokoił jej potrzebę dawania i opieki nad drugą osobą. Może wcześniej była zbyt zajęta, może gdy rodził się Leonardo, była jeszcze zbyt młoda i przestraszona, by docenić dar macierzyństwa, a w domu panowało takie zamieszanie, Thomas był zapracowany... potem przyszedł na świat Antón, akurat wtedy, gdy Leonardo już jej tak bardzo nie potrzebował. Żaden z nich nie obudził w niej takich pokładów miłości, jakie udało się wydobyć trzeciemu synowi. I czy to jej wina? Czy nie starała się dostatecznie mocno? Czy nie ganiła siebie za każdym razem, gdy dostrzegła, że rzeczywiście faworyzuje najmłodszego, jemu najwięcej wybacza i jemu najbardziej matkuje? Natura rządzi się swoimi prawami, ale przecież żaden ssak nie odrzuca swojego potomstwa ot tak, więc i ona z całych sił próbowała być obiektywna, nie krzywdzić. I chyba taka była, czyż nie? A wtedy, gdy Horacio zadał jej ostateczny cios i związał się z Camilą Hernandez, wtedy nie kto inny, tylko Leonardo ją wspierał, a nawet jeździł do brata, by go przekonać, że popelnia

życiowy błąd. I ona naprawdę była Leonardowi wdzięczna, chyba po raz pierwszy w życiu tak w stu procentach, bez cienia wątpliwości, tak dogłębnie i konkretnie... Nawet mu powiedziała, że on jeden pozostał lojalny wobec starej matki. Zamilkł wtedy na chwilę, a potem powiedział jej coś dziwnego. Powiedział, że gdyby nie było rozpaczy, nie byłoby też na tym świecie radości, pamięta dobrze. Czy jedno z drugim miało jakiś związek? Gabriela nie bardzo rozumiała, może nie miało, a może miało bardzo duży, bo czyż jej wierny syn nie pomyślał wówczas, że trwanie u boku starej matki i na jej zawołanie będzie dla niej radością, ale dla niego stanie się czymś zupełnie przeciwnym?

Spojrzała na swoje dłonie, lekko drżące, kościste, białe, jakby ktoś przyoblókł je cienką zwierzęcą błoną. Kiedy zdążyły się takie zrobić? Chwyciła pudełko ze zdjęciami i ze złością wrzuciła je z powrotem do szuflady. Dlaczego wspomnienia nachodzą ją właśnie teraz i skąd się wziął ten nagły atak sentymentalizmu? Nigdy wcześniej tak mu nie ulegała, nigdy nie uwierał jej tak boleśnie, jakby był źle dopasowanym gorsetem albo kapeluszem, który ciągle spada na oczy.

Trzeba wziąć się w garść, postanowiła, nie ma tu mojej winy, nie ja jestem przyczyną tego, że Sophie dowiedziała się prawdy, że być może dowie się jeszcze więcej. I nie chcę już, żeby Horacio ciągle tu przychodził, nie chcę jego widoku, a już na pewno nie życzę sobie obcowania z Camilą Hernandez.

Podniosła się i chwiejnym krokiem podeszła do okna. Chciała je otworzyć i wpuścić do środka świeże powietrze, ale usłyszała samochód wjeżdżający na dziedziniec. Czym prędzej zaciągnęła z powrotem zasłony.

Leonardo po raz kolejny przesunął dłonią po czubkach winorośli. Tutaj nie wszystkie owoce zostały zebrane, zostało jeszcze kilkanaście rzędów przeznaczonych na porto, już nie dałoby się z nich zrobić zwykłego wina, grona były za słodkie. Doszedł do końca rzędu, szorując nogami po suchej ziemi, nie zważając na to, że z każdym krokiem jego buty pokrywają się coraz grubszą warstwą ziemistego pyłu.

Był w starej winnicy, gdzie odległości między rzędami były mniejsze, ale na tyle duże, by koń z pługiem mógł wypielić chwasty, inaczej niż na pozostałych parcelach, gdzie rzędy krzewów rosły rzadziej, i w dodatku na tarasach. W tej części posiadłości winorośl miała po kilkadziesiąt lat, szczepy mieszały się ze sobą, tworząc w okresie owocowania prawdziwą mozaikę. Dojrzewały w tym samym czasie, choć były tu różne odmiany, ale na tym polegała mądrość natury, posadzone z daleka od siebie owocowałyby o różnych porach, a skupione razem dojrzewały, chyba w imię sąsiedzkiej przyjaźni, jednocześnie.

Dzisiaj jednak przebywanie w winnicy nie sprawiało Leonardowi

przyjemności. Wzbudzało w nim raczej niechęć. Od rana tak się czuł, od rana nie zaznał spokoju, i nie zmieniła tego nastroju nawet najczarniejsza z kaw, jaką zaparzył sobie i wypił na pusty żołądek, żeby pogрузić się jeszcze bardziej. Coś męczyło go w środku i rozdrażniało. Żeby chociaż umiał sprecyzować rodzaj swoich udręek albo ich bezpośrednią przyczynę, ale nawet tego nie potrafił. W każdym razie Leonardo czuł się źle, trochę tak jak pies, który próbując ugryźć własny ogon, kręci się w kółko i nie może pojąć, że im bardziej będzie się starał ogon dogonić, tym bardziej będzie to niemożliwe. Jego myśli krążyły wokół Camili Hernandez, tak bardzo pragnął utrzcć jej nosa. Zwłaszcza po ostatnim spotkaniu na ścieżce przed jej domem, kiedy dała mu jasno do zrozumienia, że nie zamierza w niczym ustępować. Jak ona to powiedziała? Że nikt jej już nie będzie mówił, co ma robić, a w każdym razie to miała na myśli, żeby jej nie próbować do niczego zmuszać, bo teraz się zmieniła... Tak, zmieniła się być może, w sumie Leonardo też to zauważył. Zmieniła się, bo nigdy nie zwracała się do niego takim nieznoszącym sprzeciwu tonem, takim władczym, i nigdy wcześniej nie było w niej dystansu i takiej godności jednocześnie... Więc ona chciałaby, żeby zejść jej z drogi... Ha, i co jeszcze? Leonardo splunął, czując, że nagromadził się w nim nadmiar zółci. Że niby to on wchodzi jej w drogę czy raczej ona jemu? Co za kobieta, co za kobieta... zadrżał na wspomnienie wyrazu jej twarzy. Jakby chciała wbić mu sztylet w serce i przekręcić dwa razy.

Przeszedł jeszcze kilka rzędów, jakby chodzenie w tę i z powrotem mogło przynieść mu ulgę albo czemukolwiek zaradzić. Podniósł kilka kamyków leżących na ziemi i rzucił nimi z całej siły przed siebie, z satysfakcją stwierdzając, że doleciały dalej, niż się spodziewał.

Wydawało mu się, że minęły lata świetlne, jak zapoznał Camilę Hernandez z Horaciem, bo to przecież on, Leonardo, wprowadził ją do rodziny. Czy nie żałował potem, gdy było już za późno? Może trochę tak, ale nie za bardzo, bo skąd mógł wiedzieć, że właśnie ten fakt wywoła, jak w klockach domina, ciąg nieobliczalnych w skutki wydarzeń. To on ich przedstawił sobie, pamięta każdy szczegół tamtego poranka, gdy Horacio dzień po swoim przyjeździe do quinty stanął przed Camilą i wyciągnął do niej dłoń w geście powitania. Coś wtedy Leonarda tknęło, poczuł jakiś ledwie odczuwalny skurcz, ale zbagatelizował go, przecież w pokoju za ścianą ubierała się Kate Summers, więc co mogłoby się wydarzyć między tą obcą sobie dwójką, Camilą i Horaciem, dopiero co sobie przedstawioną.

Kolejne tygodnie upływały sielankowo. Kate i Horacio dobrze się bawili, Kate wszystkim była zainteresowana, wszystko jej się podobało, a Gabriela jej wtórowała, tak łatwo zaakceptowała przyszłą synową i tak łatwo znieubiła Camilę. Już wtedy gromadziła dla niej pokłady niechęci, chyba na poczet tego, co miało dopiero nastąpić.

Wiele razy Leonardo odtwarzał każdy dzień tamtego lata w poszukiwaniu jakichś nieuchwytnych poszlak wskazujących na to, że pomiędzy Camilą a Horaciem coś się wtedy działo, i za każdym razem dochodził do wniosku, że nic takiego nie miało miejsca, niczego takiego nie przeoczył. Nie było potajemnych schadzek, niestosownych spojrzeń czy innych sygnałów, które wzbudziłyby chociaż cień podejrzenia. Nie, wszystko było w najlepszym porządku, właśnie tak, jak powinno być, z Horaciem i Kate Summers na planie pierwszym, z listą ich gości weselnych, skrzętnie notowanych w świetle tłącej się na werandzie świeczki, z ich rozmowami o wspólnej przyszłości, z wtajemniczaniem Leonarda w plany otwarcia praktyki lekarskiej... A jednak po tamtym lecie, po tych kilku tygodniach spędzonych w Douro wszystko uległo zmianie. Z twarzy Gabrieli znikł promienny uśmiech, Kate Summers spakowała walizki i wyjechała, a Leonardo próbował zrozumieć, jak to wszystko mogło się wydarzyć i kiedy jego brat, mając taką dziewczynę jak Kate, zdołał zakochać się w Camili.

Sięgnął bezwiednie po kolejny kamyk, podniósł go i się zamachnął, ale zanim rzucił, spojrzał na swoją dłoń: trzymał w ręku kamień wielkości pomarańczy, nie, to była już przesada. Upuścił go na ziemię, wzbijając kurz. Zamknął oczy, próbując przenieść się myślami w inne rejony, bardziej optymistyczne i budujące, związane z przyjemniejszymi wspomnieniami. Może w te, gdy na jesieni przyjeżdżał z miasta do Douro przekonywać Horacia, że źle robi, wiążąc się z Camilą; tak, to było dość przyjemne, aż do bólu, żeby nie powiedzieć przyjemne sadystycznie. Matka naciskała, prosiła, więc przyjeżdżał, co miał zrobić, i tak wszystko już przegrał, nie mógł stracić więcej, nie mógł zapłacić wyższej ceny. Jakie to było żałosne, przekonywać brata, by zrezygnował z czegoś, za co sam sprzedałby duszę. Wmawiał Horaciowi, że jego decyzja będzie miała katastrofalne skutki, i szantażował go, wysuwając najcięższe argumenty. Robił wszystko, o co Gabriela go prosiła, tylko że motywacje miał inne, nie tak szlachetne jak jego matka, nie chodziło mu o dobro brata ani o jego życiowe powodzenie.

Co było potem? Potem Leonardo nie chciał już być posłańcem, Gabriela słusznie doszła do wniosku, że jego misja nic nie dała, że trzeba przeprowadzić się do quinty, jeśli chce się utrzymać posiadłość i tradycję i jeśli chce się ocalić najlepszego z synów.

Słońce zaszło za chmury i Leonardo poczuł chwilową ulgę. Pochylił się i odgarnął liście winorośli, odsłaniając fioletowe grona, zakurzone niemal równie mocno jak jego buty. Oberwał największą kiść i odrywając kulka po kulce, wrzucał owoce do ust, przeżuując je tak, jak przeżuwa się wspomnienie dawnej porażki, gorzkiej i zawstydzającej.

Poczułam, że dygoczę z zimna, a może raczej z gorąca? Odkąd opuściłam dom Camili Hernandez, towarzyszył mi niepokój, jakiś przemożny, wewnętrzny niepokój. Czy dlatego, że wyobraziłam sobie Horacia wbiegającego do płonącego domu, podczas gdy wszyscy inni stali i patrzyli, jak ogień zagarnia kolejne metry budynku? Od płomieni musiała bić wtedy czerwona luna na niebie, jak pięknie i złowrogo musiało wyglądać niebo, pomyślałam, jak nienaturalnie brzmieć trzask spadających belek i walącego się stropu, szyb pękających pod naporem gorąca...

A potem przyszło mi do głowy coś jeszcze – czy jest coś we mnie z niego, z mojego wuja, przecież ja bym tak nie potrafiła, ja po prostu chciałabym żyć, i to żyć dobrze, wygodnie i bezpiecznie. A mój ojciec, jak zachowałby się w takiej sytuacji, a Leonardo albo mój dziadek, Thomas? Nie każdy musi być bohaterem, nie każdy powinien i nie każdemu wolno. Poczułam wzruszenie, jakbym to ja sama znalazła się przed płonącym domem i rozważała, wejść czy nie wejść? Gdy się umiera, mając trzydzieści jeden lat, nie jest się gotowym na śmierć. A zresztą czy kiedykolwiek można powiedzieć, że tak, już jestem na to gotowy? Czy ktoś z nas wie, ile jeszcze razy będzie mógł obudzić się rano w swoim łóżku, ile razy spojrzeć w oczy bliskim?

Nabrałam powietrza w płuca i wypuściłam je z przesadnym świstem. Znowu zrobiło mi się zimno. Poczułam, że dzisiejszego popołudnia Camila Hernandez stała mi się bliska, nie w sposób oczywisty, nie tak jak wtedy, gdy się poznaje nową osobę i wiadomo, że to będzie ktoś, z kim można się zaprzyjaźnić... Nie, chodziło raczej o trudną do określenia więź, o porozumienie, jakie tam w ogrodzie za domem między nami się nawiązało. Bo przecież dobrze rozumiałam Camilę, jej niemożność pogodzenia się z tym najgorszym z możliwych scenariuszy, sama też zadawałabym sobie to pytanie, pytałabym w nieskończoność, dlaczego akurat on był tym, który zamiast stać, wbiegł do środka?

Powinnam wysiąść z samochodu, ale nie chciałam, żeby jakiś dźwięk albo widok wtargnęły w moje myśli. Zgasiałam tylko silnik. Dlaczego tak mną wstrząsnęła opowieść Camili. Przecież już wcześniej wiedziałam, że Horacio zginął w pożarze, że umarł przedwcześnie, a jednak dopiero teraz, gdy słuchając Hernandez, wspinałam się na palce, by dojrzeć przeszłość, zrozumiałam dokładnie, co to znaczyło, teraz dopiero to odebrałam wszystkimi zmysłami. Czułam niemal swąd spalenizny w nozdrzach, zapach dymu... Drażnił mnie, gdy przejeżdżałam przez bramę quinty, gdy wjeżdżałam na dziedziniec przed domem i gdy teraz siedziałam zamknięta w samochodzie. Wystraszyłam się, jakie to irracjonalne, a jednak namacalne, serce bije tak szybko, tyle myśli kotłuje się w głowie.

Otworzyłam drzwi auta, nie sposób było wytrzymać w środku, wysiadłam. Skierowałam się od razu do salonu, spodziewając się, że zastanę tam babkę. Tym razem jednak salon świecił pustką, tak jak i kuchnia. Wyjrzałam przez okno na zewnątrz, na dziedzińcu zaległa cisza. Weszłam na antresolę, tam gdzie niedawno

wertowałam stare tomy. Przez lata nikt nie powiedział mi słowa o Horaciu. Ale kto mógł o nim lepiej opowiedzieć niż jego własna żona, ta, która go najmocniej kochała? Czy tego właśnie chciał mój ojciec, żebym usłyszała wszystko z ust Hernandez?

Usiadłam na kanapie, sprężyny ugięły się pod moim ciężarem. Coś zachrobotło w kącie za wiklinowym pufem i z niedowierzaniem zobaczyłam szary mysz pyszczek. Mysz przebiegła w popłochu na drugi koniec pomieszczenia i zniknęła. Spuściłam głowę. Dzisiaj woluminy mnie nie interesowały. Żadne książki, żadne słowa pisane nie były w stanie wyrazić tego, co mogła przekazać żywa opowieść, dlatego czułam wdzięczność dla Camili, szczerą sympatię za to, że w przeciwieństwie do Winefordów otworzyła przede mną drzwi do swojej i Horacia przeszłości. Pojechałam do niej jak do obcej kobiety, kobiety nieuczciwej, kłamliwej i do tego winnej... I tak właśnie myślałabym o niej zawsze, gdybym nie zdecydowała się na ponowną wizytę, gdybym nie wzięła spraw w swoje ręce.

To nie było łatwe do przyswojenia – że Camila należała do rodziny Winefordów. Znienawidzona i wykluczona z rodziny, ale jednak była żoną Horacia. Nie nosiła jego nazwiska, to prawda... Może po śmierci męża wróciła do panińskiego?

Znowu poczułam falę zimna. Miałam skostniałe dłonie, choć dzień był upalny, chuchnęłam raz i drugi, roztarłam je energicznie. Chciałabym poznać Horacia. Teraz naprawdę chciałabym móc porozmawiać z nim, choć wcześniej nie miałam w sobie takiej potrzeby. W końcu był tylko moim wujem, nie ojcem, bratem ani dzieckiem, tylko wujem takim samym jak Leonardo, którym się nigdy nie interesowałam. Nie umiałam wytłumaczyć tego dziwnego, nagłego pragnienia, by cofnąć czas i zapobiec nieuchronności wypadków. Camila i Horacio... nie znałam dwojga innych ludzi, których łączyłoby równie żywe uczucie. I które zostałyby tak brutalnie przerwane.

Czułam niedosyt, ale wyraźniejszy i nieproporcjonalnie większy niż pewnego dnia, gdy jechałam autobusem i usiadłam obok nieznanym dziewczyny piszącej coś szybko na komórce. Pamiętam, że zerknęłam przez ramię na to, co dziewczyna pisze, może nie powinnam, ale stało się, mój wzrok już wodził po szybko wystukiwanych literach. Rozstałam się z nim, przeczytałam, to już koniec, nic więcej się nie wydarzy. Chciałam dojrzeć twarz dziewczyny, sprawdzić, w jakim była wieku, co miała w oczach, gdy pisała komuś o swojej porażce, ale twarz tej dziewczyny była przykryta opadającymi na ramiona włosami. Zasłaniały ją niemal całkowicie, gdy schylona szukała na klawiaturze dużej litery, gdy naciskała komendę wyślij, a potem sprawdzała, czy wiadomość dotarła do adresata. Zaraz potem dziewczyna podniosła się, może teraz zobaczę ją lepiej, pomyślałam, ale nie, włosy nadal stanowiły przeszkodę, opadały na policzki, czoło, oczy.

Dziewczyna odwróciła się bokiem, potem tyłem do mnie, jakby nie chciała się dzielić prywatnością, która i tak została naruszona przed chwilą, jakby karała mnie za tę wścibskość.

A ja przeciwnie, im bardziej ona unikała kontaktu, tym bardziej czułam się w obowiązku, by ten kontakt nawiązać, też wstałam, chciałam podejść, powiedzieć: wszystko się ułoży... jednak wtedy ona wysiadła, zostawiając mnie samą ze swoim niedosytem, takim samym, jaki czułam teraz, gdy w słowach Camili Hernandez odnajdywałam prawdę o Horaciu.

Pomyślałam o babce. Gabriela z taką wrogością mówiła o Hernandez... jej nienawiść do kobiety, którą pokochał jej syn, wypaczyła całkowicie obraz rzeczywistości. I nie była to tylko kwestia tej zakazanej miłości. Babka już wcześniej ułożyła sobie plan przyszłości swego najmłodszego syna, jakby z góry założyła, że wykona on to, co ona zaplanowała... Teraz po tylu latach nadal była przekonana, że to ona pamięta prawdziwą wersję wydarzeń. Ona naprawdę w to nadal wierzyła, że właśnie Camila jest całym złem i nieszczęściem, które spadło na rodzinę Winefordów. Rozumiałam oczywiście, dlaczego Kate stanowiła dla babki mniejsze zagrożenie. Horacio kochał Kate, ale nie tak, jak pokochał Camilę. W jego miłości do Kate było jeszcze miejsce dla Gabrieli. W jego miłości do Camili – jak sądziła zapewne Gabriela – już nie.

Podkuliłam nogi i przykryłam się kocem wciśniętym w róg kanapy. Nadal było mi zimno, ale już nie tak jak przed chwilą, nie na tyle, bym nie mogła z ulgą oprzeć głowy o kanapę i zasnąć.

– Babciu? – podniosłam głowę jeszcze na w pół przytomna. – Czy ja spałam? O rety, pewnie jest już późno, trzeba było mnie obudzić.

– Nie, dziecko, nie jest jeszcze późno. Potrzebowałam odpoczynku, po co miałabym cię budzić? – Babka ziewnęła, jakby sama dopiero co przebudziła się z drzemki. Siedziała w drugim końcu kanapy. – Przed chwilą cię tu znalazłam. Tak niewinnie wyglądałaś, musiałaś być bardzo zmęczona, biedactwo. Co cię tak zmęczyło, Sophie? Może coś ci dolega?

– Nie, babciu, wszystko w porządku. Nagle zachciało mi się spać, nie wiem nawet, kiedy zamknęłam oczy.

– Wiesz, wydaje mi się, że nie tak dawno pilnowałam cię, żebyś nie spadła z tej antresoli, byłaś małą dziewczynką, dzieckiem w pieluchach i ledwie zaczęłaś mówić, a już lubiłaś się wspinać, wchodziłaś tam, gdzie nie powinnaś...

– Babciu, byłam u Camili Hernandez, nie będę tego ukrywać. – Spuściłam nogi na podłogę i usiadłam obok babki.

– Ponownie... – Babka cała się spięła.

– Tak. Tylko od niej mogłam dowiedzieć się wszystkiego, ani ty, ani

Leonardo nie potraficie przekazać mi całej prawdy.

– Co znowu, jakiej ty jeszcze prawdy oczekujesz?

– Nie powiedzieliście mi, że Camila była żoną Horacia, pełnoprawną żoną. Dlaczego to zatailiście?

– Bo nie pytałaś, dziecko.

– Aha. – Cmoknęłam. Jasna sprawa, jakiej innej odpowiedzi mogłabym oczekiwać. Dla babki wszystko było takie proste, pewnie nadal nie czuła żadnej niestosowności w swoim zachowaniu, w ukrywaniu szczegółów dotyczących rodziny. Łatwiej przecież zobaczyć drzazgę w czyimś oku niż belkę w swoim. Nabrałam powietrza. – Dlaczego jej tak nienawidzisz, babciu? Czy nie czujesz, że ta nienawiść zatruwa cię od środka? Że cię wypacza?

– Co? – babka zrobiła wielkie oczy. – Kogo ja nienawidzę?

– Nienawidzisz Camili Hernandez, babciu, taka jest prawda.

– Nie masz racji, kochana. – Gabriela poprawiła nerwowo włosy. – Nikogo nie nienawidzę. Tu chodzi o winę i odpowiedzialność.

– O jaką winę? Przecież pożar, w którym zginął twój syn, to był wypadek. To nie była niczyja wina, wiesz o tym dobrze, ale łatwiej pogodzić ci się ze stratą wtedy, gdy obwiniasz Camilę, prawda? Znalazłaś wytłumaczenie, odpowiedź, dlaczego musiało się tak stać. Musiało, bo ktoś to zaplanował. Czy tak właśnie myślisz? Tyle lat pozwalasz, by ta nienawiść gryzła cię od środka, by tam gniła i przeszkadzała odróżniać prawdę od fałszu, to chore, babciu...

Babka położyła swoją dłoń na mojej.

– Ani słowa więcej – przerwała mi. – Dość, naprawdę dość. Jakim prawem odzywasz się do mnie w ten sposób? Odkąd to wnuczki mówią seniorkom rodu, co te mają robić?! To tak odpłacasz za opiekę, której tu doświadczyłaś jako dziecko?

– Ależ babciu...

– Powiem ci coś, Sophie. To ty otworzyłaś tę puszkę Pandory. – Wycelowwała we mnie palcem. – Mogłaś o nic nie pytać, a byłoby to zakopane tak jak do tej pory.

– I dalej by cię zatruwało każdego dnia! Dalej żyłabyś w przekonaniu, że wszystko jest załatwione, oczyszczone, bo przecież jest ktoś winny i to na pewno nie jesteś ty!

– Dziecko, nie znałaś Horacia, nie wiesz, jaki był.

– Już chyba wiem, jaki był, potrafię sobie wyobrazić, to nie jest aż tak trudne. Leonardo powiedział, że widzę wszystko z dystansu, teraz dobrze to rozumiem, rzeczywiście widzę z dystansu, ale to właśnie lepiej, bo widzę całość, a nie oderwane fragmenty. Babciu, to nie do wiary, minęło tyle lat, a ty nadal nie wybaczyłaś synowi, że wybrał inną kobietę, niż ty sobie wymarzyłaś, i nadal nie wybaczyłaś Camili, że była z nim szczęśliwa! Możesz z tym spokojnie spać? Nie gryzie cię sumienie, nie uwiera cię to?

Gabriela zadrzęsła się z oburzenia.

– Co niby miałabym synowi wybaczyć? Przecież wcale go nie oskarżam, akurat jego nie oskarżam wcale, tylko po prostu nie mogę się pogodzić, choć tobie wydaje się to dziwne, że po niemal trzydziestu latach nadal można nie móc się z czymś pogodzić...

– Bo to jest bardzo dziwne!

Babce zadrżały ręce. Pomyślałam, że zostawi mnie zaraz samą i nigdy nie skończymy tej rozmowy. Ale ona odezwała się:

– Zawsze myślałam o rodzinie, o Winefordach, o naszej ziemi, winnicach i odpowiedzialności, która na nas spoczywa. Nie chciałam, żeby to wszystko przepadło, twój dziadek, Thomas, nigdy by mi tego nie wybaczył. A gdyby ta posiadłość dostała się Camili Hernandez, to właśnie tak by się stało, została by zmarnowana. Robiłam to, co Thomas uznałby za stosowne.

– Babciu. – Ja też zaczynałam się denerwować. Czułam, że w pokoju na antresoli dzieje się coś bardzo ważnego, że ta chwila, kiedy tu siedzę z babką na jednej kanapie, otoczona niemal całkowitą ciemnością, nie będzie miała szans się powtórzyć, bo takie chwile zdarzają się tylko raz. – Czy nie widzisz, że to był błąd? Skąd wiesz, czego pragnąłby naprawdę twój mąż, jaki miałby stosunek do małżeństwa Horacia i Camili, skąd wiesz, że nie byłby szczęśliwy, widząc szczęście swego syna? Dlaczego założyłaś, że ta kobieta chce ci coś ukraść, że chce wam zaszkodzić? To, że miała słabą ziemię, gorsze perspektywy, nie, to naprawdę za mało, żeby wysnuwać takie wnioski! Zobacz, całe życie działałaś w imieniu Thomasa, wyobrażając sobie, czego on by chciał, jak by się zachował, co by pomyślał, ale nie masz żadnej pewności, że się nie pomyliłaś, że spełniałaś jego oczekiwania. Nigdy nie można mieć takiej pewności, nie jesteśmy maszynami, człowiek czasem postępuje tak, a zaraz potem pod wpływem emocji, przemyśleń, zupełnie inaczej... Nie można powiedzieć, że ktoś w danej sytuacji na pewno zachowałby się tak, jak sądzimy. Czasem wydaje nam się, że ktoś chciałby właśnie tego lub tego; dziecko myśli, że jak będzie się lepiej zachowywać, to rodzice się nie rozwiodą, syn sądzi, że jak pójdzie na studia, to ojciec będzie szczęśliwszy, a wcale tak nie jest. Zobacz, ile razy to wszystko okazuje się pomyłką i jakie dramaty potem z tego wynikają... Tak bywa, nie zaprzeczysz.

Gabriela milczała. Moje słowa musiały ranić ją do żywego.

– Co cię gryzie, duszko? – Filipe spojrzał uważnie na Gabrielę, dziwnie markotną, co wydało mu się tym bardziej niepokojące, że przez cały obiad Gabriela odezwała się może ze dwa razy, zjadła tyle co kot napłakał, a poobiedniej herbaty wcale nie tknęła.

– Ach, nic – westchnęła. – Pamiętasz, gdy mówiłam ci, że Horacio

lunatykował? Żadnemu z moich dzieci się to nie zdarzało, ale on aż do skończenia czternastu lat ciągle to robił. Wiele razy znajdowałam go na korytarzu z otwartymi oczami, a jednak śpiącego... jak udawało mu się odnaleźć drogę? Nigdy w nic nie uderzył, o nic się nie potknął, nie zrobił sobie żadnej krzywdy...

– U somnambulików to normalne, umysł śpi, ale oczy funkcjonują jak na jawie, zresztą nawet jak lunatycją z zamkniętymi oczami, to też wszystko widzą dzięki swojej pamięci, która przypomina im, co gdzie stoi i gdzie trzeba skręcić.

– Ale on potem nic nie pamiętał, wiesz? Pytałam go, co robiłeś dziś w nocy, pamiętasz, jak przyszedłeś tu do naszej sypialni i zapytałeś, gdzie jest mleko? Po co ci było mleko o pierwszej w nocy albo skarpetki, szukałeś ich przez dwadzieścia minut, zimno ci było czy co? Ale on zwykle nie odpowiadał, tylko patrzył tym swoim widząco-niewidzącym wzrokiem... Raz weszłam do jadalni, bo usłyszałam podejrzanе odgłosy, on stał już na stole, po co i dlaczego? Albo gdy w największy deszcz usiłował wyjść na zewnątrz, mówię ci, Filipe, to zdarzało się tak często. Lekarz twierdził, że dzieci czasem tak mają, ale czternastolatek nie jest już dzieckiem, prawda?

– Czy to jest powód twojego smutku? Przypomniałaś sobie o tym teraz właśnie i to cię tak zmartwiło?

– Martwi mnie co innego, Filipe, martwi mnie, że on teraz robi to samo.

– Gabrielo, co masz na myśli, mówiąc, że robi to samo? Mówisz o swoim zmarłym synu Horaciu?

– Chodź tutaj. – Gabriela pociągnęła przyjaciela w drugi koniec pokoju, z daleka od drzwi. Milczała przez chwilę, jakby wahała się, czy może mówić dalej, w końcu powzięła decyzję, że tak, to jest odpowiedni moment i właściwa osoba, by się zwierzyć. Nie miała już sił, by samotnie zmagać się z przeszłością, choć na początku cieszyła się, że Horacio ją odwiedza, że tak trudno mu się z nią rozstać. Może byłoby tak dalej, gdyby nie wypadki ostatnich dni, gdyby porządek panujący w quincie i w jej sercu nie został zachwiany, gdyby nie zadrżał w posadach. – Mam na myśli ni mniej, ni więcej, tylko mego syna Horacia, mój drogi – wyjaśniła. – Wierz mi, on ciągle do mnie przychodzi, a odkąd jest tu Sophie, widuję go niemal cały czas. Nie patrz na mnie, jakbym postradała zmysły, mówię ci, jak jest.

– Ależ... – Filipe pochylił się i spojrzał na nią z ukosa. – Mówisz poważnie? To nie żart, żaden tam podstęp ani nic z tych rzeczy?

– Nie. – Gabriela wlepiła w niego wzrok. – To kiepski materiał na żarty, nie uważasz?

– Uważam, że bardzo kiepski. – Filipe poczuł, że zanosi się na rozmowę większego kalibru. – Z drugiej jednak strony weź pod uwagę okoliczności, napięcie towarzyszące ci w ostatnich dniach. Tyle przeżyć, nie wątpię, że to dość trudne, Sophie tutaj i w ogóle... – Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i otarł nią pot z czoła, już teraz czuł zmęczenie.

– Spodziewałam się, że nie będziesz chciał uwierzyć, ale na Boga, znasz mnie, Filipe, nie jestem starą wariatką, nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego. Horacio mnie odwiedza, początkowo to mnie cieszyło, teraz staje się przyczyną zmartwienia. Wiesz, o czym mówię, zdaje się, że ta jego obecność ma inny cel, niż sądziłam na początku. To wcale nie zadośćuczynienie, ale wręcz przeciwnie, to upomnienie, coś w rodzaju dzwonka, który nieustannie brzęczy nad moją głową i każe się rozliczyć z przeszłością.

– Ależ Gabrysiu, masz coś sobie do zarzucenia?

– Nie wiem, już sama nie wiem... Ale to boli, dokuczają mi coraz bardziej, wiesz? Sophie mi powiedziała, żebyś wiedział, co ona mi powiedziała...

– Co takiego?

– Że ja nienawidzę Camili Hernandez, a co, miałabym ją niby kochać?! – Skuliła się, bo nagle poczuła tę nienawiść na własnych barkach. – I że pielęgnuję w sobie poczucie straty, jakby czas stanął w miejscu. Powiedziała też, że może gdybym tak nie kierowała się swoimi przekonaniem, a właściwie przekonaniem Thomasa, gdybym umiała wybaczyć, odpuścić, ale ja trzymam się kurczowo i to mnie zatruwa...

– Spokojnie, duszko, mów po kolei, nic z tego nie rozumiem.

– To skomplikowane nawet dla mnie samej.

– Więc jak mam ci pomóc?

– Wiesz, Filipe – Gabriela zignorowała jego pytanie – teraz wydaje mi się, że Horacio przychodzi tu z przymusu, rozumiesz, on wcale nie chce tego robić, to jest trochę tak jak z chłopcami z *rabelos*, tymi, co utonęli w Douro, nie rozliczywszy się ze swojego życia ani z podjętych obowiązków. Oni są tak samo zmęczeni jak mój Horacio. Teraz dopiero dochodzę do takiego wniosku, czy to nie straszne, że zacznę rozumieć to dopiero teraz?

– Chociaż nie do końca wiem, co masz na myśli, powiem ci, jaka jest moja życiowa dewiza: jeśli coś do nas tak intensywnie przychodzi, jakaś myśl albo chęć lub pragnienie, którego nie potrafimy się pozbyć, to widocznie właśnie teraz jest czas, by przyszło, nie wcześniej ani później, tylko teraz. Najwyraźniej coś musiało się zmienić albo przetasować w twoim życiu albo głowie, żeby coś innego mogło się pojawić, i nie ma sensu mieć do siebie z tego powodu pretensji. Nie mogłaś tego zauważyć wcześniej, bo nie byłaś na to przygotowana, ot i cały sekret.

– Czuję się tak dziwnie słabo. – Gabriela oparła się o komodę. – To dzieje się zbyt szybko, nie nadążam za tym, co mówisz, ani tym bardziej za własnymi myślami.

– Usiądź. – Filipe podał jej swoje ramię i podprowadził ją do fotela. – To naturalne, że tak się czujesz, nie czułbym się w tej sytuacji lepiej. Może jednak napijesz się herbaty, zaparzę świeżą?

– Dobrze, kochany, może to postawi mnie na nogi. Ach, jest i Leonardo. –

Kiwnęła w stronę drzwi, w których pojawił się jej syn. – Coś taki zakurzony? – nie omieszkała spojrzeć na jego buty.

– Wracam z winnicy, sprawdzałem, czy ostatnie winogrona już dojrzały.

– I jak?

– Jeszcze dwa, góra trzy dni i zbierzemy. Czemu jesteś taka blada? – Wzrok Leonarda zatrzymał się na matce.

– Twoja matka źle się poczuła – wyjaśnił Filipe. – Zamierzałem właśnie zaparzyć jej herbaty.

– Może trzeba wezwać doktora Gaspara?

– Nie, absolutnie. – W głosie Gabrieli znać było niepokój. – Już mi lepiej, a co to, starej matce nie może zrobić się trochę słabo? Ani mi się waży dzwonić!

– O, widzę, że faktycznie już lepiej się czujesz – mruknął Leonardo. – Filipe – zwrócił się do mężczyzny – jestem ci bardzo wdzięczny za twoją anielską cierpliwość.

Filipe wzruszył tylko ramionami.

– Sophie cię szuka – stęknęła Gabriela.

– Szuka mnie? Dlaczego?

– Nie wiem, mówiła, że cię szuka, idź już lepiej. – Wypchnęła go wzrokiem, a kiedy posłusznie opuścił salon, oparła głowę o oparcie i poluzowała apaszkę na szyi. Oczywiście, czuła się słabo. Naszło ją tyle wątpliwości, że tylko Goliat mógłby je udźwignąć. Powracały do niej jak niechciany katar. Nadal nie była pewna, czego Horacio od niej oczekuje. Czy naprawdę chce, żeby spojrzała na tamte lata jakby z góry i z odrobiną samokrytycyzmu? A jeśli nie, to po co do niej by przychodził? Niech jej ktoś powie, czy powinna żałować wszystkich złych słów, które padły w nieodpowiednią godzinę, czy powinna teraz za nie się kajać, choć przecież już padły, a ci, do których zostały skierowane, nie potrzebują wcale przeprosin? Czy powinna żałować złych uczuć, które w niej się pojawiły i które zademonstrowała, bo nie chciała ich ukrywać, uważając, że obłuda gorsza jest od bolesnej szczerości? Czy powinna żałować swojej wrogości, owszem, widocznej, lecz przecież uzasadnionej i wytłumaczalnej?

Tak, to prawda, nieraz utwierdzała się w swoich racjach, przekonując się, że tak właśnie zachowałyby się Thomas. I że tak postąpiono by u Winefordów. A może gdyby choć raz pomyślała inaczej, to Horacio nigdy nie wyprowadziłby się z quinty, mieszkaliby tutaj razem z Camilą i wtedy on nadal by żył? Tak często mówiła synowi, co ma robić i czego od niego oczekuje jako matka...

Zawsze taka była – sumienna i obowiązkowa, myśląca o przyszłości rodu, przywiązana do tego, co dostała od Thomasa. A kiedy umarł, czuła też wielką odpowiedzialność za losy quinty, za życie synów i ich wybory. Jak mogła inaczej okazać im miłość, jeśli nie doradzając im, nie mówiąc, co powinni robić, jak myśleć? Czy nie tak właśnie okazuje się komuś, że się o niego dba, że się go

kocha?

Przypomniała sobie, jak młoda i pełna obaw wkraczała do rodziny Winefordów. Była dziewczyną z Polski, kraju odległego i egzotycznego, nie mogła pochwalić się wielkim majątkiem ani nazwiskiem. Krewni Thomasa... oni nie o niej nie wiedzieli, nie znali jej polskiej rodziny, nie mieli pojęcia, gdzie i jak została wychowana, a może byli wśród jej krewnych pijacy i zboczeńcy, kto mógł to wtedy sprawdzić. Mogła ich łatwo oszukać. A jednak Thomas ją poślubił, nawet jeśli jego ojciec i brat kręcili nosem, że nie bierze sobie żony ze swojego środowiska, najlepiej Brytyjki z koligacjami, tylko taką kurpiowską dziewczynę nie wiadomo skąd... Gdyby postawiła siebie i Thomasa z jednej strony, a Camilę i Horacia z drugiej... Zacisnęła palce na spódnicy, materiał zrolował się pod jej dłonią. Chyba nieraz to podobieństwo przychodziło jej na myśl, ale odsuwała podobne skojarzenia, żeby przypadkiem nie dostrzec tego, co oczywiste. Jak mogła być tak zadufana w sobie, tak dwulicowa? Nie... rozluźniła palce, spódnica rozprostowała się, to wcale nie tak, nie może mieć do siebie pretensji, nigdy nie myślała tylko o sobie, zawsze o innych, o najbliższych. Jeśli czegoś wymagała, jeśli okazywała swoje niezadowolenie, jeśli zabraniała, to dla ich dobra... Pociągnęła nosem. Nie była złą osobą, chyba nikt by nie mógł powiedzieć, że była niegodziwa, nawet gdy na horyzoncie pojawiła się Camila Hernandez. Ludzie nie zmieniają się tak szybko, nie mogła być wcześniej dobra, a potem nagle z dnia na dzień tę dobroć utracić na rzecz demonicznego i trudnego do wyplenienia zła.

I dlaczego miałyby wybaczyć Camili, że zabrała jej syna, a razem z nim wszystkie nadzieje na przyszłość? Czy jakaś kobieta potrafiłaby coś takiego wybaczyć? Tu nie chodziło tylko o głęboko zakorzenioną kobiecą rywalizację, o miłość matki do syna; to nie to, przecież Kate Summers Gabriela zaakceptowała od razu, więc nie można było jej zarzucić, że tylko matczyzna zaborczość nią kierowała.

No a to, że Gabriela zabrała Camili dziecko? Co sumienie mówi na ten temat? Milczy? I nic dziwnego, bo czy można te dwie sytuacje ze sobą porównać, że jedna kobieta zabiera drugiej dorosłego syna, by go wykorzystać i osiągnąć swoje cele, a druga odbiera tej pierwszej małe dziecko, by je ocalić od zaniedbania i dać mu lepsze życie? Trzeba być człowiekiem szalonym, naprawdę niespełna rozumu, żeby te dwie sytuacje w ogóle postawić obok siebie, a potem ważyć ich ciężar i szukać podobieństw.

– Gabrielo! – przez gąszcz jej myśli przedarł się głos Filipe. Podniosła zdziwiona wzrok, przyjaciel stał nad nią z filiżanką herbaty w dłoni. – Mówię do ciebie od pięciu minut, co się z tobą dzieje?

– Nic... myślę tylko...

– Widzę właśnie. To stało się dla ciebie bardzo absorbującym zajęciem.

– Być może, być może. – Nie zauważyła jego sarkazmu. – Filipe, trudno jest

być rodzicem, a do tego dobrym rodzicem, prawda?

– Duszko, zawsze byłaś dobrym rodzicem, zawsze chciałaś być wspaniałą matką, pragnęłaś dobra swoich dzieci, a dobre chęci są najważniejsze.

– Nieprawda, mój drogi, dobrymi chęciami całe piekło jest wybrukowane.

– Ależ nie zawsze, bo jeśli masz wrażenie, że na jakimś etapie życia nie sięgnęłaś ideału, to...

– To co? – wysunęła do niego brodę.

– To pogódź się z tym, powiedz sobie, że tak się stało, teraz to widzisz i może trochę żałujesz, ale zrobiłaś wszystko, co mogłaś, wszystko, co uważałaś, że było wtedy konieczne do zrobienia.

– A jeśli tak nie uważam? Jeśli wcale nie uważam, że zrobiłam wszystko, co było konieczne, albo właśnie uważam, że zrobiłam za dużo, że może gdybym miała trochę więcej pokory i zrozumienia...

Filipe ponownie wyjął chusteczkę i otarł nią pot z czoła, dzisiejszy dzień należał naprawdę do ciężkich.

– Nie wiem – skapitulował. – Jeszcze łyk herbaty?

Leonardo przysunął płócienny leżak pod ścianę i wyciągnął się na nim z nieukrywaną przyjemnością. Też uważałam, że weranda to dobre miejsce, żeby się wyalienować. I to ja byłam tutaj pierwsza.

– Wszyscy dzisiaj chodzą jacyś struci, co? – odezwałam się.

Wzdrygnął się, dopiero teraz mnie zauważył. Siedziałam na ławce pod ścianą, nieco z boku, przy glinianej donicy z pnączami dzikiej róży i przez nie trochę zasłonięta.

– E tam, od razu struci... Matka źle się poczuła, ale już jej jest zdecydowanie lepiej, o mnie chyba nie mówisz? – przestraszył się zapewne, że odgadnę jego myśli.

– Mówię tak ogólnie.

– A, ogólnie to może i tak. Hmm – chrząknął. – A co u ciebie?

– U mnie... w porządku, porozmawiałam sobie z babcią.

– No właśnie, podobno mnie szukałaś?

– Ja? Nie szukałam...

– Babka tak mi powiedziała. – Znowu zapadła niezręczna cisza. – Wiesz, Filipe ma do niej anielską cierpliwość.

– Tak, do babci trzeba mieć cierpliwość. Ale i ty dzisiaj miło z Filipe gawędziłeś, choć ostatnio niemal wyrzuciłeś go z domu.

– Ach, Sophie. – Leonardo uśmiechnął się pobłaźliwie. – Musiałabyś pomieszkać tu dłużej, by zrozumieć... Nasze rodziny przyjaźnią się od stuleci, nasi pradziadkowie chodzili razem do szkoły, babcie były przyjaciółkami. Familie

związane z *port wine* zawsze trzymały się i będą trzymać się razem. To jest ponadczasowa zażyłość, coś, na co nie mają wpływu drobne niesnaski i osobiste antagonizmy.

– To jest właśnie niezwykle, że coś może tak trwać, bez względu na upływający czas, taka niezmiennność. To chyba daje wam mocne zakorzenienie, pewność, że świat będzie trwał dalej. Ja tego nie czuję, nie mam tej pewności, wszystko może się zacząć i skończyć jeszcze dzisiaj.

– Wiem, Sophie, co masz na myśli: z perspektywy Douro świat wydaje się stabilniejszy. Ale to ma i swoje złe strony, czasem pewne rzeczy i wyobrażenia zostają tu na zawsze, czasem trudno je zmienić, w ogóle trudniej coś zmienić, tutaj wszystko jest bardziej zasadnicze.

– Tak jak to, co dotyczy Horacia, prawda? To nadal trwa, zwłaszcza dla babci, tak jakby jakaś jej część pozostała w przeszłości.

– Można tak powiedzieć.

Odstawiłam trzymaną w dłoni szklankę z sokiem, pytanie samo cisnęło się na usta.

– Czy to ma też związek z tobą?

– Ze mną? Ja nie byłem jego matką, to duża różnica, ale tak, pewnie i ze mną trochę też ma. Przecież przeszłość zawsze na nas wpływa w ten czy inny sposób.

– Czy dlatego nigdy nie założyłeś rodziny? Leo, to może niedyskretne pytanie, ale co tam, zawsze chciałam cię o to zapytać, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś?

Leonardo westchnął.

– W tym domu naprawdę trudno jest pozostać niezauważonym, trudno zaznać choć chwili spokoju, a jest to też mój dom. Nie do wiary, jak tu każdy każdemu wchodzi na głowę – poskarżył się.

Udałam, że nie do mnie ten przytyk.

– No więc dlaczego?

– To nie takie proste.

– Domyślam się, ale możesz chyba cokolwiek powiedzieć, co?

– Sophie... – zaczął niechętnie. – Czy ja wyglądam na łowcę wrażeń?

– Raczej nie – zgodziłam się. – Ale nie widzę też nad twoją głową świetlistej aureoli.

– Dobrze – westchnął. – Było kilka osób. Nawet ktoś, o kim myślałem poważnie. Kobieta oczywiście, żebyś nie miała wątpliwości.

– I co?

– I nic, skończyło się. Było zbyt wiele raf, o które mogliśmy się rozbić. A może po prostu nigdy nie powinniśmy byli się spotkać, w każdym razie uznałem, że los nam nie sprzyja.

– Leo, mówisz o tym tak lekko, jakby to było coś mało istotnego.

– Nie... masz mylne wrażenie, to było coś bardzo ważnego. – Zawiesił głos, jakby zastanawiał się, na jak wiele szczerości może sobie pozwolić. – Czy naprawdę musimy o tym rozmawiać? I to akurat teraz? Wolałbym pomilczeć.

– Wiem, nigdy nie wiadomo, jak to na człowieka podziała, gdy zaczniesz już mówić. – Uśmiechnęłam się. – A więc to było prawdziwe uczucie?

– To było coś, co zdarza się raz w życiu.

Przysunęłam się bliżej, lepiej, żeby nikt nie słyszał naszej rozmowy. Po co miałby wiedzieć, że jej tematem jest miłość.

– Czy to znaczy, że się poddałeś? Pozwoliłeś jej odejść albo sam odszedłeś? Nie żałujesz tego? Co takiego ci przeszkadzało, przecież ty nie dajesz sobie w kaszę dmuchać, Leo – podłechtalam jego ambicję. – A może chodzi o to, że były potem inne historie?

– Żałuję, że nie byłem bardziej wytrwały. I nie było innych historii, w każdym razie nie takich, jak myślisz. Nudny jestem jak cholera, co? – Uśmiechnął się gorzko. – Trudno jest przeżyć życie bez pomyłek, a kiedy już się zdarzą, to cóż... człowiek stara się iść dalej, machnąć ręką i powiedzieć, jakoś to będzie, dam radę, ale Sophie, czasem zamiast lepiej jest gorzej, i widać to gołym okiem. – Zamilkł na chwilę. – Ale przecież nie o to mnie pytasz, chcesz wiedzieć, dlaczego się nie ożeniłem. Ano dlatego, że jak już raz zrezygnowałem, to więcej nie chciałem próbować.

– Tego nie rozumiem, że nie próbowałeś więcej... A ta kobieta, co się z nią stało? Ma teraz rodzinę?

– Nie ma, jest raczej sama.

– Naprawdę? Też nigdy nie wyszła za męża? I nie próbowałaś nigdy naprawić swojego błędu, przecież mówisz, że go żałowałaś?

– Nie powiedziałem, że nigdy nie wyszła za męża, ale mniejsza z tym, opowiedziałem ci o czymś, co się zdarzyło dawno temu, a nie wczoraj czy przed miesiącem, to stara sprawa.

– A wiesz, Leo, ty tylko potwierdzasz moją teorię, a ja bardzo chciałabym uwierzyć, że można naprawdę kogoś kochać, i to tak na zawsze. Nie widziałam zbyt często takiej miłości wokół siebie, nie mam dobrego przykładu, każdy ciągnie w swoją stronę, jakby nie pragnął spotkać się w jednym, wspólnym punkcie, byle tylko dalej od siebie...

Pomyślałam o rodzicach. Ich miłość nie przetrwała. Było żałosne to, co robili, by ukryć swoje życiowe rozczarowanie, całe to pozorowanie normalnego życia rodzinnego... Bardzo ich kochałam, a jednak nie potrafiłam zrozumieć. I tylko babka i Thomas stanowili taką parę na śmierć i życie, i nawet to, że Gabriela wyszła ponownie za męża, niczego nie zmieniło, bo wszyscy wiedzieli, że babka zawsze będzie należała do Thomasa i jemu pozostanie wierna. Dlaczego tego rodzaju miłość nie przeszła z pokolenia na pokolenie, pomyślałam, o ile

łatwiej by było, gdyby miłość można było odziedziczyć, a potem przekazać dzieciom, wnukom i prawnukom, albo gdyby miłością można było się po prostu zarazić.

– Ty darzyłeś kogoś uczuciem, jak mówisz, ale zrezygnowałeś. Dlaczego nie mogłeś spróbować jeszcze raz? Czy to znaczy, że dla miłości nie warto próbować, przecież jeśli dla czegoś warto, to chyba dla miłości najbardziej, taką mam nadzieję.

– Może bałem się rozczarować – mruknął i dodał: – Sophie, to chyba ja powinienem pytać cię o takie rzeczy, czuję się niezręcznie. Nie mam nastu lat, żeby dywagować w ten sposób, ale mogę opowiedzieć ci jedną historię. – Wyprostował się i oparł łokcie na kolanach. – Wyobraź sobie, że kiedyś pojechaliśmy z Horaciem do pewnej staruszki, mieszkała kilka wiosek dalej, w dużym opustoszałym domu zbudowanym na szczycie wzgórza. Mieliśmy dla niej list, który Horacio dostał od swego pacjenta, mężczyzny staruteńskiego jak stuletni dąb i już umierającego. To było coś nietypowego, taka prośba, żeby jechać do obcej kobiety z tak dziwną przesyłką, dlatego Horacio poprosił mnie, bym mu towarzyszył. W domu zastaliśmy kobietę, która słysząc, z jaką sprawą przyjechaliśmy, usiadła na taborecie i nie wstała z niego do końca wizyty. Kazała sobie przeczytać list trzy razy, ledwie już widziała, wzrok miała zniszczony, ze słuchem też nie było najlepiej. Pamiętam, patrzyłem na jej pomarszczoną twarz i spracowane dłonie i starałem się dojrzeć w niej dziewczynę, młodą kobietę, którą kiedyś była. Bo wiesz, to było spóźnione wyznanie miłosne mężczyzny, który pisał, że kochał ją i podziwiał całe życie, ale nie starczyło mu sił, żeby jej to wyznać. Próbował to zrobić, ale za każdym razem, gdy się do tego przymierzał, odnosił wrażenie, że ona jednak go nie zechce, a potem znalazła innego i było już za późno. Składał jej to wyznanie u stóp, jak się składa wieniec u podnóża pomnika, a co ona z tym robi, to... no, on już i tak nie będzie żył, gdy ona przeczyta te słowa. Wyobrażasz sobie? Ten facet całe życie o niej myślał, ale nigdy z tym się nie zdradził. Do czego zmierzam? Niektórych sytuacji nie możesz zmienić, twój czas już minął, może go przegapiłeś, może nie wykorzystałeś szansy, ale to nie zmienia faktu, że twoje pięć minut jest już za tobą. To właśnie, co powiedziałem ci wcześniej, było tego przykładem. Mój czas, by ułożyć się z tamtą kobietą, choćby była nadal wolna, owdowiała lub po prostu samotna, już dawno minął.

– Leo, nie żartuj... – szturchnęłam go ramieniem. – Ja wyciągnęłam zupełnie inne wnioski. Czy to nie była wystarczająca wskazówka dla ciebie, żeby nie dopuścić do takiego przegapienia w swoim życiu? Nie jesteś staruszką na łożu śmierci, masz jeszcze dużo czasu przed sobą, nie myślałeś, żeby nadrobić to, co straciłeś?

– Sądzisz, że powinienem to nadgonić? – zaśmiał się. – Podobno nie masz

pojęcia o miłości, a udzielasz złotych rad na jej temat. A co powinienem teraz zrobić? Zjawić się u tej kobiety z bukietem polnych kwiatów?

– A dlaczego by nie, no powiedz, co cię powstrzymuje? Masz coś do stracenia? Leo, nie bądź tchórzem, świat będzie lepszy, jeśli kogoś pokochasz.

– Sophie, jesteś taka młoda, myślisz, że można cofnąć czas albo zmienić bieg rzeczy.

– Jak sobie chcesz, ale mnie ten scenariusz, że siedzisz i nic nie robisz, nie przypada do gustu. Czy naprawdę nie miałbyś ochoty zrobić czegoś z resztą swego życia?

– Dlaczego cię to tak interesuje, ta reszta mojego życia? – zapytał, czując, że rozmowa zaczyna go drażnić.

– Bo chciałabym, żeby ktoś mi udowodnił, że warto wierzyć... w miłość, tak, chodzi mi właśnie o miłość.

Pamięta, że patrzył, jak co jakiś czas odchyła głowę do tyłu, jej włosy tak ładnie wtedy falowały, jakby ktoś sprytnie unosił je od dołu albo cesał niewidzialnym grzebieniem. Stała w grupie kobiet, lekko poruszały biodrami w rytm muzyki granej przez orkiestrę mężczyzn z tuzinem trąbek i puzonów. Co go podkusiło, by właśnie tam się zatrzymać, na feście w Alijó, nigdy nie brał udziału w lokalnych imprezach, a jednak właśnie wtedy znalazł się w tym miasteczku, tłum zmusił go, by zaparkował.

Była ubrana elegancko i ze smakiem. Biała bluzka bardzo pasuje do lnianej spódnicy, odnotował Leonardo, choć nie zawsze był aż tak spostrzegawczy. Nie rozglądała się, nie szukała znajomych twarzy wśród napływających zewsząd grupki ludzi, a jednak, jak mu się wtedy zdawało, musnęła go spojrzeniem. Dlaczego to zrobiła, do dziś nie wiedział, ale przez to właśnie spojrzenie odważył się do niej odezwać, ośmielony jej przelotnym zainteresowaniem.

Mówił dużo i mało składnie, a jego słowa wyprzedzały myśli, na szczęście słowa nie zawsze mają znaczenie, pocieszał się potem, i rzadko kiedy odzwierciedlają zamiary. Ona słuchała, uśmiechając się delikatnie, co jakiś czas wtrącała jakąś uwagę, jedną lub dwie, nie więcej, w przeciwieństwie do niego była oszczędna.

Potok zdań, który spiralami wychodził z jego ust, został przerwany przez hałaśliwą paradę, która pojawiła się u wylotu ulicy. Ukradkiem obserwował profil dziewczyny, gdy patrzyła na rozemocjonowany tłum, szukał w niej niedoskonałości, która by go odrzuciła, zniechęciła albo przywołała do porządku. Czuł nagłą i niezrozumiałą potrzebę, by obserwować każdy jej ruch, jakby ktoś zlecił mu to zadanie: nie przeoczyć nawet jej oddechu. Ale to nie jego wina, że miała w sobie tyle magnetyzmu... Spuścił wzrok, nie wypadało jej aż tak

skanować.

Twarz Camili zapadła mu w pamięć. Teraz, po latach, zadawał sobie pytanie, czy ona też wtedy wiedziała? Czy przeczuwała?

Zanim parada się skończyła, zaproponował spotkanie, a ona się zgodziła. A przecież mogła po prostu odwrócić się na pięcie, ich ścieżki nigdy więcej by się nie przecięły.

Podobno im bardziej człowiek stara się coś wyprzeć z pamięci lub z serca, tym bardziej do tego się przywiązuje. No cóż, pomyślał Leonardo, jestem chyba żywym dowodem na to, że tak właśnie jest. Bo gdyby nie było, to nie myślałbym o niej od tylu lat, wstyd przyznać, że można mieć obraz kogoś tak zawsze w głowie, wcale go nie wspominać, a jednak podskórnie czuć jego obecność.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, jakby chciał sobie przypomnieć, o kim myśli, i wyjął znajomą fotografię kobiety. Oczywiście ten obraz najwyraźniejszy jest na początku i może jeszcze trochę dłużej, a potem blaknie jak to tutaj czarno-białe zdjęcie – spojrzał na nie ponownie – i można by uznać, że tak właśnie powinno być: coś najpierw żyje i trwa, a potem obumiera, bo taka jest kolej rzeczy. Co jednak zrobić, jeśli porządek zostaje zaburzony i to, że coś się kończy, wcale nie znaczy, że umiera?

To, co się między nimi wydarzyło... przetaił zdjęcie dłonią raz i drugi... nie umiał zapomnieć. Blask porannego słońca na jej skórze, gdy odwracała się w jego stronę. Kropelki deszczu, które szklily się w jej włosach, a potem spływały jedna po drugiej na odsłonięte ramiona. Jej piersi zamknięte w jego pożądlivych dłoniach.

Poczuł nagły ucisk w gardle, zwinął dłoń w pięść i rozprostował ją gwałtownie. Żal ścisnął mu serce, ale opanował się, jeszcze by tego brakowało, by ktoś zobaczył go w takiej chwili, gdy bezbronny jak dziecko rozmawia ze zdjęciem. Przysunął butelkę z sokiem Compal i nalał sobie pełną szklanę, wypił ją na wdechu, otarł usta wierzchem dłoni.

Wydawało mi się, że mam już to za sobą, wymamrotał niezadowolony, to całe zauroczenie... Czy każdy w życiu musi mieć choć jedno niespełnione pragnienie, jedno uczucie albo jedno marzenie, którego nie może z siebie wypełnić ani o nim zapomnieć? A może człowiek to właśnie lubi, to poczucie niedosytu, które otwiera pole dla wyobraźni i domysłów, a odcina dostęp przyziemnej rzeczywistości? Czy właśnie to niespełnienie pociąga najbardziej i czy w tym tkwi cały sekret i nedorzecznosc sytuacji? Zresztą miłość nie jest zależna od przedmiotu uczucia, z tym bywa różnie, czy nie zakochujemy się czasami w kimś, kto w innej sytuacji albo w innym momencie naszego życia wcale by nas nie zainteresował? Powiedzmy, przy innych kobietach nie błyszczałaś aż tak bardzo, no popatrz sam, stary, skierował znowu wzrok ku zdjęciu, żadna tam klasyczna piękność... i może nie tak czarująca jak te, które spotykałeś wcześniej i później, a jednak do tej pory

nie potrafięś zastąpić jej żadną inną. Dlaczego?

Gdyby to było takie proste, zanieść pęk polnych kwiatów, a potem... żyli długo i szczęśliwie. Oparł zdjęcie o butelkę soku i zniżył głowę nisko nad stół, teraz jego oczy znajdowały się na wysokości jej oczu. Naprawdę wolałbym, żeby pewne rzeczy się nigdy nie zdarzyły, tak jak powiedziałem, wolałbym wierzyć, że los nam nie sprzyjał i że to było z góry skazane na klęskę, lecz podobne postawienie sprawy nie byłoby uczciwe. Prawda jest taka, że byłem młody i miałem wiele do zaoferowania, a co mógłbym zaoferować ci teraz?

Najbardziej lubiłem, gdy się uśmiechałaś podczas rozmowy, naprawdę, to takie banalne, ale wtedy właśnie kąciki ust zaczynały ci drgać, by za chwilę rozciągnąć się w uśmiechu. Jakie to było miłe patrzeć, jak się śmiejesz. Albo gdy jadłaś pomarańcze i wszyscy dzielili je na ćwiartki, a ty nie, ty kroiliłaś owoc w poprzek. Wiele rzeczy robiłaś inaczej niż ja, nie da się ukryć, że byliśmy jak dwa różnoimienne bieguny, ale przecież właśnie takie przyciągają się najbardziej.

Nigdy nie wymagałem od ciebie, żebyś ty też miała mnie w głowie, o nie, to byłoby nawet nieetyczne, żeby nie powiedzieć perwersyjne. Ułożyłaś sobie życie inaczej niż ja, stary kawaler, zaznałaś zapewne więcej ode mnie, a może już zupełnie zapomniałaś o tym, co nas kiedyś łączyło. Przecież to, że ja przez te lata myślałem o tobie, nie powodowało, że ty myślałaś o mnie, prawda? Jedna miłość nie pociąga za sobą drugiej i swoją miłością rzadko można wzbudzić czyjąś miłość, a żeby kochać, wcale nie trzeba być kochanym...

Bardzo chciałbym wiedzieć, co cię teraz interesuje i wokół czego skupiają się twoje myśli. Czy nie mogę po prostu cię o to zapytać? Podobno cierpliwością nawet z kwaśnych winogron można uzyskać syrop... Ściągnął brwi i poczuł, jak marszczy mu się skóra. Nie, pomyślał, nie można ot tak przyjść i zadać takiego pytania. Dmuchnął na zdjęcie, przewróciło się białą stroną do góry. Wziął je do ręki i nie zważając na to, że ulega ono coraz większemu wygnieceniu, schował je z powrotem do kieszeni.

– Nie mogę pozwolić, byś myślała o mnie w ten sposób, nie ty, jedyna wnuczka i przyszłość rodu Winefordów. Chodzi o zrozumienie, o szacunek dla przeszłości i tego, jak ta przeszłość wpływa na teraźniejszość. Nie chcę, żebyś postrzegała mnie jako osobę ziejącą nienawiścią, kogoś przepelnionego tym uczuciem, nieprzyjemnym i ze wszech miar szkodliwym – powiedziała babka, ciągnąc mnie w stronę błękitnych drzwi, tych na końcu korytarza, za komodą z marmurowym blatem.

Kiedy tam stanęliśmy, babka włożyła klucz do dziurki i szybko go przekręciła. Zamek ustąpił.

– Chcę ci pokazać jego gabinet, Sophie. – Babka położyła dłoń na klamce. –

Te drzwi zawsze są zamknięte, nikt do tej pory nie wchodził tu oprócz mnie, mam nadzieję, że to docenisz. Ty też nie przestąpiłabyś progu tego pomieszczenia, gdyby nie nasza rozmowa na antresoli i gdybym nie zdała sobie sprawy, co ty o mnie myślisz i jak mylne wnioski wyciągasz z ostatnio zdobytych wiadomości. Nie wiem, jak inaczej ci to unaocznić, żebyś zobaczyła wszystko we właściwym świetle. Nie widzę innego sposobu, jak tylko pokazać ci to, co pozostało po moim synu. Proszę. – Popchnęła drzwi i weszła pierwsza, pociągając mnie za sobą. – Zobacz sama, a wtedy być może też więcej zrozumiesz.

W środku było ciemnowo, przez szczeliny w grubych zasłonach prześwitywały resztki światła dziennego z zewnątrz. Gabriela zapaliła światło, dwie z trzech żarówek w żyrandolu były przepalone, dobrze, że ostatnia jeszcze świeciła. Z pewnością nikt z tego pomieszczenia nie korzystał od lat.

Można by uznać, że to zwykły gabinet, jak inne w tym starym domu, trochę zabałaganiony, wypełniony różnymi przedmiotami, ale całkiem spory, i gdyby go wysprzątać, pewnie wygodny w użytkowaniu. Coś jednak odróżniało go od pozostałych – może zapach kurzu i naftaliny, a może powietrze, gęste, duszne i stojące w bezruchu.

– Zobacz – babka przemieściła się na drugi koniec pokoju. – To jego biurko – powiedziała, kładąc dłoń na przykurzonym blacie. – Używał go od dzieciństwa, odkąd poszedł do szkoły, przy nim kaligrafował swoje pierwsze litery, uczył się do egzaminów. Przyplłynęło z Londynu, pamiętam dobrze, że Horacio za kilka dni miał pójść do szkoły, i zastanawiałam się, czy przesyłka zdąży dotrzeć na czas. Statek miał jakieś problemy, spóźnił się, ale biurko stanęło w naszym domu w Porto w ostatni dzień wakacji.

Sophie, mam przed oczami obraz pochylonej postaci mojego najmłodszego syna, skupionej. Zawsze był taki skupiony, wiesz? Wołałam wielokrotnie, Horacio, chodź do nas!, a on odpowiadał zniecierpliwiony, nie mogę, muszę to dokończyć, jeszcze chwila, muszę znaleźć to, czego szukałem... Nie wiem, skąd miał tę sumiennosc, żadne z moich dzieci tego nie miało, może po Thomasie, może ojciec mu przekazał geny takiej gorliwości, ktoś przecież musiał. Nie twierdzę, że to było dobre, to całkowite zaprzeczenie się pracy, przecież my wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni, żeby ciężko pracować, i do tego zobowiązani przez historię, przez naszych przodków, którzy przekazali nam ten cały winiarski inwentarz... a jednak zawsze będę uważać, że Horacio jako lekarz robił więcej, niż trzeba, on się po prostu swemu zajęciu całkowicie oddał, jakby tylko po to przyszedł na świat.

Tutaj... – odsunęła szufladę i wyciągnęła z niej stetoskop, nigdy takiego wcześniej nie widziałam, pewnie dawno stał się przeżytkiem. – Spójrz tylko tutaj, to jego narzędzia, używał ich każdego dnia. Proszę, jego zeszyty z zapiskami, pieczętki, recepty, lekarski neseser – Gabriela wskazała na sporą torbę stojącą w kącie. – Jego przybory, cała szuflada tego jest, wszystko tak, jak to pozostawił

tamtego dnia, gdy wyszedł i już nie wrócił.

Z dnia na dzień te wszystkie rzeczy stały się niepotrzebne, jeszcze wczoraj ratowały życie ludziom, a dzisiaj są tylko zimnymi i zbędnymi gratami, można je wyrzucić, i tak nikt już nie zrobi z nich użytku. Jak łatwo rzeczy niezbędne mogą przeistoczyć się w złom, w makulaturę i zawalidrogę, jak niewiele potrzeba, by to, co było ważne i cenne, stało się śmieciem, nie sądzisz? – Zamilkła, chcąc chyba dać mi czas, bym przyswoiła sobie jej słowa. Stałam nadal w tym samym miejscu, niemal w progę, zaskoczona, że tak bezceremonialnie znalazłam się w tej świątyni przeszłości.

– Łatwo mnie oceniłaś, Sophie – odezwała się babka ponownie, w jej głosie nie było pretensji, już prędzej rozczarowanie. – Łatwo rzuciłaś we mnie swoje oskarżenia, jakby wcale nie chodziło o mojego syna, o moje dziecko, tylko o kogoś zupełnie obcego. Nie bierzesz pod uwagę, że ja przeżyłam śmierć swoich dwóch mężów, potrafię znieść wiele rzeczy, byłam przygotowana na to, że ludzie odchodzą wcześniej, niżby się można spodziewać, ale na Boga, jak można zaakceptować śmierć własnego dziecka? Matka nie powinna żyć dłużej, to wbrew wszelkim prawom, wbrew naturze i zamysłom Boga – wyrzuciła z siebie i ucichła. Ostatnie jej słowa długo odbijały się od ścian. – Wykarmiłam go własną piersią – podjęła z wysiłkiem. – Pamiętam jego pierwsze kroki, wiesz, na początku nie chciał chodzić, dzieci rwą się do tego, by stanąć na dwóch nogach, a on długo wolał poruszać się na czworakach, ale wyobraź sobie, że pewnego dnia spróbował podnieść się do góry i kiedy już raz tego posmakował, nigdy nie wrócił na dół, taki był. Albo jak poszedł do szkoły, to na początku wydawał się nieśmiały, sądziłam, że trudno mu będzie. Jak bardzo się pomyliłam! Na początku pozostawał z boku, nie tak jak Leonardo albo Antón, którzy zawsze byli hałaśliwi. Nie, Horacio był inny, potrzebował więcej czasu. Ale może właśnie dlatego koledzy go naprawdę lubili, jak już z kimś się zaprzyjaźnił, to na całe życie, potrafił zaskarbić sobie ludzkie serca... Zobacz, mam osiemdziesiąt pięć lat, wychowałam trójkę dzieci, a pamiętam to wszystko ze szczegółami. – Pociągnęła nosem. – Pewnie zastanawiasz się, dlaczego najbardziej przywiązałam się akurat do tego syna. Też próbowałam to zrozumieć, ale widzisz, Leonardo i Antón byli wychowywani przez mamki, dopiero dla Horacia miałam więcej czasu, znacznie więcej, i może dlatego łatwiej mi go było faworyzować. Mój Boże, jestem taka zmęczona – zachrypiała i przysiadła na sfatygowanym krześle. Jęknęło żałośnie. – Czy tak właśnie człowiek zaczyna czuć się przed śmiercią?

– Ależ babciu! – Podeszłam do niej. – Nie mów tak.

– A co mam mówić, jeśli tak się czuję. Albo świat się kończy, albo ja, jedno z dwóch, to pewne.

Zapadła cisza. Słyszeć było, jak Gabriela z wysiłkiem oddycha, jak zbiera siły do kolejnej bitwy. Wreszcie się odezwała:

– Wiesz, Sophie, kto nie ma dzieci, nigdy tego nie zrozumie, ale powiem ci, że przy Horaciu coś się we mnie otworzyło, serce chyba się rozciągnęło, nie wiem sama. Odczuwałam wszystko ze zdwojoną siłą, widziałam więcej, miałam różne przeczucia... że też ja ci to wszystko mówię... – spojrzała na mnie, szukając zrozumienia. – Nie wiem, czy ktoś przeżył tyle w jednym życiu i czy ktoś umiałby sobie z tym lepiej poradzić. Ale czy to wszystko nie tłumaczy mojego późniejszego zachowania? Jak mogłam pogodzić się z tym, że przez jedną nierozważną decyzję, przez posłuchanie Camili Hernandez, moje dziecko straciło życie? Czy to takie dziwne, że nie mogę tego zaaprobować? I powiem ci coś jeszcze, ja wcale nie nienawidzę Camili, ja po prostu wiem, że to jej wina. Każdego, kto sprowadziłby na mojego syna nieszczęście, traktowałabym tak samo, nie byłoby żadnych wyjątków.

– Ale ty już wcześniej byłaś do niej uprzedzona, babciu, już wcześniej jej nie znosiłaś, sama mi to powiedziałaś.

– Tak, dziecko, bo ja miałam intuicję. Ja naprawdę przeczuwałam, że z tego wynikną jakieś nieszczęścia. Jak ty zachowałabyś się na moim miejscu, co byś zrobiła, gdybyś czuła, miała niemal pewność, że to jest ktoś, kto ci przyniesie zgubę? Wiesz, czasem myślałam, że gdybym miała szansę jakoś się przygotować... może to byłoby łatwiejsze. Jak myślisz, czy wtedy mogłoby stać się łatwiejsze? Podobno z każdym dniem powinno być lepiej, tak mi kiedyś powiedział mój doktor, że czas leczy rany, nawet takie, nawet największe. Ale widocznie tym razem tak się nie stało. Bo wiesz, Sophie, czas w ogóle przestał dla mnie mieć znaczenie, ani mnie nie oddalał od tamtego dnia, ani do niego nie przybliżał. Zatrzymał się w miejscu, przestał wypełniać bieżącymi wydarzeniami albo one po prostu przestały mieć znaczenie. Najgorsza dla mnie była świadomość, że jednego dnia mój syn był tutaj, rozmawiał z nami, jadł, spał, a drugiego już go nie było. Jak można tak po prostu wyjść, jakby miało się wrócić za godzinę, góra dwie, i nie wrócić już nigdy? Patrz, to wszystko, co po nim pozostało – objęła pokój szklistym wzrokiem – książki, zleżałe ubrania i przedmioty, całe mnóstwo nikomu niepotrzebnych przedmiotów!

Milczałam, zabrakło mi kontrargumentów. Miłość rodzicielska to zupełnie niepojęte uczucie, pomyślałam, ale kiedy osadza się je w realiach, kiedy patrzy się na nie z poziomu zwykłego człowieka i zwykłych wydarzeń w zwykłych rodzinach, cały patos gdzieś znika. Każdy z nas jest przecież czyimś dzieckiem albo czyimś rodzicem, każdy jest połączony z tym światem, nikt nie spada tutaj z kosmosu.

– Rozumiem, babciu. Ale wiesz... – spojrzałam na skurczoną Gabriellę siedzącą na krawędzi krzesła – ...miałam tylko na myśli to, co czujesz do Camili Hernandez i jak ją traktujesz – powiedziałam niepewnie, nie wiedząc już, czy te słowa powinny paść akurat tutaj i w tym miejscu.

– Ależ... – babka nabrała powietrza – gdyby nie ona, Horacio nie wyszedłby tamtego dnia z domu. To nie był jego rejon. Zrobił to dla niej, to ona go prosiła, i tylko dlatego wsiadł tamtego dnia w samochód i pojechał. Po co pojechał?, po własną śmierć. Na co mu to było, powiedz, ta cała nauka i wszystkie mądrości, to poświęcenie, skoro nie umiał się ustrzec przed najgorszym? Nie obronił się przed kobietą, niczego nie wyczuł, niczego nie przewidział, no powiedz, po co mu to było?

W pokoju coś skrzypnęło. Babka odwróciła się i mokrymi od łez oczami spojrzała w stronę drzwi.

– Horacio – wyszeptała z niedowierzaniem. Spojrzałam za nią. – Nie zniosę tego dłużej! – sapnęła, chwyciła do ręki wazon ze sceną rodzajową i zanim zorientowałam się, co zamierza, wycelowała nim w drzwi. Wazon uderzył we framugę i rozprysł się na drobne kawałki. Gabriela zastygła w bezruchu, zaskoczona tym, co zrobiła, tylko jej wzrok powędrował do mnie. Krwawiłam.

– Babciu, mogłaś mnie zabić! – Siedziałam w salonie, a Benedita obwiązywała moją dłoń bandażem. Rana nie była głęboka, ale dość rozległa, dwa odpryski rozcięły skórę przy nasadzie kciuka, inny skaleczył wierzch dłoni.

– Nie dramatyzuj, dziecko, kawałek porcelany mógł cię co najwyżej lekko uszkodzić. – Gabriela nachylała się nad moją dłońią razem z Beneditą, sprawdzając, czy służąca wszystko robi, jak należy.

– Ale co ci przyszło do głowy – jęknęłam. – Rozmawialiśmy spokojnie, a ty nagle walnęłaś tym wazonem. Babciu, tak się nie robi!

– Przepraszam, ale to nie moja wina, zresztą zobacz – wskazała na bandaż – już po wszystkim.

Dotknęłam swojej dłoni w nowej oprawie. Benedita zdezynfekowała wcześniej ranę, trochę szczypało. Upiłam łyk wody i nagle poczułam, że ogarnia mnie wyczerpanie, że jestem zmęczona zupełnie jak przed chwilą Gabriela, jakby niemoc babki przeszła teraz nieoczekiwanie na mnie. Dłoń bolała, ale nie próbowałam już dociekać, dlaczego Gabriela pozbawiła się zabytkowej amfory. Pewnie chciała ukoić swój ból, wywnioskowałam; gdyby rzut amforą mógł ukoić jakikolwiek ból, życie byłoby naprawdę prostsze.

– Czy w czymś jeszcze mogę pomóc? – Benedita strzepnęła z fartucha kłaczki bandaża.

– Dziękuję ci, kochana, chyba zrobiłyśmy, co trzeba. – Gabriela uśmiechnęła się słabo. – Zabierz tylko te nożyczki i resztę ratunkowego przybornika.

Gdy kobieta wyszła z salonu, babka ze skruszoną miną usiadła obok mnie.

– Wybacz mi, dziecko, to była chwila słabości. Ale widzisz – zaczęła – jak już założysz rodzinę, urodzisz dzieci... Chcesz przecież mieć dzieci, prawda? –

zerknęła na mnie – to wtedy przyjdiesz tu do mnie, ach, co ja mówię, wtedy staniesz nad moim grobem i powiesz, babciu, miałaś rację, teraz cię rozumiem, dopiero teraz wszystko rozumiem. Zobaczysz, że tak będzie, jeszcze wspomnisz moje słowa. Czy wiesz, Sophie, że kiedyś tak okrutnie pokłóciłam się z Leonardem, on też ma swoje starokawalerskie humory. Myślałam, że to koniec, mój syn wyjedzie z Douro, porzuci quintę albo zrobi coś jeszcze głupszego, takie miałam złe przeczucia. Nie odzywał się do mnie przez miesiąc, wyobrazasz sobie, cały miesiąc nie odzywać się do rodzonej matki? Tak się bałam, sytuacja była napięta, nie przymierzając, jak baranie jajka. Potem jednak przyszedł do mnie i powiedział, tak mam, chyba muszę z tobą się zgodzić, chyba prawda leży jednak gdzieś pośrodku... Więc widzisz sama, tak będzie i z tobą, nadejdzie czas, że przestaniesz mnie źle osądzać. A zresztą czy ty myślisz, że Camila Hernandez oczekuje, że nagle się do niej zbliżę, że zapomnę o przeszłości, o tym, co nas podzieliło? Ta kobieta też ma swój rozum, nie chciałaby czegoś takiego, nie ma więc zbieżności interesów.

– Babciu, zawsze jesteś tak wszystkiego pewna, rzeczywistość może być zupełnie inna, niż sądzisz. A poza tym wydaje mi się, że mogłabyś przynajmniej o Camili nie myśleć w tak okrutny sposób.

– Nigdy nie zbratam się z Camilą Hernandez, jeśli o to chodzi, to wykluczone, próbowałam ci to wcześniej wytłumaczyć.

– Rzucając we mnie wazonem – skrzywiłam się. – Nie zrobisz tego nawet dla swojego syna?

– Dla syna może mogłabym zrobić coś innego, może coś mogłabym, nie wiem jeszcze sama. Najgorsze, So-phie, że teraz wszystko się zmieniło. To, co dawało kiedyś pocieszenie, w tej chwili boli i irytuje, co za paradoks. Doprawdy, w życiu nie można być pewnym ani jednej rzeczy.

– Mogłabym powiedzieć to samo. Przyjechałam, żeby sprzedać winnice, niby prosta rzecz, a proszę, co z tego wynikło.

– Widzę, że zaraziłaś się kąśliwością od swego wuja. On chyba w młodości nabył ten nawyk ironizowania, uważaj, żeby nie zostało to we krwi także tobie.

– Babciu, gdy Horacio zginął, jak Leonardo sobie radził z tą stratą?

– A czemu pytasz? – babka uniosła brwi. – Każdy sobie radził, jak umiał. Leonardo miał na głowie całą quintę, nie mógł zamknąć jej na patyk. Może i dobrze, praca odciąża od smutku, nie pozwala skupiać się na nieszczęściach. Cóż, nawet w takich chwilach, jakie przeżyliśmy, nie można tylko siedzieć i rozpaczać, prawda? A to właśnie, w przeciwieństwie do nas, robiła Camila. Działo się z nią coś bardzo złego, wiedziałam o tym, odkąd tylko weszłam do jej posiadłości. Pojechałam do niej któregoś dnia, przecież tam było małe dziecko...

– Co? To oni mieli dziecko? Horacio i Camila?

– Powiedziałam dziecko? – babka spojrzała na mnie, jakby wyrwano ją

ze snu. – No tak – bąknęła. – Mieli dziecko.

– Ale... to co się z nim stało, gdzie ono jest?

– Musieliśmy się nim zająć, musieliśmy je zabrać z tamtego domu... i umieścić gdzie indziej. – Babka spuściła wzrok.

– Ach tak... oddaliście je?

– Camila była w rozsypce – babka zamrugła wilgotnymi oczami. – Z niczym sobie nie radziła. Wyobraź sobie, nawet teraz pali mnie w środku, gdy o tym myślę. Ona nie przyszła na pogrzeb Horacia! Została w domu, choć Leonardo zaproponował, że po nią pojedzie. I ty mi mówisz, że nie miała nic na sumieniu? Nie pójść na pogrzeb swego męża, naprawdę, tego nie umiem już wytłumaczyć. Dla mnie to było podwójne upokorzenie, dwa razy wystawiła mnie na próbę. Wstydziłam się, gdy mój syn brał ją za żonę, i wstydziłam się, gdy nie raczyła pożegnać go na cmentarzu. – Policzki babki zakwitły purpurą, jakby stara hańba okryła ją na nowo. – W każdym razie gdy tylko zorientowałam się, jak wyglądają sprawy, gdy zobaczyłam Camilę, taką nieobecną, z błędnym wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni, z całym tym bałaganem w domu, chyba rozumiesz, nie mogłam pozwolić, by ucierpiało na tym dziecko. Musiałam je ratować. Nie wiadomo, co by się z nim stało, gdyby nie my, przecież samotna wdowa z małym dzieckiem... Jak ona by sobie poradziła, to nie były takie czasy jak teraz... – zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń. – Kto by to wszystko wytrzymał – machnęła zaraz ręką zniecierpliwiona i dźwignęła się z fotela.

– Nie zostawiaj mnie samej, babciu, posiedź tutaj ze mną.

– Padam z nóg. Zobaczymy się przy śniadaniu – obiecała i pomimo moich nalegań podreptała do drzwi wyjściowych.

Tyle uczuć, emocji, cierpienia i miłości w jednej historii, pomyślałam. O ile bliżsi, bardziej ludzcy wydawali mi się teraz Gabriela i Leonardo, jakby nić łącząca ich z Horaciem stanowiła brakujące ogniwo w połączeniu także pomiędzy nimi a mną. Czułam, że ten brakujący element uniemożliwiał mi wcześniej zrozumienie babki i wuja, rozdzielał od nich jak przepaść. A jednak właśnie to pociągało mnie najbardziej, prawdziwe uczucia, prawdziwe emocje, żywe, pulsujące. Chciałabym, żeby moi rodzice kiedyś jeszcze potrafili czuć w ten sposób, żeby się tego nauczyli od nowa. Przecież byli kiedyś ludźmi o żywych sercach, potrafili się kochać i okazywać sobie miłość. Dlaczego nie mieliby przebudzić się z odrętwienia, przecież na tym polega życie, pomyślałam, żeby czuć, wspierać się, tęsknić za sobą nawzajem.

Oparłam obandażowaną dłoń o poduszkę, tak było znacznie wygodniej. Co dziwne, nie byłam na nikogo zła, nie czułam w sobie urazy ani żalu, że to wszystko pozostawało dla mnie do tej pory zakryte, nie miałam w sobie nawet cienia pretensji.

Camila darzyła Horacia niezwykłym uczuciem, ale i Gabriela, która teraz

wydawała mi się naznaczona słabością jak zwykły śmiertelnik, tak bardzo go kochała. Może zasługiwał na to, a może umarłym łatwiej się wybacza i wymazuje wszelkie uchybienia, i lepszą o nich pamięć zachowuje niż o tych, z którymi obcuje się na co dzień?

Leonardo pokonał kilkanaście stopni i dotarł na wysokość czerwonych drzwi prowadzących do wnętrza *correio*³¹. Pod pachą trzymał plik dokumentów, gotowych do wysłania. O tej porze dnia nie było klientów, ludzie szykują się do pracy, pomyślał, albo robią śniadania dzieciom, za wcześnie na inne działania.

Wsunął koperty w szparę między szybą a blatem, dziewczyna po drugiej stronie okienka uśmiechnęła się i przybiła kilka pieczętek. Jako chłopiec bardzo lubił przyjeżdżać na pocztę, wysyłać z ojcem ważne listy. Świat pieczętek i stempli, znaczków i nieotwartych kopert wydawał mu się zawsze fascynujący.

Przyłapał się na myśli, że dzisiaj może i on mógłby napisać list, właśnie do niej, chociaż posługiwanie się kartką papieru i długopisem jest takie staromodne i trąci myszką. Co zresztą mógłby napisać, jak zadać pytania, które obijały się w jego głowie przez minione lata? Dawno stracił wiarę w sens podobnych przedsięwzięć. Nie można przecież cofnąć czasu ani zmienić biegu rzeczy, powtórzył słowa, którymi pouczał wcześniej Sophie. Wysypał drobne z portfela i podsunął je dziewczynie za szybą tak, jak zrobił to wcześniej z kopertami. Przeliczyła, wydała resztę, Leonardo podziękował i wyszedł.

Poczuł lekki powiew wiatru, który rozproszył jego myśli. Odetchnął głęboko, gotowy się odprężyć, i wtedy nagle po drugiej stronie ulicy dostrzegł znajomą sylwetkę, a niech to, Camila Hernandez! Taszczyła przed sobą dwa tekturowe pudła, spore, ciężkie chyba, skoro była tak skupiona na wykonywanej czynności, że nie zauważyła, kto podąża drugą stroną ulicy. Zatrzymała się przed Muzeum Chleba i Wina, poprawiła pudełka, jedno zamierzało się właśnie zsunąć, i zniknęła w środku. Co u licha robiła w muzeum? Leonardo oparł się o nierówną ścianę stojącego za nim domu, przecież to jest obiekt dla turystów, i do tego zbłąkanych. Lady Hernandez, pomyślał z przekąsem, dostojna i wyniosła, ale z pudłem kartonów na rękach, że też do tej pory nie znalazła sobie żadnego tragarza.

Gdyby byli w dobrych stosunkach, mógłby na nią zaczekać. Zaskoczyłby ją. Ach, Leonardo, ty tutaj?, zapytałaby. Tak, wpadłem na pocztę, i tak, jechałem tą trasą, normalnie załatwiam sprawy gdzie indziej. Mógłby nawet zaprosić ją na małą *café* w miejscowym barze, pewnie też nieczęsto tu bywa, a kawa wszędzie jest tak samo dobra. Czy nie byli w gruncie rzeczy parą bliskich sobie ludzi? Oczywiście, nie można zaprzeczyć, łączyła ich przeszłość, w dodatku przeszłość w większości niedobra, ale może właśnie dlatego nie wypadało mijać się na ulicy, jak mijają się

przypadkowi przechodnie, którzy nic, ale to zupełnie nic ze sobą nie przeżyli.

Poczuł, że ogarnia go nagły sentyment, a uczucia łagodnieją, powinni puścić w niepamięć wszystkie pretensje i urazy. O ile prościej byłoby pójść na kawę, zamiast stać tak pod ścianą kamiennego domu i snuć domysły; przecież to było dziecinne.

Kiedy dokładnie to się zaczęło, kiedy wszyscy przyjęli wersję podaną przez Gabriellę i święcie w nią uwierzyli, że Camila Hernandez zabiła Horacia Wineforda? I nikt nie podawał tego w wątpliwość ani z tym nie dyskutował, jakby to był wyrok ostateczny i nieodwoalny, potwierdzony przez najwyższe instancje. Wbił wzrok w nierówne płyty chodnika, próbując uruchomić najgłębsze pokłady pamięci. Chyba już na samym początku, jak tylko poznały się z Gabriellą, już wtedy było wiadomo, że Camila zawsze i za wszystko będzie winna. A on, dlaczego nie protestował? Przecież wiedział... Czy to była jego prywatna zemsta na bracie, a może był w takim samym amoku jak inni, może nic w tamte dni nie wydawało się dostatecznie sprawiedliwe ani wytłumaczalne, nie na tyle, żeby jeszcze szukać uniewinnienia dla Camili Hernandez?

Mógłby zrobić to teraz, takie sprawy nie ulegają przedawnieniu. Camila była czysta jak łąza, powinien to jasno powiedzieć Sophie, kiedy go o to pytała. Poczuł, że się poci, a jego ręce stają się wilgotne. Jak mógł być tak bezlitosny? Ruszył przed siebie, przeszedł kilka kroków, zawrócił jednak, coś trzymało go na tej uliczce, pustawej i zacienionej. Zaczekał, mruknął pod nosem, niech Camila załatwi swoje sprawy, a potem, już bez pudeł, zauważył mnie. Przeształ z nogi na nogę, podrapał się po głowie. Czy to nie dzisiaj umówił się z Giannim Betitem, tym gadatliwym Włochem, który czasem zamawia jego porto, choć to taki niewłoski alkohol? Eh, jeśli nawet to było dzisiaj, trudno, machnął ręką, makaroniarz może poczekać.

Gotowy był zaproponować rozejm. Jeśli Camila nie zamierza tego zrobić, to on uczyni ten wysiłek. Nie będzie więcej darcia szat. Bo chyba to było słuszne rozwiązanie? Teraz, kiedy wmieszała się w to wszystko Sophie, nie można było już postąpić inaczej, jak tylko zawiesić broń, a nie siec nią na prawo i lewo.

Podwinął starannie rękawy. Nie chciał wyglądać jak flejtuch, zwłaszcza że Camila stała się taką elegantką... te buty na obcasach. No, no, Leonardo gwizdnął, nic dziwnego, że nosa zadziera wyżej niż zwykle. Przełożył telefon z przedniej kieszeni spodni do tylnej, aparat zawsze tak brzydko wypychał materiał, a Leonardo pragnął wyglądać schludnie. Nie był wielkim estetą, ale pewne elementy wyglądu zwracały jego uwagę bardziej niż inne. Koszula nie mogła mieć zagiętego kołnierzyka, twarz koniecznie bez zarostu, spodnie odpowiedniej długości, nie za długie i nie za krótkie. A jeśli chodzi o kobiety, to tak, też zwracał uwagę na wizualne doznania. Dłonie, dajmy na to. Lubił porównywać dłonie kobiet, zwłaszcza gdy miał okazję znaleźć się w mieście, gdzie było więcej

ku temu sposobności. Jakże zwodnicze bywały te obserwacje, bo czasem dłonie zupełnie nie pasowały do twarzy albo do sylwetki kobiety. Niekiedy zgrabne, niemal anielskie palce pozostawały w sprzeczności z pospolitymi rysami twarzy, albo na odwrót, piękna twarz kolidowała z pozbawionymi proporcji, zniszczonymi dłońmi. Tak naprawdę rzadko które dłonie kobiet Leonardowi się podobały, na przykład wystające stawy budziły wręcz jego niechęć albo, co już naprawdę było odrażające, czarny, poodpryskiwany lakier na paznokciach.

I jeszcze buty. Buty też były ważne. Zauważył bowiem, że jedne buty dobrze na nodze leżą, a inne prezentują się nieciekawie. Nie rozwiązał jeszcze zagadki, w czym rzecz, że jedne buty wyglądają dobrze, a inne nie, jeszcze tego nie uchwycił ani nie rozpracował.

Otrząsnął się z rozmyślań, przecież nie spacerował po Porto ani innym mieście, gdzie zdarzało mu się czasem prowadzić obserwacje. Podpierał ścianę domu w nieco ospałym Favaio i czekał, aż Hernandez wychynie ze swojej kryjówki. Bardzo pragnął, żeby to spotkanie wyglądało na naturalne, zupełnie przypadkowe. Bo gdyby opacznie pomyślała, że on ją szpieguje... A jeśli to właśnie przyjdzie jej do głowy?, wystraszył się, lecz zaraz jakiś głos go zganił: no już, Leonardo, chyba nie zamierzasz teraz się wycofać? Zaczekaj, ona zaraz wyjdzie i stare urazy pójdą w niepamięć, no dalej, zapętliliś się, stary, ale skoro już tu jesteś, to stój i czekaj, to nie potrwa długo.

Zdobył się więc na cierpliwość, przeszedł kilka kroków wzdłuż ulicy. Ponownie rozejrzał się i podreptał, w obawie, czy dobrze postępuje, bo przecież okna muzeum wychodziły także na tę stronę i ona mogła go zobaczyć...

Spojrzał na zegarek, czas dłużył się niemiłosiernie. Nie zamierzał spędzić tu reszty skrupulatnie zaplanowanego dnia, aż do takich poświęceń nie był gotowy. Pięć, góra dziesięć minut i zabieram się stąd, pomyślał, lecz zanim zdążył poczuć w sobie rozczarowanie, w drzwiach Muzeum Chleba i Wina ukazała się Camila. Poprawiła włosy i ruszyła uliczką w stronę Leonarda. Obok niej kroczył mężczyzna, młodszy od niej, żywo gestykulujący i wyraźnie z czegoś zadowolony. Leonardo zaklął, nie tak to sobie wyobrażał, miała być bez pudeł i sama, pomyślał urażony. Zaprzagnął ulotnić się dyskretnie, lecz było to już niemożliwe, Camila go spostrzegła. Wycofanie się w tej sytuacji oznaczałoby jawną kompromitację, nie ruszył się więc z miejsca.

– Cześć – powitał ją niedbale, gdy podeszła.

– Leonardo, znowu się spotykamy! – W jej głosie słychać było zdziwienie. – To jest Alonzo – przedstawiła mężczyznę – przyjaciel rodziny.

– Miło mi – Leonardo wyciągnął niechętnie rękę.

– Co słychać?

– Przejeżdżałem i wpadłem na pocztę, nieczęsto tu bywam – odparł trochę bez związku, tylko takie słowa przysły mu do głowy.

– Ach tak – kiwnęła głową ze zrozumieniem. – Ja przeciwnie, bywam tu często. Alonzo i ja bierzemy udział w pewnym projekcie w muzeum, na jesieni będzie wystawa. Zresztą zobaczysz sam – uśmiechnęła się wymijająco. – No cóż, Leonardo, pewnie ci się spieszy, my też mamy jeszcze sprawę...

Doprawdy obecność tego mężczyzny łagodzi jej obyczaje, pomyślał Leonardo.

– ...to miłego dnia, i do widzenia.

– Camilo! – Złapał ją za rękaw, nim zdążyła zrobić krok. – Musimy porozmawiać. Chciałbym, żebyśmy się spotkali – usłyszał sam siebie. Czy naprawdę to powiedział? Po co miałby się z nią spotykać? Żeby zawiesić broń, przypomniał sobie, ustalić rozejm, po to sterczał na bruku przez ostatnie dwadzieścia minut.

– Ale w jakim celu? – Camila była zaskoczona. – Czy coś się stało?

– Nie, nic. Po prostu musimy się spotkać, chociaż na chwilę. Podaj dzień i godzinę.

– Chodzi o Sophie? Coś się wydarzyło?

– Wszystko w porządku, jeśli nie masz nic przeciwko, odwiedzę cię...

– Chcesz mnie tak po prostu odwiedzić? – Przez jej twarz przemknął diaboliczny uśmiech.

– To naprawdę istotne...

– Istotne – powtórzyła jak echo. – Dobrze. Niech będzie. Spotkajmy się w piątek o dwudziestej u mnie.

– W piątek. – Leonardo poczuł ulgę. W piątek mam spotkanie w Porto, pomyślał, a co tam, przesunę je. – Może być – potwierdził. – Do zobaczenia.

– Że też na starość człowiek nie robi się silniejszy, tylko słabszy, i jeszcze do tego zmuszony jest rozliczać się ze swoją przeszłością – narzekała Gabriela. – Może powinnam udać się do braciszków w Balsamão, do marianów ojca Wyszyńskiego, może on zrobiłby jakiś cud i poczułabym się lepiej. Mogłabym się wpisać potem w jedną z tych grubych ksiąg z przykładami uzdrowień, ocaleń i nawróceń, dlaczego nie miałyby to mnie akurat spotkać, przecież Kazimierz Wyszyński³² to mój rodak.

– Nie wiedziałem, że był Polakiem, od ciebie zawsze mogę się czegoś nauczyć. – Filipe przełknął kolejny kęs pomarańczowej tarty oblanej słodkim porto. Strzepnął okruszki z obrusa.

– Ależ oczywiście, że był, a myślisz, że kto sprowadził tutaj ten zakon, pierwszy na całym Półwyspie Iberyjskim?

– Nie jestem biegły w tego typu sprawach, Gabrysiu. Balsamão kojarzy mi się raczej z legendą, z tym władcą, z którym każda panna młoda musiała w dniu

swego ślubu spędzić noc.

– Tak, tak, a potem znalazł się młodzian, który nie chciał oddać swojej narzeczonej i zabił króla, wywołując regularną bitwę. Maurowie walczyli w niej przeciwko chrześcijanom. Jak to jest, że mężczyźni lepiej pamiętają tego typu historie.

– Taka konstrukcja. – Filipe się zaśmiał. – Narzeczonej obiecała wybudować kapliczkę, jeśli tylko jej przyszedł mąż ujdzie z życiem. Chrześcijanie przegrywali, ale wtedy zjawiła się Matka Boska z balsamem, który sprawiał, że członki walczących natychmiast zrastały się, a rany się goiły. Dzięki temu chrześcijanie zdołali przepędzić Maurów i ukrócić tyranię ich króla.

– Jak ci smakuje ciasto?

– Wyborne. – Filipe mlasnął. – Po cóż mam ci przywozić wypieki z Porto, jeśli Benedita produkuje na miejscu takie cudeńka.

– To prawda, jest świetną kucharką i pocziwą kobietą, nie poradzilibyśmy sobie bez niej. Oj, Filipe – westchnęła z przesadą – nadszedł chyba czas, by zrobić porządki w starych szafach.

Przyjaciel spojrzał na nią zdziwiony.

– Porządki, mówisz? Masz chyba właśnie od tego Beneditę?

– Nie, nie o takie porządki mi chodzi... Wiesz, że rzeczy Horacia nadal są w jego dawnym pokoju? Leżą tam, niemal tak jak je zostawił, wyobraź sobie, nie mogłam pozbyć się ich do tej pory. Nawet nie próbowałam, po co, jeśli nie miałam takiej potrzeby, a nawet wręcz przeciwnie, miałam właśnie potrzebę, by nie zmieniać ich położenia ani na jotę.

– Duszko – Filipe zatroskał się – w twoim głosie słyszę od jakiegoś czasu głęboki frasunek. Martwię się tym, zwłaszcza jak przypomnę sobie, co powiedziałaś wcześniej o Horaciu.

– Nadal mi nie wierzysz, trudno, i tak nie spodziewałam się zbyt wielkiego entuzjazmu.

– Mówiłaś o tym Leonardowi?

– O Horaciu? Chyba żartujesz. Leonardo niczego by nie zrozumiał.

– Wydaje mi się, że go nie doceniasz, to mądry facet, ale jak tam chcesz, ja nie będę się wtrącał.

– Wiem, że mądry, i dlatego właśnie nie chcę go niepokoić. Czasem mam wrażenie, że jedynie on mi już został. Wiesz, że ja nie wyobrażałam sobie życia bez dzieci, zawsze o nich marzyłam, nawet jak byłam młodą, bardzo młodą dziewczyną. Potem straciłam jednego syna, drugi wyjechał... bo Antón prawie tu nie zagląda. Tak mało wiem o jego życiu w Londynie czy gdziekolwiek indziej jest, a sądząc po tym, co mówi nam Sophie, ich życie bardzo różni się od naszego tutaj. Ty wiesz, że on znowu wyjechał? Jest w Kanadzie, a Madalena w Londynie, oni zawsze żyli na walizkach i to się już chyba nie zmieni. Więc tak naprawdę

mam tylko Leonarda i gdyby on doszedł do wniosku, że tracę rozum na starość, to ja bym tego nie zniosła, ani jego pobłażliwego traktowania, ani zbytniej nadopiekuńczości, to by mnie wpędziło prosto do grobu, mówię ci.

– Wiem, duszko, ty zawsze byłaś samodzielna.

– Tak, i dlatego zrobię porządki sama – postanowiła. – Pomyślałam, że wyrzucę wszystkie ubrania Horacia. Po co one komu? Książki oddam, nie wyobrażasz sobie, ile ich jest, pełne półki i pudła pod łóżkiem. Całe życie gromadzimy przedmioty, a potem i tak lądują w worku na śmieci, czy to nie obłąd? Filipe, nie uważasz, że życie upływa nam na błahostkach? Czasem wydaje mi się, że to wszystko na świecie jest źle pomyślane.

Filipe spojrział na nią uważnie, te słowa brzmiały dziwnie w ustach Gabrieli.

– Zrobiłaś się ostatnio bardzo melancholijna – stwierdził ostrożnie.

– Może na tym właśnie polega starość, że zaczynamy widzieć inaczej. Kiedy byłam młoda, myślałam, że cały świat do mnie należy, miałam lekki umysł, który wiele umiał akceptować. Teraz ten świat już mnie tak nie interesuje. A przecież kiedyś... Pamiętasz, jak wybraliśmy się kiedyś do Teatru Narodowego? Naprawdę lubiłam spędzać tam wieczory, co za towarzystwo, co za aktorzy... Albo bale w Palácio da Bolsa, podejmowano nas wszystkich w Sali Arabskiej, pamiętasz? Tyle złocen i finezji, to zawsze robiło na mnie niesamowite wrażenie, nawet Thomas cenił te wieczory. Ach, nie wiem, Filipe, czuję się ostatnio jakoś dziwnie.

Faktycznie, ciągle jeszcze nie odzyskała spokoju ducha i nadal towarzyszyło jej to bliżej nieokreślone uczucie wewnętrznego napięcia, już od kilku dni, długich i niewygodnych. Czas nie przynosił rozwiązania, zaledwie podpowiedzi, ale czy słuszne, chciałyby wiedzieć. Doprawdy, zbyt wiele zważyło jej się ostatnio na głowę.

– Moim zdaniem za dużo rozmyślasz, zobacz, nawet tarty nie tknęłaś – powiedział, krojąc dla siebie kolejny kawałek – a jest naprawdę wyśmienita.

– Przestań, Filipe, myśleć tylko o jedzeniu. Sądzisz, że dożyję osiemdziesiątych szóstych urodzin?

Filipe odsunął swój talerz.

– Kobieto, do stu piorunów, co ty wygadujesz?! – zmierzył Gabrielę surowym wzrokiem.

– Przeszło mi przez myśl, że Horacio przychodzi po mnie, a nie do mnie.

– I ty jeszcze od tego nie dostałaś migreny? – skrzywił się. – Sophie nieźle namącała ci w głowie, to poważniejsze, niż sądziłem.

– A coś ty sobie wyobrażał. – Gabriela się naburmuszyła.

– Wiesz, może ja kupię od was te winnice, Sophie dostanie pieniądze i wyjedzie, wszystko wróci do starego porządku.

– Ale ja nie chcę, żeby wracało do starego porządku! – oburzyła się. – Odzyskałam wnuczkę, to jest dla mnie najważniejsze. Sprawy trochę się

skomplikowały, może nie trzeba było tego wszystkiego ukrywać tak długo, nie wiem sama, ale stało się i kto wie, czy tak nie jest najlepiej.

– Tak, tak, już to widzę. Szkoda tylko, że to jeszcze nie jest koniec tej sprawy.

– Ale już większa jej część. Filipe, mówisz poważnie? Kupiłbyś od nas te winnice?

– Nie, Gabrysiu.

– Nie kupiłbyś?

– Nie kupiłbym, na co mi one, nie mam takich pieniędzy.

– Wiesz co, pójdę się położyć. – Podniosła się z wysiłkiem.

– Potrzebujesz mnie przy tych porządkach? Przyjdę ci pomóc – zaoferował się.

– Dobrze, przyjdź. Nie omieszkam cię powiadomić.

Krawat? Nie, krawat to przesada, to tylko spotkanie z Camilą, upomniał siebie. Sam nie wie, jak do tego doszło, że wyskoczył z propozycją, by się spotkali dzisiaj, w piątek o dwudziestej. Ale Sophie miała rację, Camila należy do ich rodziny, trudno temu zaprzeczyć, to nie jest całkiem obca osoba. Tym bardziej więc należało oczyścić przeszłość i uporządkować pewne rzeczy, zwłaszcza całe to zamieszanie z winnicami i ich sprzedażą, przecież od tego się wszystko zaczęło. Szczerze mówiąc, nawet teraz do końca nie wierzył, że to dzieje się naprawdę, że zaproponował Camili Hernandez spotkanie. Nie raz i nie dwa dostawał przecież wysypki na wspomnienie tych złościwości, które sobie przez lata czynili... Klamka jednak zapadła, jechał do jej domu dzisiaj, w piątek o dwudziestej, za późno było na odwrót albo zmianę planów, byłoby grubiaństwem cokolwiek odwoływać.

Ubrał się i sprawdził, czy skarpetki pasują do spodni. Zawsze wolał, żeby pasowały do spodni, a nie do butów, to ładniej wyglądało w pozycji siedzącej, nogi nie zdawały się krótkie jak u Karła, tylko zachowywały swoje proporcje. Gabrieli wyjaśnił, że jedzie na spotkanie z poważną klientką z Porto, sprawa jest dość świeża i wymaga taktu, życzył matce miłego wieczoru, zajrzał jeszcze do winiarni, by upewnić się, że Eurico i Tiago dopełnili swoich obowiązków, i opuścił quintę.

Powietrze było chłodniejsze, już nie takie jak w środku lata, po skórze nie spływał lepący się pot, ciepło było przyjemne. Zjechał na dół, wyminął kilka ostatnich ciężarówek zwożących winogrona, one zawsze poruszały się tak ostrożnie. Spojrzał na zegarek, miał jeszcze dużo czasu, nie chciał wykazać się zbytnią nadgorliwością. Kierując się tą myślą, zgasił silnik pod São Salvador do Mundo, wzniesieniu przy przełomie Douro, urwisku w zasadzie opadającym pionowo w dół. Spojrzał w górę przez otwartą szybę samochodu. Kiedyś wspięli się tam na szczyt z Horaciem, Antón chorował wtedy na szkarlatynę, nie mógł iść

z nimi. Mieli nieodpowiednie buty, kto wtedy nosił porządne obuwie na co dzień, na pewno nie dzieci. Pamięta, jak dotarli na górę, tam, skąd widać ślady diabelskich racic odcisniętych w skale; naprawdę tam są, pamięta idealnie równe odciski. Głęboko w dole płynęła rzeka. Kiedyś to było bardzo niebezpieczne miejsce, po przepłynięciu zakrętu żeglarze zdejmowali czapki z głów i dziękowali Bogu, że jeszcze raz im się udało.

Pamięta, że kiedy zaczęli schodzić, Leonardo kazał bratu iść przed sobą, by mieć go na oku. Horacio popędził jednak, nie oglądając się za siebie, nie słuchał wołań ani pogroźek, które Leonardo rzucał w jego plecy, lekceważył przekleństwa, aż zniknął za kolejnym drzewem. Jakże Leonardo był zły, jak zaciskał pięści gotowe do wymierzenia ciosu, jak złościł się na smarkacza za jego nieposłuszeństwo. Gdy dotarł na dół, cała złość uleciała. Horacio siedział na kamieniu i gryzł bułkę, którą zabrali ze sobą na wycieczkę, zadowolony z siebie i dumny z pokonania trasy. Nie było należytą awantury ani sprawiedliwych kukuksów, Leonardo czuł ulgę, kamień z serca, że bratu nic się nie stało. Wtedy jednak cały świat był inny... Quinta tętniła życiem i ani skrawek ziemi nie leżał odłogiem. Z terenu, który Sophie odziedziczyła i usiłowała sprzedać, zbierano najlepsze winogrona i robiono najlepsze porto. Teraz ten grunt marnieje, tarasy umarły, pomyślał z żalem. Spojrzał znów w górę. Gdybym miał więcej czasu, westchnął, i lżejsze kości, wspiałbym się tam i dzisiaj, ale w tej koszuli i spodniach, nie, to byłby koniec mojej eleganckiej kolacji. Odpalił silnik i ruszył dalej, po drodze już się nie zatrzymując.

Nie musiał się ukrywać tym razem, a co tam, teraz czuł się w pełni uprawniony do zaparkowania nawet na samym środku drogi. Co mogło mu grozić, jeśli Camila czekała w swoim domu właśnie na niego. Przyglądał włosy i skierował się do wejścia, z każdym krokiem nabierając rozpędu, nagle przestraszył się, że się spóźni. Serce waliło mu jak oszalałe, jakby znowu miał naście lat i szedł na pierwszą w życiu randkę.

Poczułby się niezręcznie, gdyby Camila przywitała go wylewnie, tego nie oczekiwał, dlatego nie zdziwił się, gdy otworzyła mu drzwi bez śladu euforii, a nawet uśmiechu, zwykłe pozdrowienie było całkiem na miejscu.

Potem, gdy jedli ryż z owocami morza, nie wydawała się bardziej rozmowna. Powinna czuć się swobodnie, to był jej dom, jej bezpieczna przystań, ale nie, ona czekała w napięciu, aż Leonardo wyłoży cel swojej wizyty. Siedzieli w salonie, zgrzebnym i uporządkowanym, stół został nakryty na dwie osoby, serwetki były w oczy bielą. Przyniósł wino do kolacji, długo je wybierał, jakby dobry wybór miał pomóc mu w zdobyciu jej przychylności i jakby zapomniał, że Camili nie dało się niczym przekupić.

Nie mógł się powstrzymać, by nie przyjrzeć się jej bliżej, gdy siadała do stołu. Niewielki dystans, jaki ich dzielił, działał na jej korzyść. Żeby chociaż gorzej

się starzała, pomyślał, niechby jej twarz nosiła w sobie piętno zmagania z życiem, ale nie, nic z tych rzeczy; nie wyglądała źle, nie wyglądała na przygnębioną ani na zmęczoną. Chciała mu udowodnić, jaka jest silna, jak dzielna i niepokonana? Może właśnie o to jej chodziło. Poczł się na moment niepewnie. Jak miał rozmawiać z kobietą, która z nim po męsku rywalizuje, która chce mu coś udowodnić? Czy będzie chciała tę grę ciągnąć w nieskończoność?

– Myślałem ostatnio wiele o Sophie, o jej sytuacji i o tym, co przeszła – powiedział na pełnym wdechu. – To wspaniała dziewczyna, możemy być z niej dumni. – Spojrzał na Camilę, ale jej usta zaciśnięte w wąską linijkę milczały. – Przez wiele lat nie mieliśmy bliższego kontaktu, ty i ja, do czasu, aż zainteresowałaś się ogłoszeniem Sophie.

– Do czego ty zmierzasz, Leonardo? – przerwała mu. – Nie trać czasu na owijanie w bawełnę. Po prostu powiedz, co masz mi do powiedzenia.

Odchrząknął lekko skonfundowany. Gdyby tylko sam wiedział, po co zaaranżował tę wizytę i o co dokładnie mu chodzi. Powinien przemyśleć to lepiej, lepiej ułożyć w głowie słowa, które przeznaczył dla jej uszu. Napelnił oba kieliszki winem i podał jej uprzejmie. Nie uśmiechnęła się. Upił łyk, chcąc zyskać na czasie. To trudniejsze, niż sądziłem, pomyślał. Więc co chciał osiągnąć... Odstawił kieliszek. Naprawić stosunki między nimi, tak, to był jego plan, puścić w niepamięć wszelkie urazy i nawiązać porozumienia, po to właśnie przyjechał. Nie chciał mieć w Camili wroga, przestało mu się to podobać. Pragnął ją zapewnić, że chodzi mu tylko o akt braterstwa.

– Nadal nie wiem, dlaczego zainteresowałaś się naszą ziemią – powiedział jednak.

– Chcesz się dowiedzieć, dlaczego chciałam kupić ziemię należącą do Sophie. To masz na myśli? – Jej źrenice zwężyły się i pociemniały. Odłożyła widelec i trochę odsunęła od siebie talerz, chcąc zrobić miejsce dla dłoni. Zauważył, że jej paznokcie błyszczą, jakby w ogóle nie kalala rąk pracą, jakby te paznokcie w kolorze cappuccino stanowiły tylko piękny, nieużyteczny dodatek do palców. – Jeśli to jest twoja jedyna obawa, ten strach, że miałam dwuznaczne zamiary, to wyjaśnię ci swoje powody, chociaż wiedz, że czynię to wyłącznie z dobrej woli. Naprawdę nie muszę tłumaczyć się z takich posunięć, to sprawa między mną a Sophie, jeśli już – cedziła słowa jedno po drugim, aż pokój wypełnił się ich ciężarem. – To bardzo proste, doprawdy, jeśli tylko odrzucisz wszelkie podejrzenia i całą swoją niechęć do mojej osoby.

– Nie czuję do ciebie niechęci, Camilo – zaprotestował. Już teraz chciała wtłoczyć go w stare ramy, w tę ruletkę wygranych i przegranych, ja wygrywam, ty przegrywasz, ja przegrywam, ty wygrywasz, jakby oboje nie mogli być wygrani.

– Prosiłeś mnie o wyjaśnienie – w jej głosie narosło napięcie – więc pozwól, że dokończę. Otóż – pokręciła pierścionkiem na palcu – kiedy zadzwonił do mnie

Oswaldo i powiedział, że działka obok mojej winnicy została wystawiona na sprzedaż, pomyślałam, że to dobra okazja, aby powiększyć swoje uprawy. Oczywiście mogłabym dokupić taki kawałek ziemi gdziekolwiek indziej, ale to nie miałyby sensu, posiadanie kilku skrawków ziemi w różnych miejscach wiąże się z większymi kosztami produkcji. Oswaldo mówił, że Sophie jest bardzo zdeterminowana i że zależy jej na czasie. Wy od lat nie uprawialiście tej ziemi, od dawna leżała odłogiem, sądziłam więc, że jej kupno nie naruszy naszej umowy zawartej wiele lat temu. Pomyślałam nawet, że lepiej będzie, jeśli ja, a nie ktoś zupełnie obcy, odnowię tam winnice. A więc – spojrzała na niego z góry – nie ma tu żadnej tajemnicy, żadnych wrogich zamiarów. Proste jak drut dla każdego, kto potrafi myśleć choć trochę logicznie i obiektywnie.

– Potrafię myśleć bardzo logicznie i obiektywnie – odgryzł się. – Ale mogłaś chociaż zadzwonić i powiedzieć, co zamierzasz.

– Jasne, zadzwonić – zaśmiała się. – Czemu miałabym to zrobić? Dalibyście mi może swoje błogosławieństwo? Nie żartuj, Leonardo, wiem, jak byście potraktowali mój telefon, zresztą było do przewidzenia, że i tak w którymś momencie dowiecie się, kto jest kupcem, chociażby od Oswalda. Jak widać, nie myliłam się.

– Bardzo chciałbym w to wszystko uwierzyć.

– Ale trudno przyjąć ci do wiadomości, że mam czyste intencje, co? Kiedyś wierzyłeś mi bardziej, ale kiedyś byłeś innym człowiekiem. – Jej słowa były jak zatrute strzały. – Zresztą – dodała – zrób z tym, co chcesz, nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz.

Przez chwilę milczeli. Za oknem pociemniało, drobne krople zaczęły uderzać o szyby. Podeszła do lampy stojącej w kącie i zapaliła ją, ciepłe światło rozświetliło pokój i Leonardo poczuł w sobie iskrę nadziei.

– Niech to szlag – wymamrotał. Czy naprawdę musieli siebie tak ranić? Nie przyszedł tutaj, by udowodniać swoje racje, tylko po to, by złożyć broń. Nie ułatwiała mu tego zadania, ale pragnął ugody, to był jego pomysł i nie zamierzał łatwo rezygnować. – Niech to szlag – powtórzył już głośniejszym głosem. – W takim razie kup tę ziemię, Camilo. Kup ją, połącz ze swoją winnicą i dosadź szczepy, najlepiej na porto. Bo z tej ziemi będzie lepsze porto niż jakiegokolwiek inne wino, to miejsce idealne. Nie znasz się na produkcji *port wine*, ale masz mnie i moje doświadczenie, a ja mam piwnice, laboratorium, magazyny. Razem zrobimy z tego najlepszy trunek w całym Douro.

Spojrzała na niego wielkimi oczami, przez chwilę zdawało mu się, że zaczyna mu ufać. Wrażenie to trwało jednak zbyt krótko.

– Leonardo – powiedziała lodowatym głosem. – Nie rób ze mnie idiotki, z łaski swojej. Powinnaś wyprosić cię z domu, od początku wiedziałam, że to głupi pomysł spotykać się tutaj z tobą.

– Zaczekaj, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałować. Chciałaś kupić tę ziemię, tak? Więc ją kup. Podsuwam ci tylko pomysł. Na Boga, sam nie wiem, dlaczego to robię.

– Od zawsze produkuję swoje wino, dlaczego miałabym zająć się porto, dlaczego miałabym pójść na coś tak absurdalnego?

– A dlaczego nie? – spojrzał na nią pytająco. – Do diabła, dlaczego nie moglibyśmy tego zrobić razem? Czy nie możesz choć raz mnie posłuchać? Wiem, że robisz wspaniałe wino, ale czy nie chciałabyś spróbować czegoś nowego?

Spojrzała na niego, mrużąc oczy jak kocica szykująca się do zadania ostatecznego ciosu, jej wzrok go parzył.

– Po tym wszystkim, co przesłałam przez waszą rodzinę?! Twoja matka całe życie dbała o to, bym nie miała dostępu do waszego biznesu, do waszego cholernego porto, tak jakby to było moje największe marzenie! Zawsze mnie nienawidziła! Zabrała mi córkę, nie widziałam, jak rośnie, czy jest zdrowa, czy w ogóle żyje! Masz pojęcie, co to znaczy nie znać swojego dziecka? Zrobiliście wszystko, by mnie złamać, a ty nie kiwnąłeś palcem. Jak śmiesz teraz cokolwiek mi proponować?!

To prawda, prawda, myślał gorączkowo.

– Camilo, nie możesz mnie obwiniać o wszystko, co robiła moja matka. Nie powinnaś... – wyprostował się nagle. – To przeszłość, nie oglądajmy się za siebie, a Gabrielą sam się zajmę. Spróbujmy zrobić z tą ziemią coś sensownego. Nie daje pożytku od lat, zgadza się, ale nikt z nas nie chce, aby ten grunt dostał się w ręce korporacji albo jakiejś kompanii z końca świata. Wiem, że to, co mówię, brzmi jak wariactwo, ale przynajmniej przemyśl moją propozycję.

Deszcz przestał dzwonić o szyby, Camila nabrała powietrza i wypuściła je, oparła czoło o kciuki. Jej myśli krążyły po pokoju, objając się o sprzęty jak ślepy ptak. Leonardo pomyślał, że teraz położył się jak na tarczy i zaraz dostanie rykoszetem.

– Jeśli sobie ze mnie kpisz... – podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, dostrzegł w nich świeże pokłady nieufności. – Jeśli wystawiasz mnie na jakąś kretyńską próbę...

– Klnę się na pamięć mojego zmarłego brata, że to żaden podstęp. Moja propozycja jest poważna.

Sięgnęła po butelkę wina i nalała sobie pełen kieliszek. Jej dłonie drżały.

Co teraz? Leonardo zastygł w oczekiwaniu. Na miłość boską, co teraz Camila powie? Wlepił w nią wzrok, nie był zdolny się poruszyć ani głębiej odetchnąć, sytuacja go przerosła. Wydawało mu się, że to nieme oczekiwanie trwa całe wieki, aż w końcu Camila się odezwała:

– Tylko twoja bujna wyobraźnia mogła wygenerować taki chory pomysł. Zdajesz sobie sprawę, czym to grozi? Ale dobrze – oświadczyła. – Przemyślę to.

Przemyśle to, przemyśle, powtórzył słowa Camili, wymijając samochód zaparkowany na poboczu i wciskając pedał gazu. Wracał do quinty, a reflektory dżipa rozcinały smolistą czerń spowijającą drogę. Włączył muzykę, by odciąć się od tego wieczoru, zakończyć go już, pozostać przez chwilę w niezapełnionej czasoprzestrzeni. Czy dobrze zrobił, tego nie wiedział, może tak, a może nie, pochopnie rzucony pomysł mógł wywrócić jego życie do góry nogami i mógł je też zniszczyć.

Zaproponował Camili Hernandez współpracę, szalenie. Naprawdę powinna wyrzucić go z domu, on sam chyba tak by postąpił. Pogłodził muzykę, rytmiczne dźwięki działały kojąco. Mięśnie twarzy, napięte przez ostatnią godzinę, zeszywniały i teraz, gdy wreszcie pozwolił sobie na głębszy oddech, zdawało mu się, że pozbywa się gipsowej maski, że odpada ona od niego kawałek po kawałku jak pękający tynk. Ułożył usta w grymasie, rozciągnął je w uśmiechu, zmarszczył czoło i wygładził. Tak, teraz było zdecydowanie lepiej.

Sięgnął do kieszeni spodni, przez pomyłkę włożył tam serwetę, którą podczas posiłku trzymał na kolanach. Co za wstyd i żenada, kraść kawałek materiału. Musiała widzieć, jak z nim w pośpiechu wychodzi, pewnie zwisał mu z kieszeni jak ogon pawia, a jednak nie odezwała się słowem. Z grymasem obrzydzenia wyciągnął serwetę, miała plamę po winie w centralnym punkcie, a na krawędzi odcisk jego zatłuszczonych ust. Rzucił ją na tylne siedzenie, niech nie przypomina mu o popełnionej gafie, świadectwie jego przejęcia.

Dlaczego to zrobił, pomyślał po raz setny, po co zaproponował jej współpracę? Co z tego będzie miał oprócz kłopotów? Ziemia się marnowała, to prawda, a jego bolało, że leży tak odłogiem, poza tym Sophie... Nie ukrywajmy, pomyślał, szukając dla siebie usprawiedliwienia, chodzi głównie o Sophie, o jej palącą potrzebę. Czy nie powiedziała mu tego wystarczająco jasno? Siedzieli na patiu, dwa dni temu, gdy z ust Sophie wypadły te słowa, niechący, jak mu się zdawało. Moi rodzice od dawna się nie kochają, powiedziała ściszym głosem, nie myśl sobie, że mam takie sielskie życie. Mój ojciec i moja matka są jak dwa zimne kamienie. To trwa już od dawna, ich wspólne życie rozpadło się, pomiędzy nimi wszystko umarło, rozumiesz? I to ja jestem winna.

Nie miał pojęcia, że ich związek tak wygląda. Ani jego brat, ani Madalena nie zdradzali się przez lata. Zawsze żyli z dala od spraw quinty i całej rodziny. Antón i Madalena, Madalena i Antón, para doskonała. Co za ironia, pomyślał, że właśnie oni, którym tak niewiele zostało narzucone, oni też nie umieli zapewnić sobie szczęścia.

Dlatego Sophie potrzebowała pieniędzy, potrzebowała de facto pomocy, żeby zacząć życie na własny rachunek, to nie była dziecięca fanaberia. A jak

inaczej mógłby swojej bratanicy pomóc, jeśli nie w ten sposób? W gruncie rzeczy to było jedyne wyjście, ułatwić jej sprzedaż ziemi, nic mądrzejszego nie przychodziło mu do głowy. Poczul się lepiej, ciut lepiej niż przed chwilą, nie zaplanował tego wieczoru, a jednak może przyniesie on coś dobrego, może uda się rozwiązać problem dziewczyny albo ją chociaż pocieszyć, może ten wieczór nie pójdzie na marne.

To prawda, łączyła ich umowa, Winefordów i Camilę, i to prawda, że jego propozycja umowę tę anulowała. Nigdy nie był skłonny do tak radykalnych posunięć, nie lubił działać pochopnie, poddawać się impulsowi chwili, a jednak tym razem tak właśnie się zachował, dlaczego?

Pogłosił muzykę; gdyby tylko mogła zagłuszyć jego myśli. Nie mieli prawa przekazywać Sophie tego obciążenia, wciągać ją w rodzinny konflikt, jakby ona też zawiniła, jakby miała swój udział w tym kołowrocie wzajemnych niechęci. To byłoby nieuczciwe włączać ją do ich sporów, to byłoby smutne i głęboko niesprawiedliwe.

Zwolnił na rondzie, choć o tej porze nikt już nie poruszał się po drogach Cima Corgo. Podjechał pod górkę, rozświetlił ostatni zakręt na drodze prowadzącej do quinty i zaparkował przed domem. Drzwi nie były zamknięte, że też jego matka do tej pory nie nauczyła się zamykać domu na noc, czuła się tak bezpiecznie, choć Douro dawno przestało być miejscem zapomnianym przez świat, teraz kręciło się tutaj zbyt wielu obcych. Przeszedł do kuchni, wlał w siebie półtora litra zimnej wody. Jakże chciało mu się pić, uświadomił sobie teraz, pragnienie już od jakiegoś czasu wypalało mu wnętrze, sprawiało, że zaczynał myśleć monosylabami. Nie był głodny, chciał tylko pić, pić długimi, łapczywymi łykami, jakby ta woda miała wypłukać z niego wszelkie wątpliwości i wyrzuty sumienia, bo nagle właśnie one ze zdwojoną mocą zakiełkowały w tej puste, pachnącej przejrzałymi pomarańczami kuchni.

Czy dobrze zrobił, że wyciągnął do Camili rękę na zgodę? Co go napadło, co mu strzeliło do głowy, by usunąć dystans i pokonać zasieki, co powie matka, co powie Sophie i jak on się z tego im wytłumaczy?

Uchwycił swoje odbicie w szklanych drzwiach gabloty z porcelaną. Był blady, przeraźliwie blady, pod oczami dostrzegł ciemne krążki, jakby skóra w tym miejscu miała zamiar zapaść się w głąb ciała. Dotknął policzków, one też dziwnie się spłaszczyły, wygięty prawie do środka. Czy możliwe, żeby tak się zmienił w ciągu kilku godzin, żeby zmarniał w ciągu jednej, jeszcze nieminiowanej nocy?

Zgasił światło w kuchni i powłókł się do sypialni, gdzie rzucił się w pościel bez zdejmowania butów. Czy będzie mógł zasnąć teraz, gdy jest już po wszystkim, czekając na nowy dzień i nowy świt, czekając na decyzję Camili i jej ostateczne słowo? Schował twarz w poduszce. Była tak miękka, uczucie błogości przywołało na myśl spokojny, ciepły dzień, kiedy jako dziecko kładł się na trawie i nie myślał

o niczym konkretnym, pozwalał tylko, by trawa łaskotała jego rozgrzaną skórę.

Czasami z nadmiaru emocji robił się śpiący, zbyt dużo wrażeń wpędzało go w stan podobny jak po przedawkowaniu alkoholu, po prostu ścinało go z nóg. Teraz jednak sen nie przychodził, akurat gdy powinien przyjść szybko i łatwo, nie pojawiał się wcale. Powtórzył więc w myślach całą scenę od nowa, jak siedzą przy stole, on i Camila; już prawie zapomniiał, że zawsze gdy jest zdenerwowana, bawi się tym, co ma pod ręką, kręci pierścionkiem albo przekłada łyżeczkę, czasami zaplata palce, jakby je gimnastykowała. Gdyby ktoś spojrział z zewnątrz, mógłby pomyśleć: dwójka przyjaciół przy jednym stole w przyjemny piątkowy wieczór. Odwrócił się, spojrział na zegar, czwarta trzydzieści, a on nadal nie śpi. Jak przetrwa ten jutrzejszy-dzisiejszy dzień?

Chciałby zobaczyć, jak stara winnica odżywa, jak w ziemi pulsują młode soki. Czy nie czułby wtedy prawdziwej przyjemności? Nie rzucał słów na wiatr, naprawdę mógłby Camili użyczyć swojego zaplecza i wiedzy. To było wyzwanie, nie wątpił, ale takiego wyzwania właśnie pragnął. Ta wizja mocno go pociągała, nowe krzewy, nowe wino, nowe życie.

Uśmiechnął się pod nosem, wieczór z Camilą wydarzył się naprawdę. Uszczypnął się dwa razy i poczuł rosnące podniecenie podobne do tego, jakie odczuwa się tuż przed startem samolotu, kiedy chce się, by samolot wreszcie uniósł się w górę na bezpieczną wysokość. Jak niewiele było trzeba, by poczuł się odrodzony. Już nic nie zdawało mu się trudne.

Usiadł na łóżku. Gdyby został u niej, zamiast wracać tak bez sensu po nocy, mógłby teraz pójść do jej pokoju, skarżąc się na brak snu. Połóż się i zaczekaj, powiedziałaaby, aż sen przerwie ten twój ciąg myśli, unieszkodliwi je, zanim rozwiną się i staną niebezpieczne, i zanim zażądatają, byś przemienił je w czyny. Tak mogłaby powiedzieć, tak powiedziałaaby dawniej.

Podniósł się, przeciągnął, rozkładając ręce na boki i podnosząc je w górę, potem gwałtownie je opuścił, jakby nagle wypadły z zawiasów. Szczepił dłonie i zamachnął się raz w prawą i raz w lewą stronę, znowu przeciągnął i zrobił piętnaście przysiadów. Włączył radio, spiker zapowiadał nowy dzień.

Normalnie o tej porze jeszcze by spał, ale dzisiaj nic nie było normalne. Przebrał się i nie zwlekając, ruszył do winiarni.

Musiał przyznać, że ostatnio nieco zaniedbał swoje obowiązki, zrzucając całą odpowiedzialność za funkcjonowanie firmy na swojego zarządcę. Wszystko jednak szło zgodnie z planem, wino fermentowało już w ogromnych beczkach, a porto było do nich zlewane. Podziękował w duchu Tiagowi i Euricowi, nie każdy mógł liczyć na tak zaufanych ludzi.

Nie był zmęczony. Z jakiegoś powodu nie odczuwał skutków nieprzespanej nocy, a ten nagły przypływ energii napawał go dumą i kazał myśleć, że zdrowie ma jak nastolatek. Czy nie tak właśnie się czuł, gdy był młody, gdy sen, posiłek i czas

nie miały większego znaczenia? Uśmiechnął się do siebie, teraz też czuł się młodo. Mógł nie spać całą noc i nie tracić kondycji, mógł pracować, nie jedząc śniadania, mógł folgować swoim zachciankom. Napiął mięśnie, ramiona miał nadal silne, rozbudowane, doprawdy nie było z nim źle.

Wciągnął w płuca rześkie powietrze, nienasycone jeszcze zdarzeniami dnia, czyste i czekające na wypełnienie. Na dziedzińcu zaczynał się ruch, pierwsi pracownicy szykowali się do wyjścia na zbocze. Mieli obcinać liście winorośli, owoce były już zebrane. Roztarł lekko zdrętwiały kark i odetchnął głęboko. Miniony wieczór uznał za sukces. Po raz pierwszy od lat siedział z Camilą przy jednym stole w pokojowej atmosferze, po raz pierwszy od lat tak długo z nią rozmawiał. Czuł się dobrze, czuł się swobodnie. Nie strofował się w myślach, nie dobierał słów, nie ukrywał intencji. Był sobą. Czy to właściwe? Nie miał pojęcia i na razie wolał się nie zastanawiać, kolejny ruch należał do niej. Ponownie roztarł kark, czując narastające odrętwienie. Kiedyś miewał potworne migreny, jeśli nie zdążył w porę zażyć tabletki, chorował cały dzień. Miał nadzieję, że teraz to się nie zdarzy. Powrócił myślami do Camili. W gruncie rzeczy to okoliczności wywołały ten wielopiętrowy konflikt, którego złożoność zawsze przyprawiała go o dreszcze. Gdyby jego matka zachowała choć trochę obiektywizmu... Westchnął. Ona i Camila były jednak jak dwa meteory, którym grozi nieuniknione zderzenie, nie widział tu większych szans na współistnienie.

– Synu! Zastanawiałam się właśnie, czy jeszcze śpisz. – Gabriela przywitała Leonarda.

– Nie śpię, jak widać, wstałem dawno temu.

– No proszę, a ja posądzałam cię o dekadentyzm.

– Sophie, co ci się stało? – Wuj spojrział zdziwiony na moją obandażowaną dłoń.

– To, ach, taki mały incydent – mruknęłam.

– Drobne skaleczenie – dodała Gabriela. – Nic, nad czym trzeba załamywać rękę.

– W takim razie, moje drogie panie – Leonardo obdarzył nas uśmiechem od ucha do ucha – co powiecie na poranne *pastéis de nata*? Mój niezawodny wędch mówi mi, że wylądują tu zaraz na stole.

– Coś taki rozkoszny, synu, noc cię nie zmęczyła?

– Nie, a czemu miała zmęczyć. Ty też dobrze spałeś?

– Coś w tym rodzaju, robiłam te, no... porządki.

– Porządki, mówisz? Ha, ja wręcz przeciwnie, ja świętowałam. – Wyszczrzył zęby.

– Telefon do pani – Benedita wychyliła się z okna. – Senhor Filipe dzwoni.

– O tej porze? – Gabriela podniosła się niechętnie i podreptała do środka. Leonardo zajął jej miejsce.

– Leonardo... – spojrzałam na niego. – Wyglądasz jakoś inaczej.

– Masz na myśli te worki pod oczami?

– Worki masz, faktycznie! – zmrużyłam oczy, by przyjrzeć mu się baczniej.

– Ale oprócz tego jesteś jakiś taki, jak by to ująć... zadowolony?

– Tak, być może jestem zadowolony – wyjął swoje przeciwsłoneczne okulary z kieszeni koszuli i założył na nos. Potem nonszalancko zarzucił nogę na nogę. – A niby czemu miałbym być niezadowolony?

– Nie wiem, zwyczajnie...

– Zwyczajnie jestem smutny? No, moja droga, ty chyba jeszcze mnie nie znasz. Nie jestem marudą, wręcz przeciwnie, naturę mam poczciwą i radosną. – Sięgnął po jedną z babeczek, które faktycznie za sprawą Benedity znalazły się na stole, ugryzł spory kęs.

– Babcia zrobiła naprawdę porządku, sprzątnęła niebieski pokój, wiesz który.

Leonardo uniósł brwi:

– Sprzątnęła niebieski pokój? Poważnie?

– *Sim.*

– Zrobiła to sama?

– Nie całkiem. Filipe jej pomagał.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Właśnie mi powiedziała.

– Dzieją się tu naprawdę dziwne rzeczy – cmoknął. – To pewnie objaw zdrowienia jej duszy. Hołubiła ten pokój dostatecznie długo, uwierz mi, sam musiałem się powstrzymywać, by nie wejść tam z miotłą i ścierą.

– Chciałabym, żeby tak było, żeby babcia spojrzała w przyszłość, zamiast żyć tym, co minęło – westchnęłam. – Dużo ostatnio na ten temat rozmawialiśmy.

– Rozmawialiście? Hmm, wiesz, Sophie – przeciągnął się i rozprostował wszystkie kończyny. – Chciałbym jakoś cię pocieszyć, zapewnić, że wkrótce życie znowu będzie zwyczajne. Chociaż odkąd to w naszej rodzinie cokolwiek jest zwyczajne albo oczywiste – zaśmiał się. – Może jesteśmy dziwaczną rodziną – dodał – ale cóż, rodziny się nie wybiera. Ja też wykonałem pewną operację. – Ściszył nagle głos i nachylił się nad stołem. – Byłem wczoraj u Camili, niech mnie kule biją, jeśli to nie był dobry pomysł. Zaproponowałem jej współpracę, jeśli kupi twoją ziemię.

– Co?! – omal nie zakrztusiłam się wrzawką.

– Ciii – położył palec na ustach i uśmiechnął się szelmowsko. – Bądź cicho. Chciałem tylko zapytać cię o zdanie, nie chcę, by zaraz wszyscy się dowiedzieli.

Przełknęłam herbatę.

– Pomyślałem, że Camila jednak mogłaby nabyć twoją działkę, obsadzić ją

winoroślą i zacząć razem ze mną produkować *port wine*. Dobry pomysł?

– Ale... – nie wierzyłam własnym uszom. – Przecież sami przekonywaliście mnie, że ona nie może kupić tej ziemi, babcia w życiu się nie zgodzi!

– Och, nie przesadzaj. – Zmarszczył nos. – Weź pod uwagę, że ostatnio wiele się zmieniło. I jeszcze babka rozprawiła się z pokojem. To wszystko dobrze wróży. Poza tym mam dosyć biegania w przykrótkich spodniach.

– A to znaczy?

– Że zamierzam wziąć sprawy w swoje ręce.

Zachichotałam nerwowo.

– Przepraszam, Leo, ale to dla mnie jakieś nierealne. Chcesz robić z Camilą porto? Chcesz z nią pracować?

– Chcę. Jakem Leonardo, syn twego dziadka Thomasa i potomek Johna Wineforda. – Walnął się w pierś. – To jak, zgadzasz się sprzedać swojej ciotce tę ziemię? Nie zastanawiaj się długo, trzeba kuć żelazo, póki gorące.

– Ale skąd ten pomysł... przecież raz już udaremniście tę transakcję, nie chcieliście mieć Camili pod bokiem, przeszkodziliście jej...

– Jak mówię, nastąpiły pewne zmiany. Nasz ogląd sytuacji się zmienił. Nie znaczy to oczywiście, że Hernandez zaraz zjawi się tu na obiedzie, broń Boże.

– Nie rozumiem. Dlaczego chcesz to zrobić?

– Sam nie wiem dlaczego...

– Bo powiedziałam ci o swojej sytuacji?

– Poniekąd. – Upił łyk kawy. Spojrzał na mnie z satysfakcją. – Tego nie spodziewałaś się po starym wuju, ha.

– Naprawdę pozwoliłaś jej tu działać? Nie wierzę.

– Och, Sophie, przestań już. Nie wiem, co z tego wyjdzie, to taki spontaniczny pomysł. Zresztą masz jakiś lepszy? Zobacz, ziemia będzie nadal rodzić winogrona, nic się nie zmarnuje.

– Powiesz Gabrieli? – sprowadziłam go na ziemię.

– Ach, Gabriela – przetarł czoło, jakby wycierał pot. – Matka rzuci mi się do aorty, ale nie mam innego wyjścia. Będę musiał przez to przejść, tak jak przechodzi się przez tajfun.

– Suchą nogą ci się to nie uda.

– Przynajmniej spróbuję, moim kołem ratunkowym jesteś ty.

– Ja?!

– Tak jest, Sophie. Pomyśl tylko, teraz wiem, jakie masz problemy, i wiem, że potrzebujesz wsparcia. Naświetlę to odpowiednio. Kto inny powinien ci pomóc, jeśli nie my, twoja bliska rodzina? No powiedz sama.

– Mówisz o babci, sam wiesz, jaka jest. No, a Camila nie miała żadnych obiekcji?

– Camila... – Leonardo poruszył się nerwowo. – Jeszcze nie wyraziła zgody.

– Co macie takie dziwne miny? – Gabriela złapała nas w pół słowa. – Babeczki Benediccie nie wyszły?

– Są pyszne. – Sięgnęłam zmieszana po najbardziej wypieczone ciastko. – Nawet w Lizbonie takich nie jadłam.

– Lizbona nie jest pępkiem świata. – Babka wydeła wargi. – Jeśli nie macie nic przeciwko towarzystwu, to zaraz przyjedzie tu Filipe. Chce mi oddać coś, co wczoraj przez pomyłkę zabrał.

– Mnie już tu nie ma. – Leonardo podniósł się, mrugnął do mnie, a potem uściskał matkę i ucałował ją soczyście, po portugalsku, w oba policzki. – Zobaczymy się później.

– Co mu się stało? – Gabriela ze zdumienia otworzyła usta.

Przewróciłam oczami.

– Nie jestem pewna, babciu. Ale już zaczynam się bać.

– Wczoraj, kiedy robiłaś porządki, zabrałem coś z pokoju Horacia – powiedział Filipe, kiedy już zajął miejsce obok Gabrieli. Całą noc bił się z myślami, czy dobrze zrobił i czy nie było to nadużycie, ta jego samowola. Wniosek był oczywisty: przesadził.

– Gabrielo – westchnął – musisz mi wybaczyć, ale ja bardzo się o ciebie boję. Od jakiegoś już czasu wyglądasz na przemęczoną, chodzisz zamyślona, a kiedy zobaczyłem cię wczoraj w niebieskim pokoju... w tym całym ferworze... Słowo daję, martwię się. Zostaw przeszłość taką, jaka jest, jeśli ma ona nad tobą nadal władzę. Inaczej wykończysz się, to pewne jak w banku. Po co ci było targać te pudła, te zakurzone szpargały, te zdjęcia sprzed półwiecza, na nowo rozważać, przeżywać...

– Filipe, mówiłam ci, musiałam to zrobić. Zwlekałam zbyt długo, złe rzeczy działy się przez tę moją ociężałość. Nie można tak dać się opętać. Widziałeś ten pokój, wyglądał inaczej niż kiedyś, zasłona naderwana, bród wdeptany w dywan, ten pokój naprawdę sprawiał smętne wrażenie.

– To prawda. Gdy tam wczoraj wszedłem, pomyślałem, że wygląda jak niedopieczzone dziecko.

– Sam widzisz. To było konieczne. Filipe, chciałabym zdążyć zrobić jeszcze coś dobrego w tym czasie, który mi pozostał.

Oparła głowę o zagłówek wiklinowego fotela, gotowa pomilczeć bez słowa.

– Gabrielo – Filipe zaczerpnął powietrza. – Tylko nie złość się na mnie, obiecaj.

– Słucham? – Spojrzała na niego z niechęcią. – A czemu miałabym się złościć?

– Zobacz – wyciągnął dłoń w jej stronę. – Zabrałem to, kiedy przeglądałaś

zeszyty, włożyłem w kieszeń, gdy nie patrzyłaś.

– Pokaż, co tam masz. – Wysunęła się trochę z siedziska. – Zabrałeś zdjęcie?
– zdziwiła się. – A po co? Dałabym ci sama, jeśli tak ci się podoba... – urwała. –
Co to jest?

– Wiesz dobrze, Gabrielo, znasz tę fotografię. Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli ją zabiorę i oddam innym razem.

Znała to zdjęcie, oczywiście. Stare zdjęcie o ziarnistej fakturze, zrobione pierwszym polaroidem. Camila młoda i dumna, w bluzce w kropki. Gabriela widziała ją w tym stroju również w tamten dzień. Obok niej Horacio, oplata ją ręką w pasie, tak bezwstydnie, tak jawnie...

– Daj to. – Wyciągnęła po nie rękę. Chciałaby wymazać twarz kobiety, która wkradła się w jej życie i je zrujnowała, chciałaby tę twarz wymazać z negatywu, tak jak wymazuje się zbędne słowo gumką. Wzdrygnęła się, milion lodowych drzazg spadło na jej ciało. Przymknęła oczy, gdzie całkiem blisko płakało dziecko. Czyje dziecko i dlaczego płacze? Ach nie, to tylko tamto wspomnienie. To Leonardo stoi na patiu, dziecko jest na jego rękach, płacze, bo jest głodne. Ale Leonardo wcale nie wygląda jak jej syn, jego twarz jest zacięta, oczy zimne i oskarżające. Co teraz, zwraca się do niej z wyrzutem. Co teraz zamierzasz zrobić?

Wszystko jest ustalone, uspokaja ona i siebie, i jego. Wszystko przecież omówiliśmy, niedługo dziecka już tutaj nie będzie. Przez kilka chwil Gabriela myśli tylko o tym, że dziecka niedługo nie będzie. Leonardo rozmywa się w miodowych promieniach słońca padających na patio, a Gabriela przeciera oczy ze zdumienia. Mogłaby przysiąc, że ta scena rozegrała się niedawno. Może dzień, może miesiąc temu. Jeszcze czuje ciężar dziecka w swoich ramionach, jeszcze widzi złowrogie spojrzenie Leonarda.

O nie, kochana, Gabriela prostuje się nagle, trzeba z tym skończyć raz na zawsze, skutecznie pozbyć się brzemia. Nie uda ci się to, nie uda, raptem jakiś obcy głos zaczyna dźwięczeć jej nad uchem. Dlaczego miałabyś to zrobić, dlaczego masz wybaczyć, takich rzeczy się nie przebacza, nie zapomina, nie puszcza płazem... Gabriela ma wrażenie, że to rój os nagle skądś nadleciał i teraz czeka tylko, by wdrzeć się do jej głowy i założyć tam gniazdo. Jeśli pozwoli im uwić gniazdo we własnej głowie, już nigdy się go nie pozbędzie, już nigdy się nie wyzwoli. I nagle przed oczami stają jej rodzice. Matka zawsze ubierała się tak starannie, kochała ładne stroje, a obok ojciec, w wysokich butach, które zwykł wkładać do jazdy konnej. Ich twarze są łagodne, jasne słońce oświetla ich od tyłu. Gabriela czuje, jak ogarnia ją poczucie szczęścia płynące ze wspomnień. Wyteża słuch, zwabiona szmerem rozmów z dzieciństwa, to odgłosy rodzinnego domu, zapach kuchni, potraw, ciepłego chleba i barszczu z komosy, słodki aromat wanilii, który przywołuje jej na myśl mazurki wielkanocne, siedzą wszyscy przy stole, ona i rodzice... Tak ich zapamiętała, ojca i matkę, jasnych, spokojnych, tak chciała ich

zapamiętać i taka chciałaby być teraz ona sama.

Obraz rozplywa się i Gabriela spogląda znowu na Filipe. Dobry, stary przyjaciel chciał oszczędzić jej cierpienia. Nie musiał się bać, niepotrzebnie tak się przejmował. Przecież nie zmieni już zdania i będzie dzielna, ona, Gabrysia Wineford. Jakiś wewnętrzny głos obiecuje jej zmianę na lepsze, a ona musi mu uwierzyć.

– To tylko zdjęcie – mówi, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Nie boję się zdjęć, Filipe. To zwykły kawałek papieru, nie może za wiele powiedzieć i zbyt dużo odsłonić. Nie myślałeś chyba, że coś takiego mi zaszkodzi.

– Obawiałem się.

– Niepotrzebnie. Już sobie z tym poradziłam. Camila przestała być dla mnie zjawą z przeszłości. Horacio też więcej nie przyjdzie, nie pojawi się w tym domu, zajmie się wreszcie swoimi pozaziemskimi sprawami. Wiem to, czuję podskórną, że tak właśnie będzie. Ach, zapomniałam, ty mi nie wierzysz – zauważyła kwaśną minę przyjaciela. – Nie wierzysz mi, ale to nie ma już znaczenia. Leonardo też by nie uwierzył ani Sophie. Powiem ci więcej, Filipe – ściszyła nieco głos. – Myślałam dużo i teraz wydaje mi się, że bardziej niż do Camili miałam pretensję do Horacia. Za to, że umarł tak młodo, że pierwszy odszedł z tego świata, bez uzasadnienia i w tak bezsensowny sposób. Ja chyba bardziej niż Camilę winiłam mego syna i do niego miałam największy żal, ale to ona była żywa i ją było łatwiej oskarżać.

– Duszko – westchnął Filipe. – Jest takie stare przysłowie chińskie: Kto szuka zemsty, musi wykopać dwa groby.

– Być może, być może tak właśnie jest. – Zaplotła ręce na kolanach. – W każdym razie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Liczę, że mi pomożesz – spojrzała na niego pytająco, ale ponieważ tym razem się nie odezwał, dodała: – Gdy ostatni raz byłeś u Camili, nie udało ci się zdziałać zbyt wiele, dlatego teraz musisz tam zawieźć mnie.

– Myślałem, że to mamy już za sobą – jęknął.

– To nie tak, jak myślisz, mój drogi. Nic z tych rzeczy. Lepiej przysuń się tutaj bliżej – kiwnęła na niego konspiracyjnie. – I zanim zaprotestujesz, posłuchaj.

Musiałam znaleźć Leonarda, zostawił mnie z tą informacją tykającą jak bomba. Czy naprawdę sytuacja zmieniła się aż tak bardzo, czy stała się na tyle jasna i bezpieczna, że można było podejmować tak ryzykowne kroki? Wysłałam na dziedziniec, wuj nie odszedł daleko. Sprawdzał system, z którym ponoć eksperymentował od zeszłego roku, a który pozyskiwał wilgoć z powietrza. Winorośl nie była sztucznie nawadniana, ale tym najmłodszym roślinom, sadzonym pomiędzy starymi krzewami, woda mogła dobrze zrobić. Sprawdzał

teraz, czy nawilżone krzewy rosną lepiej.

– Nadal to dla mnie dziwne – powiedziałam, gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od wścibskich uszu babki. – Nie pomagałaś Camili, kiedy wszyscy wytykali ją palcami, oskarżając o śmierć Horacia, nie pomagałaś, gdy została sama, pozwalałaś ją izolować przez wiele lat, a teraz proponujesz jej wspólne działanie? To nielogiczne.

– Sophie, bardzo to uprościłaś, poczekaj – schylił się i sprawdził jedną z niby-misek, zainstalowanych w ziemi. Długo nie odpowiadał, intensywnie nad czymś myśląc. Wreszcie się podniósł. – Kiedy mój brat zginął, Camila wpadła w depresję. Straciła panowanie nad swoim życiem, była jak zranione zwierzę, które nie potrafi nikomu zaufać. Przerastało ją wykonywanie nawet najprostszych czynności, zaniedbała dziecko.

– To chyba zrozumiałe... dlaczego więc jej nie pomog-łeś? Jak mogłeś pozwolić, by tak cierpiała?

– Nie mogłem jej pomóc. Przyznaję, nawet nie próbowałem. Uznałem, że ta pomoc będzie z góry odrzucona, że ona nie zechce z niej skorzystać, choćby znalazła się na samym dnie piekła. Nawet teraz myślę, że ona tej pomocy by wtedy nie przyjęła... Zresztą – wyjaśnił – ja sam byłem przybity i otępiały, nie potrafiłem sensownie myśleć. Byłem zaślepiony... zaślepiony ze złości.

– Byłeś wściekły? Dlaczego? Na kogo?

– Najpierw na Horacia. Gdy Horacio zamieszkał z Camilą, gdy w niej się zakochał... och, nie podobało mi się to.

– Wiem, Leo, babcia już mi powiedziała, nikomu z was to się nie spodobało. Sądziliście, że Camila jest zachłanna i obłudna i wcale nie kocha Horacia.

– Nie całkiem to miałem na myśli. – Zrobił kilka kroków w górę ścieżki. – Wiesz, że kiedyś wbiegałem tu na jednym oddechu? Ciekawe, czy teraz dałbym radę choć do połowy, może jestem starszy, a może to zbocze bardziej się wybrzuszyło. Sophie... – zatrzymał się nagle – posłuchaj, nie podobało mi się, że oni są ze sobą, nie podobało mi się, że mój brat chce zamieszkać z tą kobietą, że chce dzielić z nią życie ani to, że ona chce tego samego, a przynajmniej tak jej się wydaje. Strasznie mi się to nie podobało, dlatego byłem wściekły.

– I co zrobiłeś?

– Zacząłem namawiać Horacia, by od niej odszedł, by ją porzucił, zresztą matka przecież chciała tego samego. Przekonywałem go, że im się nie uda, że będzie żałował swojej głupoty, że zmarnuje sobie życie, karierę. Wyrzucałem mu, że postąpił paskudnie, rezygnując z Kate, że był draniem, łajdakiem bez grama przyzwoitości... Używałem wszelkich możliwych argumentów, wciskałem mu do głowy najdziwniejsze rzeczy...

– Leonardo, to ona, prawda? – przerwałam mu.

– Co? Jaka ona?

– To Camila była twoją wybranką? I to w niej byłeś tak szaleńczo zakochany, powiedz – wlepiłam w niego wzrok. – A Horacio był wytrwalszy od ciebie, zrobił coś, na co ty się nie odważyłeś. Zabrał ci ją sprzed nosa i dlatego byłeś wściekły?

Milczał.

– A potem jeszcze ją zostawiłeś... w depresji, z małym dzieckiem? Leonardo, byłeś idiotą, prawdziwym idiotą.

– Przestań, do cholery! – zakasłał spazmatycznie. Odsunęłam się trochę na bok, wyglądał, jakby chciał udusić mnie gołymi rękami albo raczej jakby już to zrobił. – Wiem, że wszystko spieprzyłem. I wstydę się tego – zmełł gniew między zębami. – Nie stanąłem po stronie Camili i ona mi nigdy tego nie wybaczy. Ale ubodło mnie, że ona ze mnie zrezygnowała, a Horacia przyjęła. Spotykaliśmy się długo przed tym, zanim ją zapoznałem z Horaciem. Powinna być ze mną, to ja byłem pierwszy, ja ją znalazłem, a ona... – spojrzał w słońce, mrużąc oczy. – Masz rację. Kiedy mówiłem ci o swojej jedynej prawdziwej miłości, miałem na myśli Camilę Hernandez. Podobała mi się, na Boga, jak ona mi się podobała. Była tak inna od kobiet, które znałem wcześniej. Przy niej wydawało mi się, że moje marzenia dotknęły rzeczywistości, więcej, one z nią się pokryły. A potem nagle straciłem wiarę, że może się nam udać. Byliśmy tacy młodzi i tacy niepewni siebie. Rozstaliśmy się. Horacio był wytrwalszy, cholerny Horacio był wytrwalszy ode mnie. Kiedyś zobaczyłem ją śpiącą na kanapie... zasnęła ze zmęczenia, zwinęła się w kłębek. Pamiętam, wyglądała jak dziecko, chciałem jej powiedzieć, ile dla mnie znaczy... Nie zrobiłem tego, już nie miałem prawa. W tamten wieczór zrozumiałem jednak, jak potężny błąd popełniłem. I że nigdy nie zdołam go naprawić.

– I co było dalej?

Spojrzał gdzieś przed siebie, suchy wiatr szarpnął jego koszulą.

– Niedługo się pobrali.

Odsłoniła go, zdemaskowała całkowicie. Dlaczego dał się wciągnąć w tę rozmowę, przecież dobrze wiedział, że jeśli powie jedno słowo, będzie musiał dokończyć całe zdanie, i proszę, stało się.

Przypomniawszy sobie tamten czas. Pobrali się, Camila i Horacio. A on, Leonardo, uświadomił sobie, że to nie jest kwestia tego, czy sobie poradzi, czy da sobie radę i że może jakoś tam będzie. Znalazł się w potrzasku, bo nagle wszystko, co jej dotyczyło, wszystkie z nią rozmowy, wszystkie ich spotkania zatoczyły krąg i utworzyły mur, uniemożliwiając Leonardowi jakiegokolwiek działanie. Czuł się ociężały, przygnębiony, niezdolny do podejmowania decyzji. Doskwierał mu niemal fizyczny ból istnienia. Nie mógł wykonać żadnego ruchu, każdy wydawał

się zły, a większość i tak niemożliwa do zrobienia. Miał wrażenie jak we śnie, gdy biegniesz i nie możesz biec, przyspieszasz i nadal stoisz w miejscu, bo tak naprawdę nogi zaplątały ci się w kołdrę, bo naprawdę coś przeszkadza ci poruszać stopami.

Jego myśli stały się dotkliwie ciężkie. Atakowały go od pierwszej sekundy po przebudzeniu aż do ostatniego oddechu przed zaśnięciem. Jego głowa nie była już jego głową, czuł, że nawet jego myśli nie są jego myślami, są pożyczone, nie należą do niego. Nigdy taki nie był.

Przestał też odczuwać przyjemność. Nie wiedział, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że jest im przyjemnie albo że coś sprawiło im przyjemność. Czy to znaczy, że czuli się dobrze? On nie czuł się dobrze od dawna.

Patrzył na otoczenie, patrzył na winnice i wzgórze i wcale ich nie widział. Patrzył na ludzi, rozmawiał z nimi, ale robił to mechanicznie, bez żadnego zaangażowania. Przyzwoitość nakazywała, by czuł się wdzięczny za zbiory, za udane porto, za swoje niezawodne zdrowie. Ale nie mógł, choć próbował, i tłumaczył sobie jak dziecku, zobacz, dlaczego cię to nie raduje, dlaczego nie umiesz docenić tego, co masz, inni mają gorzej, inni cierpią bardziej, każdemu zdarzają się jakieś nieszczęścia, zobacz, ile jest prawdziwych tragedii, ilu ludzi jest samotnych, ilu opuszczonych, a teraz spójrz na siebie i powiedz, jak możesz być nieszczęśliwy, mając to wszystko, co masz? Nie bądź hipokrytą, przestań użalać się nad sobą, nad swoim losem, to ty dałeś za wygraną, to twoja wina, weź odpowiedzialność za swoją głupotę i przestań rozklejać się jak baba.

Czasami siadywał wieczorem na werandzie i kiedy Gabriela poszła już spać, rozmyślał nad swoim życiem. Zagłębiał się w najbardziej mroczne zakątki swej duszy, a im dłużej to czynił, tym bardziej stawał się przygnębiony. Aż zaczął pić. Dużo, często i po kryjomu. Pił dotąd, aż nie mógł już w siebie wlać nawet jednej kropli więcej.

Nie mógł tego dłużej ciągnąć.

Musiał zmienić swoje życie, porzucić dotychczasowe, żeby już nic nie mogło mu przypominać o poniesionej stracie. Musiał się od tej kobiety odciąć fizycznie. Nie powinien pozostawać dłużej w quincie. To miejsce go zabijało, powoli, systematycznie, i bardzo skutecznie. Chciał uczynić jakiś zdecydowany ruch, czuł, że jeśli tu pozostanie, to zwariuje albo zginie.

Podcięte skrzydła. Wiedział, że mogły się zrosnąć, na Boga, wiedział o tym. Wystarczyło tylko wszystko rzucić i uwolnić się w sposób taki, w jaki uwalnia się od demona nałogu – raz i na zawsze.

Ale nie zrobił tego. Nie zmienił nic w swoim życiu, nie uczynił żadnego z planowanych ruchów. Po prostu poczekał, aż ból zelżeje na tyle, żeby można go tolerować. Tak, jak toleruje się ziarenka piasku w przyciasnych pantoflach.

– Czy dlatego teraz do niej pojechałeś? Dlatego zaproponowałeś jej współpracę? – wyrwałam go z zamyślenia.

– Że niby z powodu naszych dawnych uczuć? – Zaśmiał się, próbując nieskutecznie ukryć wzruszenie. – Nie wiem. Sophie, to już minęło, to było wiele, wiele lat temu. Pojechałem do niej, bo chciałem się dowiedzieć, dlaczego zdecydowała się na kupno działki, dlaczego nagle się pojawiła. Nie planowałem współpracy, nie jechałem tam z propozycją na dłoni, absolutnie tak nie było. Czy tobie nie zdarzyło się nigdy zrobić czegoś, czego nie planowałaś? Czasami człowiek zachowuje się nieracjonalnie... – przerwał.

W jego zapewnieniach pobrzmiwała nieszczerłość. Pomyślałam, że ta nieszczerłość aż wbija mu się w usta. Czy naprawdę sądził, że minęło to, co zdarzyło się wiele, wiele lat temu?

– Chcesz powiedzieć, że nic już do niej nie czujesz?

– Sophie, na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi... a już na pewno nie odpowiem na nie teraz – wykręcił się.

– Wiem. Moi rodzice też nie czuli się na siłach, żeby o czymkolwiek rozmawiać, a potem zamilkli na całe lata i milczą do dzisiaj. Nie wyobrażasz sobie, jak trudno się żyje w takim domu, to jest tak, jakby oddychać zatrutym powietrzem, nie ma od tego ucieczki.

– Przykro mi, Sophie, ale wiesz, że próbuję ci pomóc. Jesteś o krok od zwycięstwa.

– Leo, ale ja nie chcę, żebyś wchodził z Camilą w konszachty tylko ze względu na mnie i z mojego powodu, żałowałbyś tego potem bardzo.

– O to się nie martw – zapewnił. – Nie jestem aż takim altruistą. W pierwszej kolejności zawsze widzę czubek własnego nosa.

Zadzwoiła nazajutrz wieczorem, gdy siedział przy kolacji. Odebrał z ustami pełnymi klusek, bo bał się, że zaraz się rozłączy.

– Upewnij mnie, że nie chcesz działać na moją szkodę – powiedziała. – Nie podejrzewam cię o zbytnią przebiegłość, po prostu nie rozumiem, skąd ci to przyszło do głowy i jaką chcesz odnieść korzyść.

Fala wstydu zalała mu twarz i sprawiła, że coś w nim zakipiało. Nie ufała mu, mógł się tego spodziewać, teraz zmusi go, by się przed nią kajał, by przekonywał ją i błagał. Tak bardzo chce go upokorzyć? Czar przysł, a wraz z nią nadzieja. Wstał od stołu, by nie zdradzić swych uczuć. Za późno, Gabriela spostrzegła zmieniony wyraz jego twarzy, zacięte usta i rozlewającą się na policzkach purpurę.

– Nie działam na twoją szkodę – syknął w słuchawkę. – Chcę zrobić coś

sensownego z ziemią, a tobie ten kawałek pasuje, sama mnie do tego przekonywałaś.

– Co chcesz w zamian, ile to będzie mnie kosztowało?

Przełknął nadmiar śliny, która nagle napłynęła mu do ust. A więc o to jej chodzi, pomyślał z wściekłością, uważa, że chce ją kupić, że chce pieniędzy, podziękowań, a może i podziwu za swoją wielkoduszność. I jak mam ją teraz przekonać, rzuciła we mnie jawną obelgę, a ja mam udawać, że tego nie widzę?

– Zwariowałaś? – starał się opanować głos. – Niczego od ciebie nie oczekuję, nie liczę na żaden zysk. Nie wszyscy na świecie są tak interesowni.

– Jak ja? To chciałaś powiedzieć? Zawsze w ten sposób o mnie myśleliście, jako o kimś interesownym, wszyscy Winefordowie tak właśnie o mnie myślą. Kupię tę ziemię, a wy powiecie, że udało mi się wreszcie wykorzystać sytuację i wejść w posiadanie waszej własności.

– Camilo, nie mogę ścierpieć jednej rzeczy. W tym twoim wykładzie na temat naszej podłości nie mogę znieść, że wrzucasz nas do jednego worka. Ja nie jestem wszystkimi Winefordami, oddziel mnie wreszcie od tej bliżej nieokreślonej ludzkiej masy. Jak mam udowodnić, że składam ci uczciwą propozycję, jeśli ty oceniasz mnie tak, jakbym był... – szukał odpowiedniego słowa – jakbym był najgorszą z kanalii.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Uznał to za świadectwo potwierdzające jego przypuszczenia: Camila naprawdę tak o nim myślała. Po tylu latach nie umiała już dostrzec w nim prawdziwego Leonarda, był dla niej tylko jednym z wielu przeklętych Winefordów.

– Jesteś męczący, Leonardo – powiedziała wreszcie cicho. – A ja mam mętlik w głowie, nie wiem, co o tym myśleć.

Więc nie myśl!, chciał wykrzyknąć w słuchawkę, po co zadręczasz się podejrzeniami, po co zatruwasz sobie nimi głowę, dlaczego nie chcesz mi zaufać?! Chciałby ją objąć i pocieszyć, zapewnić, że wszystko się ułoży, że mogą dokonać czegoś razem, mogą poznać się na nowo, pomimo wcześniejszych trudnych doświadczeń mogą zrobić to jeszcze raz.

– Przez całe wieki mnie ignorujesz, a potem przyjeżdżasz tutaj osobiście i jak gdyby nigdy nic rzucasz mi na stół tę propozycję. Chcesz, bym zrobiła coś, za co wcześniej powiesiłbyś mnie na suchej gałęzi. Kto by to zrozumiał, co?!

– Camilo, posłuchaj... – wstrzymał oddech, to mógłby być ten moment, teraz mógłby ją zapytać, czy nie chciałaby dać mu drugiej szansy. Mogłoby przecież spróbować. Co masz do stracenia, co cię powstrzymuje, Leo?, zapytała go niedawno Sophie. Tak właśnie teraz myślał: co miał do stracenia, co mógłby jeszcze stracić? Skoro wiele lat temu stracił Camilę, już nic gorszego nie mogło mu się przytrafić.

– Chciałbym ci powiedzieć – zaczął, wypuszczając powoli powietrze. Teraz

powie wreszcie, co się z nim dzieje. Szukał naprędce słów, zaraz wyfruną z jego ust, gładkie i przekonujące... ale to Camila odezwała się pierwsza.

– Zadzwoń jeszcze później, muszę pomyśleć – mówiła nerwowo, jakby przeczuwała, że słowa Leonarda pociągną za sobą kolejne, bardziej niebezpieczne, trudniejsze do wysłuchania. – Dobrej nocy – dodała, a potem sygnał się urwał.

Stał chwilę w osłupieniu. Tak łatwo pozbawiła go złudzeń, przecięła rozmowę swoim krótkim „dobrej nocy”, jakby wymiana zdań między nimi była nieprzyjemnym wrzodem, wymagającym natychmiastowej interwencji. Poczł wzbierającą nową falę złości. Miał tego dosyć, dosyć bycia cholernie smutnym facetem z przetrąconym życiem, bo jak o sobie mógł inaczej teraz myśleć, kiedy zdał sobie sprawę, że nic się nie zmieniło, że to, co tak skrętnie ukrył głęboko w sobie wiele lat temu, żyje i pulsuje nadal. Musiał się do tego przyznać przed samym sobą, zaakceptować wszelkie niedogodności z tego wynikające: on i biznes to nie to samo, on i porto to nie to samo, mimo że nosił nazwisko Winefordów, mimo że żaden z jego przodków nie może mu zarzucić, że coś zaniedbał albo że nie dopełnił swoich obowiązków, by zachować dobre imię winiarskiej rodziny, to wszystko nie wystarczało do tego, by czuł się szczęśliwym.

Cholerne życie, pomyślał, sprawiło mu prawdziwą niespodziankę, stawiając na drodze znowu tę kobietę. Wszystko to, co było proste, pokiełbało się i teraz on, Leonardo, będzie musiał się zmienić, będzie musiał zrobić coś, czego nie planował, będzie musiał porzucić wygodne gniazdko, swoją przystań, może będzie musiał się postarać bardziej, może cierpieć z bólu, nie wiedział tak naprawdę, czego się spodziewać. Ale jedno wiedział na pewno, miał dosyć bycia smutnym facetem z przetrąconym życiem.

Przypomniał sobie wizytę u Camili. Teraz dopiero sobie uświadomił, patrzyła na niego z litością w oczach: och, biedny Leonardo przychodzi prosić ją o rozmowę, może ma kłopoty, może trzeba mu pomóc, różnie w życiu bywa. Za tę litość w oczach byłby gotów ją zamordować. Nie potrzebował litości, chciał, by spojrzała na niego jak na mężczyznę, na człowieka z krwi i kości. Miał ochotę krzyknąć: spójrz na mnie teraz, proszę cię, zobacz, jestem żywym facetem, nie przyszedłem, by cię pognać, nie przyszedłem wskrzeszać przeszłości ani nawet w interesach; zobacz mnie na nowo, musisz wymazać mój poprzedni obraz i zastąpić go nowym!

Dał się w to kiedyś wplątać, a może zresztą sam zainicjował tę durną grę, teatr, w którym aktorzy tak bardzo wcielili się w role, że zapomnieli o swoich prawdziwych twarzach. Zapomnieli, że ich miny, gesty, maskowanie swoich prawdziwych pragnień to również gra. Nie chciał być zdystansowanym Leonardem, opanowanym mężczyzną w średnim wieku, nieco milczącym i sarkastycznym, nie chciał być mężczyzną pozbawionym uczuć. Jak udało mu się je tak dobrze zahibernować na te wszystkie lata i jeszcze przekonać samego siebie,

że właśnie tak trzeba, że tak się robi w podobnych sytuacjach?

Trzasnął drzwiami od pokoju i ruszył z powrotem korytarzem, by dokończyć posiłek i nie wzbudzać podejrzeń, choć głód zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Stanął w progu, przy stole Gabriela i Sophie w najlepsze kończyły kolację, stuknięcia sztućców i odstawianych szklanek nakładały się na ciąg wypowiedzanych słów. Mogłaby tam siedzieć jeszcze Camila, ta nagła wizualizacja zatrzymała go w pół kroku. Oparł się o ścianę. Mogliby sączyć razem wino, on i Camila, snuć plany na przyszłość, na jesień, na weekend, na kolejny dzień, co zrobią i o czym porozmawiają, te rojenia mogłyby się przeistoczyć w rzeczywistość, gdyby tylko nie był takim tchórzem, takim smutnym facetem bez twarzy.

Przeszedł przez salon i wyszedł na werandę, Gabriela wstawiała właśnie od stołu. Wlepił wzrok w talerz z nieapetycznymi resztkami jedzenia. Kilka zapieczonych klusek leżało na środku, wyglądały jak odcięte członki jakiegoś większego stworzenia, czerwona plama po sosie stanowiła dowód morderstwa. Nie..., odsunął talerz z obrzydzeniem, na pewno nie przełknie już ani kęsa, gardło mu się ścisnęło, a żołądek zawiązał w węzeł.

– Nie zgodziła się, tak? – Wysunęłam szyję nad stołem jak żuraw. Leo chyba dopiero teraz uświadomił sobie, że tylko Gabriela wstała, a ja ciągle tu jestem i właśnie zadaję mu niewygodne pytanie. Podniósł wzrok, spojrzenie miał gniewne i zacięte, na pewno się nie zgodziła, pomyślałam, widząc jego minę, na pewno odmówiła.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie powiedziała tak i nie powiedziała nie.

– To po co dzwoniła?

– Oczekuje zapewnienia, że nic od niej nie chcę. Kiedyś to my ciągle ją o coś podejrzewaliśmy, teraz role się odwróciły.

– To nie jest takie zaskakujące, jeśli się nad tym zastanowisz... A ty faktycznie nic od niej nie chcesz?

Zaplótł ręce na piersiach, podkreślając swoją niechęć do dalszej rozmowy.

– Co mam ci odpowiedzieć?

– Bo jeśli na przykład chciałbyś, żeby ona ci uwierzyła, jeśli chciałbyś spróbować... bo dla miłości trzeba przecież próbować, prawda? – ciągnęłam, spoglądając ukradkiem na wuja. Nie miałam pewności, czy mnie słucha. – To ja myślę, że musisz dać jej jakiś jasny sygnał, musisz zrobić to pierwszy, nie czekać z tym do śmierci, jak staruszek z twojej opowieści.

– Zrobić to pierwszy – powtórzył jak echo. – Nie bawić się w podchody, tylko dać jasno do zrozumienia, wyartykułować swoje zamiary, wystawić się na odstrzał. Rozumiem: kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje. – Uśmiechnął się słabo.

– Każdy ma prawo próbować, każdy ma prawo mieć nadzieję. Gdybym ja nie miała nadziei, że moja wypowiedź z domu cokolwiek zmieni, że zmieni nie tylko moje życie, ale też życie najbliższych mi osób... Zrób coś z tym, Leo – powtórzyłam. – Jeśli sądzisz, że mnie może się udać, to tym bardziej musi się udać tobie.

Dać jasny sygnał, to było proste rozwiązanie. Niemal natychmiast jednak nowa wątpliwość wkradła się w jego myśli: poddaj się, Leonardzie, życie i tak nie sprostą twoim oczekiwaniom. Czego ty się spodziewasz? Myślisz, że Camila Hernandez nagle otworzy przed tobą serce, choć lata temu ty nie sprostałeś jej pragnieniom? Że zechce wskrzesić w sobie to uczucie, z którego ty wtedy zrezygnowałeś? Za krótko walczyłeś, za słaby byłeś, zbyt przerażony. Czy myślisz, że teraz można tak łatwo to zmienić, że nie jest już za późno? Za kogo ty się uważasz, co ty sobie myślisz? Nie wolno nachodzić kogoś po prawie trzydziestu latach, jakby nic wcześniej się nie wydarzyło, to się nie uda.

A właśnie że się uda!, chciał ryknąć resztkami sił. Miał wrażenie, że rozpętał jakąś bitwę, w której dobro bije się ze złem, bitwę na śmierć i życie. Nie... ty jednak chcesz odpuścić, Leonardzie, przecież to widać. Prześmiewcze dudnienie rozsadzało mu głowę: znów zostawiłeś Camilę samą z wątpliwościami, żeby ciągle rozważała wszystkie plusy i minusy, liczyła zyski i oceniała straty, które może ponieść, wyrażając zgodę na współpracę. Robisz ten sam błąd, a jeśli w jej mniemaniu straty przewyższą zyski, czy znowu podkulisz ogon i wrócisz do domu, dla Sophie zrobisz męczeńską minę i rozłożysz bezradnie ręce? Już raz popełniłeś błąd, czy naprawdę niczego jeszcze nie zdołałeś się nauczyć? Nie zostawiaj jej z tym samej, zobacz, siedzisz tu i snujesz domysły, jakby to mogło wpłynąć na jej decyzję, jakby siłą telepatii można było Camilę do czegokolwiek namówić. Nic z tego, to nie działa w ten sposób. Jeśli odpuścisz sobie i tym razem, po prostu uschniesz. Chcesz tak właśnie przeżyć życie, bez uczucia, bez bliskości, naprawdę wystarczy ci to, co jest? Nic więcej nie miałyby się już wydarzyć? Chcesz tak trwać? Bądź szczery przynajmniej sam ze sobą.

Schował głowę w dłoniach. Nie chciał usychać, ten proces był przykry do obserwowania nawet u winorośli. Gdy jakiś krzew usychał, liście opadały, gałązki kruszyły się i łamały w ręku. Nie, nie chciał pozwolić, by coś takiego stało się z nim samym, by wypalił się w środku.

Leo, zawsze możesz spróbować, powtórzył za Sophie. Jej głos mieszał się z jego własnymi słowami wypowiedzianymi w myślach, przez chwilę miał wątpliwość, który głos jest który, spojrzał więc na bratanicę, upewniając się, że to ona porusza ustami, a więc ta zachęta jest od niej, jeszcze nie dał się całkiem zwariować.

Spróbować?! Czy ona nie wie, jak trudno jest się tak całkiem odsłonić?

Każdy ma prawo próbować, ale czy zasada ta stosuje się także do tych, którzy ciągle popełniają błędy? Czy limit pomyłek i złych decyzji w końcu się nie wyczerpie, zostawiając nieszczęsnych pomyłkowiczów z niczym? A właśnie że nie, Leonardzie! Życie to nie worek, z którego można wyjąć tylko tyle, ile do niego włożyłeś, to coś znacznie, znacznie lepszego.

Poczuł dłoń Sophie na swoim ramieniu. Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem i machinalnie zdmuchnął świeczkę, pozwalając, by pograżyli się w półmroku. Potem wstał i ruszył przed siebie. Odgłos jego kroków na zwirowanej ścieżce było słychać jeszcze tylko przez chwilę.

Gdyby nie poświata rzucana przez księżyc, nie widziałby nawet czubka swoich butów, nie mówiąc o ścieżce, która jak wąż wiła się pod jego stopami. Szedł przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd idzie i w jakim celu. Mógłby tak iść w nieskończoność, monotonna czynność wysuwania nóg do przodu i stawiania ich na ziemi uspokajała go i wprawiała w swego rodzaju medytację. Medytacja działała nań uśmierzająco. Pomyślał nawet, że może mógłby spać i iść, niektóre ssaki śpią przecież na stojąco, konie, dajmy na to, albo żyrafy.

Żwirek pod jego stopami już jakiś czas temu zmienił się w twarde, ubite podłoże, ale Leonardo nawet tego nie zauważył. Ani zmiany scenerii, w której niskie krzewy winorośli zostały w tyle na wzgórzach, ustępując miejsca ciemnym, rozłożystym kształtom majaczącym na horyzoncie. Szedł dalej, godzinę, może dwie, czas przestał mieć dla niego znaczenie, nie rozrzedzał morderczej ciemności ani nie rozjaśniał nieba brzaskiem.

Noga za nogą, krok za krokiem, najwyraźniej czynność chodzenia podtrzymywała jego funkcje życiowe, bez niej Leonardo padłby bez tchu na wyschniętej ziemi uśpionego Douro. Szedł teraz ciszej, choć stąpał z taką samą siłą, nie zmienił też ciężaru ciała, to droga musiała się zmienić. Ledwie słyszalny szmer dotarł do jego uszu, czy to rzeka, czy deszcz, zastanowił się przez chwilę. Wystawił rękę, ani jedna kropla nie musnęła jego skóry. To musi być rzeka, pomyślał, znalazłem się nad wodą, odnotował. Szedł jednak dalej, pozostawiając za swoimi plecami szemrzącą rzekę. Na co mu była rzeka, jeśli nie miał z kim słuchać jej opowieści.

Minął uśpione domy, przeszedł przez most i skręcił w węższą drogę. Podmuch zimniejszego powietrza orzeźwił go nieco, jesień z pewnością stała za progiem, mokra, nieprzewidywalna jesień, która przyniesie jeszcze bardziej mokrą, chłodną i nieprzewidywalną zimę. Jakiś nocny ptak przeleciał nad jego głową i niemal musnął końcówki jego włosów. Przyspieszył kroku, nagła nerwowość wdarła się w jego skupioną medytację i przedziurawiła jak rowerową dętkę,

z sykiem uszło z niej powietrze. Zaczął biec. Musiał biec, w przeciwnym razie nie dowłókłby się nigdzie i jutro znaleźliby go na drodze jak owada, którego rozjechał nieuważnie jadący samochód. Przebiegł sto metrów, dwieście, miał jeszcze siłę, miał dużo sił, mógłby przenosić góry i wznosić pałace, mógłby nawet przebić głową mur. Jeszcze był żywy, proszę bardzo, bez trudu dobiegnie do celu, zdobędzie ten nieosiągalny szczyt, jeszcze wszystkim udowodni, na co go stać!

Poczuł, że robi mu się gorąco. Ktoś grzebał w jego sercu tępym narzędziem czy tylko tak mu się zdawało? Zwolnił, wrócił do marszu, nachylił się i oparł dłonie o kolana, wreszcie usiadł. Czyjeś czułe ręce ułożyły go na trawie, podparły głowę i zmierzwiły włosy, zupełnie jak wtedy, gdy był małym chłopcem. Przymknął oczy, bolały go ze zmęczenia.

Wyczuł jakiś zapach. Camila tak pachniała. Ulotna woń, która teraz nagle pod osłoną nocy wdarła się w jego nozdrza, przypomniała mu tamto uczucie zachłannej pożądlivosti. Lubił przybliżać swoją twarz do twarzy Camili, do jej włosów, szyi, miejsc za uszami. To zawsze trwało zbyt krótko. Starał się nasycić jej zapachem, zapachem upragnionej kobiety, zanim coś im przeszkodzi i zanim Camila zniknie. Wciągał więc do płuc powietrze całą ich objętością, czując, że odbiera dla siebie niezасłużoną nagrodę albo gorzej, kradnie czyjaś własność.

Przekręcił się na bok, gwiazdy już go nie interesowały, zapach, tak jak przewidział, po chwili zniknął. Pod stopami Leonarda otworzyła się czarna studnia, spojrział w dół, jak głęboko, wyteżył wzrok, nie widać nawet dna. A potem zaczął spadać.

Kilka godzin później ostre światło wdarło się pod jego powieki. Otworzył je z ociąganiem, lepki sen niechętnie wypuszczał go ze swoich objęć. Przeciągnął się, coś drapało go w plecy i czuł się odrętwiały z zimna. Rozejrzył się, stęknął. To nie był jego pokój ani wygodne łóżko. Zasnął tu, w gęstej trawie na zboczu, zimnej i suchej. Musiało nadal być bardzo wcześnie, biała kula słońca powoli wznosiła się nad horyzont. Oceniał skalę spustoszenia – jego wygląd mógł naprawdę wystraszyć, powinien wrócić do domu i doprowadzić się do ładu. Wyprostował się jednak i wypiął pierś. Jeśli wróci, pomyślał, już nigdy nie zdobędzie się na odwagę, by przebyć tę drogę ponownie, już zawsze będzie dochodził do tego samego punktu, a potem zawracał, jak w niekończącym się maratonie, już zawsze będzie się bał pójść dalej. Nie wrócę więc, zdecydował. Strzepnął źdźbła ostrej trawy z nogawek, przygładził włosy i roztarł ręce. Jego wzrok powędrował ponad pola winorośli i pierwsze zabudowania kamiennego miasteczka.

Znajoma brama była otwarta jak zawsze. Przeszedł po zroszonej ścieżce, mijając gąszcz kwiatów i ozdobnych krzewów, stanął pod drzwiami białego domu. Przez chwilę miał wrażenie, że nadal śni, taka panowała cisza. Podniósł dłoń i zastukał.

Drzwi otworzyły się powoli, skrzypiąc trwożliwie zawiasami. Camila

przetarła zaspane oczy.

– Camilo – uprzedził jej zdziwienie – dam zabić się za kubek kawy.

Benedita jeszcze nie zaczęła zbierać naczyń, resztki jedzenia smętnie tkwiły na talerzach, w brytfance dosycał ryż. Sięgnęłam po największą pomarańczę i metodycznie ją obrałam, kawałek po kawałku, a potem z lubością zjadłam, jakby smak świeżego owocu na podniebieniu stanowił najbardziej pożądane zwieńczenie minionego dnia. Zostałam sama, Leonardo odszedł od stołu bez słowa, rozdrażniony i nieobecny, zniknął gdzieś w czeluści nocy.

Też powinnam dopić ostatni łyk wina i odejść. Siedziałam jednak nadal, ignorując mijające minuty, jakby to im dokądś spieszyło się bardziej niż mnie. Cieszyłam się, ale jeszcze ostrożnie, nadal nie do końca wierząc, że mój cel przybliżył się na odległość wyciągniętej ręki. Leonardo zaproponował Camili kupno winnic i współpracę, a ona go nie wyrzuciła, to było niedorzeczne. Kto by go jeszcze miesiąc temu zmusił, żeby pojechał do Camili? Kto by uwierzył, że kiedykolwiek któryś z Winefordów spojrzy na tę kobietę łaskawszym okiem i że ona mu na to pozwoli? Przecież przez lata się nienawidzili i nawet Leonardo nie był w stanie tego zmienić, choćby tylko pomiędzy nimi dwojgiem i przez wzgląd na ich osobistą, niespełnioną historię. A przecież on nadal ją kochał, to było oczywiste, jak dobrze udało mu się ukryć to uczucie, jak dobrze zakamuflować. Niechęć, trwała i wymagająca, musiała teraz odejść. Spojrzałam na krzesło, które jeszcze przed chwilą zajmował Leo. Myśl, że jego pragnienie ma szansę wreszcie się zrealizować, dodawała mi otuchy.

Także moja sytuacja mogła się teraz zmienić. Jeśli Camila kupi winnice, będę mieć fundusze na mieszkanie w Londynie. Uśmiechnęłam się nieznacznie, jeszcze było za wcześnie na pełną radość, jeszcze Camila mogła się nie zgodzić, mogła nie przyjąć propozycji, odegrać się i zemścić. A jednak coś mi mówiło, że ona nie postąpi w ten sposób, że nie ma takich zamiarów, i choć przekonanie to było delikatne jak nowo narodzone dziecko, to postanowiłam trzymać się go za wszelką cenę. A Gabriela? No cóż, będzie musiała pogodzić się ze sprzedażą.

Ogarnął mnie spokój. Tak dobrze czułam się tutaj, na werandzie w Quinta de São Francisco, gdy moją głowę zaczynały wypełniać wizje nowego, samodzielnego życia. Już niedługo obudzę się w swojej nowej sypialni, słońce będzie zaglądało przez nieszczelne rolety, a ja wstanę i bez potykania się o kanciaste spojrzenia matki lub ojca usiądę w swojej kuchni i zamieszam łyżeczką kawę w portugalskiej filiżance. Razem z P.

Zadrzałam z podniecenia, ten sen mógł się ziścić, naprawdę niewiele już brakowało, żeby wszystko, czego pragnęłam, stało się rzeczywistością.

– Psst – usłyszałam wuja, przechodząc następnego dnia rano koło domu. Rozejrzałam się, nikogo za mną nie było. – Psst – rozległo się znowu, bardziej ponaglące. Podniosłam wzrok. Z jednego z okien wystawała głowa Leonarda.

– Przyjdź do mojego pokoju – przywołał mnie zduszonym głosem. – Nie mów nic Gabrieli, jeśli gdzieś tam jest w pobliżu, albo lepiej wejdź tylnym wejściem. No już – machnął ręką.

Zawróciłam i zgodnie z zaleceniem dostałam się do domu od tyłu, omijając taras z siedzącą na nim Gabriellą. Zapukałam cicho do sypialni, drzwi się uchyliły i wuj wciągnął mnie do środka. Potem szybko zamknął drzwi od wewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytałam zdumiona. Leonardo wyglądał mizernie, oczy miał szkliste, we włosach sterczało źdźbło trawy. Wyjęłam je i trzymając w dwóch palcach, spojrzałam na Leo pytająco.

– Spałem w trawie, ot co – prychnął zniecierpliwiony. – Tobie się to nie zdarza?

– Spać w trawie? – uniosłam brwi. – Raczej mi się nie zdarza.

– A więc to jeszcze przed tobą, polecam. Siadaj. – Wskazał krzesło. – Sophie, mam sprawę do ciebie. To coś ważnego, skup się. – Potarł nerwowym ruchem nos. – Chciałbym... chciałbym, żebyś postarała się dzisiaj być szczególnie miła dla Gabrieli, żeby ona dzisiaj miała bardzo dobry nastrój, po prostu wyjątkowy, zależy mi na tym.

Spojrzałam podejrzliwie na wuja.

– Zawsze jestem miła. Leo, o co chodzi? Zrobiłam coś nie tak? Babka się na mnie skarżyła?

– Absolutnie nie, wręcz przeciwnie, ty właśnie umiesz z nią rozmawiać, potrafisz poprawić jej humor. Na dzisiejszy wieczór coś zaplanowałam, a powodzenie tego planu zależy od dobrego nastawienia mojej matki, od jej pozytywnego stosunku do świata i ludzi. Dlatego tak mi zależy, żeby nic nie zakłóciło jej spokoju, żadne wewnętrzne turbulencje, dylematy...

– Chcesz powiedzieć, że mam ją pozytywnie nastawić? – zaśmiałam się. – A niby w jaki sposób?

– Nie wiem, porozmawiaj z nią na przyjemny temat, przejdźcie się, powiedz jej, że bardzo ci się tutaj podoba... Wymyśl coś.

– Leo, mówisz, jakbyś nie znał Gabrieli. Nie mam pojęcia, co jest dla niej przyjemne, a co nie i jaki temat poruszyć, żeby nie wybuchła jak rozbudzony wulkan. A w ogóle po co to wszystko, powiesz mi, o co chodzi?

– Na razie nie mogę. Dowiesz się w swoim czasie.

– Ale ja tak nie umiem! Muszę wiedzieć, w czym rzecz, zwłaszcza jeśli mam spełnić twoją niezbyt realistyczną prośbę.

– Nie mogę ci powiedzieć, koniec, kropka. Zrób, o co cię proszę, spędź

z babką miły dzień. Spotkamy się wieczorem, i jeszcze jedno – uniósł wskazujący palec. – Ani pary z ust, że tu byłem, że rozmawialiśmy. Nie chcę, żeby zobaczyła mnie w takim stanie. Znalazłbym się pod ostrzałem pytań, a ja muszę doprowadzić się do porządku i załatwić jeszcze kilka spraw. To jak, jesteśmy umówieni? – spytał z nadzieją w oczach.

– Leo, nie mam pojęcia, jak umilić babce dzień, większość naszych rozmów źle się kończy, za dużo ode mnie wymagasz.

– Nie wymiguj się, jesteś już dużą dziewczynką. – Poklepał mnie po plecach z miną człowieka, który wie, co robi. – Do zobaczenia wieczorem. – Otworzył ostrożnie drzwi, wyjrzał na korytarz, nikogo nie było. – Droga wolna, Sophie, i pamiętaj, ani słowa o naszym spotkaniu.

– To wszystko? Żadnych większych wyzwania? Nastawić babkę pozytywnie, dziecinnie proste, banał, rzecz można.

– Sophie... – skarcił mnie surowym wzrokiem. – Odrobina dobrych chęci z twojej strony i pójdzie ci jak z płatka.

– Jasne – syknęłam. – Bądź mądry i pisz wiersze.

– Chwilami jesteś nie do wytrzymania. – Zaciśnął zęby, żeby nie powiedzieć więcej.

Leonardo z ulgą zamknął drzwi. Nie miał planu B, ten wieczór musiał zdarzyć się dzisiaj, dzisiaj albo nigdy, o tym był głęboko przekonany.

Podszedł do szafy, wyjął świeże spodnie i koszulę, wykąpał się i przebrał błyskawicznie, potem wyjrzał ukradkiem przez okno. Musiał poczekać na odpowiedni moment, żeby przejść niezauważenie do samochodu i wyjechać z quinty. Matka powinna zaraz przenieść się z tarasu, nie zwykła siedzieć długo w jednym miejscu. Faktycznie, przed upływem kwadransa Leonardo usłyszał głos Gabrieli w salonie, wymknął się z pokoju i korzystając z tego samego tylnego wejścia, co wcześniej bratanica, przedostał się do auta. Wyjechał za bramę, był już bezpieczny.

Zatrzymał się dopiero na dole, wyjął komórkę i wybrał numer Benedity, prosząc ją, by przygotowała posiłek na siódmą. Nie, to nic wyjątkowego, zwykła kolacja, zapewnił gorliwie. Rozłączył się i pogłośnił radio. Leciąca jego ulubiona piosenka.

– Babciu, wygodnie ci? – zapytałam troskliwie, próbując zrealizować prośbę wuja. – Może chcesz poduszkę pod plecy?

– Nie, dziecko, dziękuję. – Babka nie oderwała nawet wzroku od trzymanej w dłoniach książki.

– A może kocyk? Czuję tu jakiś przeciąg.

Gabriela ściągnęła okulary i popatrzyła na mnie badawczo.

– Przed chwilą pytałaś, czy nie jest mi za ciemno do czytania, a wcześniej czy chcę herbaty. Co z tobą? Dostałaś etat osobistej niańki?

– Nie, babciu, po prostu chcę, żeby było ci dobrze.

– Mhm – mruknęła z powątpiewaniem. – Jest mi dobrze, niczego nie potrzebuję, przynajmniej przez dziesięć najbliższych minut. Idź się przejdź czy co – dodała lekko poirytowana.

– Na pewno? Gdybyś też miała ochotę na spacer, nie teraz oczywiście... to ja ci chętnie potowarzyszę.

– Sophie! Daj mi poczytać, na miłość boską! Ach – zreflektowała się – Leonardo jeszcze nie wrócił?

Wyjrzałam przez okno, szukając śladów Leo. Świeży kurz unosił się jeszcze na drodze, musiał właśnie odjechać.

– Nie, zdaje się, że nie.

– Sprawdź jeszcze, czy na pewno nie ma jego samochodu. Może mój syn wrócił i pracuje w winiarni, czasem nawet nie raczy się przywitać, dać znać starej matce, że przyjechał albo właśnie wyjeżdża.

Ponownie wystawiłam głowę za okno.

– Samochodu też nie widać. – To akurat była prawda.

– Może wyjechał gdzieś z samego rana, gdy jeszcze spałyśmy. Mam nadzieję, że wróci przed wieczorem. Mam mu coś ważnego do powiedzenia, właściwie bardzo ważnego – przez twarz Gabrieli przemknął uśmiech. Wzdrygnęłam się, było w tym uśmiechu coś złowieszczego.

Gabriela odłożyła książkę. Chciała pomyśleć w samotności. Musiała przyznać sama przed sobą: trochę się bała. Tylko trochę, nie na tyle, by porzucić swe zamiary albo zmienić zdanie, nie, do tego jeszcze nie doszło. Rzadko w życiu bała się czegokolwiek, może raz czy dwa, gdy zmarł Thomas i poczuła się okrutnie samotna, potem, gdy wyjeżdżał Horacio. Jeśli w innych sytuacjach również się bała, to na pewno tego nie okazywała, najbardziej wnikliwy obserwator nie przypuszczałby, że Gabriela Wineford lęka się czegokolwiek. Dzisiaj też była twarda, choć w jej myśli wkradł się cień wątpliwości, który nadwątlił jej wiarę we własne siły. To było trudne, bez wątplenia, lecz konieczne, bo jeśli miałyby nie dokonać tego dzisiaj, to niby kiedy? Czy będzie kiedyś lepszy czas, czy kiedyś cokolwiek będzie lepiej ułożone albo lepiej przemyślane niż teraz właśnie? Pewnych rzeczy nie należy odkładać w nieskończoność, trzeba się z nimi zmierzyć, pomyślała staruszka. Pewne rzeczy pozostawione samym sobie urastają do niebezpiecznych rozmiarów, zamiast rozmywać się w przeszłości, zamiast w niej

zanikać.

Owinęła szyję cienką chustą, którą miała na ramionach, nagle zrobiło jej się zimno. Nigdy, nawet przez chwilę nie podejrzewała, że sama, bez przymusu, będzie dążyć do podobnych działań, to nie mieściło jej się w głowie. A jednak, westchnęła, a jednak. Przymknęła ciężkie powieki, jakby chciała zamknąć pod nimi nachodzące ją rozterki, jej ręka bezwładnie zsunęła się z kolan.

Winiarnia, miejsce, w którym jeszcze niedawno pobrzmiwały głosy pracujących ludzi, teraz była oazą spokoju, jakby proces przemiany soku w wino wymagał wyjątkowej koncentracji. Zeszłam po metalowych schodkach na dolny poziom budynku i dostrzegłam na końcu pomieszczenia Eurica. Zamaszystymi ruchami wpisywał wyniki dokonanych pomiarów w tabelki naklejone na poszczególne kadzie z winem. W drugim krańcu Tiago opowiadał coś dwójce ludzi, być może klientów, którzy z zainteresowaniem słuchali jego wywodów.

– Sophie! – Eurico zamachał do mnie z daleka. – Nie widziałaś Leonarda? Od wczoraj nie mogę go złapać.

Zawahałam się. Najwyraźniej dzisiaj wuj był człowiekiem niezbędnym w quincie. Akurat dzisiaj, gdy postanowił ulotnić się z niej jak kamfora, wszyscy uparli się, by załatwić z nim niecierpiące zwłoki sprawy.

– Nie – odparłam niepewnie. – Ja też nie wiem, gdzie jest.

– Niedobrze, niedobrze. – Eurico pokręcił głową, podchodząc bliżej. – Nie wiem, co robić. W jednej kadzi podskoczyła temperatura, nie jestem pewien, co to znaczy. Próbowałam zadzwonić do kogoś z laboratorium, ale nikt nie odbiera, a Leonardo wyłączył komórkę.

– Powiem mu, że go szukasz – obiecałam. – Jak tylko przyjedzie.

Spojrzałam na zegarek, minęły ponad trzy godziny, odkąd Leonardo wyjechał z posiadłości, i nieco mniej, odkąd ja opuściłam Gabrielę. Z niechęcią przypominałam sobie prośbę Leo, wiszącą nade mną jak miecz Damoklesa. Miałam zatroszczyć się o dobry nastrój babki, o jej pozytywne nastawienie, miałam spędzić z nią czas. Tymczasem już na wstępie babka zrezygnowała z mojego towarzystwa, czego innego zresztą można było się spodziewać. Gabriela niezwykle spełniać oczekiwań innych osób. Zawróciłam do domu. Babka nadal spoczywała w fotelu. Głowa opadła jej na pierś, usta miała lekko rozchylone. Podeszłam do niej i dotknęłam delikatnie jej ramienia.

– Babciu, powinnaś się przykryć, zasnęłaś i pewnie zmarzłaś – zaczęłam.

Powieki Gabrieli zadrgały i chrapnęła donośniej.

– Babciu! – nachyliłam się nad jej uchem. – Babciu! Połóż się wygodnie, jeśli nadal chcesz spać.

– Co? – Gabriela się wzdrygnęła. – Nie chcę spać – wymamrotała. – Muszę

jechać.

– Gdzie jechać? Coś ci się śniło?

Staruszka zamrugła oczami.

– Muszę jechać – powtórzyła, z trudem unosząc głowę i przybierając pozycję prawie pionową. – Matko Boska, która godzina? – przestraszyła się nagle.

Spojrzałam na zegarek:

– Prawie czwarta.

– To najwyższy czas! – Babka ponownie zamrugła oczami, nie całkiem jeszcze trzeźwo patrząc na świat.

– Babciu, dobrze się czujesz? – naprawdę się zaniepokoiłam.

– Wyśmienicie, dziecko, wyśmienicie. – Rozprostowała jedną nogę, potem drugą, pokręciła stopą w powietrzu. Starła się poprawić zmierzwione włosy, ale efekt był przeciwny do zamierzonego. – Mam ważne spotkanie. Za chwilę będzie tu Filipe – dodała tytułem wyjaśnienia. – Przebiorę się tylko i już mnie nie ma.

Spojrzałam na nią z desperacją. Sytuacja najwyraźniej wymykała się spod kontroli.

– Ależ stój! Gdzie ty się wybierasz, miałyśmy iść na spacer! – jęknęłam.

Gabriela była jednak niewzruszona.

– Spacer będzie potem, kochana, są teraz ważniejsze sprawy niż spacer. Zaraz wracam. – Podniosła się energicznie. – Gdyby przyjechał Filipe, niech zaczeka, to nie potrwa długo.

– Babciu! – Chciałam ją błagać, ale Gabrieli już nie było w pokoju.

Opadłam na kanapę. Miałam zajmować się babką, a tymczasem pozwalałam opuścić jej quintę. Nie mogłam jednak zatrzymać jej siłą. Co za pomysł, myślałam rozłoszczona, ona nawet jako dziecko pewnie nikogo nie słuchała. Spojrzałam na odłożoną przez Gabrielę książkę. Była otwarta na tej samej stronie co trzy godziny temu.

Kwadrans później Gabriela stała gotowa w drzwiach salonu. Usta miała pociągnięte czerwoną szminką, jaskrawą jak barwy wojenne. Włożyła najlepszy kapelusz i cienkie, dziergane rękawiczki.

– Babciu, jak ty wyglądasz – nie kryłam zdziwienia.

– Dziękuję. Pasuje mi, prawda? – Poprawiła kapelusz. – Długo wahałam się, czy go włożyć, uznałam jednak, że sprawa jest wysokiej rangi i należy to zaznaczyć również doborem stosownej garderoby. Filipe jeszcze nie ma? To zresztą dobrze, mamy chwilkę tylko dla siebie. – Przysiadła obok mnie. – Otóż, jak widzisz, musimy z Filipe coś załatwić. Nie będę wdawać się w szczegóły – uprzedziła moje pytanie. – To teraz zbyt skomplikowane i zupełnie zbyteczne rozwodzić się nad celowością naszej automobilowej przejażdżki. Ciebie dotyczy tylko pewien jej etap, a mianowicie... pod moją nieobecność wróci Leonardo. Zawsze w końcu wraca, choć nie zawsze się melduje – dodała cynicznie. – Ale mi

zależy, żeby jak już wróci, był tu cały czas, rozumiesz? Chcę, by do wieczora został w quincie, niech nie rusza się stąd na krok. Sophie, dziecko, potrafisz tego dopilnować? Sprawdziłam, nie ma dziś żadnych spotkań poza quintą.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przeżywam déjà vu. Czy babka zaraz doda, że mam zatroszczyć się o dobry humor wuja?

– Chodzi mi o to, żeby Leonardo naprawdę się stąd nie ruszał – ciągnęła uparcie dalej. – Wiesz, on ostatnio znika w najmniej odpowiednim momencie, jeździ gdzieś i załatwia sprawy, o niczym mnie nie informując. Dzisiaj ma być inaczej, dzisiaj Leonardo jest mi potrzebny. Gdyby jednak miał coś zaplanowane, powiedz, że musi zostać, schowaj kluczyki od samochodu.

– Ależ babciu, nie mogę tak postępować z Leo, nie mogę mu zabraniać.

– Możesz – przerwała mi Gabriela. – Jesteś kobietą! I nie musisz być świętsza od papieża. Masz moje błogosławieństwo, postaraj się więc, żeby mój syn pozostał w domu.

– A ty, babciu, gdzie ty będziesz?!

– Spokojnie, będę niedaleko. Na kolację wrócę.

– Myślałam, że porozmawiamy.

– Dosyć się narozmawiałyśmy, czas działać! – Babka była kategoryczna. – Och, jest i Filipe. Jestem gotowa, mój drogi, możemy jechać. – Wzięła mężczyznę pod ramię i skierowała się do wyjścia. Zanim zniknęła, w korytarzu odwróciła głowę i zobowiązała mnie: – Liczę na ciebie, kochana, nie zawieź mnie.

Kolejne minuty spędziłam, krążąc po domu w bezskutecznym poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Przemieszczałam się z jednego miejsca w drugie, nerwowo spoglądając na tykający zegar. Nie mogłam skupić się na żadnej czynności. Miałam zająć się babką, ale babka zniknęła, nie zważając na moje prośby, miałam przypilnować Leonarda, ale on nawet jeszcze nie pojawił się w quincie. Gdzie się podziewał, co wymyślił, dlaczego i on, i babka są dzisiaj tak enigmatyczni?

Z ulgą odnotowałam fakt pojawienia się w kuchni Benedity. Kobieta rażno zabrała się do szykowania kolacji, a jej krzątania przy garnkach wlała w moje serce odrobinę otuchy. Coś jednak nadal wisiało w powietrzu, a pogoda odzwierciedliła ten nastrój – czarna chmura zebrała się nad quintą, przykryła swym cieniem dziedziniec i winnice. Kilka chwil później w powietrzu pojawiła się wilgoć i pierwsze krople deszczu uderzyły o kamienną posadzkę.

– Kolację na werandzie diabli wzięli – mruknęła Benedita i w pośpiechu zaczęła zbierać dopiero co rozstawione naczynia i półmiski.

– Pomogę ci – zaoferowałam się. Wolałam zmoknąć, niż w napięciu spoglądać na bramę wjazdową do quinty. – Wszyscy gdzieś zniknęli, co za dzień.

Kobieta spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

– Widocznie mieli swoje powody. Ale proszę się nie martwić, Leonardo będzie na kolacji. Dzwonił, że bym przygotowała posiłek na siódmą.

– Dzwonił? – Spojrzałam na zegarek. – Do siódmej jeszcze prawie dwie godziny. Mówił coś jeszcze?

– Nie, tylko tyle.

– Nie podoba mi się to – zaczęłam, ale zaraz przerwałam, bo na dziedzińcu dał się właśnie słyszeć warkot silnika. – Leonardo!

– Cieszysz się, jakbyś nie widziała mnie od tygodni. – Wysiadł z samochodu. Wyglądał teraz o niebo lepiej, przynajmniej ubranie miał czyste, oczy błyszczące. W jego głosie znać było zadowolenie.

– Właściwie to cieszę się nie do końca. – Zatrzymałam się w pół kroku. – Babka pojechała gdzieś z Filipe. Nie było siły, żeby ją zatrzymać, starałam się, ale...

– Co?! – Leonardo wybałuszył oczy. – Pojechała z Filipe?! I dopiero teraz mi to mówisz?

– Próbowałam wcześniej, ale wyłączyłeś telefon.

– Gdzie pojechali, po co?

– Nie mam pojęcia, babka była tajemnicza. Ale chyba wróci pod wieczór.

– Akurat teraz! – krew go zalała. – Niech ja dorwę tego Filipe! Miazgę z niego zrobię i wydmucham przez słomkę!

– Ależ to babka na niego czekała, to raczej ona chciała gdzieś jechać.

– Nieważne – fuknął ze złości. – Babka zawsze musi mieć swoje pomysły, akurat dzisiaj, akurat teraz!

– Eurico cię szuka – przerwałam mu pospiesznie. – Podobno temperatura w kadzi się podniosła i jest jakiś problem.

Leonardo spojrział na mnie z wściekłością, miał ochotę powiedzieć coś dosadnego, sapnął jednak tylko i trzasnął otwartymi drzwiami dzipa.

– Już na nikogo nie można liczyć – burknął. – Na całym bożym świecie nie ma na kim się oprzeć!

Deszcz nasilał się i kiedy Leonardo dotarł do budynku, ciepłe krople nabrały już wielkości grochu. Koszula całkiem mu przemokła, ale się nie przejął.

Sprawa, którą zgłosił Eurico, nie była tak poważna, na jaką wyglądała. Leonardo szybko uporał się z problemem i z czystym już sumieniem zaryglował się w biurze na pięterku. Wyglądało na to, że Gabriela mogła pokrzyżować jego zamiary. Od dawna już spędzała czas głównie w domu, a teraz akurat musiała gdzieś wyjechać. Umyślnie czy przypadkiem, tak się jakoś dziwnie składało, że ich plany zawsze się przecinały, powodując ciężkie w skutkach kolizje. Tak było kiedyś i jak widać, tak jest i teraz. Leonardo westchnął.

Ogarnął wzrokiem kanciapę, próbując skupić uwagę na którymś z przedmiotów. Musiał zabić upływający czas, zająć czymś ręce i umysł. Sięgnął

po kalendarz i otworzył go, kilka z najbliższych dni wypełnionych było adnotacjami o planowanych podróżach. Na twarzy Leonarda wypełził grymas niezadowolenia. Nie żeby nie lubił podróżować, czasem były to całkiem przyjemne wyjazdy, teraz jednak wolałby pozostać w domu. Nie wiadomo, co przyniosą najbliższe dni, pomyślał z trwogą w sercu, nie wiadomo, co postanowi Camila.

Rzucił okiem na stertę nieotwartych listów, piętrzących się na biurku, powinien je otworzyć, nie czuł się jednak nastrojony do papierkowej roboty. Wpisywanie do kajetnika terminów wymagało skoncentrowania, a myśli Leonarda dalekie były teraz od uporządkowania, nie byłby zdolny do skrupulatnych działań.

Spojrzał na zegarek, czas biegł nieubłaganie. Gdyby jego matka była choć odrobinę bardziej przewidywalna, pomyślał, czując nadal złość, o ileż łatwiej byłoby podejmować słuszne decyzje... Znowu spojrzał na zegarek. Denerwował się. To miało wydarzyć się dzisiaj, niebawem. – Camila... – powiedział na głos, delectując się brzmieniem jej imienia. Zaraz do niej zadzwoni, tak jak się umówili. Słyszysz, stary?, uśmiechnął się do siebie, umówiliście się, to nie twój wymysł ani mało realne pragnienie. A potem... potem ona wsiądzie do jego samochodu, przebędą drogę do quinty w milczeniu.

Ile jeszcze pozostało czasu? Piętnaście minut, góra dwadzieścia. Usiadł wygodniej na krześle, wydobyl z kieszeni telefon. Wybrał z listy kontaktów numer, choć przecież znał go na pamięć. W słuchawce zapiszczał przerywany sygnał.

Cierpliwie czekał. Dziesięć sekund, dwadzieścia, sześćdziesiąt... Na pewno odbierze, zapewnił sam siebie, odeszła może gdzieś dalej albo myje ręce, nie słyszy po prostu. Przycisnął słuchawkę mocniej do ucha, może coś się zepsuło, zakłócenia w odbiorze zdarzają się często, ileż razy wyłąził ze skóry, żeby gdzieś się dodzwonić. Jesteśmy w Douro, uspokój się, to norma, powiedział sobie.

Rozłączył się, odczekał dwie minuty. Zadzwonił ponownie. Niemożliwe, powtórzył, niemożliwe, jesteśmy umówieni, nie mogła zmienić zdania, widziałem się z nią rano. Nikt nie odpowiadał. Znowu rozłączył się, odczekał dwie minuty, zadzwonił. Usłyszał ten sam przerywany sygnał.

Przy piątej próbie zrozumiał.

Odłożył telefon, zaplótł dłonie i spojrzał przed siebie, w szarzejący wieczór za oknem. Nie odbiera, zrezygnowała, nie przyjedzie dziś, pomyślał bezsilnie, nic więcej się już nie wydarzy. Spuścił głowę i oparł ją o blat biurka.

Wybiła siódma, kiedy dzwonek telefonu wyrwał Leonarda z otępienia. Spojrzał na ekran. To matka, mruknął. Nie odebrał, podniósł się jednak i ruszył do domu, rozchlapując nieuważnymi krokami powstałe po ulewie kałuże. Zamierzał się położyć.

Wspiął się na wyższy dziedziniec, w oknach salonu tliło się światło. Otworzył drzwi. Przeszedł dwa kroki i stanął jak wryty.

Przy stole obok Gabrieli i Sophie siedziała Camila.

– Co to, co to ma znaczyć? – wyjąkał.

– A nic – odezwała się sztywno Gabriela. Słowa z trudem torowały sobie drogę w jej gardle. – Dzwoniłyśmy...

Leonardo zamknął oczy i otworzył je ponownie. Camila, Gabriela i Sophie. Gabriela i Camila, Sophie i Camila.

– Camila, ty tutaj... – wydusił wreszcie.

Camila zacisnęła dłoń na szklance z wodą.

– Twoja matka mnie zaprosiła.

– Moja matka? – próbował uchwycić sens jej słów.

Gabriela skinęła głową w szlachetnym potwierdzeniu. Policzki ją zapiekły.

– Ale dlaczego? Ty i Camila...

– Wiem, synu, jesteś zaskoczony – odezwała się Gabriela. – No cóż, życie jest nieprzewidywalne, zawsze to powtarzałam.

W ostatnie jej słowa wdarł się sygnał nastawionego budzika. Przez chwilę Leonardo skupił się tylko na tym dźwięku.

– Wyłącz to wreszcie, Leonardo – usłyszał głos matki. A ponieważ nawet nie drgnął, powtórzyła: – Usiądziesz z nami?

Kiedy za oknem dały się słyszeć pierwsze odgłosy nocy, Gabriela zwróciła się do syna:

– Niczego nie wyczułeś, prawda?

– Niczego – powiedział Leonardo.

Spojrzała na niego z satysfakcją.

– Musiałeś mieć ciężki katar, Leo.

Wyszli na zewnątrz, powietrze pachniało świeżą wilgocia, ostatnie krople deszczu kapały z gałęzi poruszonych wiatrem. Niebo zasnuło się mgłą, nie tak jak wczoraj, gdy szedł jak szaleniec do niej, kierując się jasnym światłem księżyca. Nie, dzisiaj nie doszedłby nigdzie, mrok by go zmylił, gęsty i ciepły zniweczyłby jego zamiary.

Stanęli obok siebie, mając uspijony dom za plecami. Camila odezwała się pierwsza.

– Leonardo, kupię tę ziemię – powiedziała, patrząc przed siebie. – Kupię ziemię należącą do Sophie, kupię pole, którego Winefordowie nigdy nie chcieli mi sprzedać. Zrobię to dla siebie, dla ciebie i dla niej. W końcu kiedyś i tak ta ziemia wróci do Sophie. A porto? Tak, to też przemyślałam i chcę spróbować. Pozwól mi jednak powiedzieć prawdę, nie dam rady dłużej tak żyć. Pozwól mi porozmawiać z Sophie.

– Camilo – starał się, by jego głos zabrzmiał miękko. – Ta prawda straciła na wartości. Ta prawda jest niebezpieczna.

– Nie, Leonardo – potrząsnęła głową. – Wiem, że się boisz, ja też się boję. Myślałam, że tak jest lepiej, po tylu latach nie mieszać już jej w głowie, zresztą tak się kiedyś umówiliśmy, a ja zwykle dotrzymuję obietnic. Wiem, że Sophie ma nową rodzinę, ma dom. Ale to nie wszystko. Ona musi znać prawdę, żeby nie popełnić naszych błędów. Żeby niczego nie przeoczyć, niczego sobie w życiu nie wyrzucać, niczego nie żałować. Muszę z nią porozmawiać, powiedzieć jej, jak było, od początku do samego końca. Ona pamięta, ona to przeczuwa, jestem o tym przekonana. Nawet nie wiesz, o co mnie pytała, gdy przysłała do mnie pierwszy raz... Siedziała naprzeciwko mnie, chłonęła każde słowo, które dotyczyło Horacia, wysysała je ze mnie. Mówiłam, myląc się często i przekręcając słowa, a Sophie chciała usłyszeć więcej i więcej, pytała, słuchała, patrzyła na mnie... Myślałam, że nie dam rady, to była tortura. Trudno było mi zachować obojętność, jakbyśmy rozmawiały o obcym człowieku, jakby nas: jego, mnie i ją, nic nie łączyło... Patrzyłam na nią i zastanawiałam się, jaka była wcześniej, jak wyglądała, gdy była dzieckiem, gdy dorastała z daleka ode mnie, gdy inna kobieta nosiła ją na rękach, gdy inna matka i inny ojciec rozwiewali jej wątpliwości. Aż wreszcie nadszedł moment, że musiałam to uciąć, niemal ją wyprosiłam z domu, inaczej nie dałabym rady.

– Naprawdę w to wierzysz, że jeśli jej powiesz... że to ustrzeże ją przed czymkolwiek?

– Nie zaszkodzi spróbować.

– Jesteś pewna?

– Tak! Milczałam tyle lat. Zakleiłabym sobie usta, gdybym nie była przekonana o tym, że powinna znać swoją przeszłość. Ale teraz wiem, że ona musi ją poznać, nie ma innej możliwości, ona tego potrzebuje. Nie zauważyłaś, jak nas skanuje swoją pamięcią, jak z wczesnego dzieciństwa próbuje wydobyć szczątki zapomnianych obrazów, złożyć je w całość jak okruchy potłuczonego szkła? Dlaczego tak wypytywała o Horacia, jak myślisz? Miała zaledwie dwa lata, gdy zginął, ale dzieci pamiętają więcej, niż sądzimy. Dużo o tym wszystkim myślałam... ten żal nie mijał przez dwadzieścia cztery długie lata. Skoro jednak ja wytrzymałam tyle z daleka od niej... Leonardo, ona też się nie załamie, da radę, zobaczysz.

– Nie boisz się, że to spadnie na nią jak grom z jasnego nieba? Może nas wszystkich znienawidzi, będzie cierpieć, mieć żal. A Madalena i Antón, co z nimi? Nie wiemy, co Sophie robi, kiedy już się dowie, nie wiemy, co zrobi z tą prawdą.

– Leonardo, ta prawda jej się należy. Jest dorosła. Jestem pewna, że zrozumie, że kiedy już to wszystko przyjmie... Czuję to, jest przecież moją córką.

Na horyzoncie zgasł ostatni rozświetlony punkt, teraz cała dolina była już pogrążona we śnie.

– Sam nie wiem. – Zapatrzył się w ciemność. Zbyt dużo wydarzyło się tego

wieczoru, zbyt szybko i niespodziewanie. Zdawało mu się, że wskutek tych wydarzeń utracił zdolność racjonalnego myślenia. Nie umiał ocenić skali ryzyka, zgromadzić wszystkich za i przeciw, nie umiał powiedzieć tak lub nie.

– Sophie szuka potwierdzenia, że można kogoś kochać przez całe życie. Że jest możliwe takie uczucie na śmierć i życie, takie, które potrafi przetrwać lata.

Przetrwać lata... – powtórzył Leonardo już w myślach.

– Camilo – przysunął się do niej o krok.

Zmrużyła oczy, jakby bała się tego, co Leonardo zaraz powie. Czy odrzuci jej prośbę i odejdzie jak kiedyś?

– Ja – zaczął – ja mam ukryte powody, dla których zaproponowałem ci współpracę. Ja... a niech to, jestem ciężki idiota, że mówię to dopiero teraz. – Zatrzymał się. Jak miał jej to przekazać? Jak uwiarygodnić swoje zamiary, swoje pragnienia? Teraz, gdy ma ją na wyciągnięcie dłoni, czuje się tak skrępowany. Chciałby przeprosić ją za dni spędzane w samotności, za izolację i złe nastawienie, za brak zdecydowania. Chciał błagać ją o wybaczenie, paść na kolana, niech zrobi z nim, co zechce. Jak mógł jej to wszystko wynagrodzić i jak ponownie zdobyć zaufanie? Czekał na tę chwilę przez całe życie, wyobrażał sobie, co mógłby powiedzieć i jak się zachować, znał słowa, lecz nie mógł ich wypowiedzieć, ugrzęzły w nim jak w zdradliwym bagnie, nie zdoła ich wyłowić. Powinien coś zrobić, ruszyć do przodu, ale co to dokładnie znaczy, gdzie jest ten początek, a gdzie koniec i co zrobić po drodze? Spojrzał na nią lękliwie. Gdy ta scena rozgrywała się w jego wyobraźni, wydawała się znacznie łatwiejsza do przejścia. Zaczerpnął powietrza i uspokoił serce. Musiał spróbować, przynajmniej spróbować, bo przecież kiedyś na końcu drogi ktoś zapyta go, ktoś zada mu to zasadnicze pytanie: Czy kiedykolwiek kochałeś?

– Nie musisz nic mówić, ja wiem – usłyszał głos Camili.

– Wiesz? – zamrugał oczami i pobladł. Wiedziała, że nadal jej pragnął i że nie przestał o niej marzyć? Przez te wszystkie lata zdawała sobie sprawę, że jest mu nadal bliska? Wiedziała pomimo obcości i chłodu, które między nimi wyrosły?

Przysunął się znów bliżej. Z morza myśli przelewających się w głowie nie był w stanie wydobyć tej właściwej. Tej, którą należało teraz wyartykułować. Jest tyle słów do wypowiedzenia, tyle do wytłumaczenia, ale czasem łatwiej jest po prostu wziąć kogoś za rękę, pomyślał. Wyciągnął otwartą dłoń w stronę Camili i zastygł w oczekiwaniu.

Odpowiedziała mu uśmiechem, a kąćki jej ust zadrgały.

17 Kolej Douro – otwarta w 1875 roku Linha do Douro biegnie w większości wzdłuż rzeki. Pociąg pokonuje dziesiątki mostów i tuneli, zabierając podróżujących w malownicze, niedostępne w inny sposób miejsca.

18 *Pelourinho* – rodzaj średniowiecznego przegierza, stojący zazwyczaj w centrum miasteczka.

19 „Wino Douro, ty sprawiasz, że głos mam mocny i czysty, umysł mam jasny i bystry, i tylko nogi osłabiasz” (tłum. z ang. Iwona Słabuszewska-Krauze).

20 Jednym z najważniejszych etapów produkcji porto jest zatrzymanie w odpowiednim momencie procesu fermentacji poprzez dodanie brandy.

21 *Talho* (port.) – rzeźnik.

22 *Foot treading* – tradycyjny sposób ugniatania winogron stopami, zapewnia najwyższą jakość porto. Od stuleci praktykowany w Douro.

23 *Bacalhau à brás* – Portugalczycy potrafią przyrządzić to danie na 365 sposobów.

24 *Cellars* – rozległe piwnice z leżakującym winem.

25 *Tripas à moda do Porto* – słynne flaczki duszone z warzywami, chorizo, fasolą lub ziemniakami. Danie rodem z XIV wieku.

26 *Meninas* – w 2003 roku media nazwały niewielką Bragançę następczynią amsterdamskiej dzielnicy czerwonych latarni. W mieście pracowało wtedy ponad 300 brazylijskich prostytutek.

27 Filoksera – rodzaj mszyc, które atakując korzenie, powodują usychanie rośliny. Zaraza zaimportowana w połowie XIX wieku z Ameryki, pustoszyła uprawy Douro w latach 1868–1872. Do dziś w tutejszym krajobrazie straszą *mortórios*, opuszczone winnice, nigdy nieodbudowane po zniszczeniu przez atak filoksery.

28 DOC – Douro posiada najwyższą kategorię jakości DOC (Denominação de Origem Controlada), co gwarantuje najwyższą jakość win pochodzących z tego regionu.

29 Wyjątek stanowi Vintage, LBV i Colheita Ports.

30 Pierwszych pięćdziesiąt sześć beczek zostało wysłanych w 1651 roku. Dwadzieścia siedem lat później było ich już osiem razy więcej.

31 *Correio* – urząd pocztowy.

32 Kazimierz Wyszyński – zakonnik Zgromadzenia Księży Marianów, dotarł do Portugalii w 1753 roku i dzięki zgodzie biskupa diecezji w Mirandzie, rozpoczął działalność ojców marianów w klasztorze w Balsamão. Zmarł otoczony opinią cudotwórcy.

Epilog

Ojciec przekazał mi winnice po to, żebym mogła odkryć prawdę – tak powiedział mi przez telefon. To było jego zadośćuczynienie za ostatnie trzynaście lat. Tych najgorszych lat, podczas których moje noce wypełniał strach, a dni smutek i bezsilność. Tylko na to mogli z matką się zdobyć – pozwolić mi dowiedzieć się, kim jestem.

Chcieli, żebym była szczęśliwa. Patrzyli na mnie i na P. i wiedzieli, że potrafię tak się czuć.

Ojciec nie zamierzał ułatwiać mi zadania, chciał, żebym sama dotarła do Camili. Małymi kroczkami, może błędząc, może wątpiąc, ale jednak w końcu docierając do sedna.

– Gdybym ci powiedział wprost, byłoby to jak skok na główkę do nieznanej rzeki – wyjaśnił. – Bałem się tego, co mogłoby się wydarzyć potem.

Wierzył jednak, że mi się uda. Wierzył we mnie – oboje z matką we mnie naprawdę wierzyli.

Wiedziałam, że P. będzie czekał na mnie na lotnisku. Tęskniłam za nim. Chciałam wtulić się w jego tors, w ciepłe zagłębienie przy obojczyku. Poczuc pulsującą krew pod skórą. Świętować życie.

Tęskniłam, ale nie żałowałam ani jednej sekundy spędzonej w Douro. Bo to tutaj wszystko się zaplątało i tutaj wszystko musiało znaleźć swoje rozwiązanie.

Wyjęłam z walizki przechowywany przeze mnie album.

Nie ma przypadków, istnieje tylko cel, którego jeszcze nie rozumiemy – odczytałam dobrze mi znaną dedykację z pierwszej strony. Nie mogłam się z nią nie zgodzić. Ta dedykacja to jedyna pamiątka, jaką mam po ojcu.

Sprzedziałam winnice. Odkupiła je ode mnie Camila Hernandez. Od początku wiedziałam, że coś nas łączy. Gabriela powiedziała kiedyś, że matki widzą więcej – córki najwyraźniej też.

Chcę teraz Camilę poznać bliżej. Zrozumieć ją. I wybaczyć jej, że dwadzieścia cztery lata temu pozwoliła mi sobie odebrać.

Mam na to wiele czasu.

Poza tym obiecałam Leonardowi i babce, że będę ich częściej odwiedzać. Przecież jestem jedyną spadkobierczynią Winefordów, prawda? Kiedyś Quinta de São Francisco będzie moja – moja i P.

Zanim opuściłam Portugalię, poszliśmy jeszcze z Camilą do winnic. Niedaleko muru ułożonego z surowych kamieni, na ziemi, którą sprzedałam Camili, rosną cztery cyprysy. Trzeba wejść pomiędzy nie, żeby znaleźć krzyż. Grób Horacia jest zadbane, przykryty kamienną płytą.

Ktoś położył na nim świeże kwiaty.

Podziękowania

Nie mogę uznać tej książki za ukończoną, dopóki nie podziękuję kilkunastu fantastycznym ludziom, którzy wsparli moją pracę.

Dziękuję Joannie Gumińskiej za entuzjazm i skierowanie moich kroków do Cristiana Van Zellera, najwłaściwszego człowieka w całym Douro, bez którego ta książka nie byłaby tak wiarygodna. Cristiano i Joana Van Zellerowie na wiele dni otworzyli mi drzwi do swojej quinty, dzieląc się rodzinnymi opowieściami, wspomnieniami i niebywałą wiedzą. Pokazali mi prawdziwe Douro i doprowadzili do spotkań z niezwykłymi ludźmi, którzy tworzą historię tego regionu.

Dziękuję również dwóm innym *Douro Boys*: João Álvares Ribeiro i Dirk Niepoort wykazali się gościnnością, która przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Podziękowania za ciepłe przyjęcie należą się również Dominicowi Symingtonowi oraz konsulowi honorowemu RP w Porto, którym jest Pedro Silva Reis.

Ewie Waligórskiej z ambasady Portugalii w Warszawie dziękuję za wiarę w moje przedsięwzięcie i przekazanie tej wiary Turismo de Portugal, które wspomogło moją podróż po Douro.

Grażynie Misiorowskiej-Rychlewskiej pragnę podziękować za umożliwienie spotkania z Danutą Kondek, pełniącą funkcję radcy konsulatu RP w Porto, która z siedemnastego piętra hotelu Dom Henrique z niebywałym zaangażowaniem przedstawiła mi miejską, społeczną i kulturową panoramę miasta Porto.

Dziękuję również Witoldowi Beresowi za niezawodność oraz za to, że żaden z moich maili nie pozostał bez odpowiedzi. Dr hab. prof. UW Annie Kalewskiej chciałabym podziękować za wsparcie mojego projektu w pierwszej fazie powstawania oraz za pamięć przy dalszych jego etapach.

Dziękuję też pewnemu portugalskiemu arystokracie – za spotkanie i za uchylenie rąbka tajemnicy.

Zbierając materiały do książki, odwiedziłam wiele muzeów, których pracownicy cierpliwie zaspokajali moją dociekliwość. Szczególne podziękowania należą się Muzeum Chleba i Wina w Favaios oraz Palácio da Bolsa w Porto.

Jestem wdzięczna wydawnictwu Prószyński Media, zwłaszcza Michałowi Nalewskiemu, za nadanie mojej książce takiej formy, w jakiej pojawiła się w księgarni.

I na koniec muszę podziękować najbliższym mi osobom – Rodzicom za kosmiczne wręcz wsparcie, moim Synom za ich radość i za to, że rozumieją, oraz wreszcie Mężowi – za sięgającą chyba jądra ziemi wiarę w moją pracę oraz za sen,

od którego zaczęła się ta historia.